



PRZEMYSŁAW
PIOTROWSKI

BAGNO

KRYMINAL

CZARNA OWCA

PRZEMYSŁAW
PIOTROWSKI

BAGNO

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Spis treści](#)

[Strona redakcyjna](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)
[ROZDZIAŁ 28](#)
[ROZDZIAŁ 29](#)
[ROZDZIAŁ 30](#)
[ROZDZIAŁ 31](#)
[ROZDZIAŁ 32](#)
[ROZDZIAŁ 33](#)
[ROZDZIAŁ 34](#)
[ROZDZIAŁ 35](#)
[ROZDZIAŁ 36](#)
[ROZDZIAŁ 37](#)
[ROZDZIAŁ 38](#)
[ROZDZIAŁ 39](#)
[ROZDZIAŁ 40](#)
[OD AUTORA](#)

Redakcja: Jacek Ring, Bartłomiej Nawrocki
Korekta: Kamila Reclaw, Ida Świerkocka
Projekt okładki: Piotr Cieśliński (Dark Crayon)
Przygotowanie okładki do druku: Kav Studio Pola Rusiłowicz
Redaktor prowadzący: Katarzyna Monika Słupska

Copyright © by Przemysław Piotrowski, 2022
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2022

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe. Imiona, nazwiska i nazwy są fikcyjne. Wszelka zbieżność jest przypadkowa. Wszelkie przedstawione zdarzenia i osoby są fikcyjne.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 9788382520729

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czar-naowca.pl
Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Wszystkie zwierzęta są sobie równe, ale niektóre są równiejsze od innych.

George Orwell, Folwark zwierzęcy
tłum. Bartłomiej Zborski

PROLOG

Wisiała na żyrandolu.

Jej twarz nie przypominała tej, którą znał przed laty. Błada, spuchnięta, martwa jak cała reszta. Wytrzeszczone oczy wpatrywały się w niego obojętnie, z lekko rozchylonych ust wylatywały muchy, które zapewne zdążyły już złożyć w jej wnętrzu jaja. Z nich wkrótce wylęgną się czerwie i zaczną ucztować. Czy powinien na to pozwolić?

Patrzył na nią wyprany z emocji. Nie miał ich w sobie. Po prostu stał i patrzył, jak muchy wchodzą do jej ust, by po chwili z nich wyjść, jak jej długie blond włosy i fałdy sięgającej do kolan sukienki delikatnie falują na wietrze, który wślizgiwał się przez uchylone drzwi balkonowe. Na zewnątrz ćwierkały ptaki i dokazywały dzieci, sądząc po okrzykach grały w piłkę nożną.

„Podaj, podaj! Mały, tu jestem! Hej! Nie sam, nie sam! Tutaj! Kuźwa! Musiałeś znowu sam?!”

Ona się nie poruszała. Nie wydawała żadnych dźwięków. Po prostu wisiała, a na dworze życie toczyło się dalej. Czy ktoś po niej zapłacze? Wątpił w to. Ojciec nie żył od prawie dwudziestu lat, matka zmarła z goryczy po tym, co wydarzyło się miesiąc wcześniej. Przynajmniej tak powtarzała, bo doktor twierdził, że z powodu wylewu krwi do mózgu. Ale to ona mogła mieć rację. Teraz też już nie żyła. Wisiała na żyrandolu.

Spuścił wzrok na kartkę. Leżała na podłodze obok przewróconego taboretu, splamiona moczem, którego spora kałuża zebrała się pod zwłokami. Przykucnął i chwycił ją czubkami palców. Uniósł i przeczytał. To było jej pismo. Znał je doskonale, bo kiedyś pisali do siebie wiele listów, może nawet setki. Wszystkie jednak gdzieś przepadły. W odmętach przeszłości. Spaliła je? Ta myśl sprawiła, że poczuł ucisk w żołądku. Zdawała mu się irracjonalna.

Czy to była jego wina? Czy mógł temu zapobiec? Czy gdyby wtedy postąpił inaczej, oni by żyli?

Odłożył kartkę na miejsce. Podniósł się i zamknął powieki. Z kącików oczu oderwały się niechciane łzy. Wymarł je poirytowany własną słabością. Tacy jak on nie mogli okazywać słabości. W tym fachu słabość oznaczała śmierć.

– Albo jesteś wilkiem, albo owcą – powiedział mu kiedyś jego nauczyciel. – Kim więc jesteś? Zdecyduj się.

– Wilkiem.

– Jesteś tego pewny?

– Jestem pewny.

– Więc zrób, co trzeba.

Zrobił i stał się wilkiem. Wilkiem pośród owiec. Chciał tego i był z siebie dumny. Wilk brzmiał dumnie, ale wilk musiał żyć wśród wilków. W sforze nie było miejsca dla owiec. To była cena, którą zapłacił świadomie.

Teraz, stojąc w pokoju naprzeciwko niej, wiszącej na żyrandolu, cuchnącej moczem, obrzękniętej i zimnej, utwierdził się w przekonaniu, że wtedy popełnił błąd. A może nigdy nie był prawdziwym wilkiem? Może był tylko owcą w skórze wilka?

Przed oczami stanęły mu twarze wszystkich winnych. Jako jeden z nielicznych widział ich prawdziwe oblicza. Wredne, nikczemne, podłe ryje, które na co dzień uśmiechały się zdradziecko do kamer, aby w zaciszu knuć i szczerzyć kły. Ludzie nie mieli pojęcia, co kryje się pod tymi wypacykowanymi maskami, za wzniosłymi hasłami, które tak namiętnie głoszą, aby tylko nasycić niepoohamowany głód władzy.

Władza.

Jedyny głód, którego nie da się zaspokoić. Władza jest gorsza niż najbardziej uzależniający narkotyk. Posmakowanie z koryta zmienia ludzi, łamie kręgosłupy jak zapalki, a moralność przestaje istnieć.

Skrzywił się na tę myśl. O moralności zawsze najwięcej mówili ci, którzy nie mieli o niej zielonego pojęcia.

Poczuł w kieszeni wibrację telefonu. Musiał odebrać.

– Jesteś potrzebny – usłyszał.

– Za godzinę. Tam gdzie ostatnio – odparł i się rozłączył.

Spojrzał na zegarek i schował smartfon do kieszeni. Raz jeszcze przyjrzał się wiszącej na żyrandolu kobiecie. Jej sukienka znów zafalowała przy podmuchu wiatru, a z ust wylazła kolejna mucha, która przespacerowała się po policzku i zniknęła w uchu. Drgnęła mu powieka,

poczuł, jakby jakaś żywa istota wykluła mu się w żołądku i teraz drapała pazurami w poszukiwaniu wyjścia z pułapki. Znów zamknął powieki. Stały mu przed oczami oblicza wszystkich winnych. I dwa groby.

Zacisnął pięść z taką siłą, że zatrzeszczały wszystkie ścięgna, a w trzymanej reklamówce zagrzechotały znicze. Z dworu poniósł się sygnał policyjnych syren i odgłos śmieciarki opróżniającej kosze. Głosy pracowników, krzyki grających w piłkę dzieci. Ćwierkanie ptaków. Stukot obcasów jakiejś bezimiennej kobiety.

Istota w jego wnętrzu coraz gwałtowniej zaczęła szarpać jego trzewia. Czuł jej ostre jak brzytwa pazury. Wpijały się w ścianki jego żołądka. Wiedział, że pragnie wydostać się na wolność. I jest piekielnie głodna.

Mężczyzna zacisnął zęby i po raz ostatni spojrzął w martwe oczy kobiety. Wytarł łzę, która spłynęła mu po policzku, a potem założył kaptur, odwrócił się na pięcie i wyszedł z mieszkania.

Schodząc po schodach, wiedział, że tym razem nie zdoła opanować tego, co załęgło się w jego wnętrzu. Musiał to nakarmić, inaczej to coś rozerwie go na strzępy. Nie sądził, że będzie musiał sycić potwora aż siedem lat.

Siedem lat minęło nader szybko...

Teraz był już gotowy, aby utopić ten kraj w morzu krwi.

ROZDZIAŁ 1

Poranek był chłodny i wietrzny. Na tle zasnutego chmurami nieba nisko krążyły jaskółki, a na dachu i płocie przesiadywały kruki i gawrony. Czasem krakały albo stroszyły pióra, ale jemu to nie przeszkadzało. Uniósł siekiere i rozłupał kolejny pniak. Trzask pękającego drewna nie robił już na ptakach żadnego wrażenia. Przypatrywały mu się z niezdrową fascynacją, gdy wycierał pot z czoła. Kątem oka dostrzegł parę wścibskich oczu, które kryły się za ogrodzeniem. Wiedział, że dzieciaki sąsiadów często go podglądają przez dziurę w płocie, ale rzadko wchodził z nimi w interakcję. To sprawiało, że ich zainteresowanie tylko rosło. Czasem przyprowadzali kolegów i koleżanki. Wtedy słyszał, jak szepcą.

„Zabił wilkołaka, mówię ci. I tego wampira. Patrz, jakie ma blizny. O kurczę! Pewnie po walce z tym wilkołakiem. Nooo. Chyba jednak nie. Nie miały szans. Bzdura, mówię ci. Na bank!”

Z jednej strony bawiły go te rozmowy, z drugiej momentami czuł się jak mała w zoo. W kontaktach z dziećmi było jeszcze trudniej, nagle zapominał języka w gębie i burczał coś niezrozumiale, jakby w obawie, że może chlapanąć coś niewłaściwego. Z biegiem lat jednak przywykł, zwłaszcza że nawet rodzice maluchów patrzyli na niego, jakby pod dziewiątką nie mieszkał człowiek, tylko jakiś obcy, który jedynie przybrał ludzką postać niczym kosmici z *Facetów w czerni*. Gdy czasem przekręcał głowę w kierunku, z którego dochodziły szepty, niemal natychmiast zapadała cisza jak makiem zasiał, a młodzi się wycofywali. Dziewczynki często piszczały i uciekały, ale udawał, że tego nie słyszy ani nie zauważa.

Igor Brudny chwycił kolejny kawałek drzewa i postawił go na grubym pniaku. Zamachnął się i rozłupał go, a następnie porąbał na szczapy. Omiótł wzrokiem stertę drewna i wyciągnął z tylnej kieszeni dzinsów paczkę papierosów. Wyciągnął jednego i włożył do ust. Przypalił. Wbił ostrze siekiery w pniak. Przez chwilę stał, obserwując fruujące jaskółki, po czym wziął się pod boki i wygiął plecy w łuk. Coś chrupnęło, przeskoczyło, zabolalo. Ktoś mu kiedyś powiedział, że jak boli, to znaczy, że żyje. Nie

pamiętał już kto, ale podzielał ten pogląd. Ból był jego nieodłącznym kompanem, od kiedy pamiętał. I potrafił go szanować.

Zerknął w stronę otworu, przez który podglądały go dzieciaki sąsiadów. Tuje po drugiej stronie lekko się zatrzęsły, a podmuch zimnego wiatru poniósł niezrozumiałe szepty. Sięgnął po przewieszoną przez uchwyt kosiarki koszulkę i włożył ją. Znów coś chrupnęło w stawach. Zgasił niedopałek i wrzucił do słoika. Gdy chciał dopić napoczętą butelkę piwa, za plecami usłyszał pukanie. Odwrócił się. W oknie stała jego partnerka. W jednej ręce trzymała laptop, a drugą gwałtownie gestykulowała.

– Co jest? – mruknął do siebie, marszcząc brwi.

Julia Zawadzka przez chwilę mocowała się z uchwytem w oknie. W końcu zawiasy ustąpiły.

– Zostaw to drewno i chodź tu – rzuciła pośpiesznie.

– Wypadałoby to jeszcze poukładać pod wiatą. Zbiera się na deszcz i...

– Olej to!

– Ale...

– Chodź coś zobaczyć. To jest naprawdę... – Skrzywiła się, zerkając w ekran laptopa. – To wydaje się prawdziwe, choć trudno w to uwierzyć.

– Co znowu?

– Przyjdź tu, to się dowiesz. Ruchy, Igor!

Brudny uniósł brwi i z niedowierzaniem pokręcił głową. Pomyślał, że każda kobieta prędzej czy później próbuje ustawić faceta. Mruknął pod nosem, dodając w myślach, że nie z nim takie numery. Mimo to skierował się w stronę drzwi balkonowych. Gdy szarpnął za klamkę, z dachu zerwało się do lotu kilka okupujących go gawronów.

– Ściągnij buciory – rzuciła Julka. Miała na sobie dzinsy i luźny podkoszulek z grafiką jednej z płyt Guns'n'Roses: słynną czaszką w kapeluszu, skrzyżowanymi pistoletami i różami. W jednej dłoni trzymała laptop, a w drugiej nadgryzione jabłko.

Brudny ściągnął buty i wystawił je na balkon. Nieco ospale zbliżył się do wyraźnie niecierpliwiejszej się partnerki. Lekko pochylona stała nad blatem oddzielającym aneks kuchenny od salonu i wpatrywała się w ekran komputera.

– To naprawdę nie może poczekać? – zagadnął, gdy podszedł na tyle blisko, aby móc spojrzeć na monitor.

– Niekoniecznie, jeśli ktoś kręci snuffa z najważniejszym klechą w państwie.

– Jaja sobie robisz? – Brudny prychnął, jakby to miał być jakiś żart.

Przekręciła laptop w stronę partnera, aby ułatwić mu zadanie. Ugryzła jabłko i wymownie uniosła brwi. Pierwszym, co przyciągnęło jego wzrok, były świece. Pomieszczenie upstrzono mnóstwem płonących świec. Na samym środku, w półmroku dało się dostrzec ludzką postać. Mężczyzna był nagi, a na jego gęstej brodzie i opasłym brzuchu skrzyły się krople potu, ewentualnie olejku lub innej substancji, która została nałożona na skórę. Trudno było to jednoznacznie stwierdzić, bo jakość nagrania pozostawiała wiele do życzenia, ale jego ciało niewątpliwie oplatały grube sznury związane na czymś przywodzącym na myśl średniowieczny pręgierz. Jeden sznur był zaciśnięty na gardle, drugi na wysokości klatki piersiowej, kolejne na brzuchu, udach, łydkach i kostkach. Mężczyzna poruszał się niezgrabnie, jakby chciał uwolnić się z więzów. Brudnemu skojarzył się z obleśną karykaturą ludzika Michelin.

– Co to niby ma być? – Cofnął się kilka centymetrów wyraźnie zniesmaczony.

– Nie wiem, ale najwyraźniej to nie żart. Przyjrzyj się jego twarzy.

Zawadzka wskazała na okienko znajdujące się w prawym górnym rogu. Zbliżenie na twarz mężczyzny też nie było w najwyższej rozdzielczości, ale bez problemu można było rozpoznać jego rysy. Miał przymknięte powieki, a z nosa i spuchniętych ust sączyła się krew, która sunęła po długiej, gęstej brodzie i skapywała na nalaną klatkę piersiową i brzuch.

– Będzie z tego niezły skandal – bąknął Brudny. – Dziwię się, że jeszcze nikt tego nie ściągnął z sieci. Gdzie to znalazłaś? – zapytał i chciał odejść, ale Julka chwyciła go za koszulkę.

– To nie fejk, Igor – rzuciła. – To znaczy chyba nie...

– Jak to nie? – Komisarz prychnął. – Chyba mi nie powiesz, że to prawdziwe nagranie?

– Poczekaj... – Zaczęła stukać w klawisze. Obrazy na ekranie zmieniały się błyskawicznie. Chwilę później pojawiło się niewielkie okienko popularnego radia. Włączyła „play”. – Posłuchaj tego – poleciła.

– Co to?

– Po prostu słuchaj.

Podkręciła głośność na maksimum. Z głośników poniósł się znajomy tembr redaktora Łukasza Chmielnika. Na co dzień prowadził on popularną audycję publicystyczną, podczas której słuchacze mieli okazję wypowiedzieć się na tematy związane z bieżącą polityką. Brudny czasem

jej słuchał, bo lubił prowadzącego, który w jego mniemaniu był wyjątkowo bystry i w mistrzowski sposób wbijał szpile poszczególnym politykom, zachowując wrodzony styl i klasę. Audycja musiała być odtwarzana, bo zwykle leciała na żywo z samego rana, a obecnie dochodziło południe. Komisarz rzucił partnerce niejasne spojrzenie i skupił się na rozmowie.

– ...wy słuchacz. Jak ci na imię, przyjacielu? – zagadnął Chmielnik.

– Jestem Sędzią – odparł wyraźnie zniekształcony głos.

– Nie pytam, czym się zajmujesz, tylko jak masz na imię? No bo chyba nie Dredd, mam rację? – Prowadzący zarechotał.

– Nie nazywam się Dredd. Proszę, zwracaj się do mnie Sędzio.

– Hmm... No dobra, niech będzie. W takim razie jest z nami Sędzia Dre... Przepraszam, jest z nami Sędzia, który z jakiegoś powodu używa modulatora głosu. Masz coś na sumieniu, przyjacielu? A może jesteś znanym politykiem, który chce dokopać koledze z sejmowej ławy, ale boi się...

– Nie kpij ze mnie, redaktorku – przerwał głos.

– Uuu... Widzę, że nasz Sędzia jest przeczulony na swoim punkcie. W takim razie słuchamy, przyjacielu. Czym chciałbyś się z nami podzielić w ten piękny, niedzielny poranek?

– Jestem Sędzią i wydałem wyrok na Tobiasza Kryszaka.

– O proszę. Przypominam, że jesteśmy na żywo i zaczynam się bać, że zaraz usłyszymy słynne trzy słowa do... – W głosie Chmielnika dało się wyczuć niedowierzanie z domieszką nieskrywanej drwiny.

– Nie kpij, powtarzam – syknął głos.

– Proszę o wybaczenie, ale jeśli można, to nalegam, aby Sędzia przeszedł do sedna. Czas płynie nieubłaganie i...

– Sąd nad Tobiaszem Kryszakiem właśnie ruszył i potrwa dwadzieścia cztery godziny. Szczegóły na stronie www.sadostateczny.onion.pl. Nie próbujcie mnie namierzyć, bo to niemożliwe. Do zobaczenia.

Julka wcisnęła „stop”, a następnie z powrotem powiększyła obraz z przywiązanym do słupa mężczyzną. Brudny powiódł wzrokiem na adres internetowy. Skrzywił się, odczytując go. Był prawie taki sam z tą różnicą, że po rozszerzeniu „onion” znajdowała się cyfra sześć.

– Za każdym razem, gdy próbują ją blokować, odradza się pod podobnym adresem – zaczęła. – Onion jeden, onion dwa, onion trzy i tak dalej. Teraz mamy onion sześć. Nie mam pojęcia, jak ten facet to robi, ale musi korzystać z jakiegoś nowatorskiego programu szyfrującego, który

dotatkowo automatycznie multiplikuje adresy stron internetowych. Te rozszerzenia sugerują jakiś związek z darknetem, ale ostatecznie można je odczytywać w otwartej sieci. Korzystając z TOR-a, jeszcze można by próbować jakoś to zroz...

– Możesz zacząć mówić po ludzku?

– Nie wiem, ten facet to robi, ale najwyraźniej jest na tyle dobry, aby oszukać rządowych speców, a ten film to nie fejk, tylko relacja na żywo z Tobiaszem Kryszakiem w roli głównej. W tym rogu masz dodatkowo liczbę subskrybentów, która dwadzieścia minut po ogłoszeniu parafialnym u Chmielnika – Zawadzka wzięła ostatnie słowa w cudzysłów – osiągnęła już ponad czterdzieści trzy tysiące i rośnie wykładniczo. O, już czterdzieści cztery.

Brudny popatrzył na swoją partnerkę, jakby przed chwilą oznajmiła, że zamierza oddać odznakę i zająć się pokazywaniem gołego tyłka na Instagramie. Skrzywił się z niesmakiem.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś porwał Tobiasza Kryszaka, uwięził go i teraz puszcza to na żywo? – Komisarz włożył do ust kilka słonych paluszków.

– Wiem, jak to brzmi, ale... – Julka przygryzła dolną wargę i z powrotem skupiła wzrok na ekranie monitora. – To mi nie wygląda na deep fake...

– Na co?

– W dzisiejszych czasach można stworzyć niemal wszystko. W internecie lata masa filmików z najsłynniejszymi ludźmi świata: aktorami, politykami, różnej maści celebrytami, którzy, dajmy na to, są wmanewrowywani w filmy porno czy jakieś skandaliczne wybryki. Dzięki zaawansowanym programom można wkleić ich twarze w miejsce innych osób i są to fałszywki niemal niewykrywalne dla ludzkiego oka. Ale to... hmm... – Julka uniosła brwi i z sykiem wypuściła powietrze. – To na deep fake mi nie wygląda – dodała.

Przez chwilę wpatrywali się w ekran laptopa. Brudny poczuł nagłą potrzebę napicia się whisky. Miał swoje powody. Ludzie parający się wbijaniem do głów najsłabiej wykształconych obywateli tych wszystkich bzdur o aniołkach i Duchu Świętym w najlepszym wypadku budzili w nim niesmak, ale osoba księdza Tobiasza rozniecała żywy ogień. Z trudem zapanował nad wzbierającymi emocjami. Julka wiedziała o nim dużo, ale nie wszystko. I lepiej, żeby tak pozostało.

– Cokolwiek to jest, gównu mnie to obchodzi – mruknął i skierował się do barku. Wyciągnął butelkę jamesona i dwie szklanki.

– O tej porze? – Posłała mu podejrzliwe spojrzenie.

– Tobie też nalać?

– Nalej.

Brudny napełnił obie szklanki do połowy i postawił je na ławie. Sam usiadł na sofie i wyciągnął paczkę papierosów. Zapalił jednego i upił łyk whisky. Włączył telewizor i z udawanym zainteresowaniem skupił się na wystąpieniu ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Czesława Broziaka, który wygłaszał kolejną absurdalną teorię na temat zmian w systemie sądownictwa. Jak na złość jeszcze ten musiał podnieść mu ciśnienie. Komisarz za wszelką cenę próbował ukryć targające nim emocje, ale milczenie Julki było nazbyt wymowne. Dostrzegła, że ta sytuacja wyprowadziła go z równowagi bardziej, niż powinna. Poczul, że wzbiera w nim złość na siebie samego. Kątem oka dostrzegł, jak partnerka wyrzuca ogryzek i idzie w jego stronę. Usiadła obok i wzięła szklankę. Zamoczyła usta, po czym bez słowa wyciągnęła papierosa. Przez kilka następnych minut oglądali żalostną próbę wytłumaczenia obywatelom kolejnych zmian, które w zamyśle miały ograniczyć wszechwładzę sędziów, a tak naprawdę były biczem na tych niepokornych, czytaj niezawisłych, śmiejących wydawać wyroki inne niż te zamówione przez władzę. Poziom hipokryzji i bezczelności tego człowieka zakrawał na szaleństwo, mimo to powtarzał te swoje brednie, jakby z góry zakładał, że zwraca się do ludzi bez mózgu.

– Nie lubisz tego gnojka, co? – zagadnęła, gdy zgasił peta w popielnicze.

– Broziaka? – Prychnął. – A kto normalny może go lubić?

Zgasiała swojego papierosa i poszła po laptop. Postawiła go na ławie. Obraz z kamery nie zmienił się ani trochę. Zachowując podgląd w rogu ekranu, wprowadziła kilka adresów, które uznała za godne uwagi. W mediach zaczęły pojawiać się pierwszy bijące po oczach tytuły. Mimochodem zerknęła w ekran telewizora, gdzie do wygłaszającego przemowę ministra sprawiedliwości podszedł jeden z jego ochroniarzy. Wielki jak tur facet w ciemnym garniturze nachylił się i zaczął szeptać pryncypałowi do ucha. Chwilę później Broziak odchrząknął, przeprosił i poprawiwszy krawat i poły marynarki, opuścił pomieszczenie, wywołując wśród dziennikarzy konsternację.

– Chyba naprawdę jest coś na rzeczy. – Brudny westchnął i zerknął na ekran laptopa. Wielebny Tobiasz wciąż stał owinięty sznurami, przywodząc na myśl wielkiego tłustego robala. Komisarz pokręcił głową z niedowierzaniem. – Idę wziąć prysznic. Podgrzejesz te pierogi? – zapytał, podnosząc się z kanapy.

Julka obrzuciła go pełnym powątpiewania spojrzeniem. Był mistrzem w ukrywaniu uczuć, ale nawet jemu zdarzały się momenty, gdy tracił czujność. Doskonale znała też jego stosunek do władzy, zwłaszcza ekipy obecnie rządzącej, w związku z czym rzucanie w eter tekstów o prysznicu czy pierogach w momencie, gdy pierwszy klecha Rzeczypospolitej Polskiej stoi skrzepowany nago w jakiejś suterenie, a jeden z jego najwierniejszych przydupasów w pośpiechu opuszcza konferencję prasową, pasowało do Igora jak pięść do nosa.

– O co ci chodzi, Igor? – Uznała, że czas przestać udawać.

– Pół dnia rąbałem drewno i chcę wziąć prysznic – odparł, już na stojąco dopijając whisky.

– I mam uwierzyć, że przejdiesz koło tej sytuacji ot tak, jakby nic się nie stało?

– A co się stało? – Odstawił pustą szklanekę na ławę.

– Ja pierd...

– No co, Julka? Co takiego się stało i jaki ja mogę mieć na to wpływ?

– No, kurwa, sam Tobiasz Kryszak, pierdolony Ojciec Zwierzchny tego narodu, został porwany! Ktoś go uwięził, rozebrał i mu wpierdolił, a potem zadzwonił do radia i powiedział, że będzie go „sądził”...

– No to w takim razie mam nadzieję, że wyda sprawiedliwy wyrok. Mam wrzucić te pierogi do mikrofalówki czy...

– Podsmażę ci.

– Dzięki.

Chwilę później Brudny zniknął za rogiem. Usłyszała krzatanie w łazience, a potem szum wody z prysznicu. Złapała się na tym, że czasem w ogóle go nie poznaje. Owszem, Igor był nieprzewidywalny i potrafił podejmować trudne do zrozumienia decyzje, niekiedy zamykał się w sobie i otaczał murem, a gdy wstał lewą nogą, to bywał marudny i zrzędlivy. Kiedy jednak przychodziło do konkretów, zawsze zajmował jakieś stanowisko.

Dopiła whisky i już chciała wrócić do klepania w klawisze, gdy na ekranie pojawił się ktoś jeszcze. Powiększyła obraz. Wtedy przez jej ciało

przemknął nieprzyjemny dreszcz.

Mężczyzna ustawił się na wprost oka kamery. W lewej dłoni trzymał myśliwski nóż i wcale nie przypominał sędziego. W środku kadru stał średniowieczny kat.

ROZDZIAŁ 2

– Co to jest, do jasnej cholery? Dlaczego nie możecie tego usunąć? I jakim, kurwa, cudem znalazł się w posiadaniu takich informacji?

Minister sprawiedliwości wyglądał, jakby zaraz miała eksplodować mu głowa. Co chwila poprawiał zsuwające się na nos okulary, policzki miał czerwone jak dwa dorodne tulipany, a gdy wyrzucał z siebie kolejne zdania, rozpylał wokół mgiełkę śliny. Obok niego z nogi na nogę przestępowało czterech partyjnych kolegów i drugie tyle agentów po dwóch ze Służby Ochrony Państwa i Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Jeden z nich co rusz klepał w klawiaturę podłączonego do serwera laptopa, ale tylko od czasu do czasu nerwowo kiwał głową. W końcu rozłożył ręce.

– Jest dobry. Cholernie dobry – oznajmił, ale dostrzegłszy nerwową reakcję swojego szefa, wrócił do klepania w klawiaturę. – Łączy się przez tysiące serwerów rozsianych po całym świecie. Musiał wprowadzić jakiegoś nieznanego trojana. Nie da się go namierzyć na tym sprzęcie. Nie tak na biegu.

– Jak to się, kurwa, nie da? – warknął Broziak. – Czego się, kurwa, nie da? I kiedy ktoś, do kurwy jasnej, potwierdzi, czy ksiądz Tobiasz jest bezpieczny?

Grzmotnął pięścią w dębową ławę z taką siłą, że omal nie połamał sobie kości śródreńca. Syknął z bólu, a potem wyrzucił z siebie kolejną wiązkę przekleństw. Spiorunował wzrokiem podwładnych, jakby to była ich wina, a następnie – wciąż trzymając się za obolałą dłoń – z powrotem wbił spojrzenie w jeden z monitorów.

– Czy prezydent i premier już wiedzą? – zapytał nieco spokojniej.

– Pan prezydent jest w drodze – odparł szeroki w barkach mężczyzna z blizną na skroni.

– Smolik? Gniazdowski? Frejman?

– Po ministra obrony został wysłany samolot, ale to trochę potrwa. Marszałek jest w drodze. Szef Agencji Wywiadu przebywa w Nowym Jorku, ale informacja została mu dostarczona.

- Ku... midor? – Broziak skrzywił się, wypowiadając to słowo.
- Jest bezpieczny.
- Nie pytam, czy jest bezpieczny, tylko czy wie, co tu się odpięrdala?
- Informacja została przekazana, ale...
- Chryste Przenajświętszy...

Broziak zapowietrzył się, gdy zobaczył serię przewijających się po ekranie fotografii. Wytarł pot z czoła i głośno przełknął ślinę. Nogi się pod nim ugięły. Poczuł się słabo, a z klatki piersiowej rozlała się po całym ciele fala gorąca. Przez kolejne pięć minut wszyscy poza panicznie walczącym z klawiaturą agentem wpatrywali się w ekran drugiego monitora. Mężczyzna w przebraniu średniowiecznego kata wyjawiał kolejne grzechy Ojca Zwierzchnego. Zachowania pedofilskie, przekrety finansowe, spowodowanie śmierci podczas jazdy pod wpływem alkoholu – wszystko to w telegraficznym skrócie poparte zdjęciami, dokumentami, podpisami i nagraniami rozmów z wysokimi rangą politykami partii rządzącej. Gdy Broziak usłyszał swój własny głos, w gwałtownym ataku paniki próbował sobie przypomnieć, kiedy i czy w ogóle prowadził z księdzem Tobiaszem podobną rozmowę, ale choć w takim stanie nie potrafił jednoznacznie ocenić wartości merytorycznej przedstawianych dowodów, to strzępy powracającej pamięci sprawiły, że poczuł mdłości.

– Zrób coś, kurwa mać... – wyjęczał niemal błagalnie, ale spocony agent nie odpowiedział. – Wezwijcie ludzi, wezwijcie...

Zamilkł, a przed oczami pojawiły się mroczki. Jeden z agentów go podtrzymał, ale Broziak odepchnął pomocną dłoń. Oparł się o dębowy blat i raz jeszcze spojrzął w ekran laptopa. Gdy na wyświetlaczu pojawiły się fotografie z wielebny Tobiaszem ściskającym dłonie jakimś czarnoskórym mężczyznom w uniformach przypominających mundury, a wcześniej przygotowany napis bardzo dokładnie wyjaśnił, kim są owi ludzie, Broziak poczuł, że jego jelita skręciły się w supeł. Tego było już za wiele. Chwycił się za brzuch i zacisnął powieki, próbując powstrzymać nagły atak bólu, który na szczęście szybko minął. Nie dane mu jednak było odetchnąć, bo chwilę później mężczyzna w katowskim kapturze wysunął ostatni akt oskarżenia. Gdy Broziak z powrotem otworzył oczy i ujrzał nagranie wideo z księdzem Tobiaszem, który gwałci kilkunastoletniego chłopaka, charcząc przy tym jak zwierz i wyzywając dzieciaka od podłych grzeszników, jego organizm odmówił posłuszeństwa i minister stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 3

Igor z Julką siedzieli na sofie i wpatrywali się w ekran laptopa jak zaczarowani. Liczba widzów zdążyła urosnąć do ponad stu dwudziestu tysięcy i kolejnych przybywało w zastraszającym tempie. Popiół z trzymany w palcach papierosów zdążył spaść na ławę. Milczeli. Gdy Brudny w końcu zdołał wyrwać się z letargu i otworzył usta, aby coś powiedzieć, w dolnym prawym rogu transmisji pojawił się czat. Pierwsze komentarze posypały się błyskawicznie.

koper: Zajeb pedofila!

Miszka09 do koper: Niech najpierw urznie mu jaja. Niech bandyta zdycha w męczarniach.

MamaJasia: Pedofili trzeba kastrować. Sędzio – zrób, co należy. Osądź tego człowieka sprawiedliwie.

kikesz: jest jest jest w końcu, sędzio zrobiłeś mi dzień!!!

koper do kikesz: Już zamawiam popcorn

malinka121: Zboczeniec!!!!!!!!!!!!

Ojciec000: Trzy słowa do wielebnego: CHUJ CI W DUPE

kikesz do Ojciec000: miejmy nadzieje ale wolabym zardzewiala rure

jdfhw73nr: Wyszło szydło z worka. Wszyscy wiedzieli, ale te gnoje z Wiejskiej od lat kryją pedofilów i na wszystko im pozwalają. Bandyta zasłużył na długą i bolesną śmierć!

Ojciec000 do kikesz: I nasypać pokruszone szkło, a potem zalać wrzącym olejem

sympatico: Urznąć kutasa i wsadzić do ryja aby się udławił. Niech zdycha skurwiel jebany!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

Z letargu wyrwał ich głuchy trzask. Julka aż podskoczyła i oboje instynktownie obrócili się w kierunku, z którego doszedł dźwięk. Na szybie drzwi wychodzących na taras znajdowała się rozmazana plama. Komisarz rzuciła partnerowi zaniepokojone spojrzenie i podbiegła sprawdzić, co się stało. Przyjrzała się śladowi na szybie, a następnie spuściła wzrok. Na

posadzce leżał kruk, który panicznie trzepotał skrzydłami. Jedno z nich musiał mieć złamane, bo nie był już w stanie wzbić się z powietrze.

– To tylko ptak – odetchnęła. – Ja pierdolę... – Przytknęła dłoń do czoła.
– Co tu się wyprawia, Igor?

Brudny zgasił dopalającego się papierosa i rzucił jej wymowne spojrzenie. Podniósł się z sofy i podszedł do drzwi balkonowych, a następnie musnął ramię partnerki i nacisnął klamkę. Spojrzał na rannego ptaka. Miał przeraźliwie czarne oczy, którymi łypał na komisarza, nieudolnie próbując zerwać się do lotu. Brudny przez chwilę przyglądał się tej agonii, po czym złapał ptaka i jednym szybkim ruchem ukręcił mu łeb. Gdy kruk przestał się szamotać, wyrzucił truchło do wiadra z popiołem. Spojrzał na wyraźnie podenerwowaną Julkę.

– Nie było sensu, żeby się męczył – mruknął, wyciągnął z paczki kolejnego papierosa i zapalił. Przez moment przeszło mu przez myśl, że Julka może oczekuje z jego strony jakiegoś gestu wsparcia, ale rzucił jej tylko przelotne spojrzenie, zaciągnął się i omiótł wzrokiem niebo. Zwykle nie miał problemów, aby zebrać myśli, ale to, co przed chwilą zobaczył na ekranie laptopa, zupełnie wytrąciło go z równowagi. Złapał się na tym, że targają nim skrajnie ambiwalentne uczucia, a chwilę później nadciągnęło tornado fatalistycznych myśli. Uznał, że jakiegokolwiek próby wyobrażenia sobie efektów tego nagrania i tak spełzną na niczym. Prychnął, po czym wrzucił niedopałek do tego samego wiadra z popiołem i skierował się z powrotem do domu. Julka siedziała na sofie z kolejnym papierosem w dłoni. Wpatrywała się w ekran laptopa.

– I co o tym sądzisz? – szepnęła, gdy usiadł obok. – Przecież to... przecież... – próbowała wyartykułować swoje myśli, ale nie umiała znaleźć odpowiednich słów. Najwyraźniej prowadzący transmisję mężczyzna zakończył ten etap przedstawienia, bo zniknął z kadru, a na ekranie znów znajdował się jedynie przywiązany do słupa Kryszak. Czat aż gotował się od oszalałych z nienawiści komentarzy, z których najczęściej pojawiały się sugestie, aby pozbawić ofiarę przyrodzenia.

– To nie nasza sprawa – rzekł Brudny po dłuższej chwili zastanowienia.
– Zresztą wciąż nie wiemy, czy to nie jakaś podpucha.

– Chyba nie wierzysz w to, co mówisz. Słyszałeś te nagrania? Widziałeś ten film?

Brudny uniósł brwi i z sykiem wypuścił powietrze. Chwycił pilota i zaczął sprawdzać programy informacyjne. Na każdym, z wyjątkiem

telewizji rządowej, prezenterzy mówili tylko o jednym. Głosy wszystkich brzmiały nienaturalnie, jakby ci ludzie nie do końca wierzyli w to, co muszą komunikować widzom swoich stacji. Na ruchomym pasku u dołu ekranu przewijał się oficjalny komunikat, że ksiądz Tobiasz Kryszak jest nieuchwytny i według wstępnych ustaleń prawdopodobnie rzeczywiście został porwany.

– To robota dla służb – powiedział po dłuższej chwili. – Ale kimkolwiek jest ten facet, to od początku musiał zdawać sobie sprawę, że taką akcją rozpęta w kraju niewyobrażalne piekło.

– To do mnie nie dociera, Igor... – Julka zaśmiała się nerwowo. – Wyobrażasz sobie, co zaczniesz teraz dziać?

– To zależy, czy gość zna się na robocie.

– Co masz na myśli?

– Jak go namierzą, to zaraz będzie po sprawie. Wymyślą, że to jakiś superfejk czy jak to się tam nazywa.

– Deep fake – poprawiła go.

– No okej, deep fake. I nie wiem. Nawet nie chce mi się o tym myśleć.

Brudny sięgnął po butelkę Jamesona i nalał do obu szklanek kolejną porcję whisky. Wziął swoją i zerknął z powrotem na ekran laptopa. Julka kliknęła w pierwszy z linków, które kilka sekund wcześniej zostały wygenerowane na bocznym panelu strony www.sadostateczny.onion.pl. Trafiała na akta dotyczące śmiertelnego potrącenia jakiegoś nastolatka. Pamiętała tamtą sytuację jak przez mgłę. Chłopak chyba miał na imię Michał, a Kryszak podobno kierował pod wpływem alkoholu, ale niczego mu nie udowodniono, bo sprzyjająca mu prokuratura umorzyła śledztwo, wskazując, że to wina chłopaka, który wyskoczył na pasy na czerwonym świetle. Następnie kliknęła w link z jakimiś wielomilionowymi przelewami, ale również tylko omiotła je wzrokiem, po czym bez problemu zapisała pliki na twardym dysku. Chwilę później zrobiła to samo z jednym z nagrań dźwiękowych.

– To wszystko można pobrać – skonstatowała, z niedowierzaniem kręcąc głową. – Jakkolwiek to się skończy, Kryszak łatwo się z tego nie wywinie.

– Cóż... – Brudny westchnął. – Nie przez takie rzeczy upadały rządy. Służby będą miały co robić – dodał i upił łyk.

– Taśmy, które obaliły poprzedni rząd, to przy tym kapiszon.

– Uhm.

Czat grzał się do czerwoności, a kolejne komentarze zdawały się coraz bardziej bezkompromisowe. Liczba obserwatorów osiągnęła już prawie czterysta tysięcy i ciągle rosła, a stream wisiał, jakby Sędzia nic sobie nie robił ze starań rządowych speców, którzy bez wątpienia uwijali się jak w ukropie, aby zdjąć go z ogólnodostępnej części internetu. Wtedy na ekranie znów pojawił się mężczyzna w katowskim przebraniu. Podszedł do księdza Tobiasza i nie bacząc na jego protesty, na siłę wcisnął mu w gardło kawał szmaty, aby po chwili zniknąć z kadru. Brudny rzucił partnerce wymowne spojrzenie, ale gdy Sędzia znów pojawił się w oku kamery, z powrotem skupił uwagę na streamie. Otworzył szerzej oczy, gdy dostrzegł, że mężczyzna w jednej ręce trzyma myśliwski nóż, a w drugiej rozgrzane żelazko.

– Naród podjął decyzję – obwieścił Sędzia zniekształconym głosem, a następnie podszedł do ofiary i przyłożył nóż w okolice jej krocza. Ksiądz Tobiasz szarpnął się, ale sznury jedynie głębiej wpiły się w jego ciało. Zawył, gdy mężczyzna zaczął rznąć. Nie trwało to długo. Równie szybko został zatamowany obfity krwotok. Po wszystkim oprawca stanął dokładnie naprzeciwko kamery i przez chwilę wpatrywał się wprost w obiektyw. W poszarpanych otworach katowskiego kaptura można było dostrzec jego źrenice, w których tańczyły odbite płomienie setek świec rozstawionych po całym pomieszczeniu. Wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu i trzymał widzów w napięciu jeszcze przez trzy, może cztery uderzenia serca. – Taka była wola narodu, ale każdy zasługuje na drugą szansę – oznajmił w końcu spokojnym i opanowanym tonem. – Ksiądz Tobiasz otrzyma szansę na poprawę i pozwolę mu żyć, jeśli minister sprawiedliwości i prokurator generalny Czesław Broziak przyzna się na wizji do wszystkich swoich grzechów, a następnie na kolanach przeprosi naród, zrzeknie się mandatu poselskiego i poprosi o uczciwy proces i wymierzenie surowej kary. Transmisja z tego aktu ma zostać wyemitowana na żywo we wszystkich kanałach informacyjnych jutro w południe, a w kadrze ma być uchwycona cała postać.

Gdy mężczyzna w katowskim kapturze zniknął z kadru, liczba widzów osiągnęła milion dwieście czterdzieści sześć tysięcy. Igor Brudny i Julia Zawadzka siedzieli jak otępiali. Nie mieli bladego pojęcia, że już wkrótce znajdą się w samym środku tego piekła.

ROZDZIAŁ 4

Premier Mariusz Nosalski wytarł twarz papierowym ręcznikiem i po raz ostatni przejrzał się w lustrze. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o pociągłej twarzy z wyraźnie zarysowanymi zakolami i elegancko zaczesanymi na bok siwiejącymi włosami. Przez chwilę tępo patrzył w swoje odbicie. Nie potrafił zebrać myśli. Przytłaczały go. Miał wrażenie, że znajduje się w głębokim dole, bez szans na wygrzebanie się na powierzchnię. Niechciane obrazy przywodziły na myśl grób, który zaraz zostanie zasypany.

Czy właśnie tak miał wyglądać koniec jego kariery? Kolejne wizje upadku bombardowały go niczym deszcz meteorytów. Znowu zwymiotował, choć z ust wylała mu się jedynie żółć. Odkręcił wodę, zamknął oczy i wsparł się o umywalkę. To wszystko zdawało mu się nierealne, kompletnie irracjonalne. W umyśle wciąż pojawiała się myśl, że może jeszcze nie wybudził się z tego koszmaru, że śpi twardym snem na swoim wygodnym materacu za dwadzieścia pięć tysięcy, w łóżku z drewna orzechowego za drugie tyle, obok niego cicho pochrapuje żona, a zaraz zadzwoni budzik albo trąci go pyskiem pies, cokolwiek, byle wyrwać się z tej makabry.

Otworzył powieki. Lewa część twarzy zatańczyła w serii nerwowych tików. Skrzywił się, a chwilę później rozmasował policzek. Powtarzające się w krótkotrwałych odstępach skurcze mięśni pod lewym okiem nie były możliwe do opanowania, przez co wyglądał, jakby wiecznie do kogoś mrugał. Od lat utrudniały mu życie i zwykle wracały w najbardziej stresujących sytuacjach. Tym bardziej obawiał się zebrania sztabu kryzysowego, które rozpocznie się – zerknął na złotą omegę – dokładnie za trzy minuty. Jak miał stanąć w oko w podległymi sobie ministrami, z których połowa najchętniej wysadziłaby go z siodła, z szefami agencji służb traktujących go co najwyżej jak zło konieczne, zwłaszcza zaś prezesem partii, któremu zawdzięczał stanowisko i który od dobrych kilku miesięcy patrzył na niego coraz mniej łaskawym okiem?

A może wejdzie do gabinetu i najzwyczajniej w świecie poda się do dymisji? Może to jest jakieś wyjście? Niech oni babrają się w tym bagnie. On po prostu podziękuje, a potem odejdzie od stołu, spakuje swoje graty i wyjedzie z tego popieprzonego kraju. Przez ostatnie lata prosperity zdołał się obłowić, a pieniądze sprytnie poukrywał na tajnych kontach w Panamie i na Kajmanach, gdzie nikt nie pytał, skąd pochodzą i kim jest człowiek podający się za niejakiego Fabia Mateo Borderiniego. Ta opcja stała się nagle niezwykle kusząca. Ale czy ktoś, kto przez lata był premierem rządu dużego europejskiego kraju, może tak po prostu zniknąć? Nerwowo zacisnął zęby. Wiedział, że to tak nie działa i jeśli popełni najmniejszy błąd, jego wrogowie natychmiast to wykorzystają. A tych miał wielu nie tylko wśród członków partii opozycyjnych, ale także – i część z nich nawet specjalnie się z tym nie kryła – w swojej drużynie.

Zamarzył, aby zniknąć, ale odgłosy z korytarza sprawiły, że wizja rozplynęła się jak fatamorgana. Musiał się z tym zmierzyć i choć nie zdołał opracować konkretnego planu, to jednak mógł liczyć na kilku swoich ludzi, którzy w razie konieczności staną po jego stronie. Zresztą to nie on miał największy problem, tylko ten kutafon Broziak. Od lat najbardziej włożył w dupę Kryszakowi. Chodził na te jego pseudomsze, tańczył, klękał, a kiedyś nawet regularnie całował jego pierścień. Na myśl, jak minister sprawiedliwości i prokurator generalny klęka przed kamerą i spowiada się narodowi ze wszystkich swoich przekrętów, po raz pierwszy od dłuższego czasu na jego twarzy pojawił się grymas, który mógł przypominać uśmiech.

– Chuj z nim – mruknął do siebie, poprawił krawat i opuścił łazienkę.

W Biurze Bezpieczeństwa Narodowego przy Karowej 10 niecierpliwie oczekiwali go już wszyscy najważniejsi ludzie w państwie. Przynajmniej tu postawił na swoim i nie musiał jechać do siedziby partii. Do pokoju wszedł pewnym krokiem, omiatając siedzących przy stole ministrów i szefów poszczególnych służb. Wszyscy siedzieli grzecznie na swoich krzesłach, co nieco dodało mu odwagi. Do tej pory podobne spotkania zawsze odbywały się w zupełnie innej atmosferze. Rozmawiano, dyskutowano, żartowano z opozycji, zasadniczo panował gwar, który cichł dopiero w momencie, gdy przechodzono do omawiania konkretnej sprawy. Teraz panowała absolutna cisza, a w powietrzu wyczuwało się wyraźne napięcie. Prezydent jak zwykle udawał, że szuka pajęczyn na ścianie, a jedno spojrzenie na prezesa partii zdawało się mówić więcej niż tysiąc słów.

Bolesław Kumidor wyglądał, jakby nagle postarzał się o dziesięć lat. W swojej o rozmiar za dużej, wielokrotnie spranej marynarce, krzywo zawiązanym krawacie i rozczochranych siwych włosach prezentował się jak obraz nędzy i rozpaczy i gdyby nie fakt, że wciąż był najważniejszą osobą w państwie i twardą ręką trzymał za mordę całą partię, to można by go pomylić z jakimś kloszardem. Pozostali dygnitarze nie wyglądali dużo lepiej. Na ich twarzach malował się lęk przed tym, co może wydarzyć się w najbliższej przyszłości, a że wszyscy albo prawie wszyscy byli w coś umoczeni, to świadomość, że mężczyzna w katowskim kapturze ma dostęp do najbardziej tajnych teczek, musiała być dla nich absolutnie przerażająca. Jego samego oblewał zimny pot, gdy myślał o tym, co samozwańczy Sędzia może wyciągnąć na jego temat. To dlatego jeszcze kilka minut temu rzygał jak kot. Po raz pierwszy od lat naprawdę się bał, bo nagle dotarło do niego, że czasy bezkarności zaraz mogą się skończyć. Co gorsza, być może właśnie się skończyły. Odchrząknął.

– Pozwólcie, że tym razem odpuścimy sobie konwenanse i od razu przejdziemy do meritum – powiedział, próbując zachować urzędniczy ton. Nie czekał na reakcję, tylko splótł palce i kontynuował: – Nasze państwo stało się celem ataku i musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby powstrzymać kryzys. Kryzys, który...

– Kryzys? – wszedł mu w słowo minister spraw wewnętrznych i administracji oraz koordynator służb specjalnych Olgierd Kałużyński. Był mężczyzną przed sześćdziesiątką i zawsze miał najwięcej do powiedzenia, co gorsza należał do jego najbardziej zaciekle wrogów. – Kryzys to był, gdy Unia nie dała nam obiecanej kasy, bo zamiast dogadywać się z Niemcami i Francuzami, wolałeś iść z nimi na noże. Kryzys to jest od czasu, gdy pozwoliłeś, aby opozycja przykleiła nam łatę polexitu, a notowania spadły o blisko piętnaście procent. To, co teraz tu mamy, to jest pierdolona wojna.

Po sali przemknął szmer i podniosły się głosy poparcia dla Kałużyńskiego. Najgłośniej przytakiwali mu jego zastępca w randze sekretarza stanu Bożydar Czabański i siedzący najdalej, uznawany za prawą rękę Broziaka, wiecznie cuchnący potem Bogdan Sulima, na co dzień przewodniczący komisji do spraw dzikiej reprivatyzacji warszawskich nieruchomości. Premier ze wszystkimi miał na pieńku i doskonale zdawał sobie sprawę, że będą chcieli wykorzystać sytuację, aby mu zaszkodzić. Pomyślał, że na razie mogą sobie jęczeć, bo to nie on, tylko Broziak dostał

od Sędziego ultimatum. Uznał, że jeszcze nie czas na wytoczenie najcięższych dział.

– Więc trzeba do tego podejść jak do wojny – odparł karcącym tonem. Pomyślał, że w zaistniałej sytuacji zabrzmiało to całkiem nieźle. – I to ty, Olgierd, jako koordynator służb specjalnych, będziesz za to odpowiadał – dodał sugestywnie.

Olgierd Kałużyński uniósł brodę, jakby chciał pokazać, że te słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Doskonale wiedział, że skoro do tej pory jego ludziom nie udało się namierzyć Sędziego, to facet musi być cholernie dobry, ba, musi być fenomenalny w swoim fachu. Rozgoryczony był agent wywiadu? Genialny haker, którego w młodości przeleciał jakiś kleryk, być może sam Kryszak? Rosyjski szpieg? A może najemnik? Opcji było mnóstwo, a kolejne wyrastały jak grzyby po deszczu. Najważniejsze pytanie brzmiało: „Komu zależało najbardziej na wprowadzeniu w Polsce chaosu?”. Wbrew pozorom wcale nie Rosji i każdy z tu obecnych doskonale o tym wiedział. Obecna władza była niewygodna zwłaszcza dla krajów Zachodu, ale trudno mu było sobie wyobrazić, aby którykolwiek z tamtejszych wywiadów mógł posunąć się do czegoś takiego. Chińczycy? Po co? W tej części świata liczyły się dla nich tylko stosunki gospodarcze. Wciąż miał mętlik w głowie, a jego ludzie – poza tym, że wciąż od nich słyszał, że pracują na najwyższych obrotach – nie byli mu w stanie przedstawić ani jednej solidnej hipotezy, która od początku do końca trzymałaby się kupy. To jednak nie oni mieli być w przyszłości rozliczeni. Premier miał rację – odpowiedzialność rzeczywiście spoczywała na jego barkach i jeśli sobie nie poradzi, trudno mu będzie zwalić winę na kogoś innego.

– Na początek sugeruję wprowadzenie stanu wyjątkowego i godziny policyjnej – zasugerował Kałużyński. – Moi podwładni, zwłaszcza komendanci w największych miastach, nie mogą się czuć, jakby mieli związane ręce. Specsłużby będą natomiast działać po swojemu.

– Za wcześnie – odparł premier. – Wprowadzenie stanu wyjątkowego, szczególnie godziny policyjnej, mogłoby rozwścieczyć obywateli.

– I tak są wściekli – bronił się Kałużyński. – Szacujemy, że już teraz w samej Warszawie na ulice wyległo kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

– Więc tym bardziej nie możemy dolewać oliwy do ognia. Chcecie, aby jutro wyszło dwieście albo trzysta?

Premier rozejrzał się po zebranych i dostrzegł, że tym razem to jego interpretacja zyskała aprobatę większości. Nawet sam Kumidor pokiwał głową ze zrozumieniem. On najbardziej bał się właśnie tłumu i tylko dlatego w ostatnich latach kilkakrotnie wycofywał się ze swoich kontrowersyjnych decyzji. Gdy na ulicach robiło się naprawdę gorąco, chował się za policyjnymi barykadami i wyczekiwał, aż nastroje wśród obywateli nieco się uspokoją. Dopiero później powolutku, acz systematycznie wracał do tematu.

– Premier ma rację. To wykluczone – odezwał się, natychmiast uciszając powstały gwar. Zerknął na siedzącego po drugiej stronie stołu Kałużyńskiego. – Jako człowiek oddelegowany do koordynowania służb specjalnych z pewnością doskonale zdajesz sobie sprawę, że nawet FSB uczy na swoich szkoleniach, że gdy na ulice wyjdzie ćwierć miliona obywateli, to istnieje zbyt duże ryzyko przejścia chroniących nas służb, przede wszystkim funkcjonariuszy policji, na stronę protestującej tłuszczy. Nie możemy do tego dopuścić, bo to by oznaczało koniec tego rządu i niebывały chaos w państwie, być może siłowe przejście władzy przez opozycję. Na tym etapie to zdecydowanie za duże ryzyko.

Wsparcie ze strony prezesa każdy odbierał niemal jak błogosławieństwo. Premier Nosalski też poczuł się pewniej. Odchrząknął.

– Musimy zatem pokazać obywatelom, że państwo polskie jest silne i odporne na tego rodzaju kryzysy – perorował dalej Nosalski. – Że nie jest z papieru, a my potrafimy odpowiednio reagować i radzić sobie z tego typu problemem bez wytaczania najcięższych dział. Taki musi być przekaz. Silni, zdeterminowani i skuteczni.

Zebrani pokiwali głowami, a jeden z najbardziej śliskich i włączających w dupę wiceministrów nawet zaczął klaskać, ale widząc, że przesadził, szybko się zmitygował. Tak czy siak brzmiało to co najmniej dobrze, ale Nosalski wiedział, że brakuje kropki nad i.

– A skoro o skuteczności mowa... – Premier postarał się, aby jego ton nie był zbyt złośliwy, ale wbijana szpila zaboląła wystarczająco mocno. – Jak radzą sobie twoi ludzie, Olgierd? Kiedy namierzycie i złapiecie tego sukinsyna?

– Zajmują się tym nasi najlepsi agenci, ale podobno facet jest naprawdę dobry.

– Facet? Jeden facet? – Tym razem w tonie Nosalskiego pobrzmiwała nuta drwiny.

– Nikt nie powiedział, że działa sam. Zresztą zaczynamy w to wątpić. Poza tym przepuszcza to przez tysiące serwerów, głównie rosyjskich, ale też północnokoreańskich, pakistańskich czy chińskich. Musi używać specjalnego oprogramowania. To... to geniusz...

Nosalski pozwolił wybrzmieć ostatnim słowom Kałużyńskiego. W ustach szefa służb specjalnych zabrzmiały fatalnie, niczym wymówka nastolatka próbującego wytłumaczyć się rodzicom z kolejnej pały w dzienniku. Z satysfakcją przyjął, że zebrani też to dostrzegli. W tej kwestii publicznie nic więcej dodawać nie musiał, bo nic nie wybrzmiałoby lepiej niż ta zawstydzająca cisza. Teraz musiał ustawić drugiego mądralę. Nieco teatralnie wychylił głowę, aby poszukać wzrokiem mniejszego niż zwykle ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Broziak siedział skryty za postawnym Sulimą i wyglądał, jakby naprawdę wierzył, że założył czapkę niewidkę. Nosalski uznał, że nadarzyła się doskonała okazja, aby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Zakładając czarny scenariusz, bo, niestety, i taki musimy zakładać, że podwładni Olgierda nie poradzą sobie z namierzeniem tego szaleńca, jeszcze dziś musimy ustalić, jaka będzie nasza reakcja na wystosowane ultimatum – rzekł, zmuszając zebranych do skupienia uwagi na najbardziej zainteresowanym. Minister sprawiedliwości był jednym z niewielu, wobec których wciąż używał zwrotów grzecznościowych. Albo po prostu tytułował go zgodnie ze stanowiskiem, jakie ten zajmował na skutek gównianej umowy koalicyjnej. – Zdaję sobie sprawę, że państwo polskie nie powinno negocjować z terrorystami, ale... – Zrobił krótką pauzę dla podkreślenia powagi sytuacji. – Myślę, że najlepiej będzie, jeśli minister Broziak sam wypowie się w tej kwestii...

To było ekstremalnie okrutne z jego strony, ale po prawdzie Nosalski zawsze marzył, aby raz na zawsze utemperować tego wiecznie napuszonego chujka. Owszem, byli w jednej koalicji, ale tylko dlatego, że wymagała tego arytmetyka sejmowa. Poza tym nienawidzili się jak pies z kotem i choć w tym momencie premier ryzykował bezpośrednią konfrontację, a może nawet gromy ze strony znerwicowanego Kumidora, nie mógł odmówić sobie tej przyjemności, wszak taka okazja więcej mogła się już nie powtórzyć.

– Czesławie... – podjął sugestywnie prezes, sprawiając, że z Broziaka zupełnie zeszło powietrze. Twarz prokuratora generalnego zaczęła

gwałtownie przybierać wszystkie odcienie czerwieni. W końcu nie wytrzymał.

– Nie będę klękał przed całą Polską! – wyrzucił z siebie, jakby ten zlepek słów co najmniej parzył mu przełyk. Wszyscy zebrani wbili spojrzenia w Broziaka, który wyglądał, jakby właśnie został przyłapany na podjadaniu gilów. – Widząc ich reakcję, zaperzył się jeszcze bardziej. – Co się tak gapicie, do kurwy nędzy? – warknął. – Nie ma opcji, żebym się na to zgodził, i chcę, żeby to było dla was, kurwa, jasne jak słońce, bo więcej nie mam zamiaru się powtarzać.

– Przed Kryszakiem klękasz regularnie – syknął Nosalski.

– Spierdalaj!

Atmosfera zgęstniała. Wszyscy zebrani wiedzieli, że obaj panowie za sobą nie przepadają, ale choć w kuluarach padały różne słowa, nigdy wcześniej nie zagrali tak ostro. Przez dłuższą chwilę nikt nie miał odwagi się wyłamać, aby przerwać tę niezręczną ciszę i premier zastanawiał się, czy tylko on z trudem się powstrzymuje, aby nie wybuchnąć śmiechem. Bez względu na rozwój sytuacji nadszedł koniec Broziaka. To było pewne jak amen w pacierzu.

– Uważam, że dla dobra Polski powinniśmy jednak przedyskutować każdy możliwy scenariusz – podjął, uznawszy że warto jeszcze trochę pogrillować znienawidzonego przeciwnika. Z zadowoleniem przyjął fakt, że nikt od razu nie zaprotestował, a kilku ministrów nawet wymownie pokiwało głowami. Kumidor zadumał się, marszcząc krzaczaste brwi.

– Polski rząd nie negocjuje z terrorystami – znienacka wypalił prezydent, podkreślając swoje słowa uderzeniem pięścią w stół.

Premier uniósł brwi. Kątem oka dostrzegł, że prezes przewrócił oczami. Maciej Misiak od początku objęcia urzędu nie miał poważania w zasadzie u nikogo, choć chyba sam się okłamywał, że jest inaczej. „Misiek” lubił od czasu zaznaczyć swoją obecność, robiąc groźną minę albo podnosząc głos, ale przypominał wtedy co najwyżej puszącego się pawia albo kłapiącego zębami ratlerka. Nosalski do tej pory się zastanawiał, co strzeliło prezesowi do głowy, że wybrał na to stanowisko takiego nedorajdę, ale najwyraźniej to był strzał w dziesiątkę, bo ludzie na niego zagłosowali, co dla premiera wciąż pozostawało jedną z najbardziej niezgłębionych tajemnic wszechświata.

Kumidor westchnął, najwyraźniej uznawszy, że musi zająć stanowisko. Poprawił się na krześle i cmoknął kilka razy, jak to miał w zwyczaju, gdy

chciał wyartykułować ważną dla siebie kwestię. Oparł łokcie o blat stołu i obrzucił zebranych zde gustowanym spojrzeniem.

– Ojciec Zwierzchny od lat jest dla nas nieocenionym wsparciem politycznym – zaczął niemrawo, jakby cała ta sytuacja nie zrobiła na nim większego wrażenia. – Jest wsparciem politycznym, którego w żadnym wypadku nie możemy i nie powinniśmy lekceważyć. I tu prezes Rady Ministrów ma całkowitą rację. Gdyby doszło, doszłoby do najgorszego, jego wierni, wierni, którym również bardzo blisko do naszej opcji politycznej, mogliby nam tego nie wybaczyć. Nie od dziś wiadomo, że poparcie Ojca Zwierzchnego daje nam od dziesięciu do dwunastu procent w sondażach, w sondażach, które...

Tyrady Kumidora sprawdzały się na wiecach, pośród rozkochanych w prezesie pożeraczy ryżu i ziemniaków, ale w tej sytuacji większość z tu obecnych doskonale zdawała sobie sprawę, że to strata czasu. Nikt nie śmiał jednak zaprotestować i wszyscy udawali zainteresowanych, od czasu do czasu marszcząc brwi lub przytakując. Kumidora trzeba było wysłuchać, i już. W podobnych sytuacjach Nosalski zwykle wyłączał się i liczył swoje poupychane na tajnych kontaktach miliony, ewentualnie opracowywał własne wystąpienia, próbując wymyślić dla obywateli kolejny nieistniejący problem, który następnie należało rozwiązać, ściśle rzecz ujmując, zmienić prawo tak, żeby najpierw je popsuć, a następnie naprawić w sposób gwarantujący, że już bardziej popsuć się go nie da. Oczywiście później obowiązkowo należało to przedyskutować z Kumidorem, ale prezes wbrew pozorom potrafił wsłuchać się w głosy innych i czasem przymykał oko na załatwienie przy okazji jakiejś prywaty, gdy pomysł wpisywał się w jego szeroko rozumianą strategię ocalenia Polski przed tym, co sobie uroił. W każdym razie tak skrojona reforma dawała pewność, że pieniądze od tych bardziej ogarniętych zostaną zdarte w majestacie tegoż prawa, ochłapy dla tłuszczy trafią do odpowiedniego elektoratu, a co najważniejsze własne miliony będą bezpieczne, natomiast te w drodze trafią na odpowiednie konta bez obaw, że ktoś kiedyś rządzącym wystawi za to rachunek. I tu premier musiał uczciwie przyznać, że Kumidor – choć pewnie miałyby problemy, żeby zapłacić w sklepie kartą albo przez telefon zamówić pizzę – strategiem był wybitnym. Tak forsowana przez niego reforma sądownictwa była w tym wypadku absolutnie kluczowa, bo – gdyby ostatecznie się powiodła – zapewniłaby partii ciągłość władzy, w najgorszym wypadku bezkarność jej członkom, bo próby odkręcenia

czegoś tak zagmatwanego i dokumentnie spieprzonego z góry były skazane na porażkę. Wszyscy obecni w kancelarii premiera doskonale o tym wiedzieli, dlatego trwali przy prezesie, który szedł jak taran i nawet za cenę wojny z Europą i idących za tym spadków w sondażach uparł się, aby wykończyć Sąd Najwyższy. Nawet Unia dała sobie spokój, uznając, że dyskusja z Kumidorem jest po prostu bez sensu i usadziwszy Polskę w oślej ławce, w nadziei czekała, że po kolejnych wyborach władzę przejmą ludzie, z którymi będzie można się dogadać. Naiwność unijnych gospodarzy nie przewidywała jednak strategicznego geniuszu prezesa, który właśnie na takie podejście liczył. Premier musiał przyznać, że to był majstersztyk, bo po zaoraniu Sądu Najwyższego z oczywistych względów partia przegrać już nie mogła. Kumidor rozegrał to perfekcyjnie. Swoją pozorną nieporadnością i przaśnością uspił gardzącą nim opozycję, niezliczonymi aferami rozmydlił te największe, a głupi naród po prostu kupił, rozdając mu jego własne pieniądze. Oszukał wszystkich, przewidział wszystko i był o krok od spełnienia swojego największego marzenia. Żeby jednak zapisać się w historii jako zbawca narodu, trzeba było najpierw dokonać czegoś naprawdę wielkiego. Ironią losu było, że to właśnie ten łachmaniarz tytułujący się Sędzią swoim porannym wystąpieniem dał mu ku temu prawdziwą szansę.

– ...wytrącimy najmocniejszy argument opozycji. Jeśli ktoś ma inne zdanie, to teraz może je wyrazić.

Słowa Kumidora zawisły nad konferencyjnym stołem jak dym z cygara, powodując, że w kancelarii zapanowała nieumiejętnie skrywana konsternacja. Nosalski zmrzył oczy, analizując sens wypowiedzi prezesa. Przemawiał prawie kwadrans, głównie prawiąc o dobru Polski i tych wszystkich patriotycznych dyrdymałach, ale tym razem dotknął kwestii, która, gdyby się nad nią zastanowić, mogła mieć głębszy sens. Z jednej strony pomysł narażał partię na śmieszność, z drugiej rzeczywiście dawał (choć nikłą) nadzieję na wyjście z tej patowej sytuacji, a przy okazji pozwalał mu raz na zawsze rozprawić się z tym nadętym kutafonem Broziakiem. Nie od dziś było wiadomo, że Kumidor ma tę niepowtarzalną umiejętność wsłuchania się w potrzeby i oczekiwania ludu. Przez lata wpadał na zdawałoby się skrajnie głupie, wręcz absurdalne pomysły, które inne partie rozłożyłyby na łopatki w ciągu kilku tygodni. On jednak trwał na stanowisku niewzruszony i nawet jeśli czasem musiał zrobić krok w tył,

to tylko po to, aby chwilę później zrobić dwa do przodu. Potrafił przepchnąć absolutnie wszystko.

Nosalski obserwował, jak po krótkotrwałej chwili zadumy kolejni ministrowie zaczęli kierować spojrzenia na ministra sprawiedliwości i zarazem prokuratora generalnego. Broziak zdawał się kurczyć jeszcze szybciej, jakby z każdym kolejnych oddechem zapadał się w sobie. Premier spojrział na ministra z politowaniem. Przeszło mu przez myśl, że jeśli Kumidor wybrnie z tej sytuacji, to on chyba się ukorzy i na kolanach powędruje do Lichenia.

– Nie zrobię tego... – zaprotestował Broziak, ale jego ton nie był już tak bezkompromisowy jak wcześniej, po prawdzie jęczał jak baba.

– Głęboko wierzę, że nie będziesz musiał – odparł Kumidor i skupił uwagę na Kałużyńskim. – Przed nami długa noc. Zarządzam przerwę, ale bez mojej zgody nikt nie ma prawa opuścić tego budynku do czasu ultimatum. Z tobą, Olgierd, chcę natomiast porozmawiać na osobności.

Ostatnie słowa mocno premiera zaskoczyły. Prezes znów go pominął i wcale nie poprawił mu nastroju fakt, że tak samo potraktował też prezydenta i pozostałych ministrów resortów siłowych. Poczul, że jego oko znów zadrgało. Po dłuższym momencie wahania ostatni wstał od stołu. Z milionem fatalistycznych myśli opuścił salę i ruszył prosto do toalety.

Gdy Nosalski wymiotował żółcią do umywalki, a Kumidor z Kałużyńskim knuli swoje własne plany, jedna ze stojących pod budynkiem Biura Bezpieczeństwa Narodowego dziennikarek właśnie kończyła pracę. Owszem, mogła tu sterczeć i przez całą noc wpatrywać się w szpaler umundurowanych policjantów, zmarznąć, zgłodnieć i udawać, że robi sensacyjny materiał, ale po pierwsze nie spała od trzeciej trzydzieści rano i po prostu była tym dniem zmęczona, a po drugie miała już całkiem spore doświadczenie i wiedziała, że przez najbliższe godziny nic więcej tu nie ustali. Biła się z myślami jeszcze około kwadransa, w końcu uznała, że najlepiej zrobi, gdy pojedzie do domu trochę się zdrzemnąć i jeszcze przed świtem posortuje i przygotuje wszystkie dotychczas zebrane materiały, aby być stuprocentowo przygotowaną na jutrzejszy medialny armagedon. Gdy otwierała drzwi swojej ubłoconej alfy romeo, przez głowę przemknęła jej pewna myśl. Odrzuciła ją, uznając za absurdalną, ale w drodze do domu ta szalona idea zaczęła nabierać coraz bardziej realnych kształtów. Kładąc się do łóżka, była już przekonana, że to jest właśnie ten moment, aby redaktor Patrycja Klimczak wzięła sprawy w swoje ręce.

ROZDZIAŁ 5

Igor Brudny siedział na łóżku i czyścił broń. Lubił tę czynność, toteż nigdy nie musiał się do niej zmuszać. Pół godziny sam na sam ze swoim wiernym druhem i paczką fajek zawsze brzmiały co najmniej sympatycznie. Po raz ostatni przetaił ściereczką lufę i uniósł walthera do światła, bo przez żaluzje w sypialni przebijały się promienie listopadowego słońca. Po stali przemknął refleks. Broń była czysta.

Wcisnął załadowany magazynek, po czym schował pistolet do szuflady. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta i jeśli w ciągu ostatnich trzydziestu minut nic się nie zmieniło, to do postawionego ultimatum pozostało nieco ponad dwie godziny. Miał ambiwalentne uczucia co do zaistniałej sytuacji. Ileż to razy przeklinał w myśli rządzących tym krajem. Za to, co z nim robią, jak gardzą ludźmi, jak kłamią w żywe oczy i kradną na potęgę. Mógłby wymieniać jeszcze długo, ale najbardziej nienawidził ich za to, że bez cienia zażenowania kryli pedofilów. Tego nie mógł pojąć ani zaakceptować. Tylko co z tego, gdy co trzeci Polak miał to w dupie i udawał, że problem gwałcenia dzieci przez księży nie istnieje. Ludzka obojętność w tej kwestii go przerażała.

Zamknął szufladę i głęboko odetchnął. Te obrazy wciąż były żywe.

– Lubię takich huncwotów. Pozwól matko, że z nim porozmawiam. Jestem pewny, że sobie z nim poradzę.

– Nie – zaprotestowała. – Ten się nie nadaje.

– Ależ skąd ten pomysł?

– Ojciec wybaczy, ale w tym wypadku nie mogę się zgodzić. Nowak to diabeł w ludzkiej skórze. Niepokorny i... – Westchnęła nieco zbyt teatralnie. – Mamy tu jednak wielu innych, bardziej... skorych do współpracy chłopców.

– Och... jaka szkoda – jęknął ksiądz, nie kryjąc rozczarowania. – Czy naprawdę nic nie da się zrobić? Ten Krzyś, czy tak się nazywa...? – Spiorunowała go wzrokiem. – Ten młodzieniec ma w sobie coś, co mnie... no... matka przełożona wie, co mam na myśli...

On stał przy uchylonych drzwiach i z przerażeniem słuchał rozmowy zarządzającej sierocińcem Gwidony i „wizytującego” ich placówkę księdza. Kilka godzin wcześniej natknął się na niego w toalecie, gdzie próbowali się na niego zasadzić Kwiczol ze swoją bandą. Już zdążyli go unieruchomić i wymierzyć parę ciosów, ale odgryzł się i jednemu z oprawców złamał palec. Wtedy do ubikacji wszedł ksiądz, który przegonił towarzystwo. Jemu samemu zatarasował drogę.

– Za co chcieli ci dokopać? – zapytał, siląc się na młodzieżowy slang. On podniósł wzrok. Kojarzył większość twarzy panoszących się tu pedofilów i doskonale wiedział, że ten należy do wzbudzających największy postrach. Wysoki, tęgi, z ogromnym brzuchem i galaretowatym podgardlem musiał ważyć dobre sto dwadzieścia kilogramów, a może i sto trzydzieści. Nie odpowiedział, tylko przedramieniem wytarł krew z rozbitego nosa. – Jeśli chcesz, to postaram się, aby ponieśli surową karę. Chcesz, aby te łobuzy poniosły surową karę? – Oczy księdza błysnęły.

– Nie! – rzucił hardo.

– Nie? – Kapłan uniósł brwi zaskoczony.

– Nie potrzebuję pomocy. Ani od ciebie, ani od nikogo! – warknął i zerwał się, aby go wyminąć, ale mężczyzna w sutannie zablokował drzwi ciałem.

– To niegrzecznie zwracać się w ten sposób do osoby dorosłej – rzekł, wymownie potrząsając palcem. – Zwłaszcza jeśli ta osoba jest kapłanem i ofiaruje pomoc...

Cofnął się, wykrzywiając usta w groźnym grymasie. Kilka kropel krwi spadło na posadzkę, więc znów przytknął rękaw do rozbitego nosa. Bał się, ale robił wszystko, aby nie dać tego po sobie poznać. Wciąż był tylko młodym chłopakiem. Owszem, zadziornym i twardym, ale przez ostatnie lata nauczył się oceniać potencjalne zagrożenie. Wiedział, że tym razem mógłby sobie nie poradzić, zwłaszcza że mężczyzna w sutannie ważył przynajmniej dwa razy więcej niż on. Nijak nie mógł konkurować z takim olbrzymem.

– Dziękuję, ale nie potrzebuję pomocy – odparł mniej konfrontacyjnym tonem.

Mężczyzna w sutannie cmoknął i z sykiem wypuścił powietrze. Przez dłuższą chwilę przyglądał mu się z niezdrową fascynacją. W pewnym momencie zmarszczył kartoflany nos i włożył dłoń pod sutannę. On zrobił

krok w tył, ale wtedy kapłan wyciągnął paczkę chusteczek i najpierw się wysmarkał, a potem wręczył mu resztę.

– Wytrzymaj nos, chłopcze – powiedział. – I zastanów się nad moją propozycją. Mimo wszystko wierzę, że jeszcze się zobaczymy – dodał i przesunął się, robiąc mu przejście.

Nie spotkali się więcej twarzą w twarz, bo aby nie kusić losu Gwidona wysłała go w ramach kary za bójkę do piwnic, gdzie o chlebie i wodzie, z Biblią pod pachą miał pokutować przez trzy kolejne dni. Krowa, Dziad i Kamilek nie mieli jednak tyle szczęścia, zwłaszcza ostatni z nich, który po nocy z księdzem przez tydzień krwawił, w związku z czym młodsze siostry każdego ranka musiały wymieniać mu pościel. Nienawidzili go za to i przy każdej okazji szukali szansy, aby mu o tym przypomnieć, ale nauczył się z tym żyć. Najgorszy wpierdol zawsze był lepszy niż noc z tymi zboczeńcami. Nigdy się nie dowiedział, czy Gwidona wyjawiała temu księdzu – jak zresztą innym, którzy mieli na niego zakusy – prawdę o tym, co zrobił, gdy został wysłany na „inicjację”. Wątpił w to, bo stara jędza z pewnością chciała utrzymać tamten incydent w tajemnicy. Temat został zamieciony pod dywan. Zdarza się, wypadki chodzą po ludziach. Prawda o tym, że ośmioletni chłopiec zepchnął próbującego go molestować księdza ze schodów, nigdy nie wypłynęła, a oficjalną wersję o nieszczęśliwym wypadku wszyscy, łącznie z policją, przyjęli ze zrozumieniem.

Przez kolejne lata robił wszystko, aby przetrwać. Tamtego księdza widział jeszcze kilkakrotnie, ale zawsze trzymał się na dystans, unikał go, wolał ukryć się i nie przyjść na obiad, niż po raz kolejny ryzykować bezpośredni kontakt. Gwidona w tej kwestii była wyrozumiała, bo choć swoje sadystyczne zapędy względem jego osoby realizowała na setki innych sposobów, też wolała, aby nie rzucał się w oczy i nie kusił odwiedzających placówkę księży. Dziś klasztor sióstr hieronimek już nie istniał. Ruiny po pożarze zostały wyburzone, a kupa gruzu uprzątnięta. Miasto wystawiło teren na sprzedaż, ale do tej pory nie znalazł się chętny do zakupu działki noszącej piętno niewyobraźnego cierpienia tylu młodych dusz. Mogłoby się wydawać, że temat jest zamknięty, ale Brudny widział to inaczej. No bo jak przejść do porządku dziennego nad tym, że wielu sprawców tych cierpień wciąż chodziło bezkarnie po świecie, bo chroniący ich biskupi oraz chodzący na ich smyczy politycy robili wszystko, aby podłe czyny wielebnych nigdy nie ujrzały światła dziennego? Szlag go trafiał, gdy słyszał w mediach, że Episkopat nie

zgadza się na ujawnienie przypadków pedofilii wśród księży. Nie, bo nie. Nie i koniec.

Nie rozumiał tego kraju. Nie rozumiał moralności ludzi w nim żyjących. Nie mógł pojąć, jak ci wszyscy rozmodleni Polacy mogą na to pozwalać.

Komisarz podniósł się z łóżka i spuścił nogi na podłogę. Schował głowę w dłoniach i przez dłuższą chwilę próbował wyrzucić z umysłu obrazy z przeszłości. W końcu sięgnął po paczkę papierosów i zapalił jednego. Zaciągnął się mocno i z sykiem wypuścił dym. Spojrzał na zegarek. Do postawionego przez Sędziego ultimatum pozostała godzina i dwadzieścia siedem minut.

Palił papierosa, zastanawiając się, czy nie jest przeklęty. Był zimnym gliną, ale też człowiekiem. I miał prawo odczuwać. Zgasił peta i z niedowierzaniem pokręcił głową, bo choć trudno mu było przyznać to przed samym sobą, nie wiedział, po której stronie powinien stanąć.

Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i charakterystyczny brzęk rzucanych na komodę kluczy. Julka wiedziała wiele, ale nie wszystko. Znów zerknął na zegarek. Dziesiąta trzydzieści siedem. Odetchnął ciężko. Jeśli minister sprawiedliwości i prokurator generalny Czesław Broziak za godzinę i dwadzieścia trzy minuty nie klęknie i nie ukorzy się przed narodem albo Sędzia nie zostanie namierzony i schwytany, Krzysztof Nowak aka Igor Brudny znów będzie miał okazję spojrzeć w oczy księdza, którego kiedyś spotkał w klasztornej toalecie. I dla odmiany to w źrenicach tego sukinsyna będzie tlił się strach.

ROZDZIAŁ 6

– Boli? – zapytał, napierając polanem drewna na paskudnie ropiejącą ranę. Ksiądz Tobiasz Kryszak zawył, ale jego krzyk został zdławiony przez wepchniętą w gardło szmatę. – Ich też bolało, gdy jebałeś ich w dupę. A jego bolało najbardziej. Pamiętasz go, skurwysynu? – Mężczyzna przystawił fotografię na wysokość oczu ofiary. Przedstawiała młodego chłopaka w okularach i narzuconym na głowę kapturze. Uśmiechał się i celował palcem w obiektyw. – Umierał w męczarniach i gwarantuję ci, że ty też będziesz czuł, że zdychasz – dodał i wykrzywił usta w pogardliwym grymasie, gdy z zapuchniętych oczu Kryszaka polały się kolejne łzy. Przez chwilę przyglądał się agonii duchownego.

– Mymmmym... – Wepchnięta w gardło szmata nie pozwalała ofierze na wyartykułowanie swoich myśli. Jemu to nie robiło różnicy. Cokolwiek by powiedział, los księdza był już przesądzony.

– Pamiętasz, prawda? – Sędzia oparł polano o stos innych ułożonych wokół kolumny, do której przykuł ofiarę. – Widzę to w twoich oczach, ojczulku. Widzę, że pamiętasz. I mam nadzieję, że gdy już zdechniesz, to trafisz w miejsce, gdzie jego twarz codziennie będzie ci przypominać, co zrobiłeś. Wierzysz w to swoje piekło?

Ojciec Zwierzchny nie odpowiedział, tylko zwiesił głowę. Nie miał już sił. Ból promieniujący z okolic podbrzusza zdawał się przyćmiewać wszystko, co do tej pory przeżył, łącznie z atakiem kamicy nerkowej. Wciśnięta w usta szmata umożliwiała zaciskanie zębów, co niosło odrobinę ulgi w cierpieniu, ale przypieczona żelazkiem rana nie dawała o sobie zapomnieć ani na chwilę. Choćby musnięta, eksplodowała bezbrzeżnym bólem, co gorsza, oprawca nawet przez moment nie pozwalał uwierzyć ofierze, że odstąpi od wymierzania kary. Wszystkie próby nawiązania z nim kontaktu spełzły na niczym. Nie chciał słuchać i w pewnym sensie to było dla Kryszaka zrozumiałe.

Mężczyzna w katowskim kapturze poczynił ostatnie poprawki. Odsunął się od ofiary i omiół wzrokiem swoje dzieło. Wyszczrzył zęby

w grymasie zadowolenia i spojrzął na zegarek. Dochodziła dwunasta. Przeniósł wzrok na skatowanego księdza, po czym sięgnął po kropidło i włożył je do wiadra.

– W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego...

Kryszak poczuł na ciele charakterystyczny zapach benzyny. Resztkami sił uniósł głowę i spojrzął w oczy swojego oprawcy. W jego źrenicach odbijały się płomienie świec, przez co zdawały się płonąć żywym ogniem.

– Wciąż masz nadzieję, że Broziak to zrobi, co? – zapytał z drwiną w głosie, po czym nachylił się w kierunku kapłana. – Mylisz się, ojczulku – szepnął mu do ucha. – Twój przydupas tego nie zrobi. To taki sam tchórz, jak wy wszyscy. A jeśli mam rację, a na pewno ją mam, już za chwilę będziesz miał szansę odpokutować za swoje liczne grzechy. Bo czy nie tego Kościół uczy od wieków? Czy to nie ogień jedynie może oczyścić ludzką duszę?

Ksiądz Tobiasz Kryszak pogodził się z losem. Jeśli do tej pory w jego umęczonym ciele tliła się iskra nadziei, te słowa brutalnie mu ją odebrały. Jego oprawca miał rację. Broziak nie kiwnie palcem, aby go uratować. Nie robi tego, bo jest ulepiony z tej samej gliny co większość do niego podobnych. Jak on sam. Ostateczne przyswojenie tej ponurej prawdy sprawiło, że ksiądz Tobiasz po raz pierwszy od wielu lat szczerze zwrócił się do Boga. Gdy wybiło południe, modlił się wyjątkowo żarliwie. Błagał o wybaczenie, kajał się i obiecywał poprawę, oby tylko Pan dał mu ostatnią szansę i nie skazywał go na wieczne potępienie. Ojciec Zwierzchny milionów Polaków nie otrzymał rozgrzeszenia. Gdy chwilę później jego ciało zaczął trawić ogień, w jednym z apartamentów w stolicy dwóch liderów największej partii opozycyjnej wzniosło cichy toast. Bo choć przed kamerami od początku kryzysu demonstrowali marsowe miny, w duchu mocno trzymali kciuki za Sędziego.

– Czyli ja idę na premiera, a ty bierzesz marszałka – oznajmił prezes partii, rozlewając drugą porcję wódki.

– Tak jak się umawialiśmy. I musimy się pospieszyć, bo to już długo nie potrwa – odparł jego zastępca, wznosząc kolejny toast.

Wypili w milczeniu i przez chwilę obaj zatopili się w wizjach niedalekiej przyszłości. Zrujnowany rząd odchodzący w niesławie, partia Kumidora rozbita w pył, oni w rolach wybawców z poparciem przebijającym szklany dach. Nie zdawali sobie sprawy, że ich pragnienie dorwania się do koryta

stąpiło zdolność logicznego myślenia. Już wkrótce mieli się przekonać, że ich radość była przedwczesna.

ROZDZIAŁ 7

Brudny nie spał prawie całą noc. Przewracał się z boku na bok, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, a gdy tylko zamykał oczy, przez jego głowę przetaczały się obrazy z przeszłości przeplatane tymi z teraźniejszości. Julka cicho pochrapywała obok. Padła zaraz po powrocie z pracy, bo w związku z zamieszkami, do jakich doszło na ulicach miasta, wszyscy policjanci zostali postawieni w stan najwyższej gotowości. Wróciła dopiero po trzeciej nad ranem, wzięła szybki prysznic i od razu położyła się do łóżka.

– Co teraz będzie? – zapytała, gdy wsunęła się pod kołdrę.

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą.

Na tym zakończyła się ich konwersacja. Przyjął to z ulgą, bo nie miał ochoty podejmować tego tematu. W głębi duszy czuł satysfakcję, przez co targały nim sprzeczne uczucia. Do tej pory udawał przed samym sobą, że ktoś taki jak Tobiasz Kryszak nie istnieje. Oczywiście prawda była inna, bo samozwańczy Ojciec Zwierzchny przez ostatnie lata był jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci na polskiej scenie politycznej. Nie było tygodnia, żeby jego twarz nie pojawiła się w którejś z największych stacji telewizyjnych, zwykle w kontekście kolejnej afery związanej z milionowymi przelewami od państwa, skandalicznymi wypowiedziami dotyczącymi poparcia dla grup neofaszystowskich, całkowitego zakazu aborcji, czy – w mniemaniu komisarza najgorszego z najgorszych – łagodnego traktowania księży oskarżonych o pedofilię. Szlag go trafiał, gdy dowiadywał się o kazaniach, na których facet sugerował, że lubieżne czyny jego kolegów po fachu są powodowane kuszeniem ich przez dzieci. Dostawał białej gorączki, gdy krótko później słuchał wypowiedzi polityków partii rządzącej, którzy albo udawali, że nic nie słyszeli, albo tłumaczyli go w ekstremalnie pokrętny i bezczelny sposób. Świadomość, że wszyscy, a przynajmniej większość (zwłaszcza tych mających kontrolę nad służbami), muszą wiedzieć, że Kryszak od lat bezkarnie gwałci dzieci i dla celów politycznych mu się na to przyzwala, porażała go do tego stopnia, że

wolał zupełnie odcinać się od świata. Wtedy zwykle pomagali mu Jameson i „Bрудny Harry”. Nalewał szklanę whisky i włączał film. To go uspokajało i od lat jako tako pozwalało funkcjonować w oparach wszechobecnego absurdu.

Bрудny poprawił poduszkę i przez chwilę leżał, zastanawiając się nad tym wszystkim. Kim był facet, który ogłosił się Sędzią? Dlaczego wypowiedział wojnę Kościołowi i partii rządzącej, wszak nikt nie mógł mieć wątpliwości, że to był akt wymierzony nie tylko bezpośrednio w samego Krysza, ale w cały system. Nie mógł opętać się od natrętej myśli, że nie jest w stanie całkowicie odzegnać się od choćby minimalnego poparcia dla tego szaleńca, co gorsza, musiał uczciwie przyznać przed samym sobą, że nawet trochę mu kibicował. Z jednej strony tłumaczył sobie, że jest człowiekiem i biorąc pod uwagę zaszłości sprzed lat, ma do tego pełne prawo, z drugiej strony to go przerażało. Jakkolwiek nie ulegało wątpliwości, że Krysza już dawno powinien odpowiedzieć za swoje czyny, to cicha aprobata dla kastracji nożem, a następnie spalenia faceta na prowizorycznym stosie, gliniarzowi nie przystoi, a przynajmniej jest co najmniej niepokojąca.

Co odpowie Julce, gdy zada mu takie pytanie? Znowu wymiga się stwierdzeniem, że to nie jego sprawa? W ustach Igora Bрудnego to byłoby ewidentne przyznanie się do winy. Zresztą nie miał wątpliwości, że już coś wyczuła. Dostrzegł to w jej oczach i nie przycisnęła go tylko dlatego, że większość czasu spędziła w pracy, a gdy wróciła, nie miała siły na tego typu dyskusje.

Przewrócił się z boku na bok. Przed oczami stanęła mu nalana twarz Krysza. Zaciśnął zęby i ściągnął z siebie kołdrę, po czym starając się nie obudzić partnerki, cicho wymknął się z sypialni. Otworzył balkon i wyszedł na taras. Owiało go mroźne powietrze, ale nic na siebie nie narzucił. Zapalił. Spojrzał w niebo i wypuścił dym nosem. Księżyc był w nowiu, dzięki czemu gwiazdy zdawały się skrzyć jaśniej niż zwykle. Gdzieś w oddali zaszczekał pies, a chwilę później zaskrzypiała drewniana wiata. Pomyślał, że życie toczy się dalej i cokolwiek wydarzy się w najbliższych dniach, dalej toczyć się będzie, bez względu na to, jak to wszystko się zakończy. On po prostu musi spróbować się od tego odciąć. Może jutro kupi sobie wędkę i pójdzie na ryby? Oby jak najdalej od telewizora, telefonu, internetu i tych wszystkich skurwysyńskich mord, które przez dwadzieścia cztery godziny na dobę będą wałkować temat

Kryszaka i robić doraźną politykę na wszystkim, co jest z nim związane. Nie chce i nie musi tego słuchać. Nie chce w tym uczestniczyć. Niech w tym bagnie babrają się inni.

Z tą myślą wyrzucił papierosa do wiadra z popiołem i wrócił do salonu. Nalał do szklanki wody z kranu i wypił duszkiem, po czym wrócił do sypialni. Gdy gramolił się na łóżko, ciszę przerwał sygnał służbowego telefonu Julki. Partnerka intuicyjnie zarzuciła rękę na szafkę nocną i wymacawszy urządzenie, przytknęła je do ucha.

– Co znowu? – wymamrotała. – Jest środek nocy, a ja jestem po... – Zamilkła i zmarszczyła brwi.

Chwilę później zapaliła lampkę nocną. Wyrwana z głębokiego snu dopiero się zorientowała, że Igor zastygł na czworakach w pół drogi na swoją stronę łóżka. Rzuciła mu mętne spojrzenie i z powrotem skupiła się na tym, co próbuje jej przekazać osoba po drugiej stronie linii. Brudny poczuł ukłucie niepokoju. Usiadł na skraju łóżka. Targnęło nim gwałtowne przeczucie, że to coś złego.

– Co się dzieje? – szepnął, ale zbyła go machnięciem ręki. Jeszcze przez kilkadziesiąt sekund wsłuchiwała się w potok słów dyżurnego, a mięśnie jej twarzy tężały z każdym kolejnym wypowiedzianym przez niego zdaniem.

– Ale czy to na sto procent potwierdzone? – zapytała w końcu, a w jej tonie pobrzmiwały silne emocje. – W takim razie już jedziemy – dodała i odłożyła smartfon na szafkę nocną.

– Jedziemy? – upewnił się Igor. Zaniepokoił się jeszcze bardziej, widząc jej pobladłą twarz.

– To jest, kurwa, nie do wiary – mruknęła, odgarniając włosy z twarzy. – To... to... to jest jakiś koszmar... – odparła i ukryła twarz w dłoniach.

– Co się dzieje, Julka?

– Chyba znaleźli zwłoki Kryszaka... – Parsknęła nerwowym śmiechem.

Brudny poczuł, jak w żołądek zawiązuje mu się w supeł.

– Gdzie? – zapytał, choć intuicja zdążyła już odmalować w jego głowie najczarniejszy scenariusz.

– Na ciało natknął się jakiś facet z psem. Dyżurny twierdzi, że wypatrzył trupa na bramie.

– Gdzie?! – powtórzył ostrzejszym tonem. – Julka, na jakiej bramie?

Partnerka spojrzała w oczy komisarza. Odetchnęła głęboko.

– W Zaborze... – odparła półszepem. – Facet znalazł trupa na bramie ogrodzenia otaczającego teren po sierocińcu hieronimek. Do zwłok była

przyczepiona kartka...

Brudny z trudem przełknął ślinę.

– Co było na niej napisane? – spytał.

– Z pozdrowieniami dla Krzyśka N.

Komisarz zamknął powieki. Czas zwolnił, a przed oczami znów wyrosły mury klasztoru. Pomyślał, że naprawdę jest przeklęty i nigdy nie będzie mu dane uwolnić się od demonów przeszłości. Igor Brudny nie mógł jednak wiedzieć, że gra, do której właśnie został zaproszony, ma o wiele wyższą stawkę, i gdy podniósł się z łóżka, nieświadomie zaczął najtrudniejszą walkę w swoim życiu. Z samym sobą.

Zatrzymał samochód przy blokującym drogę radiowozie. Tarasował drogę dobre dwieście metrów od bramy. W środku siedziało dwóch funkcjonariuszy. Jeden z nich wysiadł i podszedł do patrola. Brudny otworzył szybę, a Julka na wszelki wypadek wyciągnęła policyjną odznakę.

– Dalej nie przejeździecie. Droga jest zamknięta – oznajmił młody chłopak z kiepsko przyszczyżonym wąsem.

– Nie dla nas – rzuciła Zawadzka, eksponując blachę.

– Przykro mi, ale dostaliśmy wyraźne rozkazy, żeby nikogo nie wpuszcząć. Teren jest zamknięty.

Zawadzka przewróciła oczami. Była zmęczona i wkurwiona. Taki komunikat mógł generować dwa scenariusze. Albo gówniarzowi coś się pomieszało, albo od ostatniego telefonu nastąpiły jakieś zmiany. Biorąc pod uwagę powagę sytuacji, druga możliwość zdawała się bardziej prawdopodobna. Wysiadła z wozu. Brudny dołączył do niej chwilę później. Młody funkcjonariusz musiał zdawać sobie sprawę, z kim ma do czynienia, bo nie oponował, ale ani na moment nie spuścił z nich wzroku. W oddali można było dostrzec poruszające się wiązki światła z latarek.

– Nie jesteśmy pierwsi – mruknął Brudny i wyciągnął z kieszeni płaszcza paczkę papierosów. Przeniósł wzrok na posterunkowego. – Wiesz, kto tam jest? – zagał, przypalając jednego.

– Przykro mi, ale nie zostałem upoważniony do udzielania jakichkolwiek informacji – odparł młody służbowym tonem.

Komisarz przez chwilę przyglądał się mężczyźnie, po czym wyciągnął latarkę i zrobił dwa kroki w stronę radiowozu. Włączył ją i poświecił do

wnętrza pojazdu.

– Co pan robi, komisarzu? – zaprotestował młody policjant. Jego partner zasłonił oczy dłonią. W drugiej trzymał bułkę częściowo owiniętą folią aluminiową.

– Dlaczego nie macie włączonej sygnalizacji świetlnej? – odparł Brudny pytaniem na pytanie.

– Takie rozkazy. I proszę wyłączyć latarkę.

– Kto je wydał? – Brudny przeniósł strumień światła na twarz rozmówcy, a ten odruchowo przekręcił głowę i przytknął dłoń do oczu.

– Komendant.

– Czarnecki wydał taki rozkaz?

Inspektor Romuald Czarnecki długo bronił się przed tym, aby na wniosek Komendanta Wojewódzkiego Mirosława Bani przejąć obowiązki po Waławie Niemcu, którego – jak zresztą wielu innych oficerów z pionu kryminalnego – pogrążyła sprawa permanentnej współpracy komisarza Artura Kłosa z gangiem sutenerów. Ludzie z Biura Spraw Wewnętrznych po miesiącu babrania się w tym syfie i pierwszym nietrafionym wyborze, który padł na człowieka z zewnątrz, zawnioskowali o kogoś, kto zna zielonogórskie realia i zdoła zapanować nad powstałym chaosem. Jedynym człowiekiem poza wszelkimi podejrzeniami o udział w procederze handlu ludźmi okazał się odpoczywający na emeryturze inspektor Romuald Czarnecki. Jego nieskazitelna renoma oraz szacunek, jaki budził u niemal wszystkich funkcjonariuszy, niejako zmusiły Banię, aby prosił go o pomoc do skutku, w związku z czym Czarnecki w końcu przeprosił żonę i uległ staremu przyjacielowi z Gorzowa, z zastrzeżeniem, że podejmuje się tego zadania tylko do czasu, gdy kryzys zostanie zażegnany i znajdą na jego miejsce innego kandydata spełniającego odpowiednie wymagania.

– On tu jest? – ciągnął Brudny.

– Nie zostałem upoważniony do udzielenia takich informacji – powtórzył posterunkowy, siląc się na służbowy ton.

– Poczekaj, zadzwonię do niego – oznajmiła Julka, widząc, że parter zaczyna tracić cierpliwość.

Gdy przyłożyła do ucha telefon, za plecami młodego policjanta pojawiły się dwie wiązki światła z latarek. Zbliżyły się szybko, więc Julka przerwała połączenie. Komisarz skupił uwagę na partnerce. Jej twarz to jaśniała, to z powrotem zatapiała się w mroku. Mrużyła oczy, a jej oddech był płytszy i szybszy niż zazwyczaj, wokół ust co rusz pojawiała się mgiełka pary.

Pomyślał, że musi być bardziej zdenerwowana od niego. W końcu i on przytknął dłoń, aby ochronić oczy przed światłem latarek nadciągających śledczych.

– Jesteście – rzucił Czarnecki. Wyłączył latarkę i podali sobie ręce. Przywitali się również z nowym naczelnikiem wydziału, Robertem Czyżem, powołanym przez komendanta wojewódzkiego w miejsce zawieszzonego Marka Kotowicza.

– O co tu chodzi, Romek? – zapytał Brudny, zupełnie lekceważąc obecność tego drugiego.

– Dlaczego nie możemy wejść? – dorzuciła Zawadzka.

– To mój rozkaz – odparł komendant. – Przepraszam, że wcześniej was nie uprzedziłem, ale polecenie przyszło z samej góry.

– To naprawdę Kryszak?

– Wszystko na to wskazuje. Gdy tylko poinformowałem o tym Mastalerza, nakazał zamknąć teren i nie wpuszczać nikogo.

– Będą chcieli przejąć śledztwo – skomentował Brudny.

– Już to zrobili. W ciemno. Jego chłopaki z CBS-u są w drodze.

– Może to i lepiej. Nie mam zamiaru babrać się w tym gównie.

– Chcieli, abyście byli na miejscu, gdy się zjawią, więc spodziewam się, że planują cię trochę przemaglować...

Brudny wyrzucił niedopałek i przygniótł go butem. Skrzywił się, jakby chciał wydłubać coś językiem spomiędzy zębów.

– To nie wszystko – ciągnął Czarnecki. – Nie będziecie zadowoleni, bo oprócz CBS, przyjadą też pewnie chłopcy z ABW.

– Kurwa mać...

– Są już w drodze i powinni lądować za... – Czarnecki zerknął na zegarek. – W sumie to jakoś zaraz...

Gdy tylko komendant wypowiedział te słowa, z oddali dobiegł charakterystyczny warkot nadlatujących helikopterów. Minutę później trzy maszyny wisiały już nad ich głowami, celując silne światła reflektorów w ludzi na dole. Na znak Czarneckiego piloci posadzili je na przylegającym do drogi nieużytku, wzbudzając zainteresowanie okolicznych mieszkańców, którzy pozapalali światła w oknach. Gdy wirniki zwolniły obroty, z kabin zaczęli wysypywać się kolejni pasażerowie, w większości postawni mężczyźni. Ośmiu, jak szybko policzył, zdecydowanie wyróżniało się na tle reszty. Nosili białe kombinezony i wypakowywali sprzęt. Z pewnością byli technikami, ale na ich strojach próżno było szukać jakichkolwiek oznaczeń.

Ci, którzy ruszyli w jego stronę, zdecydowanie nie wyglądali na chłopców ze szkółki niedzielnej i Brudny pomyślał, że nie będzie miał z nimi łatwej przeprawy. Jeden z nich nie pasował do żadnej z grup. Niższy, grubszy, posturą przypominał niezbyt udanego bałwana, na którego ktoś zarzucił marynarkę. Lekko utykał, gdy eskortowało go aż trzech ochroniarzy.

– Jasny chuj... – zaklął Brudny, gdy w końcu zorientował się, z kim zaraz będzie miał przyjemność.

– To przecież... – Julka zawahała się.

– Ten kutafon Kałużyński – dokończył za nią.

Drgnęła mu powieka, gdy zdał sobie sprawę, że wśród nadciągającej grupy mężczyzn może też znajdować się sam Bożydar Czabański. Przez głowę przemknęła mu cała seria zdarzeń sprzed kilkunastu miesięcy. Śledztwo w sprawie śmierci młodej celebrytki Karoliny Pisz w popularnym warszawskim klubie, trop kierujący podejrzenie na syna wiceministra Jarosława Czabańskiego, reakcja na te rewelacje komendanta warszawskiej komendy Ryszarda Beryla, w końcu spotkanie z tajemniczym typem, który pobił Brudnego w jednej z porzuconych praskich hal, a potem jasno zasugerował, że jeśli nie odpuści synowi wiceministra, to on dobierze się do jego najbliższych.

„Zanim ją potnę, wypierdolę ją tak, że wywróci się na drugą stronę” – zagroził, pokazując mu zdjęcie z rozkładówki, na której znajdowała się jego była partnerka Oksana Szczypenko.

Brudny odpuścił. Służby, agenci, najemnicy czy bandyci na usługach rządu – to nie była jego liga. Gdyby postawił na swoim, dopadliby jego i wszystkich, na których najbardziej mu zależało. Nie zapomniał jednak o sprawie. Była mu solą w oku, a na widok tłustej mordy wiceministra Czabańskiego, który w ostatnim czasie promował się w telewizji częściej niż sam Kałużyński, momentalnie zagotowała mu się krew w żyłach.

Komisarz z trudem się opanował, aby nie splunąć pod nogi ministra. Kałużyński czy Czabański, jeden pies. Minister spraw wewnętrznych, który jest jednocześnie koordynatorem służb specjalnych, musiał wiedzieć o wszystkim. Musiał znać Igora i wiedzieć o bandyckich zagrywkach Czabańskiego.

Brudny wyciągnął kolejnego papierosa i zapalił go w momencie, gdy Kałużyński stanął naprzeciw niego. Nie zamierzał pierwszy wyciągać ręki.

– Komisarz Igor Brudny? – zapytał minister.

– Obecnie na L4 – odparł, wypuszczając dym w stronę jednego z asystujących mu agentów SOP-u.

– Rozumiem, że zdaje pan sobie sprawę z powagi sytuacji.

– To zależy, którą sytuację ma pan na myśli...

Przez twarz Kałużyńskiego przemknął nerwowy tik. Wbił surowe spojrzenie w oczy śledczego. Bez wątpienia zrozumiał aluzję. O tamtej sprawie wiedział wszystko.

Minister omiół wzrokiem zebranych. Spojrzał na zegarek.

– Kiedy tu dotrą? – zapytał jednego ze swoich przybocznych.

– Najpóźniej za pół godziny – odparł ogolony na łyso mężczyzna.

– Czy ktokolwiek dotykał ciała? – zwrócił się do Czarneckiego.

– Nikt z naszych. Na polecenie pana ministra wstrzymaliśmy naszych techników.

– Dobra robota – pochwalił go Kałużyński i zerknął przez ramię. Ekipa jego kryminalistyków już była w drodze do celu. – Proszę prowadzić do miejsca, gdzie znaleziono zwłoki – dodał, a następnie z powrotem przeniósł wzrok na Brudnego. – Pan pozwoli z nami, komisarzu.

– Nigdzie nie ruszam się bez komisarz Zawadzkiej – rzucił, od razu ściągając na siebie surowe spojrzenia agentów SOP-u.

– W zaistniałej sytuacji nie ma pan zbyt dużo do gadania, komisarzu Brudny.

– W takim razie będzie musiał mnie pan zabrać siłą.

– Nie utrudniaj – warknął jeden z przybocznych Kałużyńskiego i chwycił policjanta za ramię. Brudny powoli odwrócił się i spojrzał mężczyźnie w oczy. Musiał lekko unieść głowę, bo facet był wyższy o dobre piętnaście centymetrów. Kwadratowa szczęka wyglądała, jakby na co dzień używał jej do rozłupywania orzechów.

Brudny zaciągnął się i wyrzucił mu niedopałek pod nogi. Wypuścił dym nosem.

– Powiedziałem, że nie ruszę się stąd bez komisarz Julii Zawadzkiej – powtórzył, spoglądając na zaciśnięte na swoim ramieniu palce olbrzyma. – Ufam tylko jej – dodał i przeniósł wzrok na Kałużyńskiego.

Minister przez chwilę ważył słowa Brudnego. Najwyraźniej uznał, że to nie jest za wysoka cena, bo skinął na swojego goryla, który puścił ramię komisarza i lekko go popchnął.

– Łapy przy sobie – warknął Brudny i razem z Julką i Czarneckim ruszył za Kałużyńskim.

Przez kolejnych kilkanaście sekund szli w milczeniu. Wciąż było ciemno, ale we wsi nastąpiło wyraźne poruszenie. W większości domostw już paliło się światło, w oknach i na gankach wystawiali gospodarze, rozszczękały się psy. Brudny dostrzegł, jak kilku ludzi Kałużyńskiego rozdzieliło się i skierowało się do następnych gospodarstw.

– Tego nie da się utrzymać w tajemnicy... – zagał.

– Wszystko się da, komisarzu – odparł Kałużyński. – Ale akurat w tym wypadku takie założenie wydaje się nietrafione.

– W końcu trafiła kosa na kamień...

– Na pana miejscu mimo wszystko uważałbym na słowa.

Brudny uznał, że nie warto bardziej drażnić tego faceta. Zdążył już zaznaczyć swoją obecność i dał mu do zrozumienia, że nie pała do niego wielką miłością. Dla polityka tak wysokiego szczebla zapewne nie było to czymś niezwykłym, wszak połowa kraju gardziła nim i szczerze go nienawidziła. On sam też nie raz i nie dwa wieszał na nim psy, a biorąc pod uwagę sytuację z Czabańskim, ich relacja wydawała się dodatkowo komplikować. Kałużyński był wyjątkowo cynicznym i zakłamanym sukinsynem, ale na tle reszty bandy z Wiejskiej zdecydowanie bardziej inteligentnym i bystrym, więc Brudny musiał zakładać, że z jego strony należy spodziewać się najgorszego. Julka i Czarnecki mieli być gwarantem, że facet dwa razy się zastanowi, zanim zrobi coś głupiego.

Skręcili w ulicę podporządkowaną, która prowadziła wprost do bramy nieistniejącej już Placówki Opiekuńczo-Wychowawczej Hieronimek Zielonogórskich. Brudny znów poczuł się nieswojo. Znał tu każdy zakamarek, każdy krzak, drzewo, płot czy wystający korzeń. Okolica tak naprawdę nie zmieniła się od lat. Chociaż kilka gospodarstw zostało wyremontowanych, na podjazdach stały nowsze samochody, a tuje i inne drzewka wystrzeliły kilka metrów wyżej, to i tak mógłby poruszać się tu z zamkniętymi oczami. Nawet zapach zmurzałej ziemi zdawał się taki sam jak kiedyś. Zapalił, aby ukryć zdenerwowanie. Julka posłała mu uśmiech, ale nic nie powiedziała.

Z irytacją zauważył, że gdy zbliżyli się narożnej kolumny znaczącej początek terenu sierocińca, serce zabiło mu szybciej. Nie potrafił nad tym zapanować. W tym miejscu zawsze czuł się tak samo. Przytłoczony, zduszony i zdeprymowany. Ta ziemia w jego mniemaniu była przeklęta. Okupujące strzeliste ogrodzenie kruki i gawrony tylko utwierdziły go w tym przekonaniu. Gniazdowały tu od zawsze, głównie na gałęziach gęsto

okalających teren placówki buków i kasztanowców. Wiecznie przesiadywały na parapetach i spadzistych dachach klasztoru, jakby żywiły się unoszącym się wokół cierpieniem setek udręczonych dziecięcych dusz. I nawet teraz, gdy z murów sierocińca nie ostał się kamień na kamieniu, wciąż pilnowały swojego terytorium. Wzdrygnął się, gdy kilka kłapnęło dziobami, a następnie zerwało się do lotu. Trzepot ich skrzydeł zawsze wywoływał u niego gęsią skórkę.

Z zamyślenia wyrwał go zimny podmuch wiatru, który przywiódł zapach śmierci. Dopiero wtedy zorientował się, że stoi kilka metrów od oświetlonej dwoma reflektorami bogato zdobionej bramy, a wokół w ciszy krążą ubrani na biało technicy. Wbił wzrok w centralny punkt. Na łączeniu obu skrzydeł wisiały nagie poczerńiałe zwłoki. Pozbawione genitaliów, oczu, nosa i warg, z resztkami poskręcanych kudłów na brodzie przywodziły na myśl karykaturę istoty ludzkiej, ale nawet w takim stanie trudno byłoby nie poznać denata.

– Zróbcie coś, kurwa, z tym ptactwem! – warknął Kałużyński, gdy dwa kruki spróbowały szczęścia i podleciały, a następnie przysiadły w okolicach głowy ofiary. Większy zdążył dziobnąć trupa w okolice oka, ale jeden z techników przegonił oba machnięciem ręki. Dwóch agentów SOP-u zajęło się tymi czającymi się na kolumnach. Wtedy zaczęły przeraźliwie skrzeczeć, chwilę później odezwały się psy. – Pospieszcie się i ściągnijcie go. Do świtu ma tu być posprzątane! – rozkazał minister, po czym przeniósł wzrok na Brudnego. – Ale najpierw... chcę, żeby obejrzał pan zwłoki – oznajmił.

– Obejrzeć mogę, tylko w jakim charakterze? – odparł, zaciągając się mocno papierosem. Kałużyński rozchylił usta.

– W charakterze policjanta, detektywa, może być nawet, kurwa, agenta zero zero siedem – odparł wyraźnie poirytowany. – Jestem cholernym ministrem spraw wewnętrznych i koordynatorem służb specjalnych. Potrzebuje pan pozwolenia od kogoś jeszcze?

Brudny wysłuchał tyrady ze stoickim spokojem. Zaciągnął się i zgasił niedopałek w chusteczce, którą włożył do kieszeni płaszcza.

– To powinno wystarczyć – odparł i przeniósł wzrok na zwłoki.

– Zróbcie mu miejsce – polecił minister, a technicy rozpierzchli się jak przyłapano na buszowaniu w kuchni karaluchy.

Komisarz, wzięwszy od jednego z techników lateksowe rękawiczki, ostrożnie zbliżył się do zwłok. Wyglądały koszmarnie. Podwieszono za

szyję na pętli z grubego sznura przypominały jakąś częściowo spaloną i wybebeszoną kukłę wisielca. Popękana skóra była niemal zupełnie szerniała, a uda, brzuch i klatka piersiowa upstrzone wydziobanymi przez ptactwo otworami, z których zwisały częściowo zastygłe, przywodzące na myśl żywicę smugi wytopionego tłuszczu. Brudny spuścił wzrok w okolice krocza ofiary, gdzie zionęła paskudna, poznaczona zaropiałymi strupami rana. Drgnęła mu powieka, gdy przez głowę przemknęła mu niechciana myśl. Kątem oka dostrzegł Julkę, która w kuckach i z chusteczką przy nosie przyglądała się zwęglonym stopom. Smród był porażający i na chwilę odwrócił się w nadziei na zaczerpnięcie mniej skażonego powietrza, po czym przytknął rękaw prochowca do nosa i z powrotem skupił wzrok na trupie.

Dotknął czoła i lekko uniół głowę ofiary. Widok tego, co zostało z twarzy, skojarzył mu się z obliczem golema. To coś nie przypominało już istoty ludzkiej. Tak jakby sprawca chciał ofiarę odczłowieczyć i dodatkowo ukarać już po śmierci. Brudny wzdrygnął się, gdy ułamek sekundy za długo zawiesił wzrok na ziejących czernią oczodołach. W głowie zaświtała mu kolejna niechciana myśl. Poczł wzbierającą złość, ale nie był w stanie jej zogniskować ani na trupie, ani na sobie, ani na człowieku stojącym kilka metrów za jego plecami. Jak miał się w tej chwili zachować? Co powinien zrobić? Na chwilę zamknął oczy, a gdy je z powrotem otworzył, skupił całą swoją uwagę na ulotce przybitej do czoła ofiary. Przedstawiała wizerunek brodatego mężczyzny w aureoli, który w jednej dłoni trzyma książkę, a drugą głaszczkę po głowie młodego chłopaka. Całość okraszona była wydrukowanym fragmentem modlitwy, którą znał bardzo dobrze. Poczł ucisk w żołądku.

„Maryjo, Matko sierot, módl się za nami i za wszystkimi sierotami na świecie”

Niżej dopisano białym flamastrem:

„Z pozdrowieniami dla Krzyśka N.”

Wpatrywał się w wiadomość w milczeniu przez kolejnych kilkadziesiąt sekund. Nie mógł zebrać myśli. Bezmyślnie gapił się na te parę słów, a obrazy z przeszłości kotłowały się w jego głowie i szarpały ciało niczym stado wygłodniałych piranii. Wyrwał się z letargu, dopiero gdy poczł delikatne szarpnięcie.

– Chyba wystarczy na dziś, co? – Głos Julki zdawał się dochodzić z oddali.

Brudny powoli przeniósł wzrok na partnerkę. Nie odpowiedział, tylko ledwo zauważalnie skinął głową, a następnie odwrócił się i po swoich śladach ruszył w stronę stojącego kilka metrów dalej Kałużyńskiego.

– Ma pan już jakieś podejrzenia, kim może być sprawca tego odrażającego mordu? – zapytał minister, chuchając w dłonie.

– Na razie wiem tyle, co pan – odparł, zapalając papierosa. – I nie sądzę, abym mógł tu jakoś specjalnie pomóc.

Minister wydał wargi i zmarszczył nos. Wyglądał, jakby zaczynał tracić cierpliwość. Westchnął, nie spuszczając wzroku z rozmówcy.

– Nie musi mnie pan lubić, komisarzu – oznajmił spokojnym tonem. – To jednak jest sprawa wagi państwowej i jeśli nie chce pan zrobić tego dla mnie, niech pan to zrobi dla kraju. Przysięgał pan, prawda?

Brudny pomyślał, że podobne słowa w ustach tego gnoja to obraza nie tylko dla policji i jego inteligencji, ale samej istoty człowieczeństwa. Uczciwie musiał jednak przyznać, że minister w jednym miał rację. Przysięgał narodowi. Przysięgał bronić prawa, strzec bezpieczeństwa państwa i jego obywateli. Pomyślał, że jeśli kiedykolwiek miałyby złamać swoje zasady, to nie dla tego sukinsyna. On i banda jego miernych akolitów nie byli tego warci.

– Potrzebuję czasu do namysłu – odparł, uznając, że takich decyzji nie może podejmować na gorąco, zwłaszcza jeśli zleceńdawcą jest człowiek, który przyzwolił, aby jego najbliższy podwładny nasłał na niego bandytę. Ta sprawa mogła mieć drugie, trzecie albo i czwarte dno.

– Nie mamy czasu, komisarzu Brudny – wycedził przez zęby Kałużyński.

– Wy nie macie – poprawił go. – Ja mam go aż nadto.

– Pan się zapomina, komisarzu!

– To pan się zapomina, panie ministrze – odwarknął Brudny. – To pan chce czegoś ode mnie. I jeśli to wszystko, to już pójdę.

Przez twarz ministra przebiegł grymas świadczący, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. Brudny, nic sobie z tego nie robiąc, zaciągnął się po raz ostatni i teatralnie zgasił niedopałek w chusteczce, którą chwilę później schował do kieszeni. Przekaz był jasny i brzmiał: nie ufam ci za grosz, sukinsynu.

Zrobił krok, ale łapsko funkcjonariusza SOP-u od razu zakleszczyło się na jego ramieniu. Komisarz przystanął. Kątem oka dostrzegł, że minister

wymownie skinął na swojego ochroniarza, który niechętnie poluzował uścisk.

– Licytuje pan wysoko, komisarzy Brudny – oznajmił Kałużyński, zrozumiawszy aluzję. – Ale może mi pan wierzyć bądź nie, tym razem nie chodzi tu ani o pana, ani o nic innego. Chcę dopaść tego psychopaty, a wzięwszy pod uwagę pana historię i treść wiadomości oraz miejsce i sposób jej przekazania, wszystko wskazuje na to, że pana wiedza na ten temat może być bardzo pomocna. Ile czasu pan potrzebuje na podjęcie decyzji?

– Dwadzieścia cztery godziny wystarczą.

– Za dwanaście zjawi się u pana mój człowiek.

Brudny skinął na znak, że akceptuje warunki, po czym wspólnie z Julką i Czarneckim poszli do samochodu. Towarzyszyły mu ponure myśli oraz krążące nad głową kruki i gawrony.

ROZDZIAŁ 8

Patrycja Klimczak próbowała namierzyć dłonią nieznośnie bzyczący smartfon, gdy warszawskie Bemowo wciąż jeszcze tonęło w mroku. Zerwała się z łóżka i odgarnawszy włosy z twarzy, spojrzała na ekran. Piąta trzydzieści była godziną, o której budziła się prawie codziennie, choć szczerze tego nienawidziła. Kiedyś podjęła jednak decyzję, że zostanie dziennikarką. I mimo że rodzice próbowali ją od tego odwieść, tłumacząc, że lepiej zostać panią adwokat albo nawet dentystką, ona uparła się, że pewnego dnia będzie najlepszą prezenterką w kraju.

Patrycja Klimczak była ambitną kobietą i zawsze stawiała sobie wysokie cele, nawet jeśli wydawały się niewiarygodne. Może dlatego, że pochodziła z małego miasteczka pod Poznaniem, a może dlatego, że jej rodzice nie pokładali w niej żadnej wiary i na każdym kroku chciała im udowodnić, że się mylą. Zawsze uczyła się pilnie, na zakończenie każdego roku zarówno w szkole podstawowej, jak i średniej miała na świadectwie czerwony pasek. Pod koniec pierwszego semestru ostatniej klasy liceum ojciec po raz ostatni próbował namówić ją do zmiany zdania.

– Ten zawód nie ma przyszłości – ostrzegał. – Chcesz skończyć w podrzędnej gazetce, harując od rana do wieczora za marne grosze?

– Już ci mówiłam, że zostanę prezenterką telewizyjną – broniła się. – Media to przyszłość. Cały czas powstają nowe stacje, a zaraz na rynek wejdą platformy cyfrowe. Programy na żywo, wiadomości dwadzieścia cztery godziny na dobę, reportaże... – wyliczała.

– A wiesz, ile jest takich marzycielek, jak ty? Wiesz, ile z nich trafia do telewizji?

– Wyjadę na studia do Warszawy i od razu zatrudnię się na pół etatu w jakiejś stacji albo gazecie. Jestem wygadana, szybko poznam ludzi z branży. Przy odrobinie szczęścia w kilka lat awansuję na wyższe stanowisko.

– Życie w stolicy kosztuje majątek...

– Nie oczekuję waszej pomocy. Poradzę sobie.

Ojciec nie miał więcej argumentów. Westchnął, z niesmakiem pokiwał głową i poszedł pielic grządki, a Patrycja Klimczak pół roku później, zaraz po celująco zdanej maturze, a następnie egzaminach na Wydział Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, wyjechała na saksy do Holandii, gdzie od rana do wieczora zbierała tulipany w jednym z podłych gospodarstw na południu kraju i zarobiła swoje pierwsze trzy tysiące euro, które według precyzyjnie opracowanego planu miały zostać wykorzystane na nowy start w stolicy. Od tego momentu minęło już prawie dwanaście lat, a ona wciąż wegetowała w wynajętym pokoju jednego z miniaturowych mieszkań blokowiska na ponurym i tłoczonym Bemowie, a na wizji pojawiła się dotąd dokładnie siedemnaście razy, bo pół roku temu w końcu dostała awans na prezenterkę terenową. I w normalnych okolicznościach pewnie by to jakoś uczciła, ale nigdy tego nie zrobiła, bo dochrapała się stanowiska, które zamierzała zdobyć dziesięć lat temu, co gorsza, awans dostała nie dlatego, że przez ostatnie lata nigdy się nie spóźniła, zawsze była perfekcyjnie przygotowana i zgłaszała się do realizacji najtrudniejszych tematów za uwłaczające jak na realia Warszawy stawki, ale dlatego, że miała duże cycki i w końcu przespała się z kierownikiem produkcji, niejakim Maciejem Pyrką, który najwyraźniej był na bakier z pastą do zębów, bo cuchnęło mu z gęby jak z szamba.

Wstała z łóżka. Czasem czuła jego zapach, nawet teraz. Wzdrygnęła się na myśl o tamtej nocy. Nigdy więcej, pomyślała i aby nie obudzić współlokatorki, na palcach pobiegła do łazienki. Wczorajszy przebłysk przez noc zdążył wyewoluować w plan, ale żeby móc go zrealizować, dziś w końcu musiała pokazać pazury. W ekspresowym tempie umyła długie blond włosy, które następnie wysuszyła i uczesała, skupiając się na podkreśleniu równo przyciętej grzywki. Tym razem pozwoliła sobie na nieco bardziej wyrazisty makijaż w nadziei, że jej drapieżny wizerunek podkreśli charakter prowadzonych relacji. Spojrzała w swoje odbicie. Jak na trzydziestodwulatkę wyglądała co najmniej przyzwoicie. Może nie była idealna, ale w miarę regularnie chodziła na siłownię, jeździła na rowerze i choć w jej mniemaniu waga zawsze pokazywała o dwa do trzech kilogramów za dużo, to nie przejmowała się tym tak bardzo, zwłaszcza gdy większość kochanków podkreślała, że przynajmniej jest za co chwycić. Lśniące włosy, duże niebieskie oczy, szczupły równy nos i wydatne usta, które kilka lat temu odrobinę poprawiła w gabinecie medycyny estetycznej prowadzonym przez koleżankę ze studiów, też nie budziły poważniejszych

zastrzeżeń. Nieco gorzej sprawa wyglądała z kurzymi łapkami w kącikach oczu i mało wydatnymi kośćmi policzkowymi, ale ewentualna poprawa tych uchybień natury znajdowała się już poza zasięgiem jej możliwości finansowych. Zdążyła jednak zaakceptować taki stan rzeczy i nie robiła sobie wielkich wyrzutów, zwłaszcza że w takich chwilach jedno przelotne spojrzenie na wyeksponowany dekolt natychmiast poprawiało jej humor. Duże, jędrne i co najważniejsze naturalne piersi o rozmiarze „E” od zawsze były jej potężnym atrybutem, którego nie wahała się używać nawet w pracy, niespecjalnie przejmując się moralnymi aspektami takiego postępowania. Cycki w zawodzie dziennikarza śledczego okazały się nie mniej ważnym atutem jak znajomości czy wieloletnie przygotowanie merytoryczne. Czasem mały ruch ciała czy drobny gest, który skupiał uwagę faceta na jej biuście, rozwiązywał język niemal każdemu rozmówcy. Wszystko to poparte zalotnym uśmiechem dającym iluzoryczną nadzieję na przeciągnięcie rozmowy poza sprawy stricte zawodowe pozwalało jej zdobywać informacje, wydawałoby się, niedostępne dla mniej obdarowanych przez naturę koleżanek z pracy, nie wspominając o kolegach, którzy w sytuacjach wymagających podobnych sztuczek byli bezsilni.

Ta myśl sprawiła, że ściągnęła najwygodniejszy stanik i dobrała ten bardziej podkreślający jej wdzięki, następnie włożyła białą koszulę z głębokim dekoltem i czerwoną garsonkę. Obejrzała się z każdej strony, poprawiła makijaż i w grymasie uznania dla samej siebie dumnie wydeła usta. To miał być jej dzień, jej niepowtarzalna szansa, aby w końcu pokazać się milionom ludzi w Polsce, a biorąc pod uwagę zainteresowanie tematem światowych mediów, być może trafić nawet na ekrany telewizorów w Londynie, Paryżu czy Nowym Jorku. Może ktoś ją dostrzeże i złoży propozycję? Po angielsku mówiła płynnie, trochę gorzej po francusku, ale gdyby przyłożyła się do nauki, toby sobie poradziła. No i nie mogła zapominać o cyckach. One przemawiały do facetów pod każdą szerokością geograficzną.

Wychodząc z łazienki, natknęła się na Laure, przysadziłą telemarketerkę pracującą za grosze w siedzibie jednej z największych platform telefonii komórkowej. Miała ciemne rozczochrane włosy i mrużyła oczy, jakby jej wada wzroku była na poziomie trzech, lecz sześciu dioptrii.

– Jebać ich wszystkich – mruknęła w swoim stylu, marszcząc spękane usta. Laura Goździkiewicz była w ocenie Klimczak największą pesymistką świata i czasem zastanawiała się, jakim cudem współlokatorka jeszcze nie wpadła w głęboką depresję.

– Nie powinnaś mieć dziś wolnego? – zagadnęła, ignorując jej mało wyszukany apel.

– Miałam, ale już nie mam – rzekła, gramoląc się do łazienki. – Jakaś nowa wysrała się na robotę i nie przyszła.

– I zadzwonili do ciebie?

– Jak widać. Będziesz tu jeszcze coś robić czy mogę...

– Już spadam.

– Wyślij esa, jak Sędzia dobierze się do Kałużyńskiego albo Kumidora. Chętnie pooglądam, jak kastruje tych złodziei.

– Masz to jak w banku. Na razie.

Klimczak włożyła płaszcz, chwyciła torebkę i wybiegła z mieszkania. Klucząc między blokami, dotarła do przystanku autobusowego i po czterdziestu pięciu minutach, które wykorzystała na przejrzenie najświeższych wiadomości, dostała się do siedziby swojej redakcji. Niemal we wszystkich pomieszczeniach panowało większe niż zwykle poruszenie i trochę pożałowała, że nie zjawiała się pół godziny wcześniej. Zanim dotarła do swojego stanowiska pracy, jej spojrzenie złowił kierownik produkcji i od razu przywołał ją do siebie. Pyrka albo całą noc nie spał, albo się nie umył (co w jej ocenie było dużo bardziej prawdopodobne), bo wyglądał, jakby w ogóle nie opuszczał studia.

– Cześć, Pati – przywitał się, choć doskonale wiedział, że nie lubi się spoufalać. Wykonał gest, jakby chciał ją przytulić, ale odsunęła się.

– Cześć – odparła zachowawczo, lichym uśmiechem próbując zamaskować niechęć do przełożonego. – Przygotowałam już całą historię Kryszaka. Marcin musi to tylko jakoś posklejać, ale zastrzegam, że nikomu nie oddam tematu. Pracowałam nad nim od lat i...

– Spokojnie, Pati. Nikt ci niczego nie zabierze – przerwał jej, jakby próbował uspokoić niegrzeczną kilkulatkę. Nie znosiła tego tonu. – Wiesz, że na mnie można polegać, prawda? – dodał i puścił do niej oko.

W ustach typa, który niejako uzależnił swoje poparcie dla jej awansu od dorwania się do jej cycków, to była dość śmiała kwestia, ale Klimczak postanowiła nie wyprowadzać go z błędu. Nie ufała mu za grosz. Musiała jednak zacisnąć zęby jeszcze przez te kilka dni, może tygodni. To był jej

temat. Jej opus magnum dziennikarskiej kariery. Nikt nie wiedział o Kryszaku tyle co ona i mocno wierzyła, że już wkrótce w środowisku pójdzie fama i posypią się propozycje współpracy. Musiała tylko o sobie przypomnieć i pokazać się światu. Kiedy jak nie teraz?

– Warunek jest jeden – oznajmiła, zakładając ręce pod piersiami.

– Warunek? – Uśmiech na jego twarzy zgasł. – O co ci chodzi, Pati?

– Dziś podczas programu o Kryszaku wchodzę na żywo z Bogusławskim. Przygotowałam mu nawet pytania. Marcinowi z montażu posortowałam materiały audio i wideo. Będzie wiedział, co z tym zrobić.

Pyrka popatrzył na nią, jakby popuściła w majtki, a potem zmierzył ją z niesmakiem wzrokiem od stóp do głów.

– Ty mówisz poważnie? – zapytał z drwiną w głosie.

– Jeśli nie chcesz tego materiału, to na pewno znajdą się inni chętni.

– Kurwa! – warknął kierownik, a z jego ust buchnęła chmura, która niemal ją zemdlila. – Ty... ty...

– Chcesz czy nie? – syknęła. – Przypominam, że archiwalne i dotąd niewykorzystane materiały są chronione prawami autorskimi, a od dwunastu lat zapierdalałam tu na zasranej śmieciówce. Ja decyduję, czy wam je udostępnię.

Pyrka otworzył usta, ale najwyraźniej się zapowietrzył, bo najpierw poczerwieniał jak burak, a następnie zaczął kaszleć. Przypatrywała mu się z nieskrywaną satysfakcją, a on rzeził, jakby zaraz miał wypluć płuca. W końcu zapanował nad niekontrolowaną reakcją organizmu. Odchrząknął.

– Czułem, że jesteś sucz, ale...

– Skończ pierdolić – przerwała mu. – Załatwisz to czy mam zabierać graty?

– Muszę... – Nerwowo zagryzł dolną wargę. – Muszę pogadać z górą.

– To pogadaj.

– Teraz?

– Bogusławski zaczyna o ósmej, mam rację? Została... – wymownie zerknęła za zegarek – ... godzina z hakiem.

Kierownik przez chwilę sapał jak raniony zwierz, w końcu mruknął coś niezrozumiale i odszedł. Klimczak z uśmiechem na ustach skierowała się do swojego boksu. Czowała na sobie spojrzenia kolegów i koleżanek, którym z pewnością nie umknęła ich żywiołowa wymiana zdań. Za większością z nich nie przepadała, bo w jej ocenie byli młodzi, leniwi i choć gównie wiedzieli o tej robocie, to potrafili być bardzo roszczeniowi i lubowali się

w rozsiewaniu plotek – ostatnio tej, że dla awansu się puściła, co w sumie było prawdą, ale wkurwiało ją, jakby z prawdą nie miało nic wspólnego. Puściła oko tylko do rudej Izki, nieco starszej reporterki, która jej zdaniem nie wpisywała się w to grono, zrzuciła płaszcz i rozsiadła się przy swoim stanowisku. Wyciągnęła służbowy laptop i poszła do ekspresu zrobić sobie filiżankę ulubionej mokki. Gdy wróciła, od razu zalogowała się i przejrzała najważniejsze newsy z innych redakcji. Zaczęła od najbardziej konkurencyjnej platformy i omal nie spadła z krzesła.

Tytuł był mocny i aż bił po oczach. Zakłęła, widząc podpisaną pod artykułem Zofię Lorek. Nie znosiła tej suki, bo jakimś tylko sobie znanym sposobem potrafiła zdobywać informacje z pierwszej ręki. To znaczy podejrzewała, jak to robi, ale Lorkowa miała to gdzieś, a politycy lgnęli do niej jak pszczoły do miodu.

Zaczęła łapczywie pochłaniać tekst. Był krótki, wprowadzony dopiero kilka minut temu, co gorsza, zapowiadał materiał wideo. Gdy dotarła do „porzucone zwłoki prawdopodobnie należące do zamordowanego na wizji księdza Tobiasza Kryszaka znajdowały się na terenie zniszczonego przed rokiem klasztoru sióstr hieronimek zielonogórskich”, poczuła gwałtowne ukłucie niepokoju, a chwilę później załała ją fala gorąca.

To nie mógł być zbieg okoliczności. Kolejne myśli i skojarzenia przeleciały przez jej głowę niczym rozjuszony tajfun. Hieronimki. Rzeźnik z Nietkowa. Kanibal. Zabójca Policjantów. Przecież o tym mówiła cała Polska. Sama robiła research do głównych wiadomości!

Przed oczami stanęła jej twarz komisarza Igora Brudnego. Tego faceta nie dało się zapomnieć, ot tak. Kiedyś była naprawdę blisko. Bardzo, bardzo blisko i...

Zacisnęła nerwowo zęby. Jeszcze przez kilkadziesiąt sekund miotała się, próbując uspokoić rwący potok myśli. Ta najważniejsza spłynęła na nią w momencie, gdy pojęła powagę sytuacji.

Igor Brudny. Przynajmniej tu miała nad Lorkową przewagę i musiała ją wykorzystać.

Instynktownie rozejrzała się po newsroomie. Pyrka już do niej maszerował. Błyskawicznie podniosła się z krzesła.

- Potrzebuję samochodu – oznajmiła.
- Ale...
- Chuj z Bogusławskim. Wołaj operatora i załatw wóz transmisyjny. Za pięć minut wyjeżdżam do Zielonej Góry.

ROZDZIAŁ 9

Spał niecałe trzy godziny. Zmęczenie przyszło nagle, choć musiał wspomóc się dwoma solidnymi szklankami jamesona. W końcu, tuż przed świtem, zapadł w twardy sen, z którego wyrwał go strumień koszmarnych wizji. Gwidona i Tobiasz pertraktowali w półmroku. Ich oczy świeciły czerwienią, szponiaste palce zginały się w lubieżnych gestach, a rozchyłane w szyderym rechocie wargi odsłaniały spiłowane zęby. Szeptali i spiskowali, od czasu do czasu rzucając mu spojrzenia, ich pokraccne cienie pełzały po klasztornych murach w takt tańczących płomieni setek rozstawionych świec. Wtedy matka przełożona nagle ruszyła w jego stronę. Stał jak skamieniały, nie mogąc zamknąć uchylonych drzwi. Ona sunęła niczym duch, jakby nie dotykała stopami posadzki. Wściekła, z szeroko otwartymi ustami, w których kryła się czarna otchłań. Obudził się zlany potem w momencie, gdy szarpnęła za klamkę.

– Kurwa mać! – jęknął, gdy otworzył oczy. Rozejrzał się po sypialni. Na szczęście był sam. Julka musiała znajdować się w salonie, bo przez drzwi sączyły się odgłosy z telewizora, a w powietrzu unosił się zapach jedzenia. Coś smażyła? Pomyślał, że to dziwne, bo rzadko brała się do kucharzenia.

Westchnął i przetarł dłońmi twarz. Dawno nie miał takich snów. Nie wiedział, co o tym myśleć. Podniósł się z łóżka i poszedł się ogarnąć. Po wyjściu z łazienki wypił kawę i w milczeniu zjadł śniadanie. Julka przygotowała tosty z szynką i serem, a potem wyszła z domu. Docenił, że go nie naciskała. Tę decyzję musiał podjąć sam i znała go wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że jeśli będzie chciał ją zapytać o zdanie, to zrobi to w momencie, który uzna za stosowny. Wróciła po godzinie z torbą pełną zakupów, po czym poinformowała go, że jedzie na komendę. Nie musiała dodawać, że w każdej chwili może do niej zadzwonić. Wymienili wymowne spojrzenia i wyszła z domu, a on zapalił kolejnego papierosa i zatopił się w rozmyślaniach. Po godzinie jałowego gapienia się w przeszklone drzwi tarasowe, poszedł do sypialni i wyciągnął z szuflady walthera. Bezrefleksyjnie obrócił go w dłoniach, jakby miało mu to pomóc

w podjęciu decyzji, ale uznał, że sam siebie próbuje okłamywać. Z tej sytuacji nie było dobrego wyjścia i jakakolwiek decyzję podejmie, z jego punktu widzenia będzie ona zła. W końcu wyciągnął z kieszeni smartfon i odszukał numer do jedyne go człowieka, który w jego ocenie mógł podejść do tematu całkowicie obiektywnie. Nie dbał o to, czy jego telefon jest na podsłuchu. W ciemno mógł założyć, że tak właśnie jest i Kałużyński śledzi każdy jego krok. I jakkolwiek minister i koordynator służb specjalnych mógł pochwalić się szerokim wachlarzem przekonujących argumentów, to i te miały jednak określony zasięg skuteczności, a ten kończył się na kimś, kto nazywał się Roman Czarnecki. Wybrał numer.

– Dzień dobry, komisarzu – przywitał się komendant.

– Dzień dobry, inspektorze... – Brudny pomyślał, że po raz pierwszy ich rytualne powitanie zabrzmiało sztucznie.

– Cieszę się, że zadzwoniłeś. – Ton Czarneckiego zdradzał, że doskonale zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Bez wątpienia sam miał wiele wątpliwości, bo nawet jeśli sprawę Kryszaka ściągnięto mu z garbu, to mógł się spodziewać, że najbliższe dni będą gorące.

– Chcę cię tylko poinformować, że z dużym prawdopodobieństwem jeste my podsłuchi wani – ostrzegł Brudny nieco zrezygnowanym tonem.

– Domyślam się. Mnie tam już ganc egal. Ale jeśli sprawa wymaga spotkania w cztery oczy, to...

– Nie, Romek. Nie wymaga. Zresztą przy dzisiejszych możliwościach i tak nas usłyszą, jeśli tylko zechcą.

– Chyba trochę przeceniasz nasze służby.

– Może tak, a może nie. Nieważne. Potrzebuję twojej rady...

Czarnecki odchrząknął, a Brudny wyobraził sobie, jak ściąga okulary, aby je przetrzeć chusteczką. Uśmiechnął się pod nosem, gdy usłyszał charakterystyczne odgłos pocierania materiału o szkiełka.

– Gdybym tylko miał na ciebie jakiś wpływ... – Czarnecki westchnął.

– Tym razem na poważnie, Romek. I wiesz co... – Brudny zerknął przez okno. Za płotem oczywiście stał samochód z dwoma tajniakami. Nie kryli się specjalnie, więc im pomachał, a oni odpowiedzieli ponurymi spojrzeniami. – Wiem, że pewnie jesteś zawałony robotą, ale jakbyś znalazł chwilę, to...

– Akurat planowałem zjeść obiad, więc...

– Mam trochę ruskich. Mogę podgrzać.

– Ruskich nigdy nie odmówię.

Pół godziny później siedzieli w salonie i zapychali się przypalonymi na patelni pierogami. Gdy skończyli, Brudny nastawił wodę w czajniku. Czarnecki docenił pamięć komisarza, który zalał kawę w szklance z koszyczkiem. Na wspomnienie, że ten zabytek PRL-u uratował mu życie, obaj na chwilę się zadumali. Chwilę później wyciągnęli z telefonów karty, a Brudny odniósł urządzenia do pokoju na górze i schował w szufladzie. Po powrocie usiadł w fotelu i lekko nachylił się w kierunku rozmówcy.

– Dobra, Romek. Mam dwie godziny, aby podjąć decyzję, czy wchodzić w to bagno. I... – westchnął. – Nie wiem, co powinienem zrobić. To znaczy niby wiem, ale... – Brudny znów zawiesił głos i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Jestem pewny, że podejmiesz słuszną decyzję. Jak zawsze.

– Jak zawsze? – Uśmiechnął się.

– A kiedykolwiek się pomyliłeś?

– Zawsze, zawsze... Nie zawsze się ze mną zgadzałeś, Romek. Powiedziałbym, że nawet rzadko.

– Ale ty zawsze wychodziłeś z opresji obronną ręką. Doprawdy nie wiem jak, ale... – Czarnecki rozłożył ręce, aby po chwili złożyć dłonie w piramidkę – ...w końcu przede mną siedzi Igor Brudny, mam rację? Tylko on jest w stanie poradzić sobie z tymi wszystkimi absurdalnymi pomysłami.

– Nie wszystkimi...

Czarnecki uniósł brew. Brudny sięgnął po papierosa i zapalił. Szare nitki dymu powędrowały ku górze.

– Te wszystkie podchody nie są w twoim stylu – zasugerował inspektor, upijając łyk kawy. Brudny przez chwilę wpatrywał się w sufit. Wahał się.

– Jest jedna sprawa, o której ci nie powiedziałem... – wydusił w końcu.

– To bardziej do ciebie pasuje...

– Pamiętasz, gdy wtedy pojechałem do Warszawy i wróciłem z poobijaną mordą?

Inspektor skinął i znów umoczył usta w szklance z gorącym napojem.

– Powiedziałem, że to robota Ruskich i... – Cmoknął niepysznie. – To była prawda, ale nie do końca. Tamtego wieczoru spotkałem się z kimś jeszcze...

– Z kim?

– Nie wiem. Miał maskę, ale był profesjonalistą. Zagroził, że jeśli nie odpuścę sprawy z młodym Czabańskim, to skrzywdzi Oksanę. Dał też do

zrozumienia, że nie zawaha się, aby to samo zrobić pozostałym członkom rodziny i przyjaciółom. Nawet Lence...

Czarnecki przyjął słowa komisarza ze spokojem, choć rysy jego twarzy nieznacznie się wyostrzyły. Nie musiał się wysilać, aby dodać dwa do dwóch.

– To dlatego pogoniłeś Beryla w diabły... – skomentował.

– Tak.

– Skorumpowali go?

– Nie wiem. Na tyle, na ile go znam, to wątpię. Raczej zagrozili, choć nie dałbym sobie ręki uciąć.

– Służby?

– Tak sądzę. Tamten facet wyraźnie pił do śledztwa w sprawie Jarosława Czabańskiego, który w mojej ocenie zamordował młodą celebrytkę Karolinę Pisz. Założyłem, że nasłał go ojciec, ale teraz zaczynam mieć coraz większe wątpliwości...

– Co ci chodzi po głowie?

– Przecież wdziałeś, kto wczoraj zjawił się w Zaborze...

Czarnecki zmarszczył brew i postukał palcami w blat ławy. Przez chwilę wnikliwie przypatrywał się rozmówcy.

– Kałużyński to bezpośredni przełożony Czabańskiego – ciągnął Brudny.

– Musiał, po prostu musiał o tym wiedzieć.

– No tak...

– A teraz ten chuj chce, abym pomógł im dorwać tego psychola. A wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – Brudny zarechotał nerwowo. – Najgorsze jest to, że nawet Sędziemu trochę kibicowałem...

Brudny wstał i podszedł do barku. Poczul wstyd, który nagle zapragnął zagłuszyć szklanką alkoholu. Zmitygował się jednak. W tej chwili procenty nie były wskazane.

– Myślę, że wielu ludzi w kraju ma podobne odczucia jak ty – odparł Czarnecki. – Mnie też czasem nachodziły różne wątpliwości. Nie tylko na początku kariery. A sam Kryszak... cóż... oględnie mówiąc, też nigdy nie należałem do jego zwolenników. Rozumiem, że możesz...

– Nie rozumiesz, Roman... – Brudny z powrotem przycupnął na skraju sofy. – Kryszaka można było nie znosić, bo wszyscy wiedzieli, że był cynicznym sukinsynem. Po tym, co światu pokazał ten cały Sędzia, wielu mogło go zniechęcić, co jest w pełni zrozumiałe. Ale wciąż nikt nie wie,

że Kryszak był jednym z regularnych gości Gwidony i kiedyś zasadał się na mnie.

Czarnecki odchrząknął i otworzył usta, ale nie zdołał wydusić słowa. Uniósł brwi i wypuścił z sykiem powietrze. Brudny nerwowo przygryzł dolną wargę i mocno się zaciągnął papierosem.

– To rzeczywiście dodatkowo komplikuje sprawę – zauważył Czarnecki.
– Według procedur jesteś...

– Tu procedury nie mają żadnego znaczenia, Roman. Kryszak zgwałcił wielu młodych chłopaków i tak naprawdę od zawsze życzyłem mu śmierci.

Obaj mężczyźni przez dłuższą chwilę trwali w milczeniu. Brudny zdążył wypalić i zgasić papierosa. Czarnecki najpierw wpatrywał się w rozmówcę, w końcu zdjął okulary i przetaił je wyciągniętą z marynarki chusteczką.

– Rozumiem twoje wątpliwości, Igor – rzekł, gdy z powrotem je założył.
– Masz do nich pełne prawo, ale z jakiegoś powodu nie odmówiłeś. Domyślam się dlaczego, bo jesteś najlepszym gliną, z jakim kiedykolwiek przyszło mi pracować. I po prostu uczciwym człowiekiem.

– Pierdolisz...

– Nie pier... – Czarnecki westchnął ciężko. – Czego ode mnie oczekujesz?

Brudny uciekł wzrokiem, a przez jego twarz przewinęła się seria nerwowych grymasów. Inspektor bacznie go obserwował. Takie zachowanie było do niego niepodobne, bo komisarz zwykle panował nad emocjami. W jego głowie musiała toczyć się prawdziwa wojna.

– Nie wiem, Romek. Po prostu nie wiem. – Brudny zwiesił głowę. – Chyba po prostu chciałem się wygadać. Niepotrzebnie zawracam ci dupę.

– Dobrze zrobiłeś. I wiedz, że poprę każdą twoją decyzję. Wiesz dlaczego? – Czarnecki nachylił się i położył dłoń na ramieniu młodszego kolegi. Komisarz podniósł wzrok. – Bo wiem, Igor, że będzie ona zgodna z twoim sumieniem.

Brudny ocknął się z letargu, gdy Czarnecki stał już w przedpokoju w pełnym rynsztunku. Zerwał się z sofy i zniesmaczony swoim zachowaniem pospiesznie podszedł do inspektora, wcześniej zabierając jego telefon z szuflady. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i wymienili się spojrzeniami. Nie musieli nic dodawać, bo choć dzieliło ich niemal wszystko, rozumieli się bez słów. Chwilę później Czarnecki poprawił kaszkiet, skinął porozumiewawczo i wyszedł.

Komisarz został sam i po raz pierwszy w życiu poczuł się z tym źle. Niechętnie spojrzął na zegarek. Miał niecałe dwie godziny. Zerknął przez okno. Tajniacy nie zmienili swojej pozycji, jakby przyrosli do siedzeń, może z tą różnicą, że teraz znudzonym spojrzeniem odprowadzali kroczącego do zaparkowanego po drugiej stronie ulicy samochodu komendanta. Brudny cmoknął i skierował się do sypialni. Usiadł na łóżku i otworzył szufladę. Sięgnął po połyskującego walthera. Przez dłuższą chwilę ważył go w dłoni, zastanawiając się, czy odnajdzie w sobie siłę, aby po raz ostatni zmierzyć się z demonami przeszłości. Ale czy na pewno po raz ostatni? Zarechotał nerwowo. Miał wrażenie, że to nigdy się nie skończy, a on, niczym kukielka w rękach lalkarza, wiecznie będzie tańczył w rytm muzyki granej przez Gwidonę i pozostałe kreatury z przeklętego klasztoru sióstr hieronimek. Pomyślał, że to wszystko brzmi jak jakaś pierdolona groteska, po czym odłożył pistolet do szuflady i podniósł się z łóżka. Wtedy coś w nim pękło i grzmotnął pięścią w ścianę.

Raz, drugi, trzeci. Chciał, żeby bolało. Kłął i uderzał z taką siłą, że zdarł sobie skórę, plamiąc ścianę krwią z poranionych knykci. W końcu opadł z sił i oparł głowę o ścianę, a potem osunął się na podłogę i schował twarz w dłoniach. Z letargu wyrwał go dźwięk dzwonka do drzwi.

Brudny spojrzął na zegarek. Gdzie podziały się ostatnie prawie dwie godziny? Nie miał czasu zastanawiać się nad tak głupim pytaniem. Zerwał się na nogi, gdy dzwonek rozległ się pod raz drugi, tym razem bardziej nachalnie. O tej porze mógł spodziewać się tylko jednego gościa.

– Moment! – krzyknął i podszedł do szafki nocnej.

Wyciągnął walthera i wsadził go sobie za pasek. Natarczywy dźwięk umilkł, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, że jeśli zaraz nie otworzy, to zabrzmi po raz kolejny. W drodze do drzwi zahaczył jeszcze o łazienkę, gdzie szybko obmył twarz zimną wodą. Przelotne spojrzenie na własne odbicie nie dodało mu pewności siebie. Wyglądał jak zdjęty z krzyża, co gorsza, tak naprawdę wciąż nie podjął ostatecznej decyzji. I to drażniło go najbardziej.

– Komisarzu Brudny! – rozległ się tubalny głos. – Czy wszystko w porządku? Jeśli pan...

– Idę! – odparował i spojrzawszy na siebie surowo po raz ostatni, ruszył w kierunku drzwi wejściowych. Na wszelki wypadek zerknął przez wizjer. Ujrzał dwóch roślących drabów w garniturach i na pewno nie byli to ci sami, których widział wcześniej pod domem. Przekręcił zamek i otworzył. – Jesteście przed czasem – mruknął, zerkając im przez ramię. W świetle latarni dostrzegł, że przy wjeździe stoi czarne audi A8. Bez wątpienia ci dwaj byli co najwyżej chłopcami na posyłki. – Wchodzicie czy czekacie na specjalne zaproszenie? – zapytał, próbując zachować obojętny ton.

– Pan komisarz pójdzie z nami – odparł niższy. Miał nieco zbyt młodzieżową bródkę, ale zasadniczo sprawiał wrażenie faceta, z którym lepiej nie dyskutować.

– Na ciepłe paczki was nie namówię, co?

– Nie jadamy paczków.

– Tak myślałem.

Komisarz ściągnął z wieszaka płaszcz i ruszył za facetem z bródką. Drugi z mężczyzn, starszy i potężniejszy od kompana, przepuścił go i zajął pozycję za jego plecami. Po chwili byli już przy samochodzie, który dopiero teraz nabrał realnych kształtów. Pojazd przypominał mały czołg. Audi A8 L Security było większe od standardowych modeli, masywniejsze i budziło respekt. Zwykle jeździli nim premier i najważniejsi ministrowie, gdyż wyposażono je w system zabezpieczeń pozwalający bez problemu wytrzymać serię z kałasznikowa, a nawet eksplozję mniejszego ładunku wybuchowego czy ostrzał z ręcznego granatnika. Nigdy nawet nie przeszło mu przez myśl, że kiedyś znajdzie się w środku takiej maszyny. Cała ta sytuacja wydała mu się jeszcze bardziej irracjonalna, gdy facet z bródką otworzył drzwi i gestem zaprosił go do zajęcia miejsca. Pomyślał, że nie rozegrał tego najlepiej, ale nie było już odwrotu i wyjąwszy z wewnętrznej kieszeni płaszcz paczkę papierosów, wsiadł do środka.

Kiedy drzwi za Brudnym się zamknęły, poczuł się nieswojo. Gdy zdał sobie sprawę, że nikt nawet nie raczył go zapytać, czy jest uzbrojony, zaniepokojenie przybrało na sile. Pomyślał, że właśnie wkroczył na wyjątkowo grząski teren i każdy kolejny krok może być równoznaczny z wejściem w sam środek bagna. W końcu przeniósł wzrok na jedyne go znajdującego się w pojeździe pasażera. Siedzący obok mężczyzna był skryty w półmroku, a na jego twarzy odbijała się niebieskawa poświata z zamontowanego pomiędzy przednimi fotelami ciekłokrystalicznego ekranu. Nie malowały się na niej żadne emocje, oblicze nieznajomego było

surowe i zimne niczym perfekcyjnie wykonany odlew z gipsu. Gdy mężczyzna przekręcił głowę i spojrzał mu w oczy, komisarz zmarszczył brwi, a chwilę później po plecach przemknął mu lodowaty dreszcz.

– Dobry wieczór, komisarzu Brudny – przywitał się mężczyzna, a w Brudnym momentalnie się wszystko zagotowało. Znał to spojrzenie. I ten głos.

Instynktownie sięgnął po broń i błyskawicznie wycelował ją w twarz rozmówcy. Ten nawet nie drgnął. Siedział bez ruchu, jakby reakcja komisarza nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Ani na chwilę nie stracił z nim kontaktu wzrokowego.

– Proszę schować pistolet – mruknął w końcu, po czym powolnym ruchem sięgnął po stojącą w lodzie butelkę Jamesona. – Dwunastoletnia, podobno bardzo rzadka i droga, ale moi mocodawcy potrafią docenić przyjaciół. Jestem prawie pewny, że pan gustuje w tym trunku, komisarzu Brudny, mam rację? – dodał, zalewając szklaneczkę z lodem.

– A ja jestem prawie pewny, że już kiedyś się spotkaliśmy...

– Owszem, spotkaliśmy się.

– Dlaczego więc nie mam ci w tej chwili rozpierdolić tego kwadratowego łba?

– Bo nic pan na tym nie zyska.

– Może wydaje ci się, że mnie znasz, ale gównie o mnie wiesz.

Mężczyzna uniósł szklankę z trunkiem.

– Proszę się nie wygłupiać, komisarzu Brudny – rzekł spokojnie. – Obaj jesteśmy profesjonalistami i wykonujemy naszą robotę, jak umiemy najlepiej. Pan ściga tych złych i się z nimi rozprawia, a ja zajmuję się tymi, którymi trzeba, aby ten śmieszny kraj mógł jako tako funkcjonować. Wbrew pozorom niewiele nas różni.

– Różni nas dokładnie wszystko.

– Tak się panu tylko wydaje. A teraz proszę opuścić pistolet, bo moja cierpliwość też ma swoje granice.

Mężczyzna odstawił szklankę w przeznaczoną na to wnękę po stronie Brudnego i wbił w rozmówcę lodowate spojrzenie. Igor z trudem przełknął ślinę, a potem powoli opuścił broń. Miał chwilę, aby przeanalizować sytuację, i pożałował swojego zachowania. Oczywiście było, że nie pociągnie za spust, i ten facet też o tym wiedział. Pomyślał, żeby po prostu opuścić samochód, ale taka opcja też raczej nie wchodziła w grę. Kałużyński był bardziej przebiegły, niż zakładał, i komisarz przyjął to jako

nauczkę na przyszłość. Najwyraźniej ci ludzie nie byli takimi idiotami i opóźnionych w rozwoju grali tylko przed kamerami.

Brudny odczekał jeszcze kilka sekund, aby ochłonąć z najsilniejszych emocji. Wcisnął broń za pasek i sięgnął do płaszcza po paczkę papierosów. Mężczyzna nie zaproponował, zamiast tego wyciągnął zapalniczkę i z subtelnym zgrzytem zapalił. Komisarz pomyślał, że musi zacząć działać pragmatycznie, i przyjął ten gest jako dowód chwilowego rozejmu. Zaciągnął się i wnętrze samochodu wypełniła chmura białego dymu.

– Czego ode mnie chcecie? – wycedził przez zęby.

– Powiedzmy, że małej przysługi. No... – zrobił krótką pauzę – ...może kilku małych przysług.

– Przysługi? – zapytał, wykrzywiając usta w podkowę. – Twojemu szefowi coś się chyba we łbie popierdoliło.

– Panu Kałużyńskiemu nic się we łbie nie popierdoliło – odparł oschle mężczyzna.

– Jeśli jest na tyle bezczelny, żeby przysyłać do mnie akurat ciebie, to nie widzę innej opcji. Co tam się wydarzyło? Co sprawiło, że posunął się do takiego skurwysyństwa?

– Nadinterpretuje pan zaistniałe okoliczności. Ale może skończmy te podchody i przejdźmy do rzeczy.

Brudny z niedowierzaniem pokręcił głową. Makiawelizm tej sytuacji był doprawdy absurdalny. Pomyślał, że Kałużyński albo jest wyjątkowo głupi, albo nieprzeciętnie sprytny. Z jego punktu widzenia obie możliwości nie wyglądały dobrze. Zaciągnął się i skinął mężczyźnie na znak, żeby kontynuował.

– Państwo polskie potrzebuje pana pomocy, komisarzu Brudny.

– Państwo polskie? – powtórzył Brudny z nutą drwiny w głosie.

– Małostkowość cechuje ludzi, do których pan się nie zalicza, jak mniemam.

Komisarz wypuścił dym nosem. Przez dłuższą chwilę obaj mężczyźni mierzyli się spojrzeniami, w końcu Brudny zasygnalizował, że przyjmuje do wiadomości słowa rozmówcy.

– Chcecie, żebym wam pomógł – mruknął. – No okej, w mojej ocenie brzmi to absurdalnie, ale niech będzie. Tylko pomyśleliście, że ja niekoniecznie mogę chcieć wam pomóc? – Brudny mocno zaakcentował słowo „wam”.

– Pan Kałużyński ocenił sytuację zgoła inaczej.

– Kałużyńskiego otacza grono wazeliniarzy, którzy na każdym kroku wciskają mu się w dupę, więc mógł nieco stracić kontakt z rzeczywistością. Przysłanie tu ciebie tylko to potwierdza.

– Rozmawialiśmy już o małości takiej dyskusji i po raz ostatni sugeruję, abyśmy zrezygnowali z tego typu kąśliwych uwag. – W tonie mężczyzny zabrzmiała groźna nuta. Brudny odchrząknął.

– Jak chcecie zmusić mnie do współpracy, jeśli odmówię? – zapytał, siląc się na obojętny ton.

– Nikt nie ma zamiaru pana do niczego zmuszać, komisarzu Brudny. Powiedzmy, że w tego typu sytuacjach mamy bardziej wysublimowane sposoby, aby zachęcić do współpracy.

– Tak jak ostatnio? Znów zagroziysz, że zgwałcisz i zamordujesz moją partnerkę, a potem to samo zrobisz z moją bratanicą?

Brudny próbował utrzymać nerwy na wodzy, ale wspomnienie spotkania z zamaskowanym bandytą w jednym z opuszczonych magazynów na warszawskiej Pradze wciąż było jak żywe. Wtedy zrozumiał, że musi wyhamować, bo pewnych rzeczy jednak nie przeskoczy. Nie mógł narażać zdrowia i życia najbliższych, w związku z czym ostatecznie odpuścił synowi wiceministra spraw wewnętrznych i administracji Jarosławowi Czabańskiemu, choć nie miał najmniejszych wątpliwości, że to właśnie on zgwałcił, a następnie udusił Karolinę Pisz w toalecie „Pasji”.

– Zapewne nie uwierzy mi pan, że blefowałem – odparł mężczyzna. – Nawet tacy jak ja mają pewien system wartości. Człowiek musi mieć jakieś zasady, w innym wypadku przestaje być człowiekiem. I gwarantuję panu, że nie skrzywdziłbym pana bratanicy, ale...

– Zawsze jest jakieś ale, co?

– Powiedzmy, że w tej pracy liczy się skuteczność, a ja potrafię być przekonujący.

– Ta rozmowa nie ma sensu.

– Jestem przeciwnego zdania.

– Kundle na smyczy politycznych bandytów nie mają prawa do własnego zdania.

– Zapomina się pan, komisarzu Brudny. – Tym razem kilka mięśni na kamiennym obliczu delikatnie drgnęło, ale chwilę później twarz rozmówcy znów przybrała pokerowy wyraz. – Ale dobrze... – Mężczyzna sięgnął po butelkę i nalał whisky do drugiej szklanki. – Chce pan porozmawiać o polityce? Proszę bardzo. Jeśli mamy współpracować, powinien pan

posiąść choćby podstawową wiedzę na temat tego, z czym przyjdzie się panu zmierzyć.

Mężczyzna podał Brudnemu alkohol. Komisarz przez chwilę wahał się, ale ostatecznie przyjął podarunek z rąk mężczyzny. Od kilku minut dałby się pokroić za łyk czegokolwiek, najlepiej wody, ale dwunastoletni Jameson też nie należał do napojów, którymi śmiałyby wzgardzić.

– Proszę pytać, komisarzu Brudny – zachęcił go mężczyzna.

– Jak się nazywasz?

– Może pan zwracać się do mnie per Dariusz.

Brudny upił łyk i poczuł przyjemne łaskotanie w gardle. Whisky miała dokładnie taki smak, jaki lubił najbardziej. Wyrazisty i mocny, choć na pewno szlachetniejszy od trunków, które pijał na co dzień. Alkohol sprawił, że nieco się rozluźnił. Zaciągnął się i zmrużył oczy.

– Dlaczego Kałuziński wysłał do mnie akurat ciebie? – zapytał, wypuszczając dym.

– Uznał, że najlepiej nadają się do tego zadania.

– To nie jest odpowiedź na postawione pytanie.

– Ale musi wystarczyć.

Do tej pory Brudny uważał się za eksperta od przesłuchań, ale nigdy nie był uczony technik wyciągania informacji od ludzi silnie umocowanych w służbach specjalnych. Facet z pewnością potrafił panować nad swoim organizmem w sposób ponadprzeciętny, nieobca była mu modulacja głosu czy wszelakie techniki mające na celu oszukanie przeciwnika. Fakt, że jego twarz wciąż kryła się w półmroku, dodatkowo utrudniał nawiązanie bezpośredniego kontaktu. Komisarz nie czuł się w tej sytuacji komfortowo, ale postanowił, że wyciągnie z faceta, ile się da, a później w spokoju przeanalizuje każde słowo czy gest i być może uda mu się na tej podstawie stworzyć profil człowieka i wysnuć jakieś w miarę sensowne wnioski w sprawie całej tej maskarady.

– Dlaczego nie możecie namierzyć Sędziego?

– Jest ponadprzeciętnie dobry, wręcz wybitny. Posługuje się oprogramowaniem dla służb, które prawdopodobnie dodatkowo osobiście zmodyfikował. Być może korzysta także z innych. To geniusz.

– Pegasus?

– To informacja ściśle tajna.

– Czy macie listę podejrzanych?

– Tak.

– Po co więc wam moja pomoc?
– Lista jest długa, poza tym w naszej ocenie niepełna. Do niedawna nie braliśmy pod uwagę, że sprawcą może być ktoś wywodzący się z placówki w Zaborze.

– Dlaczego uważacie, że tak właśnie może być?
– Wiadomość pozostawiona przy zwłokach Kryszaka nie pozostawia wątpliwości, że istnieje koincydencja. Według nas poszukiwany zna pana osobiście.

– Albo przykleił się do tematu, bo nasłuchał się o mnie w telewizji. Czy to nie brzmi bardziej wiarygodnie niż fakt, że facet wychowany w domu dziecka po latach mści się na swoim oprawcy i przy okazji rucha w dupę nie jego, tylko wszystkie służby?

– Bierzemy taką możliwość pod uwagę, ale nie uważam, żeby wspomniana wyżej hipoteza była mniej prawdopodobna. Pan jest przykładem, że takie placówki potrafią wypuścić w świat jednostki absolutnie wybitne.

Brudny uniósł brew zaskoczony. Zabrzmiało to jak komplement, którego się nie spodziewał. Taktyka? Nie podejrzewał, żeby ten facet posuwał się do tego typu żalonych zagrywek, ale zdążył się nauczyć, że życie potrafi pisać najbardziej zaskakujące scenariusze. Pierwszym z brzegu dowodem była jego obecność w samochodzie należącym do koordynatora służb specjalnych, w dodatku w odległości kilkudziesięciu centymetrów od człowieka, który jeszcze rok temu omal nie zatłukł go na śmierć.

– Trochę mało, aby taką hipotezę brać na serio – podjął.
– Co innego, jeśli jest ona poparta operacyjnie pozyskanymi informacjami.

– Jakie to informacje?
– Ściśle tajne.
– Tak daleko nie zajedziemy.
– Przekazuję panu takie informacje, do jakich zostałem upoważniony.

Komisarz upił łyk i strząsnął nadmiar tytoniu do wmontowanej przy minilodówce podświetlanej popielniczki. Trudno było rozmawiać z człowiekiem, który w każdej chwili może zasłonić się tajemnicą państwową.

– Wiedzieliście o wszystkich przewinach Kryszaka?
– Nie wszystkich.
– Mam na myśli te, na które dowody przedstawił Sędzia.

– Większość to materiały służb.
– Czyli wiedzieliście i nic z tym nie robiliście... – Brudny zacisnął nerwowo zęby. Starał się zapanować nad emocjami, ale takie informacje sprawiały, że od razu się w środku gotował.

– Taka jest polityka, komisarzu Brudny – odparł ze stoickim spokojem Dariusz. – Jeśli to pana pocieszy, to poprzednie władze też o tym wiedziały. W tym kraju Kościół to wciąż najpoważniejszy gracz i nikt nie chce z nim zadzierać, jeśli nie planuje w trybie natychmiastowym stracić władzy.

– To kpina z... – Brudny zacisnął nerwowo zęby.

– Taki mamy klimat w tym naszym polskim, prząśnym grajdole. I jeszcze długo nic tego nie zmieni.

Brudnemu przeszło przez myśl, żeby zapytać tego faceta, czy codziennie rano nie pluje w swoje lustrzane odbicie, ale uznał, że po pierwsze to raczej nie ten adres, a po drugie lepiej nie przeciągać struny.

– Wiedzieliście, że kiedyś odwiedzał klasztor prowadzony przez Gwidonę? – kontynuował.

– Tak, ale wtedy jeszcze ubecja nie była nim specjalnie zainteresowana – odparł Dariusz. – Co innego samą placówką, bo jak pan zapewne dobrze wie, matka przełożona nie zapraszała do klasztoru jedynie osób duchownych.

Brudny przytaknął. Gośćmi Gwidony nie byli tylko księża, ale właściwie każdy pedofil mający wystarczająco dużo pieniędzy i władzy, aby bezkarnie realizować swoje zwyrodniałe fantazje. Przedstawiciele komunistycznych władz i jej wysoko postawieni klakierzy mieli ich pod dostatkiem i choć byli w mniejszości, to przez okres tych kilkunastu lat, jakie pamiętał, przez sierociniec przewinęło się całkiem sporo ludzi ze świata polityki, czy po prostu dobrze umocowanych partyjniaków. Jeden z nich, zresztą były prokurator, do tej pory udzielał się publicznie, a żeby było śmieszniej, całkiem niedawno został odkopany z niebytu przez obecną władzę, która wcisnęła go do nowo powstałej Izby Dyscyplinarnej, której głównym zadaniem było karać niepokornych sędziów.

Dariusz upił łyk whisky i wyciągnąwszy chusteczkę z wewnętrznej kieszeni marynarki, delikatnie wytarł usta. Kontynuował:

– Niestety, z oczywistych względów wszystkie dokumenty dotyczące tego, co działo się w klasztorze przed osiemdziesiątym dziewiątym, zostały zniszczone. Gwidona była skrupulatna i zapisywała każdą wizytę, każde nazwisko i każdy zarobiony grosz. Nikt nie chciał ryzykować i zanim

komuniści w końcu oddali władzę, ubecja przycisnęła ją, aby wydała całą dokumentację. Dogadali się i temat prawdopodobnie nigdy nie ujrzałby światła dziennego, gdyby nie ta historia z pana bratem i śledztwo, w które pan się zaangażował. W każdym razie po zmianie ustroju temat sierocińca zszedł na dalszy plan, bo w państwie działały się sprawy poważniejsze niż...

– Niż zorganizowany na ogromną skalę proceder gwałcenia małych chłopców i dziewcząt? Niż mordowanie zrodzonych z tych gwałtów noworodków?

Mężczyzna westchnął z niesmakiem. Było w tym coś ludzkiego i Brudny odniósł wrażenie, że Dariusz nie do końca umiejętnie ukrywa rzeczywistą niechęć do całej sprawy. Nic to jednak nie zmieniało w ocenie tego człowieka.

– Temat zniknął z radarów służb i przez długi czas nie wracał. – Dariusz zignorował wtrącenie Brudnego. – Wyłynął kilka lat później, gdy na scenie pojawił się Kryszak. To już były jednak inne czasy, a Kościół stał się synonimem wolności i władza nie mogła zbyt mocno naciskać ani Gwidony, ani stojących za nią murem biskupów, którzy pilnowali tajemnicy sierocińca jak oka w głowie. Dzięki pracy operacyjnej weszliśmy jednak w posiadanie informacji poświadczających, że w latach pomiędzy tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim i tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym przynajmniej kilkunastokrotnie odwiedził placówkę w Zaborze. Czy pan potwierdza te doniesienia?

– Był jednym z najgorszych zwyrodnialców.

– Zatem podczas swoich wizyt musiał zrobić sobie wielu wrogów...

– Myślę, że wszyscy wychowankowie, którzy wyszli z tego przekłętego klasztoru, mogliby podpisać się pod takim stwierdzeniem. Włącznie... – Brudny ugryzł się w język. Musiał bardzo, ale to bardzo się pilnować. Dariusz najwyraźniej dokończył w myślach słowa, które ugrzęzły w gardle komisarza, bo tylko nieznacznie się uśmiechnął.

– I w tym właśnie problem, bo gdy w osiemdziesiątym dziewiątym w szybkich abcugach palono stosy papierów matki przełożonej, nikt nie bawił się w ich segregowanie i wiele z tych dotyczących wychowanków, którzy opuścili placówkę przed osiemdziesiątym dziewiątym, też spłonęło. A że sporo z nich później zmieniło dane osobowe, powstała duża biała plama.

– Brzmi, jakby w Polsce hulala cała armia duchów.

– Większość to patologia, duża część pewnie nie żyje albo wyjechała z kraju, ale kilku, może kilkunastu, wciąż może funkcjonować w społeczeństwie. I jak sam pan zauważył, są jak duchy, po tylu latach praktycznie niemożliwi do wyśledzenia.

– I dlatego potrzebujecie mnie...

Brudny zaciągnął się i odchylił głowę. To, co mówił Dariusz, miało sens. Całe to palenie dokumentów musiało nastąpić krótko po tym, jak Gwidona wysłała go na inicjację. Gdy zepchnął tamtego księdza ze schodów, zrobiła się straszliwa afera. Jak przez mgłę pamiętał, że do placówki zaczęli przychodzić różni dziwni ludzie w mundurach, ale nie budziło to specjalnych podejrzeń wśród wychowanków, bo wszyscy zgodnie zakładali, że to milicja. Miał wtedy osiem lat, ale był już na tyle świadomy, żeby rozumieć pewne sprawy. Nie potrafił jednak odróżnić ubeka od gliniarza, zwłaszcza że był to czas, gdy ci pierwsi zaczęli przenikać do nowo tworzonej policji, głównie pionów kryminalnych, a do tego nie pamiętał, żeby któregokolwiek z wychowanków brano na spytki.

– Nie jestem jedyny, który wyszedł z tego piekła. Bez problemu znajdziecie przynajmniej kilkudziesięciu innych wychowanków hieronimek, których papiery się zachowały.

– Od rana ich szukamy, ale większość to prostytutki i złodzieje. Pierwsze protokoły z przesłuchań sugerują, że ci ludzie powiedzą wszystko, aby tylko dać im spokój, przez co są kompletnie niewiarygodni. Ich zeznania często całkowicie się wykluczają.

– Zakładam, że macie swoje sposoby, aby wyciągnąć z nich prawdę...

– Polska to może państwo teoretyczne, ale nie jesteśmy jeszcze krajem Trzeciego Świata. Poza tym jeśli chodzi o tych ludzi, nawet bardziej wysublimowane metody pozyskiwania informacji nie działają, bo oni najczęściej albo wyparli ponure wspomnienia, albo przez lata życia na krawędzi ich mózg zamienił się w ser szwajcarski.

– Skąd założenie, że i ja nie wyparłem tych wspomnień? Miałem wtedy zaledwie kilka lat...

– To pan prowadził tu kilka śledztw mających swoje źródła właśnie w sierocińcu, prawda? I to pan je wszystkie rozwiązał.

– Co nie znaczy, że po imieniu i nazwisku znam tych, o których pytacie. Oni byli wtedy nastolatkami...

– Owszem. Mimo wszystko wiadomość od Sędziego została skierowana właśnie do pana...

Brudny opróżnił szklanekę z whisky i odstawił ją na miejsce. Zgasił niedopałek. Przez chwilę zastanawiał się nad następnym krokiem. Zerknął na ekran wbudowanego komputera, na którym wisiało logo Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego – orzeł w koronie siedzący na grafice przedstawiającej Polskę. Do tej pory o służbach specjalnych nie miał aż tak złego zdania jak o tych, którym one podlegają, ale teraz już kompletnie nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Może ten facet tylko udawał, że jest z ABW? Równie dobrze mógł należeć do Agencji Wywiadu, Służby Wywiadu lub Kontrwywiadu Wojskowego, co gorsza mógł być zwykłym zbirzem podnajętym przez polski rząd do załatwiania spraw, którymi nie wypadało zajmować się oficjalnym jednostkom administracji państwowej. Ten facet mógł być dokładnie tym, kim akurat zapragnął być w tej chwili, i na sto procent miał licencję na zabijanie. A jednak nawet taki Dariusz pofatygował się, aby uprzejmie prosić go o pomoc. To brzmiało kompletnie surrealistycznie i Brudny zastanawiał się, gdzie jest haczyk.

Z powrotem przeniósł wzrok na mężczyznę. Przez dłuższą chwilę obaj mierzyli się spojrzeniami. O dziwo Brudny nie czuł się zagrożony i też nie wiedział, co o tym sądzić. Poza pierwszą reakcją, gdy wyciągnął broń i przystawił facetowi do twarzy, jego instynkt samozachowawczy nie zaalarmował go ani razu. Jakby został uśpiony. Jakby ten gość miał jakąś tajemną moc wprowadzania rozmówcy w stan podobny do lekkiej hipnozy. Może tak właśnie to sobie wykombinował? Może chciał uśpić jego czujność? Pomyślał, że wchodzenie w jakiegokolwiek układy z tym człowiekiem to igranie z ogniem.

– Kim ty w ogóle jesteś, bo ta maskarada z bijącym po oczach logo ABW wygląda co najwyżej komicznie. – Brudny postanowił zagrać *va banque*.

– Jak to mówią, gdybym panu powiedział, to musiałbym pana zabić. A mam taką zasadę, że nie zabijam ludzi, z którymi planuję zacząć współpracę.

– No tak... – Brudny wyciągnął z paczki kolejnego papierosa. Tym razem przypalił go sam. Zaciągnął się głęboko. – Ja za to mam taką zasadę, że nie współpracuję z ludźmi, którym nie ufam. Poza tym kiedyś uświadomiłeś mi, że to nie moja liga. A ja nie gram, gdy wiem, że nie mam szans na zwycięstwo.

– W tej grze może pan tylko wygrać.

– Zaczynamy popadać w groteskę.

– Mam na ten temat odmienne zdanie.

Brudny westchnął. Nie miał czego tu szukać. Facet uparł się, aby go przekonać do rzeczy, do której przekonać go nie mógł. Niepotrzebnie w ogóle dał Kałużyńskiemu nadzieję, którą ten mały chujek najwyraźniej odebrał jako zgodę na współpracę. To było nieprzemyślane i głupie. Zaciągnął się i wpatrując się w przednią szybę, wypuścił dym nosem. W końcu przeniósł wzrok na Dariusza.

– Może jednak skończmy to pierdolenie i rozejdźmy się każdy w swoją stronę – zaproponował. – Naprawdę nie mam pojęcia, jak miałbym wam pomóc. Nie znam się na hakerce, a historie z tak dalekiej przeszłości wyparłem na tyle, na ile to możliwe. Jestem tylko zwykłym gliną, który łapie bandytów, a nie tajnym agentem Jej Królewskiej Mości. Do tego nie znoszę tej władzy, gardzę Kałużyńskim i bandą tych wszystkich cynicznych gnojków, którzy pchają ten kraj ku upadkowi. Tak naprawdę mam nadzieję, że cała ta sprawa z zabójstwem Kryszaka doprowadzi do obalenia tego skurwiałego rządu, a wszyscy złodzieje w końcu zostaną rozliczeni.

– Mimo wszystko myślę, że uda mi się pana przekonać, komisarzu Brudny.

– Jeśli to groźba, to patrz wyżej. Mogłeś mnie zmusić, abym czegoś nie robił, ale jak chcesz mnie zmotywować, żebym dopadł zwyrodnialca, któremu de facto kibicuję?

– Nie docenia mnie pan, komisarzu. I jestem prawie pewny, że mam coś, co pana przekona do zmiany zdania. Czy mogę przedstawić ofertę?

Brudny ciężko westchnął i bezradnie rozłożył ręce. Uznał, że nie ma innego wyjścia i musi faceta wysłuchać, a gdy ten ostatecznie wystrzela się z argumentów, w końcu zrozumie, że ta współpraca jest po prostu nierealna. Musiał też uczciwie przyznać, że zżerała go ciekawość, bo w tym wypadku Dariusz groźbą rzeczywiście nic by nie wskórał. Musiał go przekonać, a skoro był taki pewny siebie, propozycja musiała być co najmniej interesująca.

Gdy agent rozlewał następną porcję whisky, a Brudny z każdym kolejnym wypowiedzianym przez niego zdaniem czuł, jak jego opór konsekwentnie topnieje, w Warszawie pewna szanowana kobieta właśnie przekroczyła próg swojego luksusowego apartamentu. Jednego z wielu, bo w złotych czasach dzikiej reprivatyzacji bez skrupułów wykorzystywała dziurę w prawie i bogaciła się na potęgę. Doskonale wiedziała, że to, co robi, jest złe i choć miała do dyspozycji wszystkie narzędzia, aby zaprzestać

wywłaszczania kolejnych rodzin, z pełną premedytacją przymykała oko na przestępczą działalność bandytów w białych kołnierzykach, a ponieważ wysokich rangą sędziów i polityków w tym kraju nikt nie skazuje, bez większych problemów wywinęła się sprawiedliwości. W tym przeświadczeniu wygodnie żyła do dziś, nawet nie podejrzewając, że jest w błędzie, a sprawiedliwość jednak się o nią upomni. I to już tej nocy.

ROZDZIAŁ 10

W mieście wrzało.

Kolejne marsze zwalczających się grup wyborców, pikiety, ataki na kościoły, akty wandalizmu, a nawet próba podpalenia siedziby lokalnych władz partii rządzącej – to wszystko i tak było niczym w porównaniu z tym, co działo się w większych miastach, głównie w Warszawie, gdzie doszło do najpoważniejszych starć obywateli z policją. Zawadzka nie oglądała relacji telewizyjnych, bo miała furę roboty, ale dwukrotnie dzwoniła się z byłymi kolegami, którzy opowiedzieli jej, że sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli. Kulminacyjnym punktem tego szalonego dnia okazała się akcja pod posesją zdyskredytowanego Czesława Broziaka. Adres wciąż jeszcze aktualnego ministra sprawiedliwości został przez rozjuszonych obywateli namierzony błyskawicznie i pod jego domem zebrał się tłum narodowców wspierany przez najbardziej zagorzałych widzów Trójcy Świętej TV. Zaczęło się od obraźliwych okrzyków i oskarżeń o bezpośredni udział w zamordowaniu Kryszaka. Stosunkowo szybko na miejscu pojawiło się kilka radiowozów i funkcjonariusze zabezpieczyli teren posesji, ale wobec ogromnych problemów w centrum stolicy i związanych z tym braków kadrowych ich liczba okazała się niewystarczająca. Tłum gęstniał, nienawiść do Broziaka podsycana przez agresywnych liderów narodowców rosła, w końcu w kierunku policjantów poleciały pierwsze kamienie.

– Co za ironia, nie? – zauważyła Kama, jej koleżanka za stołecznej, gdy dzwoniły się chwilę wcześniej. – Broziak miał pełne gacie. Był kompletnie przerażony. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie, których przez lata wspierał milionami z budżetu państwa, teraz chcieli go rozszarpać na strzępy.

– A ty nie ucierpiałaś? – pytała Julka.

– Mam kilka siniaków, ale przeżyję. Ale było na tyle grubo, że musieli nam przysłać wsparcie. W końcu chłopaki pogoniły ich armatkami wodnymi, ale niewiele brakowało. W każdym razie Broziak nie ma już życia w tym kraju. Jego elektorat mu nie wybaczy.

- Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.
- Otóż to. A co u ciebie? To prawda, że znaleźli u was ciało Kryszaka?

Sprawy oczywiście nie udało się zachować w tajemnicy. Jeszcze przed południem w internecie zaczęły pojawiać się pierwsze informacje o odnalezionych w Zaborze zwęglonych zwłokach. Na miejsce zjechały się tabuny dziennikarzy z całego kraju, które następnie zaczęły oblegać komendę, jakby to lokalna policja miała na ten temat najwięcej do powiedzenia. Szybko ustalono, że przeciek musiał być precyzyjnie zaplanowany, bo newsy zaczęły pączkować niezależnie od siebie niemal we wszystkich ważniejszych mediach i zawierały wiele detali, których tak szybko dziennikarze nie mogli ustalić. Założono, że wyszedł od samego Sędziego i to chyba była najbardziej prawdopodobna hipoteza, ale do tej pory nikt jej oficjalnie nie potwierdził. Co gorsza, przed godziną gruchnęła wiadomość, że w sprawę zaangażował się sam Igor Brudny, który niejako został przez Sędziego zaproszony poprzez pozostawioną na miejscu porzucenia zwłok wiadomość zawierającą pozdrowienia dla Krzysztofa N. Sprawa sierocińca została już w mediach przemaglowana tak wiele razy, że wszyscy zainteresowani tematem wiedzieli o jego poprzednich danych osobowych i nikt nie miał wątpliwości, że chodzi właśnie o komisarza. Z trudem powstrzymywała się więc przez wykręceniem numeru do partnera, gdy wracała do domu. Fakt, że został wmanewrowany przez Sędziego w ten cały burdel, to jedno, ale że ostatecznie przyjął propozycję współpracy z Kałużyńskim, w jej ocenie nie było już takie oczywiste, bo minister spraw wewnętrznych i administracji należał do wąskiego grona najbardziej znienawidzonych przez Brudnego polityków partii rządzącej. Co innego przeczucie...

Rzuciła klucze na komodę i ściągnęła płaszcz. Buty postawiła przy grzejniku, a czapkę i szalik położyła na szafce obok. Była skonana i bardzo głodna, więc z satysfakcją wciągnęła charakterystyczny zapach jej ulubionej pizzy z pepperoni. Rzuciła Brudnemu krótkie „cześć” i od razu skierowała się do lodówki, z której wyjęła dwie butelki zimnego piwa. Wręczyła mu jedną i usiadła obok.

– Ledwo zipię. – Westchnęła i upiła łyk, a potem otworzyła pudełko ze swoją pizzą. Może nie była zbyt ciepła, ale nie straciła jeszcze całej temperatury. Wgryzła się w pierwszy kawałek i przez chwilę łapczywie przeżuwała. – W mieście jest piekło. Tych ludzi kompletnie popierdoliło –

powiedziała, zanim znów ugryzła pizzę. – Nie oglądasz wiadomości? – dodała, sięgając po pilota.

– Mam robotę – odparł Brudny, nie podnosząc wzroku znad laptopa. Julka zapuściła żurawia i zerknęła w ekran.

– Tę robotę, o której już mówi cała Polska? – zapytała z pełnymi ustami.

– Kto mówi?

– Naprawdę nie wiesz? Cały Igor Brudny... – Włączyła pierwszy z brzegu kanał informacyjny. – No to masz, proszę bardzo. Pooglądaj sobie.

Brudny przeniósł wzrok na telewizor. Przez kilkadziesiąt sekund oglądał w milczeniu dyskusję dwóch prezenterów, którzy przypominali historię jego dzieciństwa w klasztorze siostr hieronimek. W tle wisiało jego zdjęcie z legitymacji służbowej.

– Kto puścił to do mediów?

– Naprawdę nic nie wiesz?

– Nie.

– Ja w sumie też nie wiem, kto dokładnie. Pewnie Sędzia. Sprawa tej wiadomości z pozdrowieniami wypłynęła jakąś godzinę temu, może dwie.

– Dlaczego twierdzą, że będę brał udział w tym cyrku?

– A nie będziesz?

– Kurwa mać... – Brudny sięgnął po piwo i wypił duszkiem pół butelki. Odstawił resztę na ławę i przeczesał dłonią włosy. Nie wyglądały na zdrowe i domagały się fryzjera, którego w ostatnim czasie unikał z niewiadomych względów. Zapalił i spojrzał na wpychającą sobie do ust kolejny kawałek pizzy partnerkę. Miała lekko uniesione brwi, jakby cały czas czekała na odpowiedź. – Tak, wziąłem tę robotę – przyznał w końcu. – I już zaczynam tego żałować...

– Tak czułam – skomentowała Zawadzka. – Ty nie jesteś w stanie usiedzieć na dupie. Coś przynajmniej wynegocjowałeś? Jakies nowe autko albo wakacje na Bora-Bora?

– Nie kpij, Julka.

– Tak tylko pytam, bo z własnej, nieprzymuszonej woli właśnie wskoczyłeś do szamba i jakkolwiek ta sprawa się zakończy, smród po tej kąpieli będzie się za tobą ciągnął latami, jeśli nie aż po grób.

– Wystawili mi młodego Czabańskiego – mruknął i ponownie sięgnął po butelkę. Zawadzka przestała przeżuwać, zastygła w pizzą w ustach niczym uchwycona na zdjęciu. Brudny upił łyk piwa i skinął na leżący obok laptopa przenośny nośnik pamięci. – Tu jest wszystko. Obciążające go nagrania

z monitoringu z „Pasji”, zapisane rozmowy telefoniczne z podsłuchów, gdzie przyznaje się do winy, zeznania maltretowanych kochanek, nawet paluchy z kibla, w którym znaleziono ofiarę i wyniki próbek jego DNA. Dostałem komplet dowodów, który wystarczy, aby wsadzić gówniarza na długie lata.

– Ale... – Julka przełknęła to, co miała w ustach, i popiła piwem. Potrzebowała chwili, aby przyswoić słowa partnera. Odłożyła niedojedzony kawałek pizzy z powrotem do pudełka. – Ale nie rozumiem... Dlaczego Kałużyński postanowił wystawić ci syna swojego najbardziej zaufanego człowieka?

– Nie wiem. Próbowałem to rozgryźć, ale nie mam pomysłu. Mam za to gwarancję, że facet trafi do pudła.

– I obiecał ci to sam Kałużyński? Czy ty wiesz, w co się pakujesz, bo...

– Kałużyński przysłał swojego człowieka.

– Jakiego człowieka?

Brudny z powrotem pochylił się nad ławą. Milczał do momentu, gdy Julka nie trąciła go dłonią.

– Jakiego człowieka, Igor? Z kim ty to ustalałeś? – naciskała.

– Z tym, co mnie tak urządził na Pradze.

– Że co?! – Spojrzała na niego, jakby właśnie obwieścił jej, że ma osiemnastoletnią kochankę, a jej walizki z rzeczami czekają w sypialni. – Powtórz, bo chyba się przesłyszałam. Czy ja dobrze rozumiem, że chodzi o tego samego gościa, który zrobił z ciebie miazgę i zagroził śmiercią twoim bliskim, jeśli nie zostawisz w spokoju młodego Czabańskiego?

Brudny rzucił jej spłoszone spojrzenie.

– Polityka – bąknął.

– Polityka? – Julka nie dowierzała. – Do politykowania się wzięłeś? Powiedz, proszę, że to jakiś ponury żart.

– To nie żart.

– Igor... – Julka poniosła głos jeszcze bardziej. – Ty naprawdę chcesz się teraz bawić w politykę z bandytami?

– Nie chcę, ale ten cały Sędzia i tak by mi nie odpuścił. Wiadomość jest czytelna.

– A nie pomyślałeś, że Kałużyński mógł to spreparować?

– Po co miałyby to robić? Sam jest w czarnej dupie.

– Polityka – wycedziła z ironią w głosie, po czym dodała: – Tamta sytuacja naprawdę niczego cię nie nauczyła? Nie potrafisz odpuścić?

– To, co mówił ten facet, ma sens. Puzzle do siebie pasują. Przeanalizowałem to.

– Igor! Kurwa! – Zawadzka zerwała się na równe nogi. Nerwowo przeczesła dłonią włosy, po czym znów wbiła w niego karcące spojrzenie. – Co ty pierdolisz za farmazony? Ty w ogóle wiesz, z kim przyklepałeś ten układ?

– Podjąłem decyzję. Pomogę im.

– Ty się chyba z psem sąsiada na łby pozamieniałeś. – Julka podeszła do barku i wyciągnęła butelkę Jamesona. Nalała sobie pół szklanki i wypijała duszkiem. Skrzywiła się, gdy alkohol podrażnił jej kubki smakowe. – Kurwa jego mać! – zaklęła i nalała sobie drugą porcję, z której pociągnęła spory łyk. Przez chwilę paliła papierosa, wpatrując się w czerń za oknem. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Brudny do tej pory robił już różne głupstwa, ale nigdy by nie pomyślała, że posunie się do tak karkołomnej transakcji. Bo to była transakcja. Związana z bandytami w białych kołnierzykach. Czy Igor rzeczywiście był tak zafiksowany na punkcie Czabańskiego, aby ta sprawa ograniczała jego zdolność logicznego myślenia? Jak mogła tego nie zauważyć? Poczula się oszukana. Tak po prostu. Wypiła whisky do końca, zgasila papierosa w popielniczce na ławie i posławszy partnerowi pełne wyrzutu spojrzenie, wyszła z salonu.

Brudny odprowadził ją wzrokiem i poczekał, aż zawróci po pudełko z pizzą. Nie minęło kilka sekund, gdy z powrotem wyłoniła się zza rogu i podeszła do ławy. Bez słowa i z wyraźnym fochem chwyciła pizzę, po czym zesłała mu z oczu. Pomyślał, że do jutra jej przejdzie i wrócił do analizy dokumentacji, jaką otrzymał od Dariusza.

Po pierwsze ofiara.

Nie miał okazji, aby przyjrzeć się sekcji, bo ciało od razu zabrano do Warszawy, ale z tematem uporano się szybko. Zdjęcia nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości, że Kryszak cierpiał niewyobrażalne męki. Przeglądając kolejne fotografie z sekcji, Brudny nie mógł opędzić się od myśli, że facet zasłużył na wszystko, co zgotował mu Sędzia. I nie tylko dlatego, że wiedział o jego pedofilskich upodobaniach z własnego doświadczenia, bo okazało się, że materiał zebrany przez wywiad był bardzo obfity, a młody Tobiasz Kryszak już od najmłodszych lat wykazywał zachowania daleko odbiegające od normy.

– Według opinii naszych biegłych cierpiał na psychopatię – tłumaczył mu Dariusz, gdy ostatecznie uzgodnili zasady współpracy. – Nie miał tej

świadomości, a przynajmniej jej do siebie nie dopuszczał, dlatego też nigdy nie próbował się leczyć. Od najmłodszych lat był przekonany o swojej wyższości nad rówieśnikami, w czym utwierdzali go rodzice, współpracownicy komunistycznej władzy: Stefan, dyrektor jednej z poznańskich fabryk maszyn pakujących, i Barbara, księgowa poznańskiego oddziału KC PZPR.

– Typowe komuchy czy raczej koniunkturaliści?

– Raczej to drugie. Żadne nie miało aspiracji, aby pójść wyżej, ale ojciec podpisał lojalkę.

Dariusz nie szczędził szczegółów. Mówił konkretnie, nie wahał się, a dopytany o jakiś detal przedstawiał fakty, wspierając się załączoną dokumentacją. Z czasem wyłonił się obraz biednego, sfrustrowanego chłopaka, który jednak potrafił myśleć do bólu pragmatycznie. Według wywiadu już we wczesnych latach szkolnych nie miał łatwego życia. Koledzy ze szkoły i osiedla nie chcieli się bawić z „Grubasem” albo „Tłuściochem”, który nie dość, że nie potrafił grać w piłkę i szybko jeździć na rowerze, to jeszcze nie chodził na religię, a do tego gdy oni jedli chleb z pomidorem, on zjadał się dziczyzną upolowaną przez ojca. Mały Tobiaszek prawdopodobnie przez długie lata tłumił w sobie żal i nienawiść, znosił kolejne upokorzenia ze strony kolegów, a później także koleżanek. Szarpany, opluwany i bity nie mógł pojąć, dlaczego tak się dzieje. Z początku skarżył się rodzicom, ale ich interwencje skutkowały rzadko albo wcale, wtedy zwykle niechęć rówieśników tylko się zaostrzała. Mijały kolejne lata, a młody Tobiasz zaczął pojmować reguły rządzące tym podłym światem. Gdy w wieku szesnastu lat z powodu choroby najpierw stracił matkę, a dwa lata później ojciec zginął w wypadku samochodowym, po krótkotrwałej żałobie postanowił, że musi określić swoje życie na nowo. Niespecjalnie miał pomysł, jak je sobie ułożyć, ale umysł posiadał bystry, więc z czystego pragmatyzmu wybrał seminarium duchowne. Rachunek był prosty. W tym zacofanym i zabobonnym kraju przynajmniej połowa z czterdziestu milionów ludzi regularnie dawała na tacę, a do tego księża byli traktowani tak, jak on zawsze tego chciał. Z założenia byli lepsi i – tę skłonność odkrył w sobie krótko po śmierci ojca – mieli nieograniczony dostęp do dzieci.

W seminarium uczył się nie tylko o Bogu, ale przede wszystkim o ekonomii, psychologii i technikach manipulacji. To mu odpowiadało. Trochę mniej fakt, że aby zaliczać kolejne przedmioty, a następnie przyjąć

święcenia, musiał regularnie obciążać starszym kolegom po fachu. Tłumaczył to sobie na wiele sposobów, ale finalnie zawsze dochodził do wniosku, że cel uświęca środki. Moralność, empatia, szczerłość, wstyd, nawet wiara w Boga były dla niego pojęciami abstrakcyjnymi, zresztą jak dla większości przyszlých wikarych, księży i biskupów, którzy tak jak on mieli większe bądź mniejsze skłonności do rozwoju psychopatii. Liczyły się dwie rzeczy: władza i kasa albo odwrotnie, jak kto woli. Jemu to nie robiło różnicy, bo jedno wynikało z drugiego, a do tego w pakiecie dostawał bezkarność i dostęp do nieświadomych jego drapieżnego charakteru młodzieńców.

Pierwsza wieś, do której trafił po święceniach, nazywała się Wawrzyki i to tam przyszło mu odbyć początkowe lata posługi. Należała do tych, o których – jak by to ironicznie nie zabrzmiało – Bóg właśnie zapomniał. Czterdzieści osiem rodzin, w większości z problemami, prawie dwieście rumianych dzieciaczków. Miał w czym wybierać i już w pierwszym roku zgwałcił dwóch chłopców. W sumie przez dziesięć lat posługi, gdy po kolejnych mniej lub bardziej poważnych oskarżeniach o molestowanie zaliczył cztery inne parafie, miał już na koncie kilkanaście ofiar, głównie młodych chłopców pomiędzy siódmym a czternastym rokiem życia. Bezkarność tylko go nakręcała, bo w każdej nowej wsi czy miasteczku dostawał pod opiekę nowe stadko, gdzie zawsze znajdowało się kilka najbardziej zagubionych owieczek. Fart księdza Tobiasza skończył się w momencie, gdy do jego drzwi zapukał jeden z ojców molestowanych ministrantów. Nie wyglądał na równie pokornego i zabobonnego jak pozostali, bo jak się później okazało mężczyzna przez blisko dekadę pracował w Niemczech i wrócił do rodziny, dopiero gdy runął mur berliński.

– Zabiję cię, kurwo! – ryknął, a potem zlał Tobiasza na kwaśne jabłko, przy okazji gwałcąc go kijem od szczotki.

– Kryszaka ktoś zgwałcił kijem od szczotki? – upewnił się Brudny.

– Tak jest w protokole z przesłuchania – potwierdził Dariusz.

Ksiądz Tobiasz szybko jednak został otoczony opieką, a ojciec ministranta, niejaki Gabriel Mokrzycki, trafił do więzienia. Arcybiskup zadbał, aby sprawę zamieciono pod dywan, opłacił lokalnych dziennikarzy i mając dość ekscesów księdza Tobiasza, wysłał go na misję do Konga, gdzie ten rozbestwił się jeszcze bardziej.

– Wszedł w konszachty z rebeliantami kopiącymi diamenty dla zachodnioeuropejskich konsorcjów jubilerskich, oczywiście po cichu, bo w kopalniach pracują głównie dzieci – tłumaczył Dariusz. – To te same zdjęcia, które Sędzia wrzucił do sieci. Proszę się przyjrzeć.

Brudny omiatał wzrokiem kolejne fotografie, na których Kryszak prężył brzuch w towarzystwie czarnoskórych zakapiorów w uniformach przypominających mundury. Bez wątpienia miał nosa do interesów i szybko zrozumiał, że taka współpraca to szansa na błyskawiczne wzbogacenie się, w związku z czym regularnie podsyłał do pracy swoich podopiecznych z misji, a że nie miał w sobie krzty empatii, nie przejmował się zbytnio ich cierpieniem, będąc w stanie przełknąć nawet fakt, że po kolejnej zmianie stadko owieczek nie zawsze wracało w komplecie. Układ najwyraźniej pasował obu stronom, a ksiądz Tobiasz był za swoją pomoc sownie wynagradzany w diamentach, które w Afryce były warte co najwyżej jedną setną wartości rynkowej. Po trzech latach miał ich już tyle, że mógł marzyć o stworzeniu własnego imperium. Jak zamarzył, tak zrobił, i nawet nie kontaktując się z przełożonymi, po prostu zwinął majdan i przez Rotterdam, gdzie na czarnym rynku spieniężył diamenty, a następnie Zurych, gdzie swoje miliony wpłacił na szwajcarskie konta, wrócił do ojczyzny i od razu zainwestował w telewizję. Stworzył stację „Trójca Święta TV”, którą błyskawicznie pokochały miliony rozmodlonych Polek i Polaków. Ksiądz Tobiasz, jak każdy psychopata, był doskonałym manipulantem, a gdy pogłębił swoją wiedzę na ten temat, w ciągu zaledwie dwóch lat wyprał mózgi swoich widzów w takim stopniu, że ci byli w stanie jeść mu z ręki, a nawet oddać pół emerytury, gdy tylko wszedł na ambonę i o to poprosił. Po kolejnych trzech latach liczył się z nim każdy polityk w kraju, bo wystarczyło, że podczas mszy zasugerował, żeby zagłosować na partię „X”, a do urn, niczym mrowie bezmyślnych zombie, pędziło kilka milionów obywateli. Po pięciu latach po raz pierwszy posłużył się terminem Ojciec Zwierzchny, tym samym rzucając wyzwanie polskiemu Episkopatowi, a nawet samemu Watykanowi. Ku jego zdziwieniu nikt nawet się nie zająknął i ksiądz Tobiasz – teraz już Ojciec Zwierzchny – mógł na dobre rozgościć się w swoim imperium, gdzie rządził niepodzielnie, niejako sytuując się ponad prawem i stając się w swoim państwie całkowicie bezkarny.

– Dlaczego służby nie zareagowały wcześniej? – dopytywał Brudny. W głowie mu się nie mieściło, że mając takie informacje, nikt z ludzi

u władzy nie zdecydował, aby dobrać się Kryszakowi do skóry.

– Za późno został wzięty na celownik – tłumaczył Dariusz. – Chyba nikt się nie spodziewał, że błyskawicznie odniesie taki komercyjny sukces. Gdy wyszedł z cienia i zaczął rozpychać się łokciami, miał już za sobą armię milionów Polek i Polaków, którzy poszliby za nim w ogień. Nawet gdyby ktoś odważył się go oskarżyć i przedstawić te wszystkie dowody, to jego wyznawcy nigdy by w to nie uwierzyli, a on sam mógłby podpalić kraj, wzywając do walki środowiska narodowców. Gdy zaczęliśmy przy nim węszyć, on od dawna już miał nas w garści.

Od opluwanego grubasa do władcy umysłów. Od ponizanego syna komuchów do najważniejszego gracza na polskiej scenie politycznej. Brudny z trudem przyswajał kolejne informacje, bo całość brzmiała tak surrealistycznie, że wydawało się to po prostu czystą abstrakcją. Gdy jednak wracał myślami do niedalekiej przeszłości i przed oczami stawali mu wizytujący Kryszaka politycy partii rządzącej, bujający się i śpiewający religijne pieśni, kłaniający się w pas i kłękający niczym królewscy poddani, wracał do rzeczywistości, która nazywa się Polska. Tobiasz ewidentnie nimi wszystkim gardził, ale był na tyle sprytny, że nigdy nie dawał tego po sobie poznać, z udawaną pokorą przyjmując kolejne miliony z budżetu państwa, które rządzący pompowali do jego kiesy bez najmniejszego zażenowania w nadziei, że pochwalą członków ich partii na antenie swojej telewizji. Z tego wszystkiego wyłaniała się karykatura państwa prawa, groteskowy cyrk, na którego czele nie stał ani prezydent, ani premier, ani nawet prezes Kumidor, tylko zwykły klecha o skłonnościach pedofilskich, który wszystkim zarządzał z tylnego siedzenia.

– Ustaliliście gdzie i kiedy został porwany?

– Po wyjściu z seminarium pod Poznaniem, gdzie przyjechał na jakieś prelekcje i według ustaleń odbył stosunek z jednym z wikarych, niejakim Szymonem.

– Przesłuchaliście go?

– Przyznał się, że uprawiali seks, a potem Kryszak wsiadł do swojego rollsa i odjechał. Ten Szymon ma mocne alibi. Nie ma z porwaniem nic wspólnego.

– A kierowca?

– Nie wiemy, co z nim. Zakładamy, że Sędzia go zabił i pozbył się ciała. Samochód został porzucony przy jednej z nieuczęszczanych leśnych ścieżek. Oczywiście wrak, bo doszczętnie spłonął. Nasi ludzie

zabezpieczyli teren i zebrali tyle, ile się dało, ale to w zasadzie nie pana działka. W każdym razie jakby pan czegoś potrzebował, to wszystko jest w raportach.

Brudny miał się zająć stworzeniem listy ewentualnych podejrzanych, choć Dariusz zapewnił go, że jeśli uzna to za konieczne, będzie mógł osobiście obejrzeć ciało, a w sprawie dostępu do najświeższych informacji, protokołów z przesłuchań czy jakichkolwiek ustaleń związanych ze śledztwem ma się zwracać bezpośrednio do niego, bo tylko on może udzielić podobnych pozwoleń. Z jednej strony to było wygodne, bo nie musiał martwić faktem, że nie zna współpracowników i po prostu miał człowieka do wszystkiego, z drugiej – zakres otrzymanych informacji mógł być filtrowany, a następnie ograniczany przez Dariusza według jego widzimisię.

Spojrzał na niewielki pendrive z dokumentacją dotyczącą Jarosława Czabańskiego. Nie przekazał Julce całej swojej wiedzy na temat powodów, którymi kierował się Kałużyński. Tak naprawdę sam ich ostatecznie nie poznał, ale podczas negocjacji z Dariuszem pewne rzeczy mógł wyczytać między wierszami.

– Nie podejmę decyzji, dopóki nie dowiem się, dlaczego Kałużyński chce wystawić młodego Czabańskiego – zaznaczył, gdy Dariusz przedstawił mu warunki swojej oferty.

– Dla pana to pewnie niehonorowe i karygodne, ale zapewniam pana, że w polityce takie sytuacje to codzienność – odparł pokrętnie agent. – Polityka, polityka i jeszcze raz polityka. Wszyscy na górze już wiedzą, że idą zmiany i wbrew temu, co pan sobie wyobraża na ich temat, część z rządzących to całkiem łebscy ludzie, którzy potrafią wykonywać ruchy wyprzedzające.

– Doskonale wiedzą, że sprawa Sędziego pograży rząd i już teraz szukają kozłów ofiarnych.

– Pan to powiedział.

Brudny próbował docisnąć rozmówcę, ale ten już nie wrócił do tematu. Musiało mu wystarczyć to, co wynikało z jego obserwacji i szeregu własnych doświadczeń popartych intuicją, która zwykle go nie zawodziła. Zagrożenia, na jakie mógł się natknąć, nie wydawały mu się zbyt poważne, bo kimże on był dla tych wszystkich ministrów i premierów, aby ktoś chciał skupić na nim swoją uwagę, o ile rzecz jasna nie oczekiwałby fachowej pomocy. Kałużyński zgłosił się do niego, bo jej panicznie potrzebował. Za

wszelką cenę chciał dorwać Sędziego, aby mieć mocną kartę przetargową, gdy przyjdzie do rozliczeń, a następnie kolejnego rozdania. Logika podpowiadała, że pozwoli mu to uniknąć odpowiedzialności i oskarżeń o udział w kolejnych aferach, a przynajmniej zejść z pierwszej linii strzału i skierować uwagę na tych mniej rozgarniętych, choćby Czabańskiego, który co prawda był wierny, ale wyjątkowo mierny, bo jego działalność ograniczała się do występowania przed kamerą i robienia z siebie idioty, a po zniknięciu z kadru do picia macallana i ruchania luksusowych kurew, o czym wszyscy wiedzieli, choć udawali, że nie wiedzą.

Polityka.

Dlatego Brudny tak jej nienawidził. Może w dojrzałych demokracjach wyglądała inaczej, być może nawet miała w sobie coś szlachetnego i rządzący rzeczywiście szli do władzy, bo byli patriotami i chcieli dla swoich współobywateli jak najlepiej. Ale nie tu. Na pewno nie w Polsce. Tu Sejm przypominał chlew pełen ubłoconych świń rozpychających się, aby bez względu na koszty dorwać się do koryta. Skrzywił się z obrzydzeniem na tę myśl. Przez dłuższy moment siedział bezmyślnie, paląc papierosa. W końcu spojrzął na zegarek. Dochodziła czwarta i musiał się choć chwilę zdrzemnąć, aby od rana ruszyć z robotą. Postanowił nie drażnić Julki i przespać się na kanapie w salonie. Zamknął laptop, schował pendrive do kieszeni spodni i nakrył się kocem.

Gdy zasypiał, dziennikarka Patrycja Klimczak właśnie wychodziła spod prysznic. Po potwornie ciężkim dniu też zamierzała się przespać, ale była pełna nadziei, bo w końcu udało jej się ustalić adres starego znajomego. Musiała tylko wykombinować, jak go podejść, aby nie wyrzucił jej za drzwi, zanim zdąży otworzyć usta. Ale gdy już otworzy, przekona go. Była tego prawie pewna.

ROZDZIAŁ 11

Otworzyła oczy.

Przekręciła głowę i z trudem zamrugowała ciężkimi powiekami. Była otumaniona. Przez kolejnych kilkadziesiąt sekund nie rozumiała, co się dzieje, jakby wstrzyknięty środek blokował jej możliwość percepcji. Wzdrygnęła się w momencie, gdy do jej nozdrzy dostała się intensywna woń amoniaku. Gwałtownie nabrała ustami powietrza i odchyliła głowę, wydając przy tym przeciągły gardłowy dźwięk. Wtedy świadomość wróciła, a z nią przerażenie, które w ciągu kilku uderzeń serca rozlało się po całym ciele.

– Gdzie ja jestem? – chciała zapytać, ale jej struny głosowe zaprotestowały i tylko kilka razy niezrozumiale burknęła. W usta miała wciśnięty knebel, a szyję opasał gruby sznur, który nagle zacisnął się mocniej.

– To garota – usłyszała, a jej prawe ucho musnął czyjś ciepły oddech. – Na twoim miejscu pomodliłbym się, aby lud wybaczył ci twoje grzechy. Wtedy być może jej użyję. Ale jeśli nie... – Mężczyzna cicho zarechotał.

Halina Makowska szarpnęła się w histerycznej próbie wyrwania się z więzów, ale jej ramiona i nogi były unieruchomione. Sznury wpijały się w ciało i każdy ruch powodował, że przecierały delikatną skórę. Świadomość, że nie widzi swojego oprawcy, potęgowała uczucie paniki. Ponowny zgrzyt mechanizmu garoty sprawił, że nie utrzymała moczu i cienka strużka spłynęła jej po nagim udzie. Wtedy sznur na jej gardle nieco się poluzował, a chwilę później brutalnie wyrwano jej z ust knebel. Wykorzystała to, aby instynktownie zaczerpnąć haust powietrza, a potem zaczęła histerycznie kaszleć.

– Sugeruję, aby pani nie krzyczała, bo i tak nikt tu pani nie usłyszy. – Tym razem głos był dźwięczny, ale jednocześnie oschły, niemal obojętny. Przebijało w nim jednak coś stanowczego, popartego niewypowiedzianą groźbą, i kobieta nie odważyła się zawołać pomocy. Kilka łez spłynęło po jej policzkach i szyi.

– Dlaczego... pan... to robi? – wyjęczała.
– Och, pani sędzio. A dlaczego pani robiła to, co robiła?
– Ale... – Znów zakaszłała. – Ale co?
– Zabiła pani co najmniej osiemnaście osób i jeszcze pani pyta? –
Mężczyzna znów zbliżył się na tyle, że poczuła jego oddech na swojej
twarzy. Ostatnie słowa wysyczał w pełnej pogardzie.

– Ja... nikogo... nie zabiłam. Ja...
– Osiemnaście osób. Jedenastu mężczyzn, cztery kobiety i troje dzieci.
– Ja nie...
– Nie łżyj, stara kurwo! – Mężczyzna złapał ją za policzki i zacisnął
palce. Miały siłę imadła i kobieta pomyślała, że zaraz zmiażdży jej żuchwę.
– Zabiłaś ich wszystkich, bo chciałaś się nachapać. Ty i wszystkie twoje
sługusy. Zabijałaś ich z pełną premedytacją przez długie lata.

– Błagam...
– Oni też błagali. Błagali, bo nie chcieli zostać wyrzuceni z domów,
w których przeżyli swoje życia, gdzie wychowali dzieci i wnuki. Pisali
listy. Widziałem je. Są ich setki. Olałaś je wszystkie i wydawałaś kolejne
wyroki, skazujące ich na bezdomność. Dziś... – Mężczyzna wydał z siebie
gardłowy dźwięk. – ...to ty staniesz przed sądem, a ja wydam wyrok. Od
ciebie będzie zależeć, jak bardzo okaże się surowy.

Mężczyzna poluzował uścisk i musnął palcami usta ofiary. Kobieta
zupełnie straciła panowanie nad własnym ciałem i w ciszy dało się słyszeć
niewielki szum opróżnianego pęcherza. Jej zmysły szalały, bo mrok był
nieprzenikniony i potęgował poczucie zagubienia w czasie i przestrzeni.
W pewnym momencie mężczyzna przestał jej dotykać, co jedynie wzmogło
atmosferę grozy. Czowała jego obecność, czuła, że krąży wokół niej niczym
drapieżnik, który syci się strachem swojej ofiary, ale czekanie na kolejny
kontakt z oprawcą zdawało się gorsze niż sam dotyk. Nie była w stanie
wytrzymać tego napięcia.

– Ja nie wiedziałam, że... – zaczęła.
– Nie kłam! – Ciemność przemówiła zza pleców. – Wiedziałaś od
początku i nic z tym nie robiłaś. Weszłaś w układy z przestępcami.
Sprzedałaś całe rodziny, a potem wyłgałaś się, podważając legalność
komisji weryfikacyjnej. Tym razem nie wyłgasz się. Przedstawię dowody
twojej zbrodni i osądzę cię na oczach wszystkich, którym zniszczyłaś życie
i którzy to życie sobie ze zgrzyzoty odebrali. Poniesiesz karę, na jaką
zasługujesz.

– Zapłacę ci... zapłacę, ile chcesz, tylko... milion, dwa? Powiedz tylko ile i...

– Chcesz mnie przekupić, głupia pizdo? – Mężczyzna nerwowo zarechotał. – Nie zapominaj, że Kryszak też próbował. A zdajesz sobie sprawę, jaki on miał majątek? Myślę, że wiesz doskonale...

Kobieta zaczęła się trząść. Od momentu gdy odzyskała przytomność, obawiała się usłyszeć tę gorzką prawdę. Mężczyzna w mroku nie pozostawił już żadnych wątpliwości, kim jest i gdzie trafiła. Tylko dlaczego Sędzia mścił się na niej, skoro jej przewiny są jedynie ułamkiem odrażających występków Kryszaka? Zacisnęła powieki, jakby to miało sprawić, że obudzi się z tego koszmarnego snu. Postanowiła, że z własnej woli już ich nie otworzy. Wtedy pomieszczenie rozblęskło jaskrawym światłem. Zacisnęła je jeszcze mocniej.

Znów poczuła jego obecność. Oddech szaleńca owiał jej policzki. Musiał znajdować się bardzo blisko, kilka, może kilkanaście centymetrów od jej twarzy.

– Otwórz oczy – rozkazał, ale kobieta nie zareagowała. – Otwórz, bo zrobię to za ciebie, a wtedy już nie będziesz miała czym mrugać.

Ciałem ofiary wstrząsnęła seria spazmów. Nagle poczuła się jeszcze bardziej upokorzona i poniżona. Żaden mężczyzna od lat nie oglądał jej nago. Po rozwodzie przed blisko dwudziestu laty nie znalazła sobie nowego partnera, bo żaden nie spełniał jej wygórowanych oczekiwań. Zresztą nie potrzebowała mężczyzny. Wszyscy w jej środowisku zdawali się pozbawionymi honoru oportunistami, służalczymi klakierami gotowymi sprzedać własną matkę, aby tylko wspiąć się o szczebelek wyżej. Dlatego podjęła drastyczną, ale w pełni przemyślaną decyzję. Skupiła się na pracy i pomnażaniu majątku. Brak potrzeb seksualnych zastąpiła władza. Upajała się nią każdego dnia i bez skrupułów wykorzystywała. Z biegiem lat osiągnęła nieprawdopodobny sukces. Odpowiednie wyroki zapewniły błyskawiczny awans, który zaowocował ofertą startu z list największej partii. Dwie kadencje w Sejmie, jedna w Europarlamencie, teka ministerialna i powrót do macierzy, gdzie za sprawą znajomości z wysokimi rangą politykami u władzy, mogła bezkarnie sądzić według własnego widzimisię. I pobierać kolejne prowizje, zwłaszcza w złotej erze dzikiej reprivatyzacji. Karierze poświęciła całe życie i w najgorszych koszmarach nie mogła się spodziewać, że tak to się wszystko zakończy. Z kącików ust znów popłynęły łzy. Sponiewierana, zasikana, przerażona do szpiku kości.

W idiotycznym przypływie kolejnej fali emocji pomyślała, że okropnie się przez te lata zaniedbała i wstyd będzie pokazać swoje sześćdziesięciodziewięcioletnie ciało przed całym krajem. Tusza na co dzień skrywana pod drogimi garsonkami, obwisłe piersi, plamy na pomarszczonej skórze. Zapragnęła, aby to wszystko już się skończyło.

– Trzeci raz nie powtórzę – syknął, a tuż przy jej uchu rozległ się metaliczny dźwięk. Nożyczki, sekator, cęgi? – Liczę do trzech. Raz, dwa...

Uniosła powieki i od razu wyrzuciła z siebie nadmiar emocji. Jej szloch nie zrobił na mężczyźnie żadnego wrażenia. Trzymał przed sobą kilka fotografii, które powoli, acz systematycznie przekładał między palcami na wysokości jej oczu.

– Pamiętasz ich? – wycodził przez zęby.

Nie pamiętała. A może? W tej chwili nie była już niczego pewna. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Z jej gardła wyrwał się kolejny zdławiony szloch.

– Oni też płakali, gdy pozwoliłaś, aby przebrani za komorników bandyci wyrzucili ich z domu. Na nakazie eksmisji były twoje pieczętki, a ty nawet nie raczyłaś zapewnić lokalu zastępczego, gdy wylądowali na ulicy. Dziś już nie żyją. I to ty ich zabiłaś. Ty!

– Ja... nie...

– Przyjrzyj się dobrze tym twarzom, pani sędzino. Wszystkim trzem. Mam nadzieję, że będą cię prześladować w piekle przez całą wieczność.

– Błagam...

– Błagaj Boga. U mnie rozgrzeszenia nie otrzymasz, ale... i tu pozwolę sobie dać ci dobrą radę... – Mężczyzna nachylił się tak blisko, że jego kaptur musnął jej czoło. – Przyznaj się do wszystkiego i błagaj o wybaczenie, a może otrzymasz rozgrzeszenie u ludu. Wtedy nie będzie tak bolało.

Chwilę później mężczyzna w katowskim kapturze odwrócił się i odszedł w kierunku umocowanej na trójnogu kamery i znajdującego się za nią centrum przypominającego wewnątrz wysoko wyspecjalizowanej serwerowni pełnej słusznych rozmiarów serwerów, urządzeń chłodzących i ciekłokrystalicznych ekranów laptopów połączonych setkami kolorowych kabli. Jej ciało przeszyły kolejne dreszcze, ale gdy wzrok spoczął na znajdującym się z boku drewnianym stole, poczuła, że jej jelita związują się w supeł. Gdy do jej świadomości ostatecznie przebił się widok równo

ułożonych i połyskujących na blacie noży, pił i tasaków, umysł wyłączył się i Halina Makowska osunęła się w mrok.

ROZDZIAŁ 12

Igor Brudny podniósł się z kanapy i sięgnął po kubek z resztką zimnej kawy. Wypił ją, przy okazji zasysając część fusów. Były paskudne i splunął z powrotem do naczynia, po czym poszukał wzrokiem paczki papierosów. Przetarł oczy i zapalił. Zegarek wskazywał szóstą trzydzieści sześć, co oznaczało, że spał niecałe trzy godziny. Przeciągnął się, wstał i uchylił palcami żaluzje. Dwóch tajniaków wciąż czuwało w tym samym miejscu. Odchrząknął i przeniósł wzrok na drzwi do łazienki, zza których niósł się szum odkręconej wody. Podrapał się po policzku. Musiał jakoś wyjść z impasu, bo wczorajszego wieczoru Julka wyglądała na naprawdę wkurzoną. Nie tak jak zwykle, gdy strzelała focha, bo nie zrobił zakupów, nachlapał w łazience albo wszedł do domu w ubłoconych buciorach. Czuł, że tym razem wkurwiła się naprawdę mocno, i obiektywnie rzecz biorąc, nie mógł mieć o to do niej pretensji. Jak on by się poczuł, gdyby podjęła taką decyzję za jego plecami? Dopiero ostatnio zaczął uczyć się życia w poważnym związku, a jednym z aspektów takiego współistnienia była umiejętność postawienia się po drugiej stronie. I musiał przyznać, że gdyby znalazł się na jej miejscu, miałby pewnie mniej cierpliwości i skończyłoby się na awanturze.

Zgasił papierosa i ruszył w kierunku łazienki. Wszedł do środka i zerknął na pochyloną nad brodzikiem i płuczącą włosy partnerkę. Uniósł brwi na widok jej wypiętego tyłka.

– Nawet mi się nie waż! – ostrzegła, lekko odchylając głowę w jego stronę. Najwyraźniej wciąż była trochę zła, ale słyszał to już nie raz. Wiedział, że tylko tak mówi, a nawet jeśli nie, to umowa, jaką zawarli, była jasna. Mieli godzić się w łóżku, a potem wracać do rozmowy. Co prawda tu nie było łóżka, ale...

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, ściągnął bokserki i chwycił ją za biodra.

– Kurwa, Igor! – syknęła.

– Zamknij się! – odparował i przykląkł, po czym wbił język między jej pośladki. Szarpnęła się i zirytowana skierowała na niego strumień wody, ale to go tylko rozjuszyło. Chwycił mocniej, wstał i wszedł w nią bez pardonu. Słuchawka węża wypadła jej z ręki i zaczęła tryskać po całej kabinie, ale to już nie było ważne ani trochę. Kochali się mocno i agresywnie, jak zwykle po tego typu kłótniach. Aby oczyścić się ze złych emocji, wyrzucić pretensje, pozbyć się całej złej energii. W pewnym momencie Brudny wysunął się z partnerki i gwałtownie przeniósł ją na pralkę. Kochali się jeszcze kilka minut, wyzywająco patrząc sobie w oczy. Prowokowała go słownie, wykrzywiała usta w lubieżnym grymasie, a jej mokre włosy opadały na twarz, podkreślając drapieżny charakter, który tak uwielbiał. Eksplodowali wspólnie, on w niej, nie zatrzymując się aż do momentu, gdy nie ofiarował jej wszystkiego, co miał.

Opadł na jej piersi, a ona objęła jego głowę. Przez kilkadziesiąt kolejnych sekund ciężko dyszeli, wsłuchując się w rytm swoich bijących serc.

– Nie myśl, że orgazmem wszystko załatwisz – powiedziała w końcu, gdy odkleił się od jej biustu.

– To chyba jakieś novum. – Posłał jej szelmowski uśmiech.

– Wczoraj przesadziłeś, wiesz?

– Wiem.

– No i?

– No i co? – Brudny zmarszczył nos. – Mam ci jeszcze kupić kwiaty?

– Igor... – W jej tonie zabrzmiała ostrzegawcza nuta.

– Hmm...

– Dopiero co się pogodziliśmy, więc nie przeciągaj struny, okej?

Brudny pomógł Julce sprawnie zeskoczyć z pralki. Westchnął i przyciągnął ją do siebie.

– Zawaliłem. Wiem – przyznał. – Przepraszam cię, Julka, ale...

– Nie wiesz, że przeprosiny z ale się nie liczą?

– Cholera, Julka. Nie łap mnie za słówka. Nie byłeś tam z tym facetem. Uwierz mi, że tego nie planowałem. Na początku chciałem odstrzelić mu łeb.

– Wycelowałeś do niego?

– Prosto między oczy, ale typ nawet nie drgnął. Wiedział, że nie nacisnę spustu. Dlatego jego ludzie nawet mnie nie przeszukali.

Julka weszła pod prysznic i szybko się podmyła, a chwilę później Brudny podał jej ręcznik. Sam poszukał rzuconych w kąt bokserek i nałożył pastę na szczoteczkę do zębów.

– Kim jest ten facet? – zapytała, wycierając włosy.

– Profesjonalista. – Przez chwilę szorował zęby. – Raczej nie CBS czy ABW, prędzej wywiad albo coś w ten deseń. Może nawet najemnik na usługach rządu.

– Nie brzmi to najlepiej.

– Może i nie brzmi, ale Kałużyński nie przysyłałby akurat tego typu, gdyby naprawdę nie potrzebował mojej pomocy. Po co miałby to robić? Mało ma problemów?

– A czego od ciebie dokładnie oczekują?

– Mam sporządzić listę ewentualnych podejrzanych. To przede wszystkim wychowankowie, którzy opuścili placówkę przed osiemdziesiątym dziewiątym, a których akta zaginęły. Głównie dłubanina, może kilka wyjazdów w teren.

– Tylko tyle?

– Wiesz, jaka to robota. Zawsze może coś wyskoczyć.

– No właśnie... nie wiem. – Julka zaczęła wycierać włosy. – Nie podoba mi się to.

Brudny wykorzystał tę chwilę, aby wypluć resztki pasty i przepłukać gardło. Odłożył szczoteczkę do kubeczka, po czym przyjrzał się swojemu odbiciu. Potarł wnętrzem dłoni brodę i szyję.

– Piękniejszy już nie będziesz – skomentowała Julka. Brudny zignorował zaczepkę.

– Podając mi na tacy młodego Czabańskiego, Kałużyński wystawi go na pierwszy ogień, gdy władzę przejmie opozycja – kontynuował. – Oni już wiedzą, że jest po ptakach. Po tej akcji z Sędzią nic nie pozwoli im utrzymać się przy korycie, dlatego kombinują, jak uchronić własne dupy. Skupienie uwagi na synu wiceministra to idealny pomysł, aby samemu uniknąć ostrzału. Morderstwo młodej celebrytki sprzedaje się w mediach jak złoto.

– On ci to powiedział czy sam to wymyśliłeś?

– Potrafię czytać między wierszami...

– I naprawdę chcesz brać w tym udział? – Zawadzka odłożyła ręcznik i objęła w pasie partnera. Wychyliła się nad jego ramieniem i ich spojrzenia spotkały się w lustrze. – Po co ci to, Igor? – zapytała ugodowym tonem.

– Gównu mnie obchodzą ich gierki – odparł. – Dla mnie liczy się tylko to, że ten nadęty smarkacz pójdzie do kicia.

– Nie odpuścisz, co?

– Wciąż jeszcze jestem gliną. Ty... – zawahał się – ...ty zresztą też.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w swoje odbicia. W końcu Julka uniosła ramiona i chwyciła Brudnego za tors. Wtuliła się w jego pokryte bliznami plecy.

– Chcesz, żebym ci pomogła dopaść tego Sędziego?

– A ty tego chcesz?

– Tak samo jak ty chcę dorwać młodego Czabańskiego, ale Sędziemu dałabym jeszcze trochę czasu...

– Suchar trochę.

– Wiem.

– To jak? Wystarczy jedno słowo i Dariusz wszystko załatwi.

– Jeśli to rzeczywiście głównie dłubanina, to pewnie ci się przydam. Wciąż mam na twardym wszystkie akta bandy Kwiczola.

– Czyli co?

– Jestem z tobą, Igor – rzekła i zaraz posłała mu surowe spojrzenie. – Ale obiecasz mi, że nigdy więcej nie wytniesz mi takiego numeru, okej?

– Dzięki, Julka.

– Obiecuj.

– Obiecuję.

Pocałowała go w ramię i przepchnęła, aby zrobić sobie miejsce.

– A teraz spadaj. Muszę wysuszyć włosy i trochę się ogarnąć.

– Tak jest, szefowo.

– Nie podlizuj się, tylko dzwoń do tego Dariusza, bo za dwadzieścia minut powinnam być w komendzie, a przez ciebie na pewno nie zdążę na czas.

Brudny wyszedł z łazienki i poszedł do sypialni. Wciągnął džinsy i T-shirt, po czym skierował się do kuchni i nastawił wodę na kawę. Wybrał numer do Dariusza. Nie musiał długo czekać, aż ten odbierze.

– Dzień dobry, komisarzu Brudny. Zdążył pan już coś ustalić?

– Pracuję nad tym, ale dzwonię w innej sprawie. Trzeba załatwić zwolnienie dla komisarz Julii Zawadzkiej. Ta robota wymaga pewnych umiejętności poruszania się w internecie, a nie mam zamiaru dzwonić z każdą pierdołą. Julia jest specem od sieci informatycznych i jej pomoc jest mi niezbędna.

– Absolutnie niezbędna?
– Na pewno przyspieszy cały proces poszukiwań.
– W takim razie dobrze. Proszę skupić się na pracy, komisarzu. Coś jeszcze?

– Nie. Odezwę się, gdy będę coś miał.

– W takim razie do usłyszenia.

Brudny rozłączył się bez pożegnania. To, że facet wynajął go do wykonania określonego zadania, nie oznaczało, że między nimi jest wszystko okej. Wciąż było bardzo daleko do „okej” i nie miał zamiaru udawać, że jest inaczej. Komisarz już miał odłożyć smartfon na ławę, gdy ten zadrżał mu w dłoni. Dzwonił Dariusz.

– Słucham.

– Kim jest ta kobieta, która od pół godziny krąży w okolicach pańskiej posesji?

– Jaka kobieta?

Podszedł do okna i rozchylił żaluzje. Tajniacy siedzieli w samochodzie w takich samych pozycjach jak wcześniej, ale nie miał wątpliwości, że mają na niego oko. Dariusz nie należał do ludzi, którzy pozostawiali jakiegokolwiek sprawy przypadkowi.

– Młoda, atrakcyjna. Przed chwilą sforsowała furtkę i teraz stoi przed drzwiami do pana domu – oznajmił, lekko poirytowany.

– Idę – uciął Brudny i się rozłączył.

Pomyślał, że Dariusz na za dużo sobie pozwala i pewne kwestie będzie musiał z nim przedyskutować. Nie miał zamiaru czuć się we własnej chacie jak w domu Wielkiego Brata. I jeśli do tej pory jakoś znosił obecność tych dwóch agentów, to od teraz mają zejść mu z oczu. Z tą myślą pospiesznie ruszył w kierunku przedpokoju. Za szklaną szybką nieśmiało majaczył już cień nieznanego.

– Cześć – Patrycja Klimczak uśmiechnęła się krzywo. Brudny nie odpowiedział. Mógł spodziewać się tu każdego dziennikarza lub dziennikarski z Polski, ale nie cholerniej Patrycji Klimczak. – Nie przywitasz się... przynajmniej? – dodała nieco onieśmielona reakcją starego znajomego.

Szybki powrót do przeszłości sprawił, że na twarzy Brudnego wykwił pełen pogardy grymas. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale zrezygnował i zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

– Kto to?! – krzyknęła Julka, która właśnie skończyła suszyć włosy.

– Domokrażca – odparł Brudny.

– Że kto? – Wychyliła się zza rogu.

– No mówię ci. Nikt taki. Robota czeka.

– Nie zatraskuje się drzwi z hukiem przed nikim takim, Igor. Powiesz mi kto to czy sama mam sprawdzić?

– A coś ty się taka wścibska zrobiła? – zapytał wyraźnie poirytowany, gdy ją mijał. Nie uszedł daleko, bo zabrzmiał dzwonek u drzwi. Odwrócił się i spiorunował Julkę wzrokiem. – Nie otwieraj. To dziennikarka. Kazałem jej się wynosić.

– Chyba tracisz formę, bo coś kiepsko ci poszło. Może mnie pójdzie lepiej.

Brudny zacisnął zęby, ale postanowił nie oponować. Julka w takich sytuacjach radziła sobie nawet lepiej i potrafiła gasić namolnych dziennikarzy jednym dmuchnięciem. Z pewnością kojarzyła jej twarz z telewizji, więc zrobi co trzeba i pogoni ją w diabły. Prawie na pewno nie wie, że się znają. A raczej znali, bo od tamtej nocy przed kilku laty nie chciał mieć z tą gówniarą nic wspólnego.

Zalał wrzątkiem kubki z kawą i usiadł przed laptopem. Włączył telewizor, aby zagłuszyć głupie myśli. Co Klimczakowa w ogóle sobie wyobrażała, przychodząc tu bez zapowiedzi? Zapalił i upił łyk kawy. Włączył laptop. Wtedy w pokoju pojawiła się Julka. Obok niej stała dziennikarka.

– Ta pani mówi, że się dobrze znacie – oznajmiła z wyrzutem. – Twierdzi, że przyjechała w związku z morderstwem Kryszaka i ma coś, co może nas zainteresować.

– Nie mam czasu na pierdoły. Powiedz jej, żeby się wynosiła. Najlepiej od razu do Warszawy.

– Czyli jednak się znacie...

– Nie znamy się. To oszustka. Powiedz jej, żeby wyszła, bo zaraz ja to zrobię.

– To zrób.

Brudny pomyślał, że dłużej tego nie wytrzyma. Zatęsknił za światem bez zobowiązań, deklaracji i cholernych babskich fochów. Tylko Julka potrafiła

go tak wkurwiać. Z trudem zapanował nad tym, aby nie podnieść głosu.

– Wyjdź – powiedział stanowczym, choć opanowanym tonem, po czym wrócił do wgapienia się w ekran laptopa.

– Daj mi pięć minut, Igor – odparła Klimczak i zrobiła krok do przodu. Julka obserwowała scenę z lekko uniesionymi brwiami. – Wiem, że morderca wysłał ci wiadomość.

– Już wszyscy to wiedzą. A teraz wyjdź.

– Ja mam wszystko na temat Kryszaka. Wiesz, że pracowałam nad nim latami. Możemy sobie pomóc. – Przełknęła ślinę w oczekiwaniu na odpowiedź.

Brudny jeszcze przez chwilę nie reagował. W końcu zdusił niedopałek w popielniczce i podniósł się z kanapy. Podeszedł do dziennikarki i zmierzył ją pełnym pogardy spojrzeniem.

– Wszyscy już wiedzą o nim wszystko – powiedział oschle. – A teraz wyjdź.

Klimczak spuściła głowę i przestąpiła z nogi na nogę. Przygryzła dolną wargę i płochliwie podniosła wzrok na Brudnego.

– Nie tyle, co ja. Kurczę, Igor!

– Słyszałaś, co powiedziałem. – Brudny przeniósł wzrok na Julkę. – A teraz możesz panią Klimczak odprowadzić do drzwi.

– Wiem, że odwiedzał klasztor hieronimek, w którym się wychowałeś. – Dziennikarka nie poddawała się. – Przy okazji tamtej afery wgryzłam się w temat. Mam kontakty do innych ofiar i zakonnic, które wtedy tam pracowały. Nagrane zeznania świadków. Przydam się.

– Dość tego! – przerwał jej Brudny. Chwycił ją za łokieć i ruszył w kierunku drzwi. Julka nie zaprotestowała. – Nie wiem, jak znalazłaś ten adres, ale nie waż mi się tu więcej przychodzić, rozumiano? – powiedział, gdy już wystawił kobietę za drzwi.

– Popelniasz błąd, Igor. On znów zabije i będziesz miał to...

– Uważaj na słowa! – ostrzegł. – A teraz zejdź mi z oczu i nigdy więcej się tu nie pokazuj!

Puścił ją i zamknął drzwi. Wrócił do salonu i rozsunał żaluzje, aby upewnić się, że nie będzie musiał jej pomóc w odwrocie. Na szczęście Klimczak najwyraźniej uznała, że nic więcej nie wskóra i opuściła posesję, a następnie wyciągnęła smartfon i z nim przy uchu ruszyła chodnikiem wzdłuż ulicy.

– Powiesz mi, kim ona była? – zagadnęła Julka, mieszając łyżeczką własną kawę.

– Kiedyś ci powiem. Teraz czas zająć się robotą.

– Niezła laska...

– Niezła to może być zupa pomidorowa. Możemy? – Skinął w stronę laptopa.

– Załatwiłeś temat z Dariuszem?

– Zajmie się wszystkim.

– No dobra. Od czego zaczynamy?

Przez kolejne dwie godziny przeanalizowali materiały zebrane podczas śledztwa sprzed roku. Wtedy lista nazwisk wychowanków hieronimek, którzy mogli szukać zemsty na Igorze, ostatecznie nie przydała się w takim stopniu, na jaki liczyli. Dziś pozwoliła im zaoszczędzić dobrych kilka godzin żmudnej dłubaniny.

Wyselekcjonowali osiem nazwisk, z których dwa wstępnie wyglądały obiecująco. Na starcie odrzucili kolejno: przywódcę bandy Krzysztofa Kwiczola vel Krzysztofa Lisa i Kamila Kuchara, którzy już nie żyli. Boguś „Łycha” Łyszczek, potencjalnie mający największą zdolność do tak okrutnego potraktowania Kryszaka, wciąż odsiadywał wyrok dożywocia za podwójne morderstwo w więzieniu w Wołowie, więc i on na dzień dobry został wykluczony z grona ewentualnych podejrzanych. Podobnie sytuacja miała się z Andrzejem „Krową” Krowiakiem, którego Brudny odwiedził nieco ponad rok temu. Nic nie wskazywało na to, że prosty mechanik samochodowy, który ledwo jest w stanie sklecić kilka zdań po polsku, mógł zaplanować tak technicznie skomplikowaną operację. O kolejnych dwóch Brudny nie wiedział zbyt wiele prócz tego, że raczej nie mieszkają w kraju, ale Arkadiusz „Francuz” Paryski i Marcin „Kukieł” Kukiełka podobno zostali już namierzeni przez ludzi Dariusza i nimi miały się zająć służby. Pozostało dwóch: Grzegorz Morela ksywa „Dziad” i Mikołaj Pieronowicz ksywa „Pierun”. Na ich temat informacje były jednak bardzo skąpe.

– Krowiak twierdził, że kilkanaście lat temu Dziad trafił na statki i przy okazji jednego z rejsów znalazł jakiś kontakt w Ameryce Południowej – przypomniał Brudny. – Podobno zaproponował mu współpracę przy przemyśle narkotyków. Dziad miał szmuglować kokainę w kontenerowcach, a Krowa odbierać towar w porcie. Temat szybko się jednak wysypał, bo wkrótce potem Dziada podobno capnęli na lotnisku w Limie i od tamtej pory słuch o nim zaginął.

– To chyba dość łatwo sprawdzić...

– Jak ma się na miejscu swoich ludzi, to pewnie tak. Nadałem temat Dariuszowi, ale o dziwo już zdążył się z nim zapoznać. Dlatego wiesz... – Skinął na jej laptop. – Masz te firewalle czy jak to się tam nazywa?

– Mój sprzęt jest dobrze zabezpieczony – odparła, choć niezbyt przekonująco. Zerknęła na laptop, jakby nabrała jeszcze większych wątpliwości. – Rok temu wgrałam te dane do KSIP-u, więc pewnie wziął je stamtąd – dodała bardziej stanowczo.

– Tak tylko pytałem... – Brudny uniósł dłonie w geście kapitulacji. O zabezpieczeniach w sieci miał takie pojęcie, jak o składzie atmosfery księżyców Jowisza, ale czy Julka mogła konkurować ze specami Dariusza? Nie wątpił w jej umiejętności, lecz wolał zapytać, delikatnie dając jej do zrozumienia, żeby raz jeszcze przyjrzała się sprzętowi, na którym będą pracować. – Jeśli Dziad wciąż siedzi, to Dariusz z pewnością go znajdzie. Jeśli nie, jego ludzie pewnie powęszą. W każdym razie wziął go na siebie – dodał, pociągając nosem.

– A ty co o nim sądzisz?

– O Dziadzie?

– Uhm.

Brudny cmoknął i się skrzywił.

– Dostał taką ksywę, bo był wyjątkowo szpetnym skurwysynem. Bezwzględny, brutalny, nie miał oporów, aby gwałcić młodszych i słabszych wychowanków, zresztą chyba wtedy najbardziej się nakręcał. Dziewczyny też molestował. Raz próbował zaatakować Zużę, wiesz... matkę Norberta... – Brudny westchnął ciężko. Wspomnienie tej biednej kobiety zawsze psuło mu nastrój. – Gwidona akurat wysłała mnie za karę do kotłowni, już nie pamiętam za co, pewnie za nic. W każdym razie Dziad próbował Zużę tam zaciągnąć i zgwałcić. Nie spodziewał się, że tam będę, i gdy zobaczyłem, co się kroi, to najpierw zdzieliłem go po nogach trzonkiem od łopaty do węgla, a potem stłukłem go na kwaśne jabłko.

– Sam był gwałcony?

– Tak, i to podobno bardzo brutalnie. Z racji jego szpetnej aparycji i niepokornego charakteru chętnie brali go najwięksi zwyrodnialcy, między innymi Wilczek czy właśnie Kryszak. Oprócz tego, że go gwałcili, to jeszcze dodatkowo karali, a Gwidona dokładała swoje, bo z całej bandy Kwiczola jego chyba nie lubiła najbardziej. Nieraz widziałem, jak przychodził z pręgami na plecach, ale nigdy się nad sobą nie użalał.

Uczciwie muszę przyznać, że był twardy, za to własny gniew przerzucał na słabszych.

– Myślisz, że byłby zdolny tak załatwić Kryszaka?

– Gdyby wpadł mu w łapska? – Brudny prychnął. – Bez najmniejszego problemu. Już jako dzieciak lubił fantazjować, jak się im wszystkim odwdzięczy, gdy dorośnie. Myślę, że jego pomysły mogłoby zawstydzić niejednego inkwizytora.

– A jak z nauką? Interesowały go nowoczesne technologie?

– Nie był głupi, raczej łośki gość, ale szkolne oceny innych wychowanków niespecjalnie mnie interesowały. Na pewno lubił gadżety. Często podkradał pedofilom kasę, zegarki czy inne pierdoły. Komórek wtedy jeszcze chyba nie było. Lubiał też grać w gry komputerowe, zwłaszcza Dooma i Wolfensteina, gdy Gwidona łaskawie pozwalała po zajęciach zostać godzinę dłużej w pracowni informatycznej. Sam je jakoś zainstalował i potrafił ukryć przed nią ich istnienie, więc chyba coś tam ogarniał. Ale jakie to mogło mieć przełożenie na późniejszy zainteresowanie technologiami, nie mam pojęcia.

– Przyszli hakerzy zwykle zaczynali od takich gier. Jeden z najlepszych na świecie, podobno Rosjanin, zawsze występuje pod nickiem „Doomer” i nie ukrywa, że to nawiązanie właśnie do Dooma. Ma na koncie włamanie do niemal wszystkich zaawansowanych systemów informatycznych na świecie. Kilka lat temu udało mu się obejść zabezpieczenia BMD i...

– Czego?

– Ballistic Missile Defense, czyli amerykańskiego systemu obrony przeciwrakietowej. „Doomer” zhakował system na kilka godzin, przez co cały kraj stał się niemal zupełnie bezbronny. Gdyby Rosjanie albo Chińczycy to wykorzystali i odpalili własne rakiety, z USA nie zostałby kamień na kamieniu. Co ciekawe Amerykanie nigdy go nie namierzyli i do tej pory jest jednym z najbardziej poszukiwanych cyberprzestępców na świecie.

– Mmm... cóż... – Brudny uśmiechnął się krzywo. – Dziad nie był głupi, ale tutaj chyba posuwamy się trochę za daleko.

– Zdziwiłbyś się, co ludzie są w stanie osiągnąć przez dwadzieścia lat.

– Mimo wszystko wątpię. Gdyby tak było, nie musiałyby kumać się z kartelami, a tym bardziej nie dałby się złapać.

– Czyli co?

– Nie wykluczamy, bo jednak facet ma motyw i charakter, aby dopuścić się takiej zbrodni. Równie mocno nienawidził i Kryszaka, i mnie. Dajmy Dariuszowi podzielać. Może czegoś się dowie i rzuci na sprawę Dziada nowe światło.

– Został ostatni...

– Pierun.

– A dokładnie Mikołaj Pieronowicz Gołowkin.

– Syn rosyjskich przedsiębiorców, a podobno nawet dyplomatów, którzy ponoć zginęli w wypadku samochodowym. Prawdopodobnie to w obu przypadkach słowo klucz, bo przedstawiał różne wersje, łącznie z tym, że zostali zamordowani przez zachodnie służby. Pewnie wymyślał, bo zginęli, gdy miał trzy czy cztery lata, ale biorąc pod uwagę, że trafił do placówki akurat w okresie stanu wojennego, może stawiać dodatkowe pytania. Dobrze zbudowany, silny, ale raczej skromny i cichy. Pierun chyba jako jedyny był w stanie konkurować z Kwiczolem o miano lidera grupy. Ostatecznie przegrał tę rywalizację, bo Gwidona namaściła tego drugiego. Do tej pory nie wiem dlaczego. Może dlatego, że był największym skurwysynem.

– Jak wyglądały wasze relacje?

– Nie były aż tak złe jak z Kwiczolem, Dziadem czy Łychą, ale należał do ich bandy, więc bił i kopał tak samo mocno jak pozostali. Ale to chyba żadne kryterium, mając na uwadze moje stosunki z Kucharem, które też wydawały się względnie dobre.

– No tak... – Julka odruchowo przytknęła dłoń do policzka, na którym straszyla rozległa blizna po oparzeniu. Pamięć o tym, co wydarzyło się zaledwie kilkanaście miesięcy temu, wciąż była świeża. – Czy Pierun miał kontakt z Kryszakiem? – zapytała, udając, że drapie się za uchem.

– Nie pamiętam. Wspominałem, że był raczej skryty, ale to prawdopodobne, bo mimo wszystko należał do tych twardszych, a tacy jak Wilczek czy Kryszak nie dość, że sobie na nich używali, to jeszcze tych najbardziej niepokornych lubili stawiać do pionu, czytaj: poniżyć, poniewierać i upadlać. Na pewno nie uniknął gwałtów, ale czy dobrał się do niego akurat Kryszak, tego nie wiem.

– Po wyjściu z placówki od razu się zaciągnął, tak?

– Przynajmniej tak twierdzi Krowiak. Po zmianie danych osobowych odbębnił podstawową służbę wojskową, aby następnie spróbować swoich

sił w jednostkach specjalnych. Od tamtej pory Krowiak nie miał z nim żadnego kontaktu.

– To będzie ze dwadzieścia lat...

– Nawet więcej, bo Pierun jest ode mnie kilka lat starszy.

– Jeśli się dostał, z pewnością został dobrze wyszkolony. W sumie nasze siły specjalne nie muszą się niczego wstydzić. Jak z naukami ścisłymi?

– Chyba dobrze liczył, bo był zajebisty w karty. Kto zasiadał z nim do pokera, od stołu zawsze odchodził ogolony.

– Hmm... – Julka dopiła resztkę zimnej już kawy. Zdążyła zgłodnieć, bo na śniadanie udało jej się przegryźć tylko kilka kabanosów. Przeczytała jeszcze kilka akapitów doprecyzowujących nakreślony przed rokiem profil psychologiczny Mikołaja Pieronowicza Gołowkina. – Nie wiem, jak ty to widzisz, ale spośród tej całej bandy zwyroli mnie Pierun pasuje do roli Sędziego najbardziej – dodała i spojrzała na Brudnego.

– Trzeba by się dowiedzieć, do czego był szkolony, ale zgodzę się, że byłby do tego zdolny.

– Rozumiem, że to też działka Dariusza...

– I tak, i nie. Siły specjalne armii nie podlegają Kałużyńskiemu, tylko ministrowi obrony narodowej, a to może być dla niego problem, bo z Jarosławem Smolikiem Kałużyński też jest w konflikcie.

– Smolik... – Julka zrobiła zdegustowaną minę i z niesmakiem pokręciła głową. – Przecież to największy idiota w całym rządzie. Widziałeś jak ostatnio dyskutował na Podkarpaciu z obywatelami na temat zagrożenia bronią laserową i elektromagnetyczną z kosmosu?

Brudny skinął na znak, że zna temat.

– Może Smolik i jest idiotą, ale to nie znaczy, że pozwoli komukolwiek wchodzić z brudnymi buciorami do własnego ministerstwa – powiedział. – Tym bardziej że jest już na wylocie, bo nawet Kumidor nie ogarnął tych jego pomysłów z parówkami. Nienawidzi Kałużyńskiego, bo głównie dzięki jego lobbowaniu prezes zaczął poważnie rozważać odwołanie go ze stanowiska.

– W sumie nie powinno nas to specjalnie interesować, bo znalezieniem obu ma zająć się Dariusz, mam rację?

– Tak jak i całej reszty. Osobiście nie miałem w planach szukać ani Dziada, ani tym bardziej Pieruna, ale gdy wczoraj wróciłem pamięcią do obu, przypomniałem sobie kilka zdarzeń, które mogą mieć istotne znaczenie.

– Brzmi interesująco...

– Jeden i drugi przez jakiś czas też mieli swoich patronów. Mam na myśli to, że w zamian za ochronę dawali dupy starszym od siebie. Coś jak Lis i Kuchar, choć też nie do końca. To... – Brudny przez dłuższą chwilę szukał odpowiednich słów. – Wiem, że trudno to sobie wyobrazić, a tym bardziej w to uwierzyć, ale tego typu relacje nie zawsze były oparte na wzajemnej nienawiści czy przymusie. Czasem między takimi chłopakami nawiązywała się specyficzna więź. I rzeczywiście dbali o siebie nawzajem. W tak podłym i okrutnym miejscu dzieciaki miały się różnych sposobów, aby jakoś przetrwać.

Spojrzenie Brudnego nagle stało się dziwnie nieobecne. Zastygł w bezruchu i wpatrywał się w jakiś punkt na przeciwległej ścianie. Widziała, że właśnie przenosi się do tamtego świata. Czasem zdarzało mu się odpływać i tracić kontakt z rzeczywistością. Rozumiała, że takich rzeczy nie da się zupełnie wyprzeć ze świadomości. Można to było przepracować, ale nie dało się tego wykorzenić raz na zawsze. Brudny nigdy nie zdecydował się na rozmowę z psychologiem, a tym bardziej psychiatrą. Powtarzał, że musi o tym pamiętać, tak jak ludzie powinni pamiętać o Holokauście czy powstaniu warszawskim. Zapomnieć o tym, co działo się w sierocińcu, byłoby największą niegodziwością nie tylko w stosunku do siebie samego, ale przede wszystkim wobec tych, którzy przeżyli największe piekło. Między innymi za to go kochała. Za to, że potrafił widzieć i rozumieć więcej, a ludzkie dusze nie miały przed nim tajemnic.

– Igor...

Brudny wyrwał się z chwilowego letargu. Zmrużył oczy, jakby na nowo chciał złapać ostrość widzenia.

– Mało pamiętam z tamtego czasu, bo miałem wtedy może z pięć czy sześć lat, ale kiedyś słyszałem rozmowę Pieruna z niejakim Cyklopem – kontynuował. – Dla mnie to już był prawie dorosły gość. Niewiele brakowało mu do wyjścia, pewnie kilka miesięcy. Jedno oko wciąż mu gdzieś uciekało, stąd ksywa. O dziwo wspominam go normalnie. Nic mi nigdy nie zrobił, ale już Pieruna gwałcił regularnie. Chociaż... – Brudny wyglądał na zdezorientowanego. – Kurwa, nie wiem, jak to nazwać. W zasadzie trudno to było nazwać gwałtem, bo on Pieruna do niczego nie zmuszał, a przynajmniej na tle innych przypadków molestowania tak to nie wyglądało. Wiem, że plotę bzdury... – Zrezygnowany machnął rękami.

– Chyba wiem, co chcesz powiedzieć... – uspokoiła go.

– No mam na myśli, że oni to robili, bo potrzebowali bliskości. Pierun ochrony, a Cyklop... kurwa, nie wiem... Nie wiem, czy rozumiesz... Chodzi o to, że trudno to wyjaśnić osobie, która nie doświadczyła wychowania pod batem Gwidony... – Brudny nerwowo sięgnął po papierosa. Zaciągnął się mocno. – W każdym razie potajemnie się spotykali i to robili. Kiedyś przypadkiem natknąłem się na nich w pralni, a w zasadzie oni na mnie. U hieronimek dzieciaki szybko były gonione do pracy i mnie tamtego dnia przypadło układanie wyprasowanej pościeli. Akurat zrobiłem sobie krótką przerwę i skryłem się w hałdach prześcieradeł. Wtedy przyszli. Myśleli, że nikogo nie ma i... – Znów nerwowo się zaciągnął i wypuścił dym nosem. – Bałem się, że mnie nakryją, więc siedziałem cicho do momentu, aż skończyli. Wtedy Cyklop przysięgł Pierunowi, że gdy wyjdzie z sierocińca, to zemści się na Kryszaku i obetnie mu jaja, a potem publicznie spali go na stosie.

Zawadzka nabrała powietrza i po chwili wypuściła je z sykiem. Ile podobnych historii Igor miał jeszcze w zanadrzu? Ile demonów go gnębiło? Nie była pewna, czy chce to wiedzieć.

– Mówiłeś o tym Dariuszowi? – zapytała półszepem. Brudny zaprzeczył.

– To nie jest tak, że ja to wszystko wyciągam z głowy tak na zawołanie – odparł, jakby próbował się przed czymś bronić. – Czasem nawet nie jestem pewien, czy sobie tego nie wymyślam. To znaczy... – cmoknął nerwowo – no nie wymyślam, pamiętam te sceny, ale wyświetlają mi się w głowie jak jakiś stary czarno-biały film, jakby ktoś pociął je na kawałki. Brakujące fragmenty muszę jakoś wypełniać i czasem nie wiem, co jest prawdą, a co tylko moją pokręconą fantazją.

Zawadzka westchnęła i położyła rękę na udzie partnera. Rzadko zdarzało się, żeby brakowało jej słów, ale to właśnie był taki moment. Sama sięgnęła po paczkę papierosów i gdy już miała jednego wyciągnąć, z jej laptopa dobiegło głośne „ping”. Od razu przeniosła wzrok na ekran i kilkoma ruchami otworzyła jakieś okienka.

– Sędzia znów nadaje – oznajmiła.

Zanim zdołała cokolwiek dodać, liczba subskrybentów poszybowała do prawie czterystu tysięcy. Gdy Brudny gasił niedopałek w popielniczce, licznik wskazywał już ponad dwa miliony.

ROZDZIAŁ 13

Salon w apartamencie na Powiślu był przestronny, ale obu mężczyznom nagle wydał się mały niczym klatka na szczury. Wódka też przestała im smakować, a koszule przykleiły się do spoconych ciał, przez które przebiegały nieprzyjemne dreszcze.

– Dlaczego? Kurwa, dlaczego?

Lech Rokosz zwiesił głowę i po raz kolejny nerwowo pokręcił głową. Rozmasował czoło palcami prawej ręki i strząsnął zebrany pot. Miał wrażenie, że cuchnie, i po raz pierwszy pomyślał, że tak cuchnie tchórz.

Świadomość, że jako szef partii i nieformalny lider całej opozycji za godzinę będzie musiał wziąć ten ciężar na swoje barki, totalnie go przytłaczała. No bo jak wytłumaczyć swoim wyborcom, że służby o wszystkim wiedziały? Ten świr właśnie przedstawił dowody, z którymi nie da się polemizować. Wiedział on, wiedzieli ministrowie, prokuratorzy i sędziowie, a oszuści i wynajmowani przez nich komornicy zacierali ręce. Wiedzieli o tym wszyscy, którzy mieli narzędzia, aby proceder ukrócić, ale siatka powiązań była gigantyczna, oplatała Warszawę swoimi mackami niczym ośmiornica i gdyby zdecydował się podjąć realne działania, w mig zostałby zniszczony. Co z tego, że go to uwierało, skoro i tak nie mógł nic z tym zrobić? Może gdyby Makowska dzięki niemu nie urządziła się w stolicy jak pani na włościach, to szybciej dostrzegłby niebezpieczeństwo. Zawsze miał jej to za złe, ale chronił ją, bo swoich należało bronić. Swojemu nie mogła stać się krzywda. Takie były zasady. Taka była polska polityka i kto tego nie rozumiał, kończył marnie. Tymczasem nieprawidłowości podczas dzikiej reprivatyzacji zdobywały kolejne szczyty, osiągając apogeum w momencie, gdy do sądów, a następnie mediów zaczęły spływać zawiadomienia o kamienicach przejmowanych przez mieszkających w Ameryce Południowej stuczterdziestoletnich Żydach. Bezcelność przestępców przestała mieć jakiegokolwiek granice, ale wtedy było już za późno. Ujawnienie skali procederu mogło tylko strącić go

w przepaść. Zresztą strąciło, a afera reprivatyzacyjna tylko dobiła i tak już beznadziejne sondaże całej partii. Kumidor mógł triumfować.

– Myślisz, że ją też zabije? – zapytał Wiesław Machalica, współtwórca partii i od lat prawa ręka Rokosza. Poluzował krawat, który jeszcze nigdy nie cisnął go tak bardzo.

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? – odparł prezes. – Wyglądam na pierdoloną wróżkę?

– Masz jakiś plan? Jak on zabije Halinę, to...

– Przestań, Wiesiek! Przestań zadawać te durne pytania! Wiem tyle co ty! I nie, nie mam zielonego pojęcia, jak z tego wybrnąć.

Przemaszerował w kierunku kominka i z powrotem. Machalica jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie. Chodził od ściany do ściany, trzymając się za podbródek, jakby intensywnie nad czymś myślał. Tylko co on mógł wymyślić? Jemu samemu przychodziły do głowy jedynie wizje kompletnego upadku. Spojrzał na ekran, na którym przywiązana do kolumny stała Makowska. Była minister sprawiedliwości w rządzie Rokosza wydawała się pogodzona z losem. Czuł niesmak, patrząc na jej nagie, zbrukane ciało. W żadnym wypadku nie przypominała tej silnej, chłodnej w obyciu i pewnej siebie kobiety, którą widywał przy okazji dziesiątek kularowych spotkań. Świadomość, że Sędzia może ją skrzywdzić, budziła w nim przerażenie, ale i – o zgrozo! – ciekawość.

– Muszę zobaczyć się z Kumidorem – oznajmił w końcu Rokosz. Machalica spojrział na niego, jakby właśnie wytarł smarki w rękaw koszuli.

– Nie widzę tego, szczerze mówiąc... – burknął niepewnie.

– Pierwszy się do mnie nie odezwie, więc to ja muszę wyjść z inicjatywą. Od teraz jedziemy na jednym wózku. – Rokosz wbił surowe spojrzenie w swojego wieloletniego współpracownika. Miał przekrwione, szeroko otwarte oczy i dyszał, jakby przebiegł maraton. – Nie ma innej opcji, Wiechu. Nie ma, kurwa, innej opcji. Temu psycholowi właśnie o to chodzi. Chce nas skłócić i podpalić kraj, i jeśli nie zaczniemy współpracować, to uda mu się szybciej, niż ci się wydaje. Poza tym na Polskę patrzy cały cholerny świat!

– Myślę, że Kumidor ma to w dupie.

– I właśnie dlatego ktoś musi go sprowadzić na ziemię. Skoro do tej pory służby nie zdołały namierzyć tego szaleńca, to znaczy, że rząd kompletnie nie panuje nad sytuacją. Może gdybyśmy poprosili Amerykanów albo...

– Amerykanie mają na nas wyjebane, Lechu. Zresztą nie tylko Amerykanie. Francja, Niemcy, Izrael, nawet Brytyjczycy. Kumidor skłócił nas ze wszystkimi bez wyjątku, o Rosji nie wspominając. Zresztą jakakolwiek zmiana władzy jest naszym sąsiadom, a przynajmniej tym na Zachodzie, absolutnie na rękę. Wątpię, żeby ktokolwiek kiwnął palcem, żeby nam pomóc.

– Nam?

– Mam na myśli Polskę, a Polskę teraz kojarzą z Kumidorem. Ale jeśli chcesz...

Leżące na sofie telefony niemal cały czas grzały się do czerwoności, ale mężczyźni, po kilku rozmowach z najbardziej zaufanymi ludźmi, wyciszyli je. Rokosz w końcu przeniósł wzrok na uporczywie bzyczące urządzenie i po chwili wahania sięgnął po smartfon. Akurat dobijał się były minister obrony w jego rządzie, Tomasz Barłóg. Odbił go i zaczął przeszukiwać listę numerów w poszukiwaniu tego należącego do Kumidora. Gdy już chciał nacisnąć zieloną słuchawkę, na ekranie wyświetlił się numer kanclerz Niemiec. Zawahał się, ale to połączenie też odrzucił. Wtedy gorączkowo zaczął przywoływać go Machalica. To mogło oznaczać tylko jedno. Natychmiast odłożył telefon i przysiadł się do laptopa.

– Chryste Panie – jęknął, gdy ujrzał Sędziego. Mężczyzna stał obok Makowskiej i wymachiwał jej przed nosem maczetą. Instynktownie zerknął na czat, na którym na ofiarę wylewał się potworny hejt.

kibol: *Potnij suke! Niech zdycha w meczarniach!*

Czarny_nesesser: *Przez to babsko zabrali mieszkanie mojej matce. miała osiemdziesiąt lat!!! Sędzio sądz ucziwie...*

parch: *tak własnie koncza złodzieje*

MatkaCzwórki: *Nie macie serca. Sami jesteście psychopatami.*

agnes6809362: *Kiedys złodziejom ucinali ręce więc...*

kibol do MatkaCzwórki: *Spierdalaj stad!!!!!!*

Mirek: *Ludzie opanuje się, bo on ją naprawdę zabije*

latawiec90: *utnij jej cyce hahahahaha*

figofago: *SĘDZIO drogi SĘDZIO, z TOBĄ jest cała ŻYLETA! Zrób starej kurwie z dupy jesień średniowiecza!*

paulinka: *smierc smierc smierc, chcemy chleba i igrzysk*

kibol do figofago: *yeeeeesssssss*

Rokosz wzdrygnął się, gdy kątem oka dostrzegł, że Sędzia przymierza się do zadania ciosu. Makowska w panicznej próbie usiłowała wyrwać się z więzów, ale nie miała żadnych szans. Gdy szalencie się zamachnął, z jej ust wyrwał się stłumiony wrzask. Rokosz przełknął ślinę i zamknął oczy. Wtedy ostrze opadło i przeszło przez tkanki jak przez masło. Najpierw na podłogę upadła prawa dłoń, a chwilę później lewa. Ofiara zaczęła wymachiwać uwolnionymi z więzów rękami, z których przy każdym ruchu tryskała jasnoczerwona krew. Mężczyzna w kapturze przez chwilę stał i w milczeniu przyglądał się wijącej się z bólu kobiecie, po czym odłożył maczetę i – nie bez trudu – na oba przedramiona założył opaski uciskowe, a następnie owinął kikuty bandażem. Gdy kobieta straciła przytomność, skierował wzrok w oko kamery. Ponownie chwycił maczetę i podszedł bliżej. W wyszarpanych otworach katowskiego kaptura znów błysnęły jego źrenice.

– To najmniejszy wymiar kary za złodziejstwo, ale oskarżam byłą posłankę i sędzinę Halinę Makowską o śmierć co najmniej osiemnastu osób: jedenastu mężczyzn, czterech kobiet i trójki dzieci, których dokładne dane osobowe załączyłem na stronie. Wszyscy oni odebrali sobie życie po tym, jak oskarżona pozwoliła na przejęcie ich mienia przez skorumpowanych czyścicieli kamienic. – Sędzia uniósł maczetę i skierował jej czubek w stronę oka kamery. W zakrwawionym ostrzu błysnęły płomienie rozsianych w pomieszczeniu świec. – Jednak nawet najbardziej pozbawiony sumienia potwór zasługuje na drugą szansę. Dlatego Halina Makowska przeżyje, jeśli Wiesław Machalica, który wspólnie z nią zaplanował cały ten barbarzyński proceder, ukorzy się przed narodem. Do jutra do południa ma przygotować pełną listę osób zaangażowanych w te czyny, począwszy od komorników, przez wszystkich biznesmenów, sędziów, na politykach kończąc, do tego dołączyć wszystkie dowody, a następnie z trybuny sejmowej błagać o litość dla siebie, obecnej tu Haliny Makowskiej i wszystkich reprezentantów swojej opcji politycznej. Transmisja z tego aktu ma zostać wyemitowana na żywo we wszystkich kanałach informacyjnych jutro w południe. Gdy naród przemówi, los oskarżonej zostanie rozstrzygnięty według jego woli.

Chwilę później mężczyzna zniknął z wizji i transmisja została przerwana. Rokosz jeszcze przez moment wpatrywał się w ciemny ekran, po czym zasłonił usta i wybiegł do łazienki. Gdy wrócił, podszedł do białego jak ściana Machalicy.

– Naprawdę ty to wszystko zaplanowałaś? – zapytał, próbując zachować stoicki spokój. Machalica skrzywił się jak dziecko, które zaczynało tracić nad sobą panowanie, aby zaraz wybuchnąć niekontrolowanym płaczem. Zacisnął powieki i przytaknął. – No to lepiej módl się, żeby go szybko dopadli, w przeciwnym razie jutro zrobisz to, co powinniśmy zrobić już dawno. Przyznasz się do wszystkiego jak na pierdolonej spowiedzi, rozumiesz?

– Zabiją mnie. Ja...

– Zamknij się! Jesteś odrażający. A teraz zejdz mi z oczu.

ROZDZIAŁ 14

Zawadzka postawiła na ławie dwa kubki z kawą. Przez ostatnią godzinę przejrzeni wszystkie możliwe portale informacyjne i fora internetowe. Z telewizji nie mogli się za dużo dowiedzieć, bo na wniosek premiera Nosalskiego informowanie o całej sytuacji zostało ograniczone do absolutnego minimum. Co innego media światowe. Tam aż huczało o Sędzim i tym, co wyprawia, a któryś z prezenterów do słowa „The Judge” dodał przydomek „Dredd”, nawiązując do filmu z Sylwestrem Stallone’em, w którym to tytułowy bohater rozprawiał się ze wszystkimi zbirami, będąc w jednej osobie policjantem, oskarżycielem i sędzią. Chwyciło i „The Polish Dredd” przewijał się na wszystkich kanałach. Błyskawicznie pojawiły się setki memów, często brutalnych i wulgarnych, co gorsza, na grzejących się do czerwoności forach internetowych większość użytkowników, którzy, co ciekawe, nie mieli pojęcia o sytuacji politycznej w Polsce, mocno identyfikowała się z Sędzią i chwaliła jego postępowanie, dostrzegając w nim człowieka, który w końcu wziął sprawy w swoje ręce, aby ukrócić poczynania zdegenerowanej władzy.

– To mi zaczyna wyglądać na rewolucję. – Julka strzepnęła nadmiar tytoniu do popielniczki. – Ludzie na całym świecie trzymają za tego faceta kciuki. Pojawiły się nawet zbiórki pieniędzy, na wypadek gdyby go złapali i typ potrzebował dobrego adwokata.

– Zwykły cyrk – burknął Brudny. – Dorwiemy go i znajdą sobie nowy temat.

– No nie wiem...

Kwadrans po tym, jak Sędzia najpierw obciął dłonie Makowskiej, a następnie wygłosił swoje żądanie, Brudny zdecydował się zadzwonić do Dariusza. Zamierzał wy badać, jak wygląda sytuacja, bo nie można było zaprzeczyć, że zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni. Wszelkie podejrzenia dotyczące tożsamości Sędziego wzięły w łeb, bo wybór kolejnej ofiary i wytoczone wobec niej oskarżenia były nie tyle zaskakujące, ile szokujące. Oczywiście można było przyjąć, że ten

szaleniec najpierw został w jakiś sposób skrzywdzony przez Kryszaka (ewentualnie innego księdza, którego Kryszak symbolizował), a następnie doznał jakiejś krzywdy ze strony Makowskiej (na przykład stracił mieszkanie), ale to wydawało się mało prawdopodobne, bo znacznie zawężyło grono podejrzanych, a co za tym idzie, sprowadzało na Sędziego ogromne ryzyko szybkiego wykrycia. Brudny wątpił, aby facet tak szybko postanowił wystawiać się na strzał, bo wszystko wskazywało, że dopiero rozwijał skrzydła. To natomiast pozwalało przypuszczać, że motywacje tego człowieka są zgoła inne, niż wcześniej zakładali. W dużym uproszczeniu należało przyjąć, że Sędzia jest po prostu najbardziej wkurwionym na środowisko polityczne obywatelem, który w końcu postanowił zrobić w kraju porządek.

Dariusz nie odbierał, co Brudny przyjął ze zrozumieniem, wszak przy okazji kolejnej transmisji zapewne miał na głowie nie tylko Kałużyńskiego, ale być może premiera, prezydenta i samego Kumidora. Niechętnie musiał przyznać przed samym sobą, że ta sprawa zaczynała go coraz bardziej intrygować i co gorsza, niezdrowo fascynować. Mieszane uczucia w stosunku do Dariusza, Kałużyńskiego i całej klasy rządzącej, nie wspominając o Kryszaku czy samym Sędzim, w jakiś pokrętny sposób nakręcały go do działania. Najchętniej wsiałby do patrola i pojechał w teren, ale tak naprawdę nie wiedział, od czego zacząć. Julka dwoiła się i troiła, ale namierzenie któregośkolwiek z byłych wychowanków, zwłaszcza tych, których dokumentacja uległa zniszczeniu, było bardzo czasochłonne, wręcz graniczyło z cudem. W chwili obecnej miał dwie możliwości: ponownie złożyć wizytę mieszkającemu całkiem niedaleko Krowiakowi albo wybrać się na przejażdżkę do Wołowa, gdzie dożywocie odsiadywał Łyszczek. Nie uśmiechało mu się ani jedno, ani drugie, ale jeśli nie chciał siedzieć na dupie i czekać, aż Julka natrafi na jakiś sensowny trop, musiał zacząć działać. Tylko jak pozbyć się tych dwóch tajniaków, którzy z pewnością nie odstępowałiby go na krok? Pewnie mógłby ich zgubić, ale jeśli chciał utrzymywać jakąkolwiek łączność z Julką, Dariusz i tak szybko by go namierzył. Postanowił, że zagra *va banque*. Sięgnął po smartfon i odszukał odpowiedni numer. Tym razem Dariusz odebrał.

- Dzień dobry, komisarzu – przywitał się.
- Jak dla kogo – odparł Brudny. – Kumidor pewnie zaciera rączki, co?
- Ostatnia transmisja w żaden sposób nie wpływa na naszą współpracę. Co pan ustalił?

– Gdy coś ustalę, to się o tym dowiesz. – Brudny postanowił nie ciągnąć tematu. Gdyby był na miejscu Dariusza też nie porzuciłby żadnego tropu, zwłaszcza jeśli był obiecujący. – Potrzebuję glectu na rozmowę z Bogusławem Łyszczkiem – dodał stanowczym tonem.

– Rozumiem.

– W Wołowie mogę być za kilka godzin.

– A konkretnie?

– Powiedzmy, że o... – szybko przeliczył, ile może mu zająć rozmowa z Krowiakiem, a następnie dojazd autostradą pod Wrocław – ... siedemnastej.

– Zatem o siedemnastej będą na pana czekać przed bramą. Czy coś jeszcze?

– Nie chcę, żeby ci dwaj siedzieli mi na ogonie. Odwołaj ich.

– Nasza umowa nie przewidywała takiego rozwiązania. Pan chyba rozumie, że ta sytuacja jest zbyt delikatna, abym pozwolił panu na całkowitą samowolkę.

Komisarz nerwowo przygryzł dolną wargę. Dariusz był przebiegły, wyrachowany i potrafił wykorzystać najmniejszą słabość przeciwnika. W tej kwestii miał rację. Ustalając zasady współpracy, Brudny nie zastrzegł sobie, że nie może być śledzony, i teraz to odbijało mu się czkawką. Mógłby spróbować negocjować, ale Dariusz nie wyglądał na takiego, który lubi się targować, gdy ma wszystkie asy w rękawie. Poza tym nawet gdyby jakimś cudem udało mu się postawić na swoim, zapewne i tak jego działania byłyby w jakiś sposób monitorowane.

– Po prostu nie chcę ich widzieć – powiedział, uznając, że musi pójść na kompromis.

– Przekażę, żeby działali mniej ostentacyjnie. Czy to wszystko?

– Wszystko.

– W takim razie do usłyszy...

Brudny rozłączył się. Grzecznościowy ton tego sukinsyna wkurwiał go bardziej niż faszyci. Podeszedł do lodówki i wyjął z niej kilka kabanosów, które niemal natychmiast pochłoniął. Nalał sobie wody z kranu i wypił duszkiem, po czym podeszedł do skupionej na pracy Julki.

– Jadę do Krowiaka, a potem do Łyszczka – oznajmił. – Jakby co, to używaj, wiesz czego...

Julka przytaknęła. Od czasu, gdy Brudny miał nieprzyjemność poznać Dariusza w opuszczonym magazynie na warszawskiej Pradze, postanowili

zaopatrzyć się w telefony na kartę, których używali, gdy musieli poruszyć bardziej niebezpieczne tematy. Pomimo że regularnie wymieniali karty, nie mieli żadnej gwarancji, że służby ich nie namierzą, ale przynajmniej żyli w przekonaniu, że utrudniają im pracę.

– Tylko uważaj na siebie, okej? – mruknęła.

– Zawsze na siebie uważam – odparł z przekąsem.

– Jasne. – Julka ironicznie wydeła wargi. – Po prostu nie zrób czegoś, czego ja bym nie zrobiła – dodała, rzucając mu wymowne spojrzenie.

Brudny poszedł do sypialni i wyjął z szuflady walthera, którego tradycyjnie wcisnął za pasek. W przedpokoju nałożył płaszcz i czapkę, chwycił z komody kluczyki i wyszedł. Dwadzieścia minut później był już w oddalonym o kilkanaście kilometrów Nedoradzu. Zaparkował przed furtką, za którą znajdował się szarobury dom Andrzeja Krowiaka. Gdy wchodził na teren posesji, dostrzegł, że w oknie poruszyła się firanka. Kobięca sylwetka mignęła mu tylko przez chwilę. Postanowił nie czekać i od razu zadzwonił do drzwi. Otworzyła mu niska i krępa kobieta z przetłuszczonymi włosami założonymi za uszy. Miała na sobie rozciągnięty dres, a na nim fartuch w wyblakłe kwiaty.

– Męża nie ma w domu – wypaliła bez słowa przywitania.

– A gdzie jest? – zapytał Brudny.

– Nie wiem.

– Kto to, kto to? – rozległo się z głębi domu i nagle przy nodze gospodyni pojawił się rozczochrany malec. Jego rude strąki stały każdy w inną stronę, a pod nosem zwisał wielki gil. – Dzień dobry – przywitał się i pociągnął nosem, a glut się schował. Brudny przykląkł i uśmiechnął się do kilkulatka.

– Twój tatuś jest w domu? – zapytał, a chłopak pokręcił głową.

– Nie słyszałeś pan, co mówię? – Gospodyni się zaperzyła. – Ja wiem, kim pan jesteś. I mówię, że męża nie ma w domu.

Brudny ani na chwilę nie spuścił wzroku z malca, który uparczywie próbował ominąć tarasującą mu drogę rękę matki. Dzieciaki w jego wieku trudno było zmusić do kłamstwa, a nawet jeśli, to wychwyciłby to błyskawicznie. Krowiak rzeczywiście musiał znajdować się poza domem.

– Czy może mi pani podać numer telefonu do męża?

– Nie mogę. I proszę sobie iść. Nie chcę kłopotów.

– Mogę z nim porozmawiać ja albo funkcjonariusze z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Proszę mi wierzyć, że druga opcja nie

będzie dobra ani dla pani, ani dla męża.

– Bo niby co? Znowu pan będziesz straszyć? Nie dam się nabrać. – Kobieta zaczepnie wysunęła podbródek do przodu.

– Chcę z Andrzejem tylko porozmawiać. Nic więcej.

– Już ja znam te wasze „porozmawiać”, już ja znam... – powtórzyła i nie wytrzymawszy, zdzieliła w tyłek szmatą wyrywającego się syna. Chłopak w te pędy pobiegł w głąb korytarza. – Męża nie ma i nie wiem, gdzie jest. Telefonu nie odbierze, bo go zapomniał, więc jak go pan znajdziesz, to powiedz, żeby wracał do domu, bo będzie żał zimne.

To powiedziawszy, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Pomyślał, że mógłby ją przycisnąć, ale nie miał czasu, aby uganiać się za nim po melinach. W drodze powrotnej zahaczył tylko o jedną z knajp, ale nie znalazł w niej Krowiaka, a miejscowi wspomnieli coś o tym, że mógł pojechać na ryby. Koryto Odry znajdowało się zaledwie kilka kilometrów na wschód od Niedoradza, ale w tej chwili nie uśmiechało mu się ganiecie po zarośniętych główkach, poza tym był umówiony na wizytę w więzieniu w Wołowie. Postanowił, że najwyżej zawita do Krowiaka w drodze powrotnej, po czym obrał kurs na Wrocław.

Dojechał pół godziny przed czasem. Jego zapas wykorzystał, aby na stacji paliw zjeść hot doga. Kupił też kilka dodatkowych paczek papierosów, aby w razie czego mieć coś, co ułatwi rozmowę z Łyszczykiem. Oczywiście nie musiał tego robić, bo miał wystarczająco silne argumenty, aby przekonać go do mówienia, ale uznał, że lepiej mieć coś w zanadrzu, niż nie mieć, zwłaszcza że fajki były w więzieniach zwykle najbardziej chodliwym towarem. Przy bramie rzeczywiście oczekiwał go strażnik. Gdy tylko zadzwonił, wrota się otworzyły, a następnie oddelegowany funkcjonariusz zaprowadził go do pomieszczenia, w którym przy stole siedział Bogusław Łyszczyk. Uśmiechnął się pogardliwie na widok Brudnego.

– Wiedziałem, że znowu tu przyleziesz – wycedził przez zęby.

– Czyżby? – Brudny usiadł po drugiej stronie stołu. Wyciągnął papierosa i go zapalił, a następnie przepchnął paczkę i zapalniczkę w kierunku starego znajomego. Zaciągnął się mocno. – Skoroś taki przewidujący, to pewnie przygotowałeś sobie wszystkie odpowiedzi – dodał i wypuścił dym nosem.

Łyszczyk również zapalił. Kilka razy pociągnął nosem i wytarł go wierzchem dłoni.

– Pierdolony katar – mruknął. – Leje mi się kinola jak z dupy.

- Coś o tym wiesz, co?
- Spierdalaj!
- Daj spokój, Boguś. Przerabialiśmy to. – Brudny nachylił się nad stołem, lekko skracając dystans. – Zadam ci pytania, a ty mi odpowiesz. Nie kręć, bo to wychwycę, a gdy wychwycę, to znowu poczujesz, jak leje ci się z dupy. Staremu garusowi chyba nie wypada brać w tyłek, mam rację?
- Chuja tam. Nie uwierzą ci.
- Jakby wiara miała tu cokolwiek do rzeczy... – Brudny wymownie uniósł brwi i cmoknął. – Te nowe grawerki to po naszej ostatniej rozmowie? Naprawdę mamy przechodzić to jeszcze raz?
- Wypierdalaj. Nie będę z tobą gadał.
- Boguś... – Brudny z niesmakiem pokręcił głową. – Przedstawię sprawę po twojemu, tak żebyś dobrze zrozumiał. Wolisz dalej kopać glinę czy co wieczór chapać dzidę?

Łyszczek wykrzywił usta w podkowę. Takie grymasy pewnie działały na wyobraźnię innych więźniów, ale Brudny mógł co najwyżej się uśmiechnąć. Powstrzymał się, aby go nie rozjuszyć, zwłaszcza że od ostatniego spotkania Łycha zadbał, aby jego wizerunek stał się jeszcze bardziej groteskowy. Wytatuowane oko wyglądało, jakby ktoś upaścił mu gałkę atramentem, a na twarzy pojawiła się dodatkowo pajęczyna, która biegła od ucha przez prawie cały policzek i szyję, niknąc gdzieś pod więziennym uniformem. Na ogolonej głowie też zrobiło się gęściej, a sam Łycha przypominał teraz nalanego knura i Brudny zastanawiał się, który ze strażników jest opłacany, aby na oddziale lądowały tak mocne sterydy. Wiedział też, że jego gabaryty i te wszystkie „dekoracje” miały za zadanie ukryć jego wrodzone tchórzostwo. Z założenia wszyscy mieli się go bać, bo Łyszczek doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby Brudny rozpuścił wśród innych więźniów informację o tym, że przed laty był gwałcony przez księży, błyskawicznie utraciłby swój status i w jednej chwili z gita przeistoczyłby się w cwela. Nikt nie dochodziłby prawdy i nie pytał o szczegóły, aby nie robić kwasów i nie podważać szacunku dla całej grupy grypsujących. Starzy koledzy szybko wzięliby go w obroty i nie pomogłoby nawet przeniesienie do innego zakładu, gdzie takie informacje docierają szybciej niż sam zainteresowany.

- Kiedyś stąd wyjdę, a wtedy cię znajdę – syknął Łyszczek, ale Brudny tylko skinął na znak, że przyjmuje to ostrzeżenie do wiadomości. Korciło

go, aby przypomnieć mu, że został skazany na dożywocie bez możliwości wcześniejszego zwolnienia, ale uznał, że tym razem sobie daruje.

– Skoro już wiem, co mi grozi, to może przejdźmy do rzeczy... – Łyszczyk jeszcze przez chwilę krzywił się, jakby przełknął kawałek gówna, ale w końcu zwiesił głowę. – To co, jesteś gotowy? – zapytał komisarz na wszelki wypadek.

– Pytaj i spierdalaj – bąknął więzień.

– Wiesz, dlaczego tu jestem, mam rację?

– Przez Kryszaka. I Sędziego. Na chodaku nie gadają o niczym innym. Dlatego czułem, że tu przyleziesz.

– Co wiesz na ten temat?

– Chłop wyruchał Kryszaka i obciął mu jaja. A potem upiekł go na rożnie jak prosiaka.

Brudny pomyślał, że niedługo cała ta historia dorobi się jeszcze grupy kosmicznych gwałcicieli z przyrodzeniami ponabijanymi ćwiekami, ale uznał, że na razie nie musi wyprowadzać go z błędu.

– Widziałeś film z egzekucji? – dopytał na wszelki wypadek.

– Nie, ale dałbym sobie łapę uciąć, żeby zobaczyć, jak ten stary chuj kwiczy z bólu. – Oczy Łyszczyka rozbłysły, a chwilę później mężczyzna uderzył pięściami w stół. – Klecha jebany. Skurwiel pierdolony. Kur... Ej! – Więzień nachylił się nad stołem. – Ty przecież musisz mieć ten film...

– Skup się na odpowiedziach.

– Pokaż mi.

– Ile razy Kryszak brał cię do pokoju?

– Nie pamiętam.

– Boguś...

– Pokaż mi film.

Brudny zgasił peta w popielniczce i przez dłuższą chwilę przyglądał się bandycie. Dariusz wszystko załatwił tak, jak się umawiali. Zadbał, aby naczelnik więzienia nie próbował wcisnąć im jakiegoś strażnika. W pomieszczeniu byli sami i teoretycznie mógł to wykorzystać.

– Najpierw odpowiesz na moje pytania – stwierdził po chwili namysłu.

– Kurwa, Krzychu... – Łyszczyk zmienił ton na bardziej uległy. – Powiem wszystko, tylko pokaż mi, jak ten skurwiel zdycha. Ze względu na stare czasy. No, kurwa, wiem, że masz ten film. Na pewno.

– Najpierw odpowiesz na pytania. Więc ile razy Kryszak brał cię do pokoju?

– Kurwa! – wysyczał Łyszczek przez zęby. Przez chwilę w jego oczach zatańczył obłęd, ale w sobie tylko znany sposób zdołał się uspokoić. – Cztery albo pięć razy. Dokładnie nie pamiętam – dodał już normalnym tonem.

– Mówił coś, gdy ci to robił?

– Ja pierd... – Więzień przewrócił oczami i zacisnął zęby. – Gadał różne rzeczy. Nie będę ci powtarzał, bo mnie chuj strzeli z nerwów.

– Nie o to mi chodzi.

– A o co?

– Coś o innych chłopakach? Albo o swoich planach na przyszłość?

– Nie wiem. Chyba nie. Nie pamiętam. Naprawdę nie pamiętam.

Test przebiegł pozytywnie. Łyszczek mówił szczerze. Brudny jeszcze przez chwilę obserwował jego mowę ciała, żeby upewnić się, czy aby na pewno nie odniósł mylnego pierwszego wrażenia, ale tym razem więzień nie zmyśla. Istniało wiele technik wybadania przesłuchiwanego, a ta była jedną z tych popularniejszych. Zadać trudne, często osobiste i bolesne dla rozmówcy pytanie, na które zna się odpowiedź. Oczywiście Brudny nie był jej do końca pewny, ale po jaką cholere Kryszaak miałby zwierzać się gwałconemu przez siebie chłopakowi ze swoich planów na przyszłość? Uchwycenie momentu, gdy przesłuchiwany pęka i mówi prawdę, należało następnie zestawiać z kolejnymi jego odpowiedziami na pytania podobnego kalibru. Większość maglowanych podejrzanych lub świadków zachowywała się tak samo, dzięki czemu można było szybko wyłapywać ich mniejsze i większe kłamstwa, a następnie dociskać, aż powiedzą całą prawdę.

– No dobra... – Brudny westchnął w nadziei, że Łyszczek odbierze to jako gest dobrej woli. Wyciągnął kolejnego papierosa i zapalił go, nie spuszczać wzroku z rozmówcy. – Ilu jeszcze innych chłopaków Kryszaak brał do pokoju?

– Przecież sam widziałeś. Po co mnie o to pytasz?

– Miałem wtedy cztery czy pięć lat. Ty z dziesięć.

Łyszczek się zasepił. Zmarszczył czoło i przez dłuższą chwilę intensywnie myślał.

– No nie pamiętam dokładnie, ale na pewno Kwiczola, Dziada i Francuza. Pieruna i Krowę chyba też.

– A starszych?

– Jakich starszych?

– Tych, co wyszli z placówki przed osiemdziesiątym dziewiątym.
– Krzychu, kurwa... – Łyszczyk bezradnie rozłożył ręce. – Czego ty ode mnie chcesz? Nie pamiętam.

– A Cyklopa pamiętasz? Zębacza? Tego Małego czy jak mu tam było?

Tym razem na twarzy więźnia wykwitł grymas pełen pogardy. Mały był naprawdę wrednym sukinsynem. Mikrej postury, z dwoma nienaturalnie wielkimi jedynkami i wąskimi, złośliwymi oczkami, uwielbiał wyżywać się na młodszych od siebie. Brudny też go dobrze pamiętał, bo choć Mały wtedy miał kilkanaście lat, potrafił upokorzyć, a nawet pobić kilkuletnie dziecko. Wszystkie dzieciaki trzymały się od niego z daleka, bo nigdy nie było wiadomo, co mu strzeli do głowy, zwłaszcza że nie potrzebował żadnego powodu, żeby przechodząc obok, strzelić kogoś w łeb, opluć albo z pełną premedytacją podstawić nogę. Tak się złożyło, że najbardziej upodobał sobie młodego Łyszczyka, którego gnębił i prawdopodobnie gwałcił wyjątkowo regularnie, co zapewne miało też wpływ na rozwój młodszego chłopaka, który gdy trochę podrosł, sam z taką lubością i zaciętością zaczął dręczyć innych, w tym Brudnego.

– W sumie to już mi lata, bo będę tu leżał do usranej śmierci – powiedział półszepem. – Dojechałem cwela. Znalazłem go i dojechałem jak burą sukę. Pewnie do dziś wyciąga z dziury okruchy szkła z butelki po wódce.

Brudny podrapał się po policzku. Tacy jak Mały po wyjściu z sierocińca do końca życia musieli oglądać się za plecy. Wrogowie tak szybko nie zapominali wyrządzonych krzywd. On sam też nigdy nie zapomniał i choć po opuszczeniu placówki za główny cel postawił sobie odnalezienie i ukaranie wszystkich swoich oprawców, po wyjeździe do stolicy grupowe zdjęcie z zaznaczonymi postaciami bandy Kwiczola wylądowało na dnie kryształowej wazy. Stłumił w sobie gniew i pragnienie zemsty. W końcu postanowił zostać gliną i łapać tych złych. Łyszczyk nie odpuścił i dopadł swojego oprawcę z dzieciństwa. Teraz jednak nie miało to żadnego znaczenia.

– A Cyklop? – zapytał, ignorując szyderczy uśmiezek na twarzy bandyty.

– Cyklop? – Łyszczyk się zamyślił. – Cyklop to nie moja bajka. On raczej bujał się z Pierunem.

– Rozmawialiście?

– Może coś tam kiedyś. A zresztą chuj go wie. To było dawno. Po co o nich w ogóle wypytujesz?

– Nie twój zasrany interes. Odpowiadaj.

– Naprawdę myślisz, że Sędzia to któryś z nich? No bo chyba po to tu przylazłeś. Nie jestem głupi, Krzychu.

– Nie będę powtarzał.

– Daj już na luz. Co było, to było. Tylko nie łapię, jak możesz chcieć ścigać tego Sędziego. Po tym, co tam przeszliśmy? Przecież chłop robi robotę za ciebie i wszystkie psy razem wzięte. Wiesz, jaki był Kryszak. Wiesz, co nam robił. Temu typowi należy się pierdolony medal.

– Zamknij japę i odpowiadaj.

– Naprawdę jesteś aż taką kurwą? – Łyszczyk spojrzał na Brudnego z niesmakiem i komisarz poczuł, że zaczyna tracić grunt pod nogami. Facet trafił w czuły punkt. – Brzydzę się tobą, Krzychu. I nic więcej nie powiem, póki nie pokażesz mi filmu.

Brudny przez dłuższą chwilę wpatrywał się w byłego oprawcę. Te kilka słów prawdy wstrząsnęło nim bardziej, niż się spodziewał. No bo właściwie po co się w to wmieszał? Dla jednego Czabańskiego? Dla zaspokojenia własnego ego? Nagle poczuł się nagi. Łyszczyk miał rację. Powinien odpuścić i pozwolić Sędziemu zrobić porządek. Gdy prawo nie działa, czasem trzeba radykalnych rozwiązań. A prawo nie działało od lat. Banda krwiopijców w garniturach czuła się zupełnie bezkarna. Ci w koloratkach tym bardziej. Podzielili koryto między siebie i kradli, kradli, kradli na potęgę. Kradli miliony w biały dzień, kryli bandytów i pedofilów, na koszt państwa urządzali sobie „dark party” i kolaborowali z neofaszystami, z każdym kolejnym dniem pchając kraj ku moralnemu, ekonomicznemu i społecznemu upadkowi. Jak to się stało, że stanął po ich stronie? Czy naprawdę był aż tak zaślepiiony?

Nie miał słów. Czuł do siebie odrazę. Wyciągnął smartfon i włączył film. Łyszczyk był bandytą i zwyrodnialcem nie dlatego, że taki się urodził. Łyszczyk był taki, bo takim stworzyli go Kryszak, Wilczek, Gwidona i wszyscy ci, którzy im na to przyzwolali, co gorsza przyzwolają dalej. I nawet on zasługiwał, aby choć przez chwilę poczuć się jak moralny zwycięzca.

Gdy Kryszak na dobre zniknął w płomieniach, Brudny zabrał rękę, w której trzymał smartfon. Wtedy Łyszczyk chwycił go za przedramię.

– Dzięki, Krzychu – powiedział. – Jesteś chuj, ale... – Poluzował uścisk i odwrócił głowę. Pociągnął nosem, a Brudny dostrzegł, że w jego oczach zebrały się łzy. – Pierdolony katar... – dodał i wytarł śluz w rękaw więziennego drelachu.

Brudny wrócił na swoją stronę stołu. Dał chwilę staremu znajomemu, który wyciągnął z paczki kolejnego papierosa. Targały nim potężne emocje, które próbował ukryć za wszelką cenę, ale wychodziło mu to wyjątkowo kiepsko. Widok ważącego ponad sto trzydzieści kilogramów kolosa, odsiadującego wyrok dożywocia mordercy z głową i twarzą wytatuowaną pajęczynami, czaszkami czy grobami, który wyglądał, jakby zaraz miał się rozbeczeć jak dziecko, był osobliwym doświadczeniem. Brudny złapał się na tym, że żal mu nie tylko Łyszczka, ale też wszystkich innych. Jakby ten bandyta nagle stał się uosobieniem wszystkich ofiar sierocińca prowadzonego przez Gwidonę, wszystkich wyrządzonych tam krzywd, wszystkich złamanych psychik i spustoszonych dziecięcych dusz. Nagle wezbrał w nim ogromny gniew. To była ich wina. To była wina Kryszaka, Gwidony i setek tych wszystkich zwyrodnialców, którzy z każdą kolejną wizytą w placówce karmili zasiane w wychowankach zło. A zło prędzej czy później musiało upomnieć się o swoje.

Wzdrygnął się, gdy zauważył, że Łyszczek bacznie mu się przypatruje. Sam sięgnął po papierosa.

– Wróćmy do Cyklopa – zaczął. – Myślisz, że byłby w stanie zrobić coś takiego?

– Jak każdy z nas...

– Słyszałeś, żeby kiedyś chwalił się, że robi to Kryszakowi?

– To była jedyna ucieczka, Krzychu. Wszyscy o tym gadaliśmy. Wszyscy chcieliśmy ich zabić. Marzyliśmy, aby zdychali w męczarniach.

– Ale Cyklop. Czy on...

Brudny poczuł, że smartfon brzęczy mu w kieszeni. Dzwonił Dariusz, więc odebrał natychmiast.

– Jest pan potrzebny, komisarzu Brudny – oznajmił w swoim stylu.

– Co się dzieje?

– Znaleźliśmy Mikołaja Pieronowicza.

– No i?

– Nie chce z nami rozmawiać. To żołnierz sił specjalnych. Wyszkolony na wypadek bycia przesłuchiwanym, fizycznie i psychicznie gotowy nawet na tortury. Nic nam nie powie, jeśli nie zechce.

- Chyba nie liczycie, że...
- Właśnie na to liczymy, komisarzy Brudny. Jestem głęboko przekonany, że on coś ukrywa, a pana obecność pomoże w nawiązaniu kontaktu.
- Brudny posłał Łyszczkowi przelotne spojrzenie. Wyglądał, jakby doszedł już do siebie, i trochę żał było kończyć w tej chwili przesłuchanie.
- Dokąd mam przyjechać?
- Wystarczy, że poczeka pan dziesięć minut za murami więzienia. Jak zakładam, właśnie tam pan teraz przebywa...
- Tak, ale co to ma znaczyć, że...
- Zatem proszę pojawić się tam za dziesięć minut. Śmigłowiec jest już w drodze.
- Mam tu samochód.
- Nie mamy czasu. Pana samochód zostanie dostarczony w wybrane przez pana miejsce na lawecie.
- Chwila, chwila... – Brudny znów zerknął na Łyszcza, który uśmiechał się do niego z wyraźną drwiną. Ta rozmowa nie wyglądała, jakby komisarz miał cokolwiek do powiedzenia. – To nie...
- Za dziesięć minut – urwał Dariusz i się rozłączył. Brudny schował smartfon do kieszeni. Pomyślał, że naprawdę wdepnął w gówno.
- Aport! – syknął Łyszczek, szczerząc kły jak pies. Chwilę później wybuchnął szyderczym śmiechem.
- Brudny nie odpowiedział. Wstał, zapukał w drzwi i gdy strażnik otworzył je od zewnątrz, wyszedł bez słowa pożegnania.

ROZDZIAŁ 15

Patrycja Klimczak włożyła majtki i stanik, a następnie o rozmiar za dużą, ale przynajmniej wygodną koszulkę. Potrzebowała gorącego prysznica, aby zmyć z siebie ostatnie niepowodzenia i oczyścić umysł. Miała mętlik w głowie, bo kolejne nagranie Sędziego zupełnie zbiło ją z tropu. Dlaczego wybrał Makowską? Oczywiście było, że maczała palce w procederze dzikiej reprzywatyzacji, a być może nawet to zorganizowała, ale w porównaniu z Kryszakiem i tak mogła uchodzić za wzór cnót niewieścich. Osiemnaście nazwisk, które do swojej relacji załączył Sędzia, znała doskonale, bo temat reprzywatyzacji był pierwszym, z którym musiała się zmierzyć, gdy przyszła do pracy.

– Jedź na Wilczą. Doszło do jakiejś eksmisji i zrobiła się afera, bo pewna staruszka z niepełnosprawną córką została wyrzucona na bruk – polecił jej kierownik działu już pierwszego dnia.

– Oczywiście.

– Jurek ma zrobić mocne zdjęcia. Płacz, lament, wkurwione twarze sąsiadów. Wiesz chyba, o co mi chodzi.

– Tak.

– Chcę, żeby tekst też był mocny. Ma budzić emocje, chwytać za gardło. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Jasne.

To jeszcze były czasy kiedy wydawcom zależało na jakości, a ludzie czerpali informację głównie z gazet papierowych, radia i telewizji, do Polski nieśmiało pukał Facebook. Klimczak przyłożyła się do powierzonego jej zadania i przygotowała porządny materiał na temat rodziny Góreckich, a kilka dni później na temat śmierci rodziny Góreckich, bo osiemdziesięcioośmioletnia staruszka o imieniu Stefania nie wytrzymała tak silnej traumy i dostała zapaści, a jej córka, schorowana pięćdziesięcioletnia Wanda z racji swojej niepełnosprawności nie zdołała jej pomóc, w związku z czym – prawdopodobnie z powodu

wyrzutów sumienia i żalu po stracie matki – nałykała się tabletek i też umarła.

Ta sprawa wstrząsnęła młodą reporterką, która postanowiła przyjrzeć się tematowi bardziej wnikliwie. Otrzymawszy zgodę od przełożonego, zaczęła swoje dziennikarskie śledztwo i po kilku tygodniach okazało się, że przypadków nieprawidłowości przy prywatyzacji kamienic jest znacznie więcej, a właściwie poszkodowanych jest całe morze ludzi, którzy z dnia na dzień mogą być eksmitowani ze swoich mieszkań bez względu na sytuację ekonomiczną. Dwukrotnie dostała pogróżki, a raz jakiś mężczyzna w kapturze zagroził jej na ulicy, że jeśli nie zostawi tego tematu, to może źle skończyć, bo „wypadki chodzą po ludziach”, co gorsza, przełożeni też zasugerowali, aby przestała się tematem interesować.

– To się nie sprzeda. Nikogo nie obchodzą kłopoty finansowe jakiejś patologii – powiedział jej szef redakcji, gdy przyszła do niego po rozmowie z kierownikiem działu.

– Pan mówi poważnie? – zaprotestowała. – To nie żadna patologia. Całe rodziny z dnia na dzień są wyrzucane z domów, w których spędzili całe życie. Jedna z mieszanek walczyła w powstaniu warszawskim!

Mężczyzna poprawił poły marynarki i podniósł się z fotela. Czarujące spojrzenie i ładny uśmiech sprawiały, że wyglądał na przyjaznego pięćdziesięcioletka, ale to było tylko powierzchowne wrażenie. Na początku dała się nabrać, ale szybko okazało się, że pod płaszczykiem przesadnej życzliwości i serdeczności, kryła się jakaś trudna do określenia lubieżność, która emanowała z niego przy każdej okazji, gdy zostawali sam na sam.

– Proszę mi wierzyć, pani Patrycjo. Mam doświadczenie i wiem, czego oczekują mieszkańcy tego miasta – powiedział, gdy wstał od biurka. – Płaczące staruszki to nie to, o czym chcą słuchać i czytać. Myśli pani, że dlatego tematem nie zajęły się media głównego nurtu? Powiem pani, pani Patrycjo... – Położył jej dłoń na ramieniu i lekko zacisnął palce. Poczowała jego ciepły oddech na swoim uchu. – Nikt o tym nie mówi, bo nikogo to nie interesuje. Nudne to jak flaki z olejem.

– Wczoraj na ulicy zaczepił mnie jakiś facet i zagroził, że jeśli nie zostawię tematu, to może mi się przytrafić wypadek – broniła się w nadziei, że może tym sposobem zdoła przekonać szefa. – Chyba nie ma lepszego dowodu, że jednak kogoś to interesuje. Ta sprawa cuchnie na kilometr i jestem przekonana, że to jakiś gruby przekręt.

– Od razu przekręć. Nie wolałaby pani zająć się czymś poważniejszym? Czymś, co mogłoby pozwolić pani powalczyć o awans? Może dziś omówilibyśmy ewentualne tematy przy kolacji. Robię świetne risotto.

Zaproszenia nie przyjęła, co szybko odbiło się na jej pozycji w firmie. Otrzymała zakaz zajmowania się sprawą reprivatyzacji i została sprowadzona do pisania o dziurach w jezdni, w związku z czym pożegnała się z redakcją „Stolicy 24/7” i poszukała pracy w kolejnej, a po dwóch latach przeniosła się do telewizji.

Temat afery reprivatyzacyjnej wypłynął dopiero w 2016 roku za sprawą Zofii Lorek, kilka lat starszej reporterki zajmującej się głównie tematami dotyczącymi bieżącej polityki. Nie lubiły się już wcześniej, bo kilka lat przed opublikowaniem materiału spotkały się w „Superkurierze”, gdzie atrakcyjna i pewna siebie Lorek widziała w osobie młodszej dziennikarki zagrożenie i na każdym kroku rzucała jej kłody pod nogi. Ale to właśnie moment, gdy temat reprivatyzacji z impetem wdarł się na pierwsze strony gazet, a Klimczak zobaczyła, że większość materiałów wykorzystanych przez koleżankę została wykradziona z jej laptopa, wyniósł wzajemną niechęć na zupełnie inny poziom. Młodsza dziennikarka zniecierpliwiła Lorek i często wyobrażała sobie, że wydrapuje jej oczy. Rywalka rozegrała to natomiast po mistrzowsku, bo gdy temat na dobre rozgościł się w głównym nurcie, to choć teksty, a później reportaże Klimczak dotyczące tematu często przewyższały jakością te napisane przez Lorek, to i tak już zawsze była w cieniu swojej rywalki. Dziś mogła to zmienić. Musiała tylko uchwycić to, co tak natrętnie nie pozwalało jej normalnie funkcjonować. Czowała, że to coś wielkiego, klasyczny game changer, który da jej szansę nie tylko na wyjście z cienia rywalki, ale i na słodką zemstę. Musiała znaleźć klucz do tej jednej z tysięcy szufladek ukrytych w najgłębszych czeluściach umysłu i zamierzała to zrobić teraz.

Przysiadła na hotelowym łóżku i sięgnęła po swojego laptopa. Włożyła przenośną kartę pamięci i pootwieriała interesujące ją pliki. Otworzyła te dotyczące dwunastu z osiemnastu nazwisk, które w relacji załączył Sędzia. Znała większość tych ludzi, rozmawiała z nimi, zwierzała się im ze swoich problemów i ze łzami w oczach prosili o pomoc. Robiła, co mogła, ale szybko odkryła, że świat nie jest sprawiedliwy, a stolica to jedno wielkie bagno. Najgorsze było to, że gdy na temat nieprawidłowości napisano i powiedziano już wszystko, a poszlaki i dowody wskazujące na winę poszczególnych osób, w tym Makowskiej, wydawały się niezbite, to i tak

nikogo to nie obchodziło. W procederze siedzieli wszyscy, począwszy od zwykłych rzeźmieszków, przez biznesmenów, adwokatów, komorników, prokuratorów i sędziów, na najbardziej prominentnych politykach skończywszy. Wiedzieli wszyscy. Gadała o tym cała pierdolona Warszawa, mimo to kolejne rodziny w biały dzień były wywalane na bruk. Z czasem nawet przechodnie przestali się zatrzymywać, a nowa władza przycisnęła dopiero w momencie, gdy uznała, że politycznie może na tym ugrać.

Dwanaście znajomych nazwisk. Setki, a może i tysiące godzin pracy. Osiemnaście osób, które odebrały sobie życie. Sędzia, który dochodzi sprawiedliwości na własną rękę. Wzdrygnęła się na myśl o liczbie osiemnaście. Informacja, że osiemnaście osób popełniło samobójstwo, nie była tak nośna jak to, że Kryszak zgwałcił kilkudziesięciu chłopców, ale jeśli spojrzeć na sprawę z innej perspektywy, to ci ludzie nie posunęli się do ostateczności bez powodu. Ktoś zniszczył im życie. A następnie je odebrał. Ten ktoś ich zabił, a przynajmniej tak widział to Sędzia, i nie sposób było całkiem negować jego toku rozumowania.

Klimczak przez kolejne półtorej godziny wertowała swoje własne materiały. Dopiero teraz, gdy zebrała wszystko w jednym miejscu, uderzyła ją skala ludzkiej tragedii. Osiemnaście niewinnych osób, które odebrało sobie życie. Z dwunastoma z nich miała bezpośredni kontakt. Z dwunastoma miała...

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Otworzyła kolejny plik i omiotła tekst wzrokiem, a chwilę później poczuła wzrost niepokoju, który szybko przeobraził się w ekscytację. Tak jakby ten przygaszony płomień nagle otrzymał solidną porcję najczystszej tleny. Nagle zaschło jej w gardle i sięgnęła po przygotowaną zawczasu lampkę wina. Lekkie, białe, półsłodkie. Nigdy nie była smakoszem, ale gdy upiła łyk, poczuła na języku dziwnie cierpki smak, a jej dłoń zadrżała w nerwowym tiku. Oblała się, a kilka kropel spadło na obudowę i wyświetlacz urządzenia. Zakłęła i odstawiła kieliszek na szafkę nocną, po czym z narastającym uczuciem podniecenia szybko wytarła zachlapanie miejsca chusteczkami. Z powrotem usiadła do laptopa i próbując opanować emocje, raz jeszcze dokładnie przeczytała napisany przez siebie tekst od deski do deski. Płomień rozbłysnął jeszcze mocniej.

Przejrzała internet. Nie znalazła żadnej wzmianki. Kompletnie nic. Tak jakby jej artykuł nigdy nie istniał. A może w ogóle go nie opublikowała? To było tak dawno temu. Zmarszczyła czoło i zamknęła oczy w nadziei, że

zdoła sobie przypomnieć jakieś szczegóły, ale wszystkie jej materiały zlewały się w jeden wielki kocioł wypełniony strachem, cierpieniem i łzami poszkodowanych mieszkańców. Może jednak tego nie opublikowała? Tekst był krótki, niedopracowany, brakowało dodatkowych źródeł. Tylko kilka suchych faktów oraz imię i nazwisko zmarłej.

Klimczak przełknęła ślinę i poczuła, jak jej ciało przyszywa seria przyjemnych dreszczy. To nazwisko nie mogło być tylko niefortunnym zbiegiem okoliczności. A jeśli miała rację, to tym razem Igor Brudny na pewno jej nie wyrzuci.

ROZDZIAŁ 16

Okolicę rozświetlało blade światło księżyca i tysiące rozszianych na bezchmurnym niebie gwiazd. Porośnięte gęstym lasem wzgórza prezentowały się majestatycznie i groźnie zarazem, nietknięte jakąkolwiek cywilizacją zdawały się ostrzegać, że w tym miejscu panuje prawo natury i wszyscy, którzy go nie uszanują, prędzej czy później poniosą zasłużoną karę. W powietrzu unosił się zapach świeżo rąbanego drewna, żywicy i dymu.

Brudny wyciągnął z kieszeni płaszcza papierosa i zapalił, wpatrując się w powoli gasnący ruch obrotowy wirników śmigłowca. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że trafił do zupełnie innego świata. Prostsze, lepszego, wolnego od ludzkiej podłości. Raz jeszcze omiół wzrokiem łagodne górskie zbocza. Widok nieskażonej natury był piękny, ale i przytłaczający, zwłaszcza dla człowieka, który większość życia spędził w miejskiej dżungli.

Odetchnął pełną piersią, a z jego ust wydobył się obłoczek pary. Lekki mróz zdawał się przyjemny jak nigdy wcześniej. W pewnym momencie dostrzegł na niebie majestatyczny cień szybującego ptaka. Powiódł za nim wzrokiem, wtedy drapieżnik zaczął pikować i zniknął za drzewami. Wyłonił się kilkanaście sekund później, w szponach trzymał zdobycz i ciężko machając skrzydłami, ponownie wzbił się ponad linię łagodnych szczytów, w końcu zniknął z pola widzenia. Komisarz zgasił papierosa i postawił kołnierz, gdy usłyszał za plecami odgłos kroków. Świeżo nawiany śnieg głośno skrzypiał pod nogami nadciągającego przybysza, a gdzieś niedaleko z traskiem runęła gałąź. Wzdrygnął się, gdy z głębi lasu poniósł się wilczy skowyt. Odwrócił się.

– Dobry wieczór, komisarzu Brudny – przywitał się Dariusz. Miał na sobie ciepłą puchową kurtkę i czapkę, przez co wydał się wyższy i potężniejszy, niż Brudny go zapamiętał. Ściągnął rękawiczkę i wyciągnął rękę. Brudny nie zareagował, więc agent zabrał ją bez cienia urazy. – Dowiedział się pan czegoś w Wołowie?

- Niewiele – odburknął. – Gdzie my w ogóle jesteśmy?
- W Bieszczadzkim Parku Narodowym.

Brudny spodziewał się takiej odpowiedzi, ale wolał się upewnić. Może nie był ekspertem, ale bez większego problemu potrafił ocenić kierunki świata na podstawie rozmieszczenia widocznych na niebie ciał niebieskich, a biorąc pod uwagę czas, jaki musieli przebyć, aby dotrzeć na miejsce, oraz mijane po drodze charakterystyczne krajobrazy za oknem, Bieszczady wydawały się jedyną względnie sensowną opcją. I nie brzmiało to wcale dobrze. Już w drodze pożałował, że wsiadł do śmigłowca, bo szybko zdał sobie sprawę, że znalazł się na łasce Dariusza. Gdyby ten facet nagle zechciał się go pozbyć, ciała komisarza już nikt nigdy by nie odnalazł.

– To w takich miejscach przesłuchujecie niepokornych? – zapytał zaczepnie, aby odwrócić uwagę rozmówcy od siebie i targających nim wątpliwości.

– Nie musi pan lubić ani mnie, ani moich mocodawców, ale pańskie wycieczki są nie na miejscu – odparł z pełną powagą Dariusz. – I proszę się nie martwić. Nic panu nie grozi – dodał, jakby czytał mu w myślach.

– Jasne... – Nie było sensu udawać, że jest inaczej, więc Brudny nie ciągnął tematu. Oblizał spękane wargi i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza kolejnego papierosa. – Jaka jest więc w tym wszystkim moja rola?

– To właśnie w tym domu ukrywał się Mikołaj Pieronowicz Gołowkin. – Dariusz skinął na niewielką chatę z bali, która niczym wyjęta z dziewiętnastowiecznej baśni stała sobie samotnie pod lasem. Nawet z daleka widać było, że została zbudowana własnym sumptem, zwłaszcza że na pierwszy rzut oka nie prowadziła do niej żadna droga. – Pana zadaniem jest nawiązanie kontaktu z tym człowiekiem. W mojej ocenie spodziewał się, że będziemy go szukać, dlatego zbiegł właśnie tutaj.

– Zbiegł? – Brudny lekko zmrużył oczy.

– Mamy prawo sądzić, że może mieć jakiś związek ze sprawą, być może nawet jest Sędzią. Prawdopodobnie wyczuł, że zaczynamy deptać mu po piętach, stąd jego decyzja o wyjeździe w Bieszczady.

– Jak go znaleźliście?

– Mamy swoje sposoby. Wiemy też, że zjawił się tu dopiero dziś przed południem. Niestety, w ogóle nie chce współpracować.

– I że niby ja mam to zmienić?

– Nie wysyłałbym po pana śmigłowca, gdybym nie był co do tego przekonany.

Brudny ponownie spojrzął na chałupę. W oknach migało żółtawe światło, a z komina wydobywała się smużka szarego dymu. Postanowił dłużej tego nie przeciągać i minąwszy Dariusza, skierował się do celu podróży.

Przed werandą stało dwóch postawnych funkcjonariuszy. Podobnie jak szef, mieli na sobie puchowe kurtki i czapki, a ślady podeszw na białym puchu wskazywały, że obejścia pilnują kolejni. Jeden z nich posłał mu kose spojrzenie i Brudny dostrzegł, że jego warga jest potwornie spuchnięta. Kątem oka zauważył, że drugi ma rozciętą kurtkę i opatrunek na policzku, a w okolicy schodów śnieg znaczą brunatne smugi. Przez głowę przeleciała mu seria fatalistycznych wizji, ale szybko wrócił do rzeczywistości. Pomyślał, że ktokolwiek znajduje się w środku, na pewno tanio skóry nie sprzedał. Gdy wszedł na ganek, chuchnął w zmarznięte dłonie i tupnął nogami o podłogę. Wtedy Dariusz otworzył drzwi.

W środku panował półmrok rozświetlany ogniem z kominka i kilkunastoma rozstawionymi w całym pomieszczeniu świecami. Wnętrze było surowe i praktycznie pozbawione jakichkolwiek mebli prócz sękatej ławy, dwóch krzeseł i łóżka, na którym leżał wałek pod głowę i skóra wyglądająca, jakby dopiero co została ściągnięta z niedźwiedzia. Z przedmiotów poza kilkoma garnkami i naczyniami Brudny zobaczył jeszcze wiadro, miotłę, stosik drewna i dwie długie półki z książkami, z których większość wypełniała klasyka. Pośród nich dostrzegł *Zbrodnie i karę* Dostojewskiego, *Moby Dicka* Melville'a, *Portret Doriana Greya* Wilde'a, *Hrabiego Monte Christo* Dumasa, *Quo vadis* i trylogię Sienkiewicza, a także *Folwark zwierzęcy* Orwella. Przeszył go lekki dreszcz, bo w życiu nie pomyślałby, że Pierun może czytać tego typu literaturę, zwłaszcza że tytułów było znacznie więcej. Przełknął ślinę, gdy w końcu wbił wzrok w siedzącego na samym środku mężczyznę. Był przywiązany do krzesła i ze spuszczoną głową wyglądał, jakby spał. Miał na sobie tylko spodnie, a wyrzeźbiona klatka piersiowa unosiła się i opadała w takt kolejnych powolnych oddechów. Bez wątpienia musiał być w doskonałej formie fizycznej, bo na barkach i rękach rysowała się siatka niebieskich żył, a pobłyskujące na skroniach plamy siwizny tylko potwierdzały, że pomimo wieku mógłby zakasować niejednego dwudziestolatka.

– Mikołaj Pieronowicz Gołowkin, dziś znany jako major Piotr Michalczyk, oficer Jednostki Wojskowej Komandosów z Lublińca, ekspert

w walce wręcz, rozpoznaniu i walce partyzanckiej. Sześciokrotnie odznaczany za akcje za linią wroga, głównie w Iraku i Afganistanie. Można by rzec żołnierz doskonały, gdyby nie fakt, że... – Dariusz poklepał komisarza po ramieniu. – Zresztą niech sam ci powie...

Wtedy mężczyzna uniósł głowę i wbił wzrok w Brudnego. Obaj mężczyźni przez dłuższą chwilę mierzyli się spojrzeniami.

– Kopę lat, Pierun – mruknął w końcu Igor.

– Cześć, Krzychu – odparł żołnierz. – A teraz wypierdalaj, skąd przyszedłeś, bo ze sprzedajnymi kurwami nie gadam.

Komisarz przełknął ślinę. Pomyślał, że teraz to on jest po złej stronie lustra. Jakkolwiek by sobie to tłumaczył, stał ramię w ramię z ludźmi będącymi na usługach największych łajdaków od czasów upadku komuny. Poczul przytłaczający wstyd, ale to nie był czas ani miejsce, aby się mazać. Zrobi swoje, a potem wycofa się z umowy. Z tą myślą usiadł naprzeciwko starego znajomego. Wyciągnął papierosa i zapalił, aby zebrać myśli. Chwilę później zaczął mówić.

ROZDZIAŁ 17

Dziennikarka obejrzała się przez jedno, a następnie przez drugie ramię. Pamiętała, że ostatnio dom Brudnego znajdował się pod obserwacją i zastanowiło ją, co się zmieniło, skoro ci dwaj tajniacy zostali odwołani. Przeszło jej przez myśl, że Brudny mógł wyjechać, ale w salonie paliło się światło, więc zapewne ktoś był w środku. Wzdrygnęła się, gdy dotknęła zimnej klamki furty. Chwilę później ciszę przerwał szczełk mechanizmu i krótki, acz donośny zgrzyt dawno nieoliwionych zawiasów. Znów ogarnęła ją fala zwątpienia. Czy zdoła go przekonać? Zwłaszcza po tym, co zaszło między nimi przed laty? Wzięła głęboki oddech i pewnym krokiem ruszyła w kierunku drzwi. Od razu nacisnęła dzwonek. Otworzyła jej Julka.

– To znowu pani? – prychnęła. – Proszę sobie odpuścić. I niech pani potraktuje moje słowa jako dobrą radę, okej? – dodała, wbijając w nią władcze spojrzenie.

– Czy jest Igor?

Zawadzka przewróciła oczami i przyciągnęła do siebie drzwi, ale zatrzymały się na czarnym kozaku dziennikarki. Przeniosła wzrok na but, a następnie na twarz kobiety. Na jej twarzy malowała się rzadko spotykana determinacja i komisarz pomyślała, że będzie musiała użyć bardziej wysublimowanych metod. Uniosła prawą brew i przystawiła do ust tłącego się w palcach papierosa. Zaciągnęła się. Wtedy do głowy przysła jej niekoniecznie szlachetna, choć bardzo kusząca myśl.

– Mam dla niego bardzo ważną wiadomość. Może go pani poprosić? – naciskała przybyszka.

– Nie odpuści pani, prawda?

– Myślę, że wpadłam na trop mordercy.

– Ach tak... – Kąciki ust Julki uniosły się w kpiącym grymasie.

Raz jeszcze przyjrzała się atrakcyjnej blondynce. Niechętnie musiała przyznać, że ta kobieta drażni ją nie tylko dlatego, że nagabuje ją podczas pracy. Miała co do niej inne przeczucie i najzwyczajniej w świecie była zazdrosna.

– Proszę zawołać Igora. Przekonam go.

Komisarz z powrotem otworzyła drzwi na oścież i wymownym spojrzeniem dała znak, że dziennikarka może przestąpić próg. Niespecjalnie wierzyła, że ta dziewczyna może mieć coś na tyle interesującego, by warte było choćby pięciu minut rozmowy, ale miała przekonanie graniczące z pewnością, że między Klimczak a Brudnym coś kiedyś zaszło. Nie zaszkodziło jej wypytać, skoro on uciekał od tematu.

Dziennikarka ściągnęła płaszcz, czapkę i szalik i niepewnym krokiem skierowała się do salonu. Julka ruszyła za nią i gestem wskazała jej fotel, a sama poszła nastawić wodę.

– Pije pani kawę czy herbatę? – zapytała. – Chyba że chce pani coś mocniejszego. Na dworze straszny ziąb, prawda?

– Poproszę herbatę.

– Z cukrem i cytryną?

– Tylko z cytryną i... – Dziennikarka zawahała się, a Julka dostrzegła kątem oka, jak rozgląda się niepewnie po salonie. – Igor jest w domu?

– Nie ma go.

– Ale...

– Wyjechał i nie wiem, kiedy wróci. Jeśli ma pani coś do powiedzenia, to jedyna taka szansa. Zresztą wątpię, aby chciał z panią rozmawiać, mając na uwadze wasze... zaszłości.

Postanowiła zaryzykować. Była prawie pewna, że kiedyś coś ich łączyło. Co dokładnie? Podejrzewała, bo swojego czasu Igor nie odmawiał adorującym go kobietom i zwykle korzystał z nadarzających się okazji, ale jego popaprana psychika sprawiała, że nie wchodził, a może po prostu nie był zdolny do wchodzenia w głębsze relacje. A jej dał kiedyś kosza, gdy po jednej z akcji wylądowali w łóżku. Uprawiali seks całą noc, a nawet częściowo się otworzył i wspomniął o tym, że wychował się w sierocińcu. Myślała, że skorupa pękła, ale rano szybko sprowadził ją na ziemię.

– Poniosło nas, Julka. Razem pracujemy i nie możemy się pieprzyć. To był pierwszy i ostatni raz.

Jego ton był lodowaty. Powiedział to w tak oschły i pozbawiony jakichkolwiek emocji sposób, że poczuła się, jakby dostała w twarz. Nie dała tego po sobie poznać, ale zadra w sercu utrzymywała się jeszcze jakiś czas. Próbowwała lekceważyć fakt, że spotyka się z innymi kobietami, zniosła nawet Oksanę, która w jakiś sobie tylko znany sposób zdołała utrzymać go przy sobie na dłużej. Sama w tym czasie zmieniała partnerów

jak rękawiczki, podświadomie wciąż czekała na dogodny moment. Wreszcie zdobyła go, gdy prawie pożegnał się z życiem, a potem długo dochodził do zdrowia. Bez wątpienia był jej wdzięczny za troskę, jaką go otoczyła, i pomoc, jaką mu ofiarowała, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że związki oparte na wspólnie przeżytych traumach zwykle mają kruche podstawy. Owszem, Igor był facetem z zasadami, czuła też, że darzy ją szczerym i silnym uczuciem, ale to wciąż był Igor Brudny, samiec alfa, facet, który robił to, co uważał za słuszne, który chadzał własnymi ścieżkami i rzadko potrafił postawić się na miejscu drugiej osoby. Dlatego musiała być czujna. A ta dziennikarka miała w sobie coś, co sprawiało, że w jej głowie wyła syrena alarmowa. Musiała ją trochę wypytać, bo ta kobieta najwyraźniej wyjątkowo zalaża mu za skórę.

Julka postawiła na ławie dwa kubki z parującą herbatą. Klimczak podziękowała, ale najwyraźniej straciła rezon, bo nie mogła wydusić z siebie słowa. Wpatrywała się tylko w wyciszony telewizor, na którego ekranie wyświetlały się kolejne obrazy z demonstracji w stolicy, gdzie rząd w trybie awaryjnym zdecydował się ściągnąć kilka kompanii wojska. Na ulicach Warszawy dochodziło do dantejskich scen. Pojawiły się pierwsze ofiary, głównie stratowani uczestnicy rozpędzanych zgromadzeń czy przemarszów, które z czasem przemieniały się w wulkany agresji w stosunku do służb ochraniających najważniejsze punkty w mieście oraz nagminnie atakowane kościoły.

W użycie poszedł ciężki sprzęt, armatki wodne i broń na gumowe kule. Co rusz pojawiały się zdjęcia i nagrania poszkodowanych obywateli i brutalnie tłumiących protesty policjantów. Niemal wszędzie błyskały policyjne koguty albo rozsiane na ulicach plamy ognia po koktajlach Mołotowa, na pewno spłonęło wiele samochodów i kilka sklepów, a kolejne informacje nie były ani trochę krzepiące. Warszawa osuwała się w otchłań chaosu.

– Nie powinna pani teraz relacjonować tego, co dzieje się w stolicy? – zapytała Zawadzka, wymownie zerkając na ekran telewizora. Klimczak przełknęła ślinę i nabrała powietrza, ale ostatecznie nic nie odpowiedziała.

– Jak się pani nazywa?

– Patrycja Klimczak. Pani to Julia Zawadzka, czy tak?

– Komisarz Julia Zawadzka – poprawiła ją.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. Po co pani tu przyjechała? I czego pani chce od Igora?

– Wolałabym osobiście porozmawiać z Igorem.

– Nie ma go, więc jeśli ma pani coś do przekazania, to słucham. Razem prowadzimy sprawę Sędziego, poza tym nie mamy przed sobą absolutnie żadnych tajemnic. Jeśli będzie się pani upierać, może pani dokończyć herbatę i opuścić nasz dom. – Zawadzka lekko zaakcentowała słowo „nasz”. Bacznie obserwowała reakcję swojego gościa, ale nie wyczytała z twarzy kobiety nic niepokojącego. Musiała jednak niechętnie przyznać, że Klimczak drażni ją samą swoją obecnością. Dziennikarka jeszcze przez chwilę się wahała. W końcu upiła łyk herbaty i podniosła wzrok znad kubka.

– Wpadłam na pewien trop – powiedziała półszepem, jakby w obawie, że ktoś może ich usłyszeć. – Tylko czy... jesteśmy tu bezpieczni?

Zawadzka uniosła brwi szczerze zaintrygowana. Sięgnęła po swój smartfon i wyciągnęła z niego kartę, a chwilę później poprosiła o to samo swojego gościa, po czym oba urządzenia zamknęła w szufladzie w pokoju na piętrze. Nie sprawdzała mieszkania pod kątem podsłuchów, ale od momentu gdy Brudny przyjął zlecenie, przez cały czas ktoś znajdował się w domu, więc niemożliwe było, aby służby niezauważenie zamontowały jakąś pluskwę.

– Tak na wszelki wypadek – wytłumaczyła swoje postępowanie, gdy wróciła. – Proszę mówić... – zachęciła i poczęstowała kobietę papierosem, ale Klimczak odmówiła. Zapaliła sama.

– Nie wiem, od czego zacząć... – bąknęła niepewnie Klimczak.

– Najlepiej od początku.

Zawadzka wysłuchiwała jej opowieści o prowadzonych przez nią śledztwach w sprawie księdza Tobiasza i nieprawidłowościach przy reprivatyzacji warszawskich kamienic. Oba tematy znała wystarczająco dobrze, aby docenić przygotowanie rozmówczyni. Słuchała jej uważnie w nadziei, że wychwyci jakieś nieścisłości, ewentualnie drugie dno, coś, co dałoby jej powód, aby wyprosić ją z domu, ale Klimczak sypała kolejnymi przykładami i nazwiskami jak z rękawa. Julka czasem dopytywała o jakiś szczegół, ale i tu odpowiedzi dziennikarki zwykle rozwiewały jej wątpliwości. Musiała uczciwie przyznać, że siedząca naprzeciwko niej kobieta jest profesjonalistką w swoim fachu i wszystko wskazywało na to, że nie przyszła tu po to, aby szukać taniej sensacji. W końcu dziennikarka sięgnęła do torebki i wyciągnęła niewielki dysk pamięci w kształcie miniaturowego czerwonego kozaka.

– Nie mam innego – wytłumaczyła się, jakby poczuła się tym zawstydzona.

Julka zignorowała reakcję rozmówczyni i obróciła w palcach pendrive.

– Co na nim jest? – zapytała.

– Teksty, wywiady, daty, luźne zapiski. Część z nich została opublikowana, a część nie. Ale jest jedna rzecz, która zwróciła moją uwagę... – Klimczak upiła łyk herbaty. – Sędzia przy okazji wrzucanych oskarżeń był dość skrupulatny, mam rację?

– Raczej tak – przyznała Zawadzka.

– Ale pomylił liczbę samobójców. A przynajmniej pominął jedną, a być może nawet dwie osoby.

– Hmm... – Zawadzka raz jeszcze obróciła pendrive w palcach, po czym odłożyła go na ławę. – To jeszcze żaden dowód, ale... – Wydęła usta i cmoknęła.

– To nie wszystko – dodała Klimczak, ścisząc głos. – Pomińcie nazwisko przewija się przy innej okazji.

– Proszę kontynuować...

– Jest popularne i to może być tylko zbieg okoliczności, ale... – Dziennikarka nerwowo zerknęła przez ramię w stronę okna. Żaluzje były zasłonięte. Odgarnęła opadający kosmyk.

– Jakie to nazwisko, pani Klimczak?

– Pomińniętą samobójczynią jest mieszkanka Warszawy, niejaka Dorota Nowak, która kilkanaście dni wcześniej straciła córkę, szesnastoletnią Jagodę Nowak. Podobno dziewczyna rzuciła się pod nadjeżdżający pociąg.

Zawadzka mruknęła i lekko uniosła brwi. Nowak było najpopularniejszym nazwiskiem w Polsce, które nosiło prawie sto czterdzieści tysięcy krajanów, w tym – jeszcze przed zmianą danych osobowych – Igor. Oczywiście taki zbieg okoliczności miał pełne prawo zaistnieć, ale Julka w takowe nie wierzyła i podobne przypadki natychmiast włączały w jej głowie sygnał alarmowy.

– To interesujące... – przyznała, a chwilę później poczuła nagły przypływ niepokoju. Zmarszczyła brwi, a jej serce przyspieszyło. Spojrzała na dziennikarkę, która dostała wypieków na twarzy. Jej wzrok był szklisty i przebiegała w nim mieszanina fascynacji i lęku. Wtedy zrozumiała, że Klimczak jeszcze nie skończyła. Jej też coś zaświtało.

– To nazwisko przewija się też w przypadku ofiar Tobiasza Kryszaka. – Te słowa niemal wyszeptała, a Zawadzka nagle zrozumiała.

– Ten potrącony chłopak. Ten... – Zrobiła krótką pauzę, którą dziennikarka natychmiast wykorzystała.

– Ten, którego po pijaku rozjechał Kryszak, też miał na nazwisko Nowak. A na imię Michał. Michał Nowak.

– O cholera...

– Mało tego. Moje materiały dotyczące tragedii Doroty i Jagody Nowak zniknęły z sieci. Sprawdziłam te niezwiązane z tematem, które publikowałam w tamtym czasie i wciąż wiszą na stronie gazety. Nie ma tylko tego jednego artykułu. – Klimczak łąpczywie upiła łyk herbaty, jakby zaschło jej w gardle. – Trochę też pogrzebałam w internecie. Przejrzałam wszystkie wydawnictwa, w których śmierć obu kobiet mogła zostać opisana, ale nie znalazłam na ten temat absolutnie żadnej wzmianki. Kompletnie nic. Tak jakby te kobiety nigdy nie istniały.

Zawadzka wpatrywała się w gościa z narastającym poczuciem ekscytacji. Jeśli nazwisko znalazło się w spisie Sędziego nieprzypadkowo, to cała reszta wyglądała na cholernie mocny trop. To nie mógł być przypadek. Komisarz otworzyła laptop, a jej druga dłoń powędrowała w kierunku niewielkiego czerwonego kozaka. Zamiast zimnego urządzenia poczuła pod palcami ciepłą dłoń.

– Jeśli go złapiecie, to dostanę wyłączność – uprzedziła Klimczak.

Zawadzka wbiła w nią surowe spojrzenie, które chwilę później nieco złagodniało.

– Jeśli przekonasz Igora, to materiał będzie twój – odparła, dając do zrozumienia, że sama akceptuje warunki.

– W takim razie dorwijmy go – rzekła i zabrała dłoń.

Zawadzka chwyciła pendrive i podłączyła go do laptopa. Miała złe przeczucie. Nie tylko dlatego, że Brudny od dwóch godzin był poza zasięgiem. W przeciwieństwie do dziennikarki zdawała sobie sprawę, że właśnie rozpoczęły grę w nie swojej lidze. I to naprawdę ją przerażało.

ROZDZIAŁ 18

Brudny wyskoczył ze śmigłowca i od razu udał się do stojącego na parkingu patrola. Nawet się nie obejrzał, gdy maszyna z powrotem wzbiła się w powietrze. Nie chciał patrzeć na twarz Dariusza. Marzył tylko o tym, aby dojechać do domu i wziąć gorący prysznic, a potem położyć się spać. Wsiadając do samochodu, wciąż jednak analizował ostatnie godziny.

– Bardzo pan nam pomógł, komisarzu – podziękował mu Dariusz na odchodne.

Brudny nie odpowiedział. Wcale tak nie uważał, choć jego obecność sprawiała, że Pierun przestał milczeć. Co prawda początki nie wyglądały obiecująco, ale gdy po kilku nieudanych próbach nawiązania kontaktu z zatrzymanym Dariusz uznał, że zostawi starych znajomych samych, i żołnierz w końcu zaczął mówić.

– Dlaczego się skurwiłeś, Krzychu? – wycedził przez zęby, gdy Dariusz zamknął za sobą drzwi. Brudny nie potrafił odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Pierun by tego nie zrozumiał. – Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, z kim tańczysz? – dodał i splunął krwią na podłogę.

– Z kim tańczę? – sprowokował go Brudny.

Pieronowicz zarechotał, szczerząc pokrwawione zęby. Ludzie Dariusza nie potraktowali go łagodnie. Siniaki i rany mogły być efektem walki, ale równie dobrze skutkiem przesłuchania. Wbił w Brudnego drapieżne spojrzenie.

– Ty naprawdę nie wiesz, co? – Brudny nie odpowiedział. – Ty naprawdę myślisz, że ci ludzie chcą, żebyś im pomógł, mam rację?

– Mam swoje powody, żeby robić to, co robię.

– To najemnicy, Krzychu. Odpadki ze służb. Ludzie bez kręgosłupa moralnego. Najgorszy element, bez którego obecna władza nie byłaby w stanie tej władzy utrzymać. Ubecja mogłaby się od nich uczyć.

– Też nie jestem zagorzałym fanem tej władzy...

– Ale się sprzedałeś, Krzychu. Sprzedałeś się jak oni wszyscy – dokończył za niego żołnierz i skinął w stronę drzwi wyjściowych. –

Kumidor od razu po dorwaniu się do koryta zlecił stworzenie jednostki, której zadaniem miały być inwigilacja i zamiatanie pod dywan wszystkich przekrętów i afer sprokurowanych przez jego ludzi. Wiem, bo ofertę przyjęło przynajmniej kilku żołnierzy, których osobiście wypierdoliłem z jednostki na zbity pysk. I już nieważne za co. Wszędzie znajdują się jakieś czarne owce.

– Po co mi to mówisz?

– Kumidor otoczył się łajdakami, bo wiedział, że tylko oni będą mu ślepo posłuszni. Ale zdawał sobie sprawę, że trzeba będzie po nich regularnie sprzątać, bo w zamian za lojalność będą kraść, kurwić się i robić wszystko, na co tylko im przyjdzie ochota. Pamiętasz, jak w pewnym momencie odeszła w ramach protestu prawie cała wierchuszka generałów i wysoko postawionych oficerów? Wiesz dlaczego? Bo nie mogli na to patrzeć.

– Wciąż nie wiem, dlaczego ty mi to wszystko mówisz...

– Bo tylko kurwami można tworzyć takie prawo. Tylko kurwy zagłosują za każdym, nawet najbardziej odrażającym pomysłem tego psychopaty. I jeśli teraz grasz w tej samej drużynie, to jesteś taką samą kurwą jak oni wszyscy.

Gorycz przemawiająca przez Pieruna była zrozumiała. Zanim Dariusz zostawił ich samych, w niewybredny sposób przedstawił sytuację, próbując wyprowadzić przesłuchiwanego z równowagi. Przypomniawszy wszystko ze szczegółami, ale Pierun milczał jak zakłęty. Brudny z trudem przyswajał jego historię, która brzmiała jak wyrwana z jakiegoś ponurego reżimu na krańcu świata. Pierun trzy miesiące wcześniej stracił żonę. Zmarła w szpitalu nie dlatego, że chorowała albo przez błąd w sztuce lekarskiej, bo takie też czasem się zdarzają. Amelia Pieronowicz zmarła, bo była w skomplikowanej i zagrożonej ciąży, a medycy bali się dokonać aborcji, gdyż rząd na początku roku przegłosował ustawę zaostrzającą kary za jej przeprowadzenie nawet do dziesięciu lat pozbawienia wolności.

– Najpierw musi umrzeć płód. Dopiero wtedy będziemy walczyć o życie pana żony – powiedział mu lekarz prowadzący.

Na nic zdały się jego protesty. Pojawiły się groźby i prawie doszło do rękoczynów, w związku z czym przez swoje agresywne zachowanie został zmuszony do opuszczenia szpitala. Gdy dowiedział się, że żona wykrwawiła się na oczach lekarzy i pielęgniarek, którzy ze strachu przed

złamaniem prawa nie zdecydowali się na usunięcie dogorywającego w jej łonie płodu, wpadł w szal i zdemolował biuro ordynatora.

– Zapłacicie za to! – krzyczał do lekarzy i pielęgniarek. – Przysięgam, że przyjdzie wasza pora! Wasza i tych psychopatów z Wiejskiej! Wszyscy jesteście mordercami!

Gdy ochłonął, został zatrzymany do wyjaśnień, ale prokurator po zaznajomieniu się z sytuacją, która dodatkowo po raz kolejny wzbudziła powszechne społeczne oburzenie, aby nie rozjuszać obywateli, po postawieniu kilku niegroźnych zarzutów ostatecznie wypuścił go na wolność. Pogrzeb, żal, ból, niemożność pogodzenia się z sytuacją, narastająca wściekłość, w końcu zwolnienie ze służby podyktowane fatalnym stanem psychicznym. Życie Pieruna legło w gruzach, a to oznaczało, że miał motyw, bo jednym z najmocniej lobbujących wprowadzenie zmian w prawie aborcyjnym był właśnie Kryszak, który de facto finalnie przymusił Kumidora do tak radykalnego kroku pod groźbą wycofania swojego poparcia dla jego partii. Na to prezes partii nie mógł sobie pozwolić i rękami upolitycznionego Trybunału Konstytucyjnego prawo zaostrzył. Przeszłość w sierocińcu i fakt, że był jednym z gwałconych przez księży wychowanków, tylko wzmacniały rzucane na niego podejrzenie, podobnie jak to, że w ostatnich dniach się ukrywał, a dziś został namierzony w drodze do swojej bieszczadzkiej samotni. Tylko jakim cudem mógł stąd cokolwiek sterować?

– Jak będą chcieli, to mnie w to wrobią tak czy inaczej. Jak będą chcieli, to wrobią w to ciebie albo kogokolwiek. Mam na nich wyjebane. Na ciebie zresztą też.

– Cyklop. Pamiętasz go? – Brudny zignorował ostatnie słowa Pieruna.

– Myślisz, że to on? – Żołnierz wyszczerzył zęby, po czym wbił spojrzenie w Brudnego. – Nie ośmieszaj się, Krzychu. Nie wiem, dlaczego to robisz, bo miałem o tobie dobre zdanie. I albo jesteś sprzedajną kurwą, albo kompletnym idiotą.

– Czy on mógł...

– W pojęciu tych skurwieli wszyscy są równi, ale oni równiejsi. I wiesz co, Krzychu? Takiego zła nie da się naprawić, można je tylko pomścić. A teraz spierdalaj. Nic więcej ci nie powiem.

Od tego momentu Pierun zamilkł na amen. Ile z tego zdołał wyciągnąć Dariusz, trudno było ocenić, ale obecność Brudnego pozwoliła nawiązać z podejrzanym jakiś kontakt, a to już było coś. Nagranie miało trafić do

specjalistów od fonoskopii, behawiorystów i wszystkich ekspertów mogących wysnuć jakieś wnioski na podstawie przeprowadzonej rozmowy. Sam Pieronowicz miał zostać przetransportowany do Warszawy. Dariusz widział w nim głównego podejrzanego, a przynajmniej współodpowiedzialnego za ten cały spektakl, który w jego ocenie prawdopodobnie mógł być reżyserowany nie przez jedną, a przez dwie osoby bądź więcej, co biorąc pod uwagę poziom skomplikowania całej operacji, wydawało się hipotezą bardziej prawdopodobną niż ta, która sugerowała, że Sędzia działa w pojedynkę. Brudny też takowej nie odrzucał, zwłaszcza że w tym kraju nie brakowało ludzi, którzy przez szaleństwo władzy – zarówno obecnej, jak i poprzedniej – stracili nie tylko dorobek życia, ale często zdrowie, a nawet najbliższych. W każdej szkole policyjnej uczono, że największą zmorą wymiaru sprawiedliwości są właśnie ci, którzy nie mają już nic do stracenia. Gdy tracisz wszystko, przestaje ci zależeć nawet na samym sobie, a jeśli nie zależy ci na sobie samym, nie zależy ci na nikim ani niczym. Tracąc duszę, łatwo wyzbyć się człowieczeństwa, a co za tym idzie, z ofiary przeistoczyć się w oprawcę.

Sędzia...

Czy on mógł mieć coś do stracenia? Czy zakładał, że zdoła się z tego wymigać? Czy naprawdę myślał, że jest mądrzejszy od najtęższych głów całego aparatu państwowego?

Pierun miał rację co do wielu rzeczy, ale zwrócił uwagę na jedną, która w całym tym galimatiasie mogła mieć kluczowe znaczenie. Rzeczywiście, w ostatnim czasie odeszli albo zostali wymienieni na „miernych, ale wiernych” niemal wszyscy najbardziej doświadczeni oficerowie służb, począwszy od policji, przez wojsko, na wywiadzie czy kontrwywiadzie skończywszy. Brudny nie miał pojęcia, ilu z nich mogło mieć dostęp do tajnych teczek polityków bądź postaci takich jak Kryszak, ale bez wątpienia mogło się znaleźć przynajmniej kilku, którzy takową wiedzę posiadali. Jeśli sami nie chcieli się angażować w tego typu akcję, mogli posłużyć się ludźmi, którzy byliby do tego zdolni. Znajomość branży i szerokie kontakty, zwłaszcza oficerów wywiadu i kontrwywiadu, na pewno ich do tego predestynowała, a stąd już niedaleko do wysunięcia hipotezy, że Sędzia to tylko opłacony najemnik, mający na celu doprowadzić do obalenia rządu. Gdyby dodać do tego fakt, że miejsce długoletnich ekspertów zajęły naprędce awansowane miernoty, to przynajmniej tłumaczyłoby słabość służb, które od kilku dni nie były w stanie uporać się

z Sędzią, gdy ten urządził sobie w kraju krwawe „reality show”, biorąc na celownik ludzi pośrednio bądź bezpośrednio związanych ze środowiskiem politycznym. Spiskowa teoria? Być może, ale względnie bardziej prawdopodobna niż założenie, że oprawcą w katowskim kapturze jest jakiś wychowanek z sierocińca, który postanowił zemścić się na swoim kacie z dzieciństwa, zwłaszcza że drugą potencjalną ofiarą była kojarzona z opozycją jedna z najbardziej rozpoznawalnych sędzin, która miała z Kryszakiem tyle wspólnego co partia rządząca z praworządnością.

Coś tu jednak Brudnemu nie pasowało. Nie kleiło się. Miał wrażenie, że jest jak pacynka albo lalka, która tańczy, jak jej zagrają. Owszem, decydując się pomóc Kałużyńskiemu, zdawał sobie sprawę, że będzie pod specjalnym nadzorem, ale tu chodziło o coś więcej. Czuł się sterowany, ale nie wiedział, kogo za to obwiniać. Kałużyńskiego? Dariusza? Kumidora? A może siebie samego? Kto tu pociągał za sznurki?

Kolejne irracjonalne koncepcje atakowały go niczym bomby podczas nalotu dywanowego i choć w śmigłowcu kilkakrotnie obiecywał sobie, że wycofa się z umowy, to jakaś niezdrowa fascynacja nie pozwalała mu przestać analizować kolejnych scenariuszy. Gdy już siedział w samochodzie i w drodze do domu włączył płytę Queen, nawet stary dobry Freddie Mercury nie był w stanie odgonić natrętnych myśli. Dojazd zabrał mu nieco ponad dwadzieścia minut, bo parking dla tirów, na który odstawił go rządowy śmigłowiec, znajdował się pod Zieloną Górą. Tam też przywieziono jego auto, które nad ranem zamierzał dokładnie sprawdzić pod kątem założenia pluskiew. Po drodze natknął się jeszcze na kilka patroli, które starały się pilnować porządku na drogach dojazdowych do miasta, gdzie – choć bez porównania do sytuacji w Warszawie czy kilku innych większych miastach – wciąż dochodziło do niepokojów społecznych i sporadycznych starć z policją. Trzy z czterech radiowozów puściły go bez problemu, czwarty zatrzymał, ale gdy młody funkcjonariusz zobaczył, z kim ma do czynienia, grzecznie przeprosił, a potem wyciągnął telefon, jakby zamierzał zrobić sobie selfie. Na szczęście w porę się opanował albo przestraszył spojrzenia Brudnego, który tym razem mógłby nie przemilczeć tematu. Dziś marzył już tylko o szklaneczce whisky i miękkiej poduszce.

Zaparkował na podjeździe i wysiadł z samochodu. Spojrzał w niebo. Nie było tu tak rozgwieżdżone, powietrze nie było tak czyste, a cisza tak dojmująca. Chwilowo zatęsknił za bieszczadzką dziczą i pomyślał, że fajnie byłoby sprawić sobie kiedyś taką chatkę w leśnej głuszy. Z dala od

telewizji, internetu, telefonu i problemów tego popieprzonego świata. Odległy pisk hamującego samochodu gwałtownie przywrócił go do rzeczywistości. Zerknął na zegarek. Dochodziła druga i zastanawiał się, czy Julka jeszcze siedzi z nosem w laptopie.

Gdy otworzył drzwi i wszedł do przedpokoju, od razu rzucił mu się w oczy wiszący na wieszaku płaszcz. Nie należał do Julki, podobnie leżące na półce czapka i szal, co gorsza jeszcze wczoraj widział te ciuchy na kimś, kto był ostatnią żyjącą osobą na tej planecie, którą miał ochotę w tej chwili oglądać. Z łazienki poniósł się szum spuszczonej wody, co już zupełnie zbiło go z tropu.

– Kto korzysta z naszej łazienki? – zapytał, gdy zobaczył Julkę zalewającą kubki z kawą.

– Może najpierw „cześć” albo „cześć, kochanie” – odparła z wyczuwalnym wyrzutem.

– Kto jest w naszej łazience? – powtórzył bardziej stanowczo, choć w tej chwili to było już pytanie retoryczne.

– Twoja była kochanka? Sorry... domokrażca. Tak, chyba tak to było. Domokrażca.

Brudny zamknął oczy i zaczął liczyć do dziesięciu. Nikt go tak nie wkurwiał jak ta kobieta i czasem sam się sobie dziwił, że z nią wytrzymał. Dziś naprawdę nie miał siły na jej fochy. Ściągnął płaszcz, buty i rozsiadł się w fotelu. Zapalił.

– Możesz mi wyjaśnić, co ona tu robi? – zapytał z rezygnacją w głosie.

– Chyba siku. A może kupę? W sumie to nie jestem pewna.

– To, kurwa, jakiś test czy...

– Tak poza tym to chyba go mamy.

Brudny nie znosił, gdy mu przerywała. Pomyślał, że tego już za wiele, i chciał otworzyć usta, aby powiedzieć, co o tym myśli, gdy nagle dotarło do niego znaczenie jej słów. Spojrzał na nią pytającym wzrokiem, bo nie był do końca pewny, czy jego myśli podążają we właściwą stronę. Podeszła do niego i postawiła trzy kubki z kawą na ławie.

– Możesz jaśniej, bo naprawdę nie mam sił na te twoje kalambury.

– Chyba mamy Sędziego, Igor – oznajmiła z wyraźną ekscytacją w głosie. – A przynajmniej właśnie wpadłyśmy na mocny trop. Jutro jedziemy do Warszawy.

ROZDZIAŁ 19

Szum pracujących serwerów wypełniał przestronne pomieszczenie. Mężczyzna ustawił parametry i raz jeszcze sprawdził sprzęt. Wszystko działało perfekcyjnie. Służby, pomijając ewentualne zaangażowanie wywiadów amerykańskiego, rosyjskiego czy izraelskiego, nie miały najmniejszych szans na namierzenie sygnału. Wątpił też, aby którekolwiek z tych państw zdecydowało się bezpośrednio angażować w sprawy Polski, która działaniami partii rządzącej sama odizolowała się od Europy, poza tym gdyby odkryli miejsce, z którego nadaje, dodatkowo zastanowiliby się dwa razy. Odchrząknął, po czym założył katowski kaptur i poszedł do targanej spazmami ofiary. Przyjrzał się trzęsącej się kobiecie. Zdawała się nie kontaktować, gałki oczne uciekły w górę, z ust sączyła się ślina, która bezwiednie skapywała na nagie piersi i obwisły brzuch. Postanowił nie zmieniać przesiąkniętych opatrunków. W oku kamery wyglądały wymownie. Przez chwilę przyglądał się, jak czerwone krople raz za razem urywały się z owiniętych bandażem kikutów, zasilając niewielkie kałuże lepkiej krwi.

– Właśnie tak powinni skończyć tacy jak ty – mruknął pod nosem, bardziej do siebie niż do Makowskiej, która najwyraźniej znajdowała się w silnym szoku i nie była świadoma, co się w tej chwili dzieje. Westchnął i podszedł do leżącej na ławie apteczki, z której wyjął wcześniej przygotowaną strzykawkę z morfiną. Podszedł do ofiary i wbił igłę w udo, a następnie popchnął tłok. – Nie myśl, że robię to z litości – powiedział, gdy kobieta po kilkunastu sekundach przestała się szamotać. Chciał jeszcze coś dodać, ale zrezygnował. Tłumaczenie się temu wrednemu babsku było bezcelowe.

Zerknął za zegarek, a następnie po raz ostatni przejrzał wszystkie programy informacyjne oraz portale internetowe. Nie musiał tego robić, bo miał świadomość, że Machalica zdążył już podać się do dymisji. Tak jak podejrzewał, stary wyga nie miał zamiaru się podkładać, a samą Makowską miał w głębokim poważaniu. Tak naprawdę łączyły ich jedynie interesy,

a te kilkanaście milionów, które zdołał uzbierać, zanim afery reprivatyzacyjna nabrała rozpędu, mogły mu zapewnić spokojną emeryturę w każdym miejscu na świecie, gdzie nie musiałby obawiać się zemsty z ręki tych, których by wydał, gdyby ostatecznie zdecydował przyznać się do winy. Poza tym w Polsce żaden polityk nie przyznawał się do popełnionych grzechów. Panowała tu jedna prosta zasada – dałeś się złapać za rękę, to teraz mów, że to nie twoja ręka. Do tej pory głupi naród łykał wszystko, a gdy zaczynał mieć wątpliwości, to zaraz wyskakiwała kolejna afery, która przykrywała poprzednią. I tak w kółko. Polska polityka była ciągiem niekończących się afer, których uzbierało się tak wiele, że zupełnie rozwadniały ich skurwysyństwo, dodatkowo wprowadzając społeczną znieczulicę i swoiste przyzwolenie na kolejne łajdactwa na zasadzie „przecież to poseł, więc nic wielkiego się nie dzieje”.

Brzydziło go to. Odstęczało i sprawiało, że przez lata nie mógł patrzeć we własne odbicie w lustrze. Ale nie miał innego wyjścia. Ofiara wymagała poświęceń, a cel uświęcał środki. Dziś w końcu mógł zrobić porządek i dokonać ostatecznej zemsty.

Sięgnął po szmatę z amoniakiem i przytknął ofierze do nosa. Makowska obudziła się niemal natychmiast. Szeroko otworzyła oczy i przez chwilę wpatrywała się swoimi wielkimi źrenicami w wyszarpane w kapturze otwory, następnie wydała z siebie przeraźliwy, ale krótki wrzask, bo szybko wcisnął jej w usta knebel. Ugryzła go w palec, ale drugą ręką ścisnął kikut, więc znów się wydarła. Tym razem krzyk wydał się już tylko serią zdławionych chrząknięć i burknięć.

– Mogłabyś się drzeć tygodniami, ale i tak nikt cię tu nie usłyszy – wycedził przez zęby, masując dłoń. Zaklął, gdy na środkowych palcach dostrzegł ślady ugryzienia. – Ochłoń, bo za trzy minuty wchodzimy na żywo. Machalica nie wykonał zadania, więc dziś umrzesz. Od ciebie zależy, jak bardzo będziesz cierpieć.

Makowska uniosła głowę. Łzy płynęły jej z oczu nieprzerwanym strumieniem, a śluz z nosa mieszał się z krwią. Wytarł jej twarz chusteczką, którą zaraz wyrzucił do stojącego poza kadrem śmietnika, i sięgnął do apteczki.

– Przyznaj się do wszystkich swoich grzechów i błagaj ludzi o wybaczenie – dodał, owijając własną dłoń kawałkiem bandaża. – Jeśli lud ci wybaczy, umrzesz szybko i bezboleśnie. Jeśli uzna, że zasłużyłaś na

cierpienie, albo co gorsza skłamiesz, będziesz umierać bardzo, bardzo długo. I poczujesz każde cięcie.

– Błagam pana... – wyjęczała.

– Błagaj ludzi i Boga. U mnie rozgrzeszenia nie dostaniesz.

To powiedziawszy, Sędzia ustawił się na wprost oka kamery. Spojrzał na zegarek. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

Gdy transmisja ruszyła, liczba subskrybentów w ciągu dziesięciu sekund osiągnęła pół miliona. Po minucie przekroczyła dziesięć.

ROZDZIAŁ 20

Zatrzymali się w mieszkaniu Brudnego. Nikt nie wietrzył go ani nie sprzątał w nim od miesięcy, więc we wnętrzu unosiła się nieprzyjemna woń stęchlizny. Wcześniej Julka wpadła tu tylko kilka razy, krótko po tym, jak doszła do siebie, a on jeszcze leżał w śpiączce, głównie po to, aby zabrać najpotrzebniejsze rzeczy należące do komisarza: ulubione ciuchy, różnorakie papiery czy kilka płyt, które puszczała mu w słuchawkach, gdy bez przytomności leżał w szpitalu. Sprzedała swoje mieszkanie przy Giełdowej, aby mieć fundusze na kupno domu w Zielonej Górze, ale też regularnie płaciła za mieszkanie partnera. Kiedy Brudny obudził się w nowej rzeczywistości, nie miał głowy, aby zajmować się takimi drobnostkami, jak mieszkanie w stolicy. Gdy w końcu doszedł do siebie, kilka razy planował wycieczkę do Warszawy, ale najpierw na jego drodze stanęła Justyna Klepacka i sprawa „Wampira”, a później uznali, że ich sytuacja finansowa jest na tyle przyzwoita, że nie muszą spieszyć się z decyzją o wypowiedzeniu umowy wynajmu, bo jego tania kłitka na Saskiej Kępie nie kosztowała dużo, a z racji tego, że oboje pół życia spędzili w stolicy, warto było mieć swój własny kąt, choćby w takich sytuacjach jak obecna.

Z Zielonej Góry wyjechali wczesnym rankiem, aby zdążyć przed południem. Klimczak wróciła firmowym bussem razem ze swoim operatorem, ale tuż przed południem do nich dołączyła. Brudny wciąż trzymał ją na dystans, ale gdy poprzedniego wieczoru dowiedział się o jej odkryciu, musiał przełknąć gorzką pigułkę i przyznać, że ta dziewczyna wykonała kawał cholernie dobrej roboty. To nie mógł być przypadek i doskonale wiedział, że jeśli odkryją tajemnicę śmierci Doroty, Jagody i Michała Nowaków, prędzej czy później zdemaskują tożsamość Sędziego, którego prawie na pewno coś z nimi łączyło. Więzy krwi? To zdawało się najbardziej prawdopodobne, choć Julka nie umiała znaleźć żadnych informacji na temat obu kobiet, co było o tyle dziwne, że artykuły dotyczące śmierci Michała, którą po pijaku spowodował za kierownicą

Kryszak, wciąż wisiały na stronach internetowych, ale samo zdarzenie zostało wymazane z rejestru KSIP-u. Była informacja o wypadku, ale brakowało wszystkich danych chłopaka, począwszy od daty i miejsca urodzin przez przedszkole, szkołę czy drobne wykroczenia, których jako nastolatek mógł się dorobić. Michał Nowak był jak duch, który miał tylko imię i nazwisko, ale nic poza tym.

– Myślisz, że ten cały Pierun mógłby działać z kimś w zмовie? – zapytała Zawadzka, gdy wyjechali z Zielonej Góry.

– Wątpię, choć na pewno miał motyw, aby wykończyć Kryszaka i zemścić się na obozie rządzącym. W jego ocenie Kumidor do spółki z Kryszakiem najbardziej przyczynili się do śmierci jego żony. Upokorzenie Broziaka też wpisywałoby się w ten scenariusz, bo minister sprawiedliwości był jednym z tych, którzy mocno lobbowali za wprowadzeniem zmian zaostrzających prawo aborcyjne. A Makowska? Ona pasuje do tego jak pięść do nosa, ale zakładając, że Pierun znalazł kompana, któremu założyła za skórę, to czysto teoretyczna hipoteza sugerująca, że sprawców jest więcej, a on sam pozostaje w to w jakiś sposób zamieszany, miałyby całkiem solidne podstawy.

– Ale nie jesteś co do tego przekonany...

– Niczego nie wykluczam, ale rewelacje na temat Nowaków stawiają sprawę na głowie.

– Chcesz informować Dariusza?

– Nie. Przynajmniej dopóki tego nie sprawdzimy.

Przed wyjazdem dokładnie przeszukali bmw Julki pod kątem założenia podsłuchów. Uznali, że z kilku względów nie ma sensu tarabanić się do Warszawy jego patrolem, choćby dlatego, że na autostradzie przypominał kombajn, a w samej stolicy mógł przyciągać niepotrzebnie uwagę. Sprawa Sędziego wzbudzała silne emocje wśród obywateli, a jego udział w śledztwie, choć w sumie marginalny, w mediach był przedstawiany, jakby komisarz co najmniej przejął dowództwo nad całą sprawą. Należało wziąć to pod uwagę, bo Brudny miał tylu zwolenników, ilu przeciwników, co gorsza tych pierwszych wśród najbardziej zabetonowanego elektoratu obozu władzy. Bardzo go to irytowało, ale mleko się wylało i teraz mógł tylko dziękować Julce, że nie wypomina mu słów o szambie, którego smród będzie się za nim ciągnął aż po grób. Nie posłuchał jej i teraz musiał wypić piwo, którego sam sobie nawarzył.

Do jego mieszkania dotarli po jedenastej. Nie obyło się bez korków i kontroli, ale glejt od samego Kałużyńskiego otwierał im każdą policyjną barykadę, a funkcjonariusze zwykle wzajemnie się informowali, więc nie mieli problemów z dotarciem na czas. W samej Warszawie przywitały ich gęsta mgła i mżawka. Pogoda nie sprzyjała pieszym wycieczkom, ale to, co zobaczyli, i tak mocno ich zaskoczyło. Miasto prezentowało się upiornie, bo niemal wszystkie ulice wyglądały na zupełnie wymarłe. Tylko od czasu do czasu pod murem przemykali jacyś przechodnie, w większości starsi ludzie, którzy zapewne nie mieli dostępu do komputera i być może do końca nie zdawali sobie sprawę, co się dzieje. Zatrzymawszy się na światłach, Brudny dostrzegł dwójkę nastolatków, którzy nieśli pod pachą chipsy i popcorn, a kieszenie ich kurtek zwisały pod ciężarem butelek kształtem przypominających te z piwem. Maszerowali szybko, śmiejąc się i żywiołowo gestykulując, a jeden z nich, gdy przechodzili przez pasy, wykonał ruch, jakby zamachnął się wirtualnym mieczem albo maczetą. Chwilę później obaj wybuchnęli spazmatycznym śmiechem. Nie skomentował tego. Gdy światło zmieniło się na zielone, ruszył przed siebie, wypatrując oznak nocnych zamieszek. W samym centrum rzeczywiście panował syf. Wszędzie wałały się tony śmieci, a w Alejach Jerozolimskich, zwłaszcza w okolicach ronda de Gaulle'a, natknęli się nawet na kilka spalonych aut, z których wciąż snuły się cienkie smużki dymu. Niemal na każdym skrzyżowaniu stały radiowozy, większość z migającymi kogutami, które barwiły mgłę na czerwono-niebieski kolor, a dwukrotnie nad ich głowami przeleciały nawet wojskowe śmigłowce. Warszawa wyglądała jak plan filmu o ataku zombie i po tak dużych zamieszkach w sumie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie świadomość, że ponad milion ludzi siedzi poukrywana w domach nie dlatego, że boi się wyjść dalej protestować, ale dlatego, że właśnie mości się w fotelach, aby z piwkiem i popcornem w rękę obejrzeć festiwal gwałtu i przemocy. Zdecydowanie nie wystawiało to najlepszego świadectwa obywatelom tego kraju i Brudny zastanawiał się, czy możliwe jest całkowite odcięcie społeczeństwa od internetu.

– To stosunkowo proste, tylko czy Kumidor ma tyle odwagi? Czy w ogóle ma w tym jakiś cel? – zapytała z przekąsem Julka.

Odpowiedź nasuwała się sama. Po ostatnich zamieszkach tylko Sędzia był w stanie zatrzymać rozjuszonych obywateli w domach, a poza tym teraz jego ofiarą nie był nikt z partii rządzącej, tylko kojarzona z opozycją, znana sędzia i prominentna polityk Halina Makowska, którą Kumidor od lat

próbował zdyskredytować, oskarżyć i wsadzić za kratki. Grillowanie skompromitowanej kobiety tak naprawdę było mu na rękę, a znając jego charakter, można było się spodziewać, że nie będzie się nad nikim litował i zrobi to, co uzna za najbardziej korzystne z punktu widzenia jego partii. Ewentualne – choć według medialnych doniesień coraz mniej prawdopodobne – upokorzenie równie znienawidzonego Machalicy, a następnie przyznanie się do winy przez Makowską jak najbardziej leżało w jego interesie i mogło choć trochę przykryć lawinę, która runęła na rząd za sprawą odkrytych przez Sędziego bezceństw Kryszaka. Gdyby dołożyć do tego wściekłość obywateli oraz zagrożenie kolejnymi demonstracjami w wypadku decyzji o wyłączeniu masztów sieci komórkowych, sprawa wydawała się nazbyt oczywista. Spektakl miał się dziś odbyć i choć brzmiało to wyjątkowo upiornie, wszystko wskazywało na to, że nikt ani nic nie powstrzyma Sędziego przed osądzeniem i wymierzeniem kary Makowskiej na oczach milionów ludzi już nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie.

My też to zobaczymy, pomyślał.

To było jak cios obuchem. Pędzili tu na złamanie karku tylko po to, aby zasiąść przed tym cholernym laptopem i obejrzeć krwawą łaźnię. Czy ktoś ich do tego zmuszał? Naprawdę brakowało tylko zimnego piwa i popcornu.

– On się z nami bawi – mruknął, gdy już usiedli na sofie, a Julka uruchomiła laptopa.

– Co? – zerknęła przez ramię.

– Nic...

Uznał, że to nie najlepszy czas na poruszanie tego tematu. Od dłuższego czasu czuł się jak marionetka, która tańczy, jak jej zagrają, i nie ma o niczym pojęcia. Odnosił wrażenie, że każdy jego ruch jest dla mordercy czytelny, tak samo jak dla Kałużyńskiego, a kto wie, być może i Kumidora, który bez wątpienia musiał wyrazić zgodę na jego udział w sprawie. Wszędzie ta cholerna polityka, wszędzie jakieś zależności, wszystko dyktowane mniej lub bardziej ważnym interesem politycznym. Jak w takich warunkach można było prowadzić normalne śledztwo?

Gdy Julka zaczęła stukać w klawisze, rozległ się dzwonek do drzwi. Spodziewali się gościa, ale Brudny na wszelki wypadek wyjął broń. Dyskretnie zerknął przez wizjer, a następnie otworzył drzwi. Na korytarzu stała Patrycja Klimczak. Miała na sobie elegancki płaszcz i czarne kozaki na wysokim obcasie, a długie i lśniące blond włosy opadały jej na policzki

i wydatny biust. Musiał przyznać, że wygląda zjawiskowo, ale nie dał tego po sobie poznać, tylko w milczeniu wpuścił ją do środka i przekręcił zamki.

– Hej – przywitała się, gdy już weszła do przedpokoju. Nie doczekawszy się odpowiedzi, położyła torebkę na komodzie, odgarnęła włosy i ściągnęła szalik. Płaszcz podała Brudnemu, a on powiesił go na wieszaku. – Mam te zdjęcia z pogrzebu – powiedziała.

– To świetnie – odparł i przeszedł obok niej. Ruszyła za nim i rzuciwszy krótkie „cześć” Zawadzkiej, usiadła w fotelu.

Brudny zdążył jeszcze zalać wrzątkiem trzy kawy. Chwilę później Julka odpaliła stream. Ku ich zaskoczeniu na środku ekranu zamiast kręcącego się kółeczka, które zwykle sygnalizuje, że komputer przetwarza dane, pojawiło się małe rysunkowe oko. Gałka oczna mierzyła ich srogim spojrzeniem i w kilkusekundowym zapętleniu stawała się coraz bardziej przekrwiona, aby chwilę później znów stawać się w miarę normalna.

Igor i Julka wymienili spojrzenia. Dlaczego Sędzia zdecydował się na wprowadzenie tej drobnej, w sumie nic nieznaczącej zmiany? W sytuacji, gdy jednym z podejrzanych był wychowanek o przezwisku Cyklop, refleksja nasuwała się sama. Brudny ponownie poczuł się, jakby cały czas był obserwowany. I nie przez ludzi Dariusza, którzy pewnie kręcili się gdzieś pod blokiem. Do ich obecności zdążył przywyknąć. Tu chodziło o coś więcej i z jeszcze większym niepokojem spojrzał na sprzęt partnerki. Mogła być dobra, a nawet bardzo dobra, ale Sędzia bez wątplenia był hackerskim geniuszem. I jeśli przez tak długi czas zdołał oszukiwać najtęższe umysły rządowych ekspertów od walki z cyberprzestępczością, to włam do jej laptopa zapewne nie zająłby mu więcej czasu niż otwarcie skrzynki pocztowej.

Dostrzegł, że na jej twarzy też pojawiło się z wątplenie. Mogła korzystać z TOR-a i wszelakich programów typu proxy, ale to potrafił każdy, kto choć trochę orientował się w cyfrowym świecie. Dla niego to wszystko było czarną magią, ale Julka też miała swoje ograniczenia i już przy pierwszej relacji na żywo z rozbijającą szczerością stwierdziła, że nie ma zielonego pojęcia, jakim cudem facet zdołał wejść z tym bajzłem do ogólnodostępnej części internetu, a na dodatek pomimo niewątpliwych prób usunięcia go z sieci, dzięki jakiemuś trickowi był w stanie multiplikować kolejne adresy i automatycznie przekierowywać na następne strony.

A jeśli Sędzia od początku miał wgląd w ich poczynania? Na tę myśl przeszedł go lodowaty dreszcz. Świat cyfrowy był jednym z niewielu,

w których kompletnie się nie odnajdywał. Tu był całkowicie bezbronny, co gorsza bezużyteczny.

– Zaczyna się – mruknęła Julka. Chwilę później na ekranie pojawiła się zakapturzona postać. Głowa mężczyzny wypełniała niemal cały ekran.

– Okropna maska – wyjąkała Klimczak, ale nic więcej nie dodała. Brudny milczał z kubkiem parującej kawy w dłoni.

Sędzia przez dłuższą chwilę wpatrywał się w oko kamery. Nie ruszał się, jedynie skryte w wyszarpanych otworach źrenice momentami błyskały odbitym płomieniem świec, dodając mu jeszcze bardziej diabolicznego charakteru, zdawały się goreć niepohamowaną żądzą krwi. Równy po minucie Sędzia lekko uniósł głowę, a u spodu ekranu powoli wysunęło się zębate ostrze.

– Wiesław Machalica umknął jak tchórz – syknął z pogardą. – Wiesław Machalica uznał, że przyznanie się do winy, wydanie nazwisk współników w plugawym procederze reprivatyzacji warszawskich kamienic oraz błaganie o litość to dla niego za wysoka cena. Wiesław Machalica tym samym skazał Halinę Makowską na śmierć.

Ten sam tekst tylko inne nazwiska. Widać, że Sędzia od początku do końca wszystko wyreżyserował. Podobnie jak w przypadku Kryszaka, w prawym dolnym rogu znów pojawił się czat, który niczym miejski ściek, niemal natychmiast zalała fala obrzydliwych komentarzy. Większość życzyła Makowskiej śmierci, ale w przeciwieństwie do Ojca Zwierzchnego pojawiło się całkiem sporo błagających oprawcę o litość.

– Halina Makowska umrze, ale to wy zdecydujecie, jak bardzo będzie cierpieć za popełnione grzechy – kontynuował, sącząc kolejne słowa. – Zatem oddajmy głos samej zainteresowanej. Wsłuchajcie się dobrze i podejmijcie decyzję. Ja wykonam wyrok za was.

Mężczyzna w katowskim kapturze zniknął z kadru, odsłaniając widok za swoimi plecami. Był odrażający, mimo to nikt nie odwrócił wzroku. Chwilę później Sędzia znów pojawił się w oku kamery. Zbliżył się do ofiary i szepnął jej coś do ucha, a następnie wyszarpnął z ust szmatę. Kobieta zakaszlała, z jej nosa i ust wylała się kleista maź, która spłynęła po brodzie i szyi, następnie w dół, znacząc piersi i brzuch kilkoma czerwonymi smugami. W końcu Makowska z trudem uniosła głowę i spojrzała w obiektyw. Jeszcze przez chwilę zbierała się w sobie i zaczęła mówić.

ROZDZIAŁ 21

Stary gmach przy Rakowieckiej 2A, w którym mieściła się siedziba Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, tonął we mgle. Olgierd Kałużyński stał wpatrzony w obraz za oknem, ale z tej odległości nie widział nawet płotu okalającego teren. Zastanawiał się, co przyniesie przyszłość, i nie mógł zrozumieć, jakim cudem jego podwładni nie są w stanie namierzyć jednego szaleńca. Nie miał już do kogo się zwrócić. Nawet Dariusz, który od lat był jego najbliższym i najbardziej zaufanym człowiekiem, wydawał się tracić pomysły. Wspólnie oglądali egzekucję Makowskiej, próbując wychwycić cokolwiek, co mogłoby naprowadzić ich na trop Sędziego. Eksperci od fonoskopii, specjaliści od zabezpieczeń sieci, całe zastępy fachowców od wszelkich możliwych zagadnień – wszyscy ci ludzie uwijali się jak w ukropie, ale jedyne, co mogli mu zaoferować, to farmazony o jakichś rosyjskich czy północnokoreańskich serwerach, TOR-ach, deep webach i innych dziwnie brzmiących rzeczach, o których miał co najwyżej blade pojęcie.

– Kiedy go w końcu namierzycie? – zapytał, gdy kilkanaście minut wcześniej Sędzia zacisnął garotę na szyi Makowskiej. Przez chwilę dało się słyszeć szcęk mechanizmu, potem rżenie ofiary, w końcu trzask miażdżonej krtani.

– Dominik Pogorzelski, ksywa Cyklop – odparł Dariusz, nie zdradzając żadnych emocji. – Tak nazywał się facet, którego teraz szukamy. To wychowanek z sierocińca tych hieronimek. Jeden z jego kolegów, do których udało nam się dotrzeć, twierdzi, że teraz nosi imię Mirosław, ale nie zostało to jednoznacznie potwierdzone. W każdym razie wszystko wskazuje, że współpracuje z tym Pieronowiczem, ale ten drugi to specjals i trudno będzie z niego coś wyciągnąć.

- Zrób to, co zwykle... – Kałużyński posłał mu wymowne spojrzenie.
- Wtedy należałoby go wyeliminować...
- Kurwa mać!

Kałużyński zacisnął pięści. Przez chwilę wpatrywał się w skryte pod katowskim kapturem ślepiec Sędzię, który obwieścił, że już wkrótce znów wejdzie na wizję, po czym zakończył relację. Dariusz miał rację. Tym razem nie mógł działać zbyt ostro, poza tym nie było gwarancji, że takie działanie przyniesie skutek, jeśli facet był majorem Jednostki Wojskowej Komandosów, wyspecjalizowanym w rozpoznaniu snajperem szkolonym między innymi na wypadek schwytania przez wroga. Same tortury też zwykle nie przynosiły wymiernych skutków, a te pozostawiające trwałe ślady nie wchodziły w grę, bo odkrycie winowajcy tego bajzlu zmusiłoby ministra spraw wewnętrznych do postawienia faceta przed sądem, gdzie mógłby obrać klasyczną w tego typu wypadkach linię obrony, sugerując, że przyznanie się do winy zostało z niego wydobyte przemocą. I nawet jeśli do tej pory Sąd Najwyższy zostałby spacyfikowany, to na proces patrzyłby cały świat. Do Polski zjechałyby się dziesiątki, jeśli nie setki dziennikarzy spod każdej szerokości geograficznej, w związku z czym nie miałby zbyt dużego pola manewru. Ewentualna decyzja o likwidacji też nie brzmiała najlepiej, bo wtedy musiałby pokazać ciało. Szum medialny byłby zapewne ogromny i nie udałoby się ukryć śladów po torturach. Zwykle istniała jeszcze jedna opcja, z której jego ludzie na co dzień korzystali najczęściej. Polegała na zaszantażowaniu albo zastraszeniu, dyskretnym przypomnieniu, że wypadki chodzą po ludziach, a synek czy córka to piękne dzieciaczki, przed którymi całe życie. Tylko że ten cholerny żołnierz właśnie stracił żonę i córkę za jednym zamachem, bo Kumidor z Krysakiem wymyślili sobie, że zaostrożą ustawę antyaborcyjną, w związku z czym Pieronowicz nie miał żadnej rodziny, bo przecież – o ironio! – wychował się w pieprzonym sierocińcu!

To było zupełnie surrealistycznie i Kałużyński coraz częściej skłaniał się ku przypuszczeniom, że za cały ten burdel odpowiada ktoś z jego najbliższego otoczenia. Tylko kto mógłby chcieć pograć własną partię? Owszem, miał wielu wrogów nie tylko w opozycji, ale także w rządzie, na czele z samym premierem Nosalskim, ale nie mógł sobie wyobrazić, że którykolwiek z nich mógłby posunąć się do czegoś takiego. Brakowało motywu. Przecież wszyscy mniej lub bardziej korzystali na tym, że partia znajdowała się u władzy i nikt o zdrowych zmysłach nie zarzynałby kury znoszącej złote jaja. Ale czy na pewno? Coraz częściej myślał o swoim zastępcy. Bożydar Czabański doskonale wiedział, że sprawa jego syna jest dla niego ogromnym obciążeniem i że Kałużyński do końca życia może

trzymać go na krótkiej smyczy. Ale czy nie był na to za głupi? No właśnie był. Nie mógł tego zaplanować usłużny idiota, który w głowie miał tylko chłanie whisky i ruchanie kurew. A może ten tłusty śmierdziel Bogdan Sulima? Kiedyś przecież był w opozycji, ale odszedł w nadziei, że zrobi większą karierę po drugiej stronie barykady. Wszyscy wiedzieli, że zastępca Broziaka ma wielkie aspiracje, a gdy popił, to w kularach regularnie się chwalił, że kiedyś zostanie premierem. Może za jednym zamachem chciał pozbyć się swojego szefa, a przy okazji premiera i samego Kumidora? Na ostatnim spotkaniu w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego był dziwnie wyciszony i jakoś niespecjalnie twardo stawał w roli obrońcy Broziaka. No i ta cholerna opozycja. Tylko że ona nie miała jaj. Ci ludzie byli jak wydmuszki. Przez te wszystkie lata nie potrafili wykorzystać żadnej z afer, choć dostawali na tacy argumenty, które w każdym innym demokratycznym kraju zmiotłyby rząd w mgnieniu oka. Owszem, kilku z nich bez wątpienia miało łeb na karku i przez osiem lat rządów zdołało wyrobić sobie odpowiednie koneksje wśród ludzi mogących porwać się na tak szalone przedsięwzięcie, ale przecież wtedy nie brnęliby w to dalej, zwłaszcza wybierając na kolejną ofiarę Halinę Makowską. Sędzia w ostatecznym rozrachunku potraktował ją dość łagodnie, ale przecież została zabita. Facet najpierw odrąbał jej dłonie maczetą, a potem udusił ją garotą!

A może to była tylko zasłona dymna? Może taki był plan, aby odciągnąć od siebie podejrzenia? Kałużyński miał wrażenie, że od tych wszystkich myśli zaraz eksploduje mu głowa. W pewnym momencie poczuł za plecami czyjąś obecność. Odwrócił się i spojrzał w ciemne oczy swojego najbardziej zaufanego człowieka. A może to właśnie Dariusz? Jest bezwzględny, niemoralny i ma wszelkie narzędzia, aby porwać się na takie szaleństwo. Tylko co by na tym zyskał? No i przecież, do kurwy jasnej, miał niepodważalne alibi, bo przed chwilą oglądał z nim przekaz na żywo. Chryste! Kim jest ten cholerny Sędzia? Dlaczego to robi i jak ma go złapać, skoro nawet Dariusz rozkłada ręce.

– Czy szef ma jeszcze jakieś dyspozycje? Chciałbym zabrać się do pracy i...

– Rób swoje – przerwał mu Kałużyński i z powrotem odwrócił się w kierunku okna.

– Ten Brudny...

– Co z nim?

– Może dać mu pozwolenie, aby wystawił młodego Czabańskiego już teraz...

– Za wcześnie.

– Dziennikarze mieliby używanie. Część z nich mogłaby zacząć łączyć go z Sędzią. Zadbam, aby komunikaty rządowe zadziałały podprogowo. Złapią się na to.

Kałużyński nie odpowiedział. Wpatrywał się w mleczną mgłę za oknem, jakby miała z niej wychynąć satysfakcjonująca odpowiedź na nurtujące go pytania. W sumie to nie był taki zły pomysł. I tak chciał się pozbyć Czabańskiego, a taka akcja już teraz odciągnęłaby nieco uwagę od niego samego. Gdy wybuchnie kolejna afera, natychmiast odetnie się od byłego współpracownika i już teraz zrzuci na niego winę za brak wyników w śledztwie przeciwko Sędziemu. Choć na chwilę uwaga mediów skupiłaby się nie na nim, tylko na Czabańskim, który swoją drogą – jedynie czysto teoretycznie – odpowiadał za wdrażanie wszystkich postanowień Kałużyńskiego.

– Przemyślę to i dam ci znać – odparł, uznając, że potrzebuje czasu.

– Czy mogę...?

– Zejdź mi z oczu.

Górna warga Dariusza uniosła się w nerwowym grymasie, ale mężczyzna posłusznie odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. Gdy te się za nim zamknęły, Kałużyński odczekał jeszcze kilkanaście sekund, po czym chwycił pierwsze z brzegu krzesło i rzucił nim o ścianę. Drugie po kilku próbach roztrzaskał na dębowym stole, a trzecie wylądowało na ogromnej komodzie, bijąc i tłukąc poustawiane tam zastawy i kryształy.

W końcu zmęczony usiadł na czwartym. Poluzował krawat, który wpijał mu się w grdykę. Wytarł pot z czoła. Zwiesił głowę i zamknął oczy, wyobrażając sobie, że to tylko koszmary sen. Nie mógł wiedzieć, że Sędzia zdążył już przygotować dla niego coś specjalnego. Na swoje nieszczęście w całym tym galimatiasie nie zauważył też, że od dwóch dni z pola widzenia zniknął mu jeden z wicepremierów.

ROZDZIAŁ 22

Zawadzka wsiadła do srebrnej alfy romeo należącej do Klimczak. W środku panował straszny syf. Wszędzie walały się jakieś papiery albo opakowania po rogalikach lub batonikach, a deska rozdzielcza nie była przecierana od tygodni, ale uczciwie musiała przyznać, że jej beemka wcale nie wyglądała lepiej, w związku z czym tylko machnęła ręką, gdy dziennikarka przeprosiła za bałagan.

– Mniej więcej pamiętam, gdzie są te mogiły – powiedziała, gdy kilkadziesiąt minut wcześniej ustalali kolejne kroki.

– Dobre miejsce, aby zacząć szukać państwa Nowaków – przyznała Julka. – Na nagrobkach powinny być wyryte daty urodzin, a bywa, że bliscy zamawiają coś dodatkowego, zwłaszcza gdy zmarły umrze śmiercią tragiczną. No i ktoś musiał zlecić wykonanie nagrobków...

– Najpierw zajmę się komornikiem – mruknął Brudny. – Napiszesz mi ten adres? – podsunął reporterce kawałek kartki. Klimczak nabazgrała dane człowieka, który odebrał mieszkanie Dorocie Nowak. Chwycił leżące na blacie kluczyki do samochodu Julki.

– Gość jest nieprzyjemny w obyciu i ma ochronę – ostrzegła Brudnego, ale komisarz nawet na nią nie spojrzał. Zabrał kartkę i przeładował broń.

– Nie rób czegoś, czego ja bym nie zrobiła, okej? – poprosiła Zawadzka, gdy wkładał płaszcz. Też nie usłyszała odpowiedzi, nie licząc odgłosu zamykanych drzwi. Krótco później obie panie również się ubrały i zeszły na dół. Alfa romeo stała na chodniku, częściowo zahaczając o miejsce dla niepełnosprawnych. Julka nie skomentowała.

Dotarcie na cmentarz Powązkowski zajęło im ponad pół godziny. Mieszkańcy zdążyli już wylec na ulice i choć jeszcze nie dochodziło do poważniejszych incydentów, to w kilku miejscach zaczynały gromadzić się grupki, które z czasem mogły przeistoczyć się w bandy chuliganów. Większość stanowili ogoleni na łyso młodzi mężczyźni, nie wiedzieć czemu odziani się w biało-czerwone barwy i dzierżący w dłoniach powiewające flagi, jakby szykowali się na mecz reprezentacji piłki nożnej. W obecnej

sytuacji wyglądało to absurdalnie, jeśli nie groteskowo, a gęsta mgła dodatkowo utrudniała służbom rozpoznanie, w związku z czym w mieście aż roiło się od patroli. Ruch na ulicach też zrobił się większy, ale kierowcy zdawali się jakby bardziej nerwowi, co rusz słychać było klaksony albo miotane pod adresem innych uczestników ruchu drogowego wyzwiska. Julka miała nieodparte wrażenie, że ludzie się nienawidzą. Największe wrażenie zrobiła na niej sytuacja na parkingu pod cementarzem. Gdy dziennikarka się zatrzymała, obok minął je elegancki mercedes, który omal nie potrącił na pasach staruszki. Zgarbiona kobieta w moherowym berecie zaczęła złorzeczyć i wymachiwać laską, wtedy mercedes się zatrzymał, a ze środka wyszedł facet w kwiecie wieku, dobrze zbudowany, ubrany w garnitur i połyskujące półbuty ze skóry.

– Jeszcze masz coś do powiedzenia, kościelna pizdo? – warknął, gdy zbliżył się do niej na wyciągnięcie ręki. – Nienawidzę was, zgredy pierdolone. Przez takich jak wy w tym kraju rządzi banda niedorobionych półmózgów.

– Ja przepraszam... – Kobieta skuliła się w sobie. – Ja... ja na nich nie głosowałam i...

– Nie pierdol mi tu, stara kurwo. Tylko płacić na was i...

Wtedy Zawadzka wkroczyła. Wyciągnęła blachę i w ostrych słowach nakazała facetowi wracać do samochodu. Przez moment pomyślała, aby go wylegitymować, ale ostatecznie odpuściła. Nie chciała trafić na jakiegoś prawnika, który dostrzegłszy, że nie jest z warszawskiej komendy, zaraz zrobiłby jej wykład i jeszcze napluł na buty.

– Chuj z wami wszystkimi – burknął na odchodne, po czym wsiadł do swojego wypasionego auta i z piskiem opon wystrzelił w kierunku Śródmieścia.

Julka schowała odznakę i przeprowadziła starszą kobietę na drugą stronę jezdni, a ta podziękowawszy za pomoc, oddaliła się i chwilę później zniknęła we mgle. Komisarz jeszcze przez chwilę wpatrywała się w miejsce, gdzie straciła ją z oczu. Sytuacja z tym facetem jak w soczewce skupiała to, jak wyglądały teraz relacje podzielonego społeczeństwa. Nie istniały już żadne wartości, a ludzka moralność sięgnęła dna. Młodzi nie liczyli się ze starszymi, starzy gardzili młodymi, wierzący stali się zakładnikami skompromitowanego Kościoła, a niewierzący we wszystkich katolikach widzieli obrońców pedofilów. Od lat napuszczani na siebie przez klasę polityczną obywatele byli gotowi odejść od stołu wigilijnego albo

napluć drugiej osobie w twarz tylko dlatego, że głosuje na inną partię. Społeczeństwo przestało się ze sobą komunikować, skrajnie się spolaryzowało i przy każdej okazji wzajemnie opluwało jadem. Ludzie się znieawidzili i okopali po dwóch stronach barykady, w przeciwnikach widząc nie partnerów do rozmowy, lecz wrogów, których trzeba zniszczyć.

Dokąd to wszystko zmierzało? Komisarz westchnęła i poszukała wzrokiem dziennikarki. Klimczak czekała na nią przy bramie, grzebiąc w komórce. Podeszła do niej, po drodze zapalając papierosa.

– Jak tak dalej pójdzie, to na dniach ludzie rzucą się sobie do gardeł – bąknęła niby od niechcienia.

– Lata trzydzieste ubiegłego wieku. Kopiuj, wklej.

– Ech...

Kobiety ruszyły w kierunku obranym przez Klimczak. Na cmentarzu panowała posępna atmosfera. Szukanie pojedynczych grobów w tak gęstej mgle, nawet jeśli mniej więcej znało się ich lokalizację, przypominało rozglądanie się na morzu za wyrzuconą za burtę butelką. Mogiły wyłaniały się jedna po drugiej, jakby dopiero co wyrastały z ziemi, a pojedyncze znicze tworzyły wokół siebie obszerne halo, podświetlając mgłę na niepokojące, w większości żółte i czerwone kolory. Panowała niemal głucha cisza, od czasu do czasu przerywana jedynie odległymi policyjnymi syrenami i krakaniem ptactwa przesiadującego na bezlistnych konarach okolicznych drzew. Po pół godzinie bezowocnego przeczesywania kolejnych alejek Zawadzka zaczęła tracić cierpliwość, ale dziennikarka uparła się, że znajdzie groby Nowaków, jako że już tu była, gdy przygotowywała materiał o potrąconym przez Kryszaka Michale. W pewnym momencie skupiła na czymś uwagę i wyciągając głowę jak żyrafa, przyspieszyła kroku.

– Tu tutaj – oznajmiła triumfalnie. – Koło tego odrapanego z kory dębu.

Zawadzka ruszyła śladami dziennikarki. Ominęła odcinek rozmięklej ziemi, w którą wdepnęła Klimczak. W końcu jej oczom ukazały się trzy groby. Na każdym palił się znicz i leżały świeże kwiaty. Podeszła do pierwszego i przykucnęła, aby odczytać tekst.

Jagoda Nowak,
ur. 7 maja 1999 roku – zm. 14 lipca 2014 roku
*Gdziekolwiek jesteś córeczko,
zawsze będziemy Cię kochać...*

Skierowała wzrok na drugi nagrobek.

Michał Nowak,

ur. 15 grudnia 1997 roku – zm. 10 lipca 2014 roku

Życie choć piękne, tak kruche jest

Wystarczy jedna chwila, by zgasić je...

Na trzeciej płycie napisano:

Dorota Nowak,

ur. 1973 roku – zm. 6 sierpnia 2014 roku

Zła nie da się naprawić,

można je tylko pomścić...

Zawadzka przełknęła ślinę i przeniosła wzrok na kucającą obok Klimczak. Kobiety wymieniły się wymownymi spojrzeniami.

– Chyba to mamy – mruknęła komisarz.

– Chyba tak...

– Skądś znam te słowa. – Julka się nachyliła, żeby lepiej zobaczyć tekst na ostatniej płycie. Przeciągnęła po nim palcami, jakby to miało przywrócić jej pamięć.

– To cytat z *Hrabiego Monte Christo* – uprzedziła ją Klimczak. – Pamiętam, bo to jedna z moich ukochanych powieści.

– No tak... Dumas...

– Chyba najwybitniejsza i najsłynniejsza powieść traktująca o zemście. Młody marynarz, Edmund Dantes, wskutek spisku zostaje aresztowany i uwięziony w zamku d’If na wyspie...

– Tak, wiem. Czytałam.

– To naprawdę niesamowita historia. Dantes czternaście lat spędza w więzieniu, gdzie każdego dnia pielęgnuje swój gniew i nakręca się myślą o zemście. W końcu udaje mu się...

– Mówiłam, że znam tę historię... – Tym razem ton Julki był bardziej stanowczy. Wtedy coś nagle przykuło jej uwagę. – Nie ruszaj się! – rozkazała.

– Ale co?

– Po prostu stój nieruchomo.

Komisarz wyciągnęła smartfon i rozglądając się na boki, aby nie zadeptać śladów, zrobiła dwa kroki w kierunku Klimczak. Kilkanaście centymetrów od kozaka dziennikarki widniał odcisnięty ślad buta. Był na tyle dobrze zachowany, że w przyschniętym błocie odbił się nawet numer 46. Zawadzka nachyliła się jeszcze bliżej i poświeciła latarką.

– Wojskowy – mruknęła. – Zachowało się nawet kilka liter „BLIN”. Pewnie „LUBLIN”, więc na moje oko to protektory. Policjanci też takie noszą. Możesz przejść w tamtą stronę? – Wskazała rant płyty nagrobnej. Klimczak podniosła nogę niczym bocian polujący na łące i ostrożnie postawiła ją w bezpiecznym miejscu. Zawadzka zrobiła kilka zdjęć i rozejrzała się po okolicy. Niestety, nie natrafiła na nic, co mogłoby ją zainteresować. Żadnych niedopałków, papierków po batoniku, skorupki po słoneczniku. Oprócz kilku odcisków niedawny gość nie pozostawił nic, co mogłoby zostać wykorzystane do pomocy przy jego identyfikacji. No prawie...

Zerknęła na nagrobne płyty i wyciągnęła z kieszeni kurtki jednorazowe rękawiczki, a następnie uchwyciła kolejne znicze i każdemu dokładnie się z zewnątrz przyjrzała. W świetle płonącego wewnątrz knota na szkle powinno być widać ewentualne odciski palców, ale nie dostrzegła żadnych śladów, co nie znaczyło, że ich tam nie było. W normalnej sytuacji po prostu zadzwoniłaby po techników, ale teraz była skazana na siebie. Na szczęście przewidziała taki scenariusz.

Zdmuchnęła płomień i wyciągnęła przenośny zestaw do ściągania odcisków palców. Wyjęła z pudełka pędzelek i pojemnik z proszkiem daktyloskopijnym, po czym naniosła odrobinę na ścianki znicza. Chwilę to trwało, ale wynik nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. Powtórzyła czynności z drugim i trzecim zniczem, ale i tym razem nie dostrzegła żadnych śladów.

- Nosi rękawiczki – skomentowała Klimczak.
- To pytanie czy stwierdzenie?
- Pytanie?

Zawadzka podniosła wzrok na dziennikarkę. Próbowwała się do niej przekonać, ale z tyłu głowy wciąż czaiła się wizja Brudnego i Klimczak kopulujących jak zwierzęta. Najzwyczajniej w świecie była zazdrosna, a ponieważ nie wiedziała, co dokładnie między nimi zaszło, wyobraźnia podsuwała jej coraz to bardziej wyuzdane scenariusze. W drodze do Warszawy miała nadzieję, że Igor w końcu coś powie, ale on nie poruszał

tego tematu. Sama nie chciała go wypytywać, żeby nie wyjść na idiotkę, ale coraz bardziej korciło ją, aby w końcu przycisnąć tę gówniarę. Chwilowo odpuściła.

– Najpewniej tak. Nie zostawił żadnych odcisków – odparła oschle, z powrotem zapalając znicze.

– Nie weźmiemy ich? – zapytała Klimczak.

– Zostawimy, jak stały. Gdybyśmy je zabrały, a facet by tu wrócił, mógłby nabrać podejrzeń.

– Mądre.

– To się jeszcze okaże. To może być każdy. Ojciec, brat, dziadek czy choćby przyjaciel rodziny. Nie ma sensu się napalać. Możesz podać mi kwiaty?

Bukiet róż akurat znajdował się w zasięgu jej ręki, więc dziennikarka chwyciła go i podała Zawadzkiej. Syknęła, gdy jeden z kolców skaleczył ją w palec. Komisarz wzięła od niej kwiaty i przyjrzała się, czy na ozdobnej folii nie ma jakiejś naklejki z danymi adresowymi kwiaciarni, w której bukiet kupiono. Nie natrafiła na nic takiego, ale i tak pstryknęła kilka zdjęć i oddała kwiaty Klimczak. Dziennikarka znów zrobiła to na tyle niefortunnie, że kilka kolców zahaczyło o rękaw płaszcza i róże omal nie wypadły jej z dłoni. Zaklęła cicho i odłożyła je na miejsce, a potem wsunęła palec do ust.

– I co teraz? – zapytała, gdy zassała uformowaną na opuszce kropelkę krwi.

– Na pewno nie będziemy tu sterczeć i na niego czekać. – Komisarz rozejrzała się wokół, jakby spodziewała się, że ktoś może ich obserwować. – Beryła też nie poinformujemy, bo Igor mu nie ufa. Co do Dariusza, to nie wiem. Mamy odcisk i numer buta. Firmę i model. To już coś.

– I wiemy, że lubi *Hrabiego Monte Christo*.

Zawadzka schowała zestaw daktyloskopijny z powrotem do pudełka i podniosła się z kucek.

– Jeśli to ten sam człowiek... – zauważyła. – Możliwości jest wiele, więc nie ma co się podniecać.

– Ale mamy trop.

– No mamy.

– I co teraz?

– Pojedziemy do domu. Posiadamy trochę danych rodziny Nowaków, więc spróbuję wygrzebać coś w sieci. Ty... – Zawadzka zaczęła kluczyć

między grobami. – Ty możesz wracać do siebie. To robi się zbyt niebezpieczne.

– Nie ma mowy – odparowała Klimczak. – Miałyśmy umowę. Pomogłam wam w zamian za wyłączność. Muszę...

– Czy ty wiesz, dziewczyno, że ten facet może cię zabić? Gdy tylko się o tobie dowie, nie będzie się patyczkował.

– Dlatego lepiej, żebym nie siedziała w domu sama.

Zawadzka westchnęła. W pewnym sensie Klimczak miała rację. Komisarz musiała przyznać, że nie była już teraz taka pewna, czy Sędzia albo ludzie, którzy zorganizowali ten cały spektakl, nie zdołali włamać się do jej komputera. Wątpiła w to, bo korzystała z TOR-a, który regularnie zmieniał jej IP, a do tego zainstalowała i systematycznie aktualizowała najnowsze programy antywirusowe i antyspiegujące, ale niczego nie mogła wykluczyć. Znała się na cyberbezpieczeństwie jak mało kto, ale w tej branży hakerzy co chwila wymyślali kolejne złośliwe oprogramowania i naprawdę trudno było za tym wszystkim nadążyć. I jeśli istniał choć cień zagrożenia, że człowiek po drugiej stronie zdołał wydobyć z jej sprzętu jakiegokolwiek informacje, przez co Klimczak mogła znaleźć się na celowniku, nie powinna puszczać jej samej.

– Dobra. Tylko nie zadawaj tych durnych pytań, okej? – bąknęła i sięgnęła po papierosa.

– Obiecuję.

– To wyprowadź nas z tego cmentarza.

Niedługo potem kobiety z powrotem zanurzyły się we mgle. Gdy opuszczały teren nekropolii, zaledwie kilka kilometrów na południowy wschód plac Bankowy przemierzał niepozorny sedan, którego markę i kolor trudno było ocenić w tak gęstej mgle. Na wysokości siedemnastowiecznego gmachu, w którym mieścił się Urząd Miasta Stołecznego Warszawy, zwolnił i coś z niego wypadło. Chwilę później lekko przyspieszył i zniknął w białej zawieszynie, jakby nigdy go tam nie było.

ROZDZIAŁ 23

W Pruszkowie mgła nie była tak gęsta jak w centrum Warszawy, ale atmosfera zdawała się jeszcze cięższa i bardziej nieprzyjazna. Obrzeża miasta spowiło coś, co przywodziło na myśl mżawkę nasączoną smogiem. Widoczność była fatalna, a to, co unosiło się w powietrzu, barwiło wszystko wokół na nudny, szary kolor niczym w starych filmach Wajdy albo Barei. Brudny powoli sunął jedną z głównych ulic. Korzystał z nawigacji, bo nie miał pojęcia, gdzie znajduje się ulica podana przez Julkę.

– Ireny trzydzieści osiem – przekazała mu, gdy palił przed kamienicą, gdzie adres miała kancelaria Marka Srebrzyńskiego. Facet był komornikiem, który bezpośrednio przyczynił się do zajęcia kamienicy Doroty Nowak i na pewno znajdował się w posiadaniu wielu cennych informacji na jej temat, w tym adresu lokalu zastępczego, do którego mogła – choć nie musiała – zostać oddelegowana krótko po eksmisji. Biuro kancelarii było jednak zamknięte i Brudny już szykował się do odwiedzenia kolejnego miejsca (dzięki mrówczej pracy wykonanej przez Julkę miał w zanadrzu jeszcze kilka adresów, pod którymi facet mógł przebywać), gdy partnerka zadzwoniła i poinformowała go o najnowszym odkryciu. Kamieniarz odpowiedzialny za wykonanie płyt nagrobnych mógł posiadać również cenne informacje, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że Dorotę Nowak też ktoś musiał pochować. Umieszczony na pomniku cytat z *Hrabiego Monte Christo* jasno sugerował, że to może być mocny trop, w związku z czym chwilowo zmieniły się priorytety i należało zajrzeć do Kazimierza Gawlickiego, właściciela zakładu kamieniarskiego „Pokora”.

– Ireny jakiej? – spytał, bo odniósł wrażenie, że Julka jest jakaś rozkojarzona.

– Ireny. Po prostu Ireny – odparła.

– Ja się pytam Ireny jak?

– No Ireny! Ty słyszysz, co ja do ciebie mówię?

– Ta Irena ma jakieś nazwisko? – Komisarz też lekko podniósł głos.

– Nie mam pojęcia, Igor. Wklep w nawigację Ireny trzydzieści osiem, to ci wyskoczy.

– Ale jak to może...

– Ta Irena nie ma nazwiska – wtrąciła wyraźnie poirytowana. – Jest Irena, i tyle. Ireny trzydzieści osiem.

Brudny rozłączył się i wklepał podany adres. Z zaskoczeniem zanotował, że w Pruszkowie rzeczywiście znajduje się osiedle, na którym ulice są ponazywane imionami. Zenona, Tadeusza, Mieczysława, Zdzisława, Przemysława, Waldemara i kilku innych facetów oraz właśnie Ireny. Choć go to lekko zaintrygowało, nie miał czasu rozwodzić się nad tym, dlaczego ktoś wpadł na taki pomysł i dlaczego tylko jedna z ulic została nazwana na cześć kobiety, więc zaakceptował trasę i ruszył w drogę.

Po kilkunastu minutach kluczenia osiedlowymi uliczkami w końcu dotarł do celu podróży. Dom kamieniarza niespecjalnie wyróżniał się na tle innych, choć wydawał się nieco skromniejszy i bardziej zaniedbany. W ogródku panował jednak porządek, a przed garażem stał stosunkowo nowy model volvo, więc nawet jeśli interes nie szedł tak dobrze, jak mogłoby się wydawać, to Gawlicki raczej nie miał prawa narzekać. Obok znajdowała się dobudówka, na której widniał baner z fatalną grafiką i równie kiepskim hasłem reklamującym jego usługi. Właściciela zastał akurat po niedzielnym obiedzie.

– Dzień dobry, panie Gawlicki – przywitał się, gdy otworzył mu niewysoki, łysiejący mężczyzna pod sześćdziesiątkę.

– Dzień dobry. Z kim mam przyje... – Facet nie dokończył, zapewne rozpoznając niespodziewanego gościa. – Czy pan...

– Komisarz Igor Brudny. Moglibyśmy chwilę porozmawiać?

– Tak, tak, oczywiście. O Jezusie, a co się stało?

– Nic takiego, po prostu chciałbym zadać panu kilka pytań.

Najwyraźniej cała sytuacja wyprowadziła faceta z równowagi, bo zaczął się zachowywać, jakby dostał nagłego ataku paniki. Kręcił się wokół własnej osi, jakby zapomniał, gdzie jest korytarz do salonu, przestępował z nogi na nogę i trząsał się jak alkoholik w delirium. Nagle wrzasnął, że żona natychmiast ma zrobić kawę i nakroić ciasta, bo mają ważnego gościa, a potem nerwowym gestem zaprosił Brudnego do pokoju dziennego.

W telewizji akurat leciały skoki narciarskie, ale tym razem Polacy znaleźli się na odleglejszych miejscach. Kazimierz Gawlicki chwilę na nich pozłorzeczył, po czym machnął ręką i wyłączył telewizor. Nerwowo

poprawił kołnierz wymiętej koszuli i usiadł w fotelu. Spojrzał na gościa spłoszonym wzrokiem.

– Nie chciałbym zajmować panu wiele czasu, więc od razu przejdę do rzeczy – zaczął Brudny.

– Tak, oczywiście. P-p-pomogę, pomogę. Tylko ja nie wiem...

– Proszę się uspokoić, panie Gawlicki – rzekł Brudny stanowczym tonem. – Nic się nie stało, nie wpadł pan w żadne tarapaty, z pana rodziną wszystko w porządku. Przyszedłem zadać kilka pytań na temat wydarzeń sprzed siedmiu lat. Chodzi o jedną z usług, którą pan wykonał.

– J-j-jezu... – Mężczyzna pobladł. Brudny przez chwilę wpatrywał się w oczy przedsiębiorcy. Jeśli miał coś na sumieniu, to komisarza niewiele to obchodziło.

– Konkretnie mam na myśli rodzinę państwa Nowaków. Matka, syn i córka. Wszyscy zginęli w dwa tysiące czternastym roku i z tego, co udało mi się ustalić, wszystkie płyty nagrobne zostały zamówione w pana firmie, mam rację?

– Ja... Jezu... nie p-p-pamiętam. P-p-panie k-k-komisarzu... ja... – Gawlicki nie dość, że mówił bardzo chaotycznie, to jeszcze zaczął się jąkać. – Ja... r-r-robię bardzo d-d-dużo zamówień. Cz-cz-czasem kilkanaście t-t-tygodniowo.

– Proszę na spokojnie spróbować sobie przypomnieć. Na pewno ma pan to w jakiejś księdze przychodów i rozchodów. Nazwisko Nowak. Prawdopodobnie Dorota i... – Brudny cmoknął i zmarszczył czoło, udając, że nie może sobie przypomnieć imienia. Zerknął pytająco na grabarza.

– N-n-nowak? P-p-panie komisarzu. Nowaków to ja m-m-mam co roku jak m-m-mrówków.

– Może pan sprawdzić rok dwa tysiące czternasty?

Przez twarz Gawlickiego przemknął grymas, jakby usłyszał pytanie o obliczenie ciśnienia na dnie Rowu Mariańskiego, ale chwilę później poprawił okulary i podniósł się z kanapy. Obaj mężczyźni przeszli do znajdującego się w przybudówce biura. Brudny obserwował, jak facet przesuwa kolejne segregatory. W końcu znalazł ten właściwy. Okazało się, że w tym czasie wykonał płyty nagrobne dla czterech Nowaków. Po dwa zlecenia zamówiły Dorota Nowak i Katarzyna Nowak. Pierwsza dla Michała i Jagody, a druga dla Dionizego i Leokadii. Wszystko wskazywało, że obie panie poza nazwiskiem nie mają ze sobą nic wspólnego. Okazało się, że problemów nastęcza znalezienie zlecenia dotyczącego wykonania

usługi dla zmarłej Doroty Nowak. Gawlicki wertował kolejne papiery, drapiąc się po naznaczonym siwym zarostem policzku. Brudny od razu dostrzegł, że facet coś kręci, i postanowił trochę odświeżyć mu pamięć.

– Jak nazywa się mężczyzna, który zamawiał u pana taki napis? – zapytał, przystawiając mu przed oczy smartfon z wykonanym przez Julkę zdjęciem. – To cytat z *Hrabiego Monte Christo* Aleksandra Dumasa. Tekst też raczej rzadko spotykany na płytach nagrobnych, mam rację?

Nagle oczy kamieniarza otworzyły się nieco szerzej. Bez wątpienia coś mu zaświtało. Szybko jednak uciekł wzrokiem, nerwowo przełknął ślinę i znów zaczął udawać, że wertuje segregator.

– J-j-ja chyba t-t-takiego z-z-zlecenia jednak nie w-w-wykonałem – odparł w końcu, jękając się niemal przy każdym słowie. – J-j-ja n-n-nie...

– Pan kłamie, panie Gawlicki. – Brudny postanowił go przycisnąć. – Jeśli pan przyjął to zamówienie pod stołem, mnie to nie interesuje. I obiecuję, że nie przekażę tego ani Urzędowi Skarbowemu, ani nikomu innemu. Ale jeśli znów mnie pan okłamie, to poproszę o wykonanie ekspertyzy liternictwa oraz materiałów, z których zrobione są płyty nagrobne. Udowodnienie, że zostały zrobione w pana pracowni, będzie bardzo proste, a wtedy narobi pan sobie poważnych kłopotów. Oszustwo podatkowe to w tym kraju jedno z najpoważniejszych przestępstw. Wie pan, jak to jest, gdy skarbowka już raz wykryje jakieś nieprawidłowości i przyczepi się do firmy? Nie odpuści i będzie robić wszystko, aby pana wykończyć. Będzie kasać, gryźć, robić niezapowiedziane kontrole, nasyłać innych, nakładać grzywny za najmniejsze nieprawidłowości. I tak do usranej śmierci. Chce pan tego?

Mężczyzna struchlał. O Igorze Brudnym z pewnością nasłuchał się w telewizji aż nadto i doskonale zdawał sobie sprawę, że komisarz nie należy do przyjemniaczków. Gawlickiemu zaczęły trząść się ręce, a na skroniach wystąpiły krople potu. Nie był bandytą czy choćby złodziejem, ot zwykłym małym przedsiębiorcą, który skorzystał z okazji, aby nie zapłacić podatku, gdy nadarzyła się ku temu okazja. Takich nie trzeba było długo urabiać, aby wyciągnąć potrzebne informacje. Brudny postanowił dać mu ostatnią szansę.

– Pamięta pan, jak nazywał się tamten mężczyzna? – ponowił pytanie. – Poda mi pan jego nazwisko i zapomnimy o temacie.

– On n-n-nie chciał p-p-podać d-d-danych – wyjąkał Gawlicki. – T-t-to dlatego z-z-zaproponował g-g-gotówkę.

– Ile?

– D-d-dwadzieścia t-t-tysięcy z-z-złotych.

Komisarz nie miał pojęcia, ile mogą kosztować płyty nagrobne, ale podejrzewał, że standardowa usługa nie przekraczała kilku tysięcy złotych. Nawet jeśli w stolicy oscylowała w granicach dziesięciu, to tajemniczy zleceniodawca przebił ją przynajmniej dwukrotnie. Dla właściciela małej firmy kamieniarskiej taki zastrzyk gotówki i to nieopodatkowanej mógł wydawać się całkiem kuszący. O nazwisko nie było sensu dalej pytać. Jeśli zapłacił grabarzowi aż tyle, to właśnie dlatego, żeby go nie podawać.

– Jak wyglądał ten mężczyzna?

– On... on... – Kamieniarz nerwowo złapał się za skronie i zacisnął powieki. Zdawał się kompletnie rozbity psychicznie, jakby Brudny co najmniej przyszedł zamknąć mu firmę, a jego samego eksmitować z domu. – W-w-wysoki... – wyjąkał. – Miał b-b-bluzę z k-k-kapturem. Nie p-p-pamiętam tak d-d-dobrze. T-to b-b-było tak d-d-dawno temu.

Ostatecznie Brudny nie wyciągnął z mężczyzny zbyt wiele. Według niego zleceniodawca był wysoki, postawny, nosił dzinsy i bluzę z kapturem. Miał też srogie spojrzenie i raczej krótkie włosy, ale Gawlicki nie był w stanie powiedzieć nic więcej, bo jak przyznał, „trochę się go zląkł i unikał patrzenia mu w twarz”. Pieniądze dostał z góry, robotę wykonał, ale już nigdy więcej faceta na oczy nie zobaczył.

To było mało, ale zawsze coś. Trop zdawał się solidny, bo komisarz wątpił, aby ktokolwiek zadał sobie tyle zachodu, gdyby naprawdę nie zależało mu na ukryciu własnej tożsamości. Facet musiał mieć coś na sumieniu, a w obecnej sytuacji tajemniczy zleceniodawca i miłośnik *Hrabiego Monte Christo* stawał się głównym podejrzanym. Zdecydowanie należało iść dalej tym tropem, a ten prowadził do komornika, który za bezcen przejął mieszkanie rodziny Nowaków. Istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że poszukiwany mężczyzna wszedł z nim w jakąś relację, a jeśli tak, to komornik na pewno wiedział więcej. Z nim mogło już jednak nie pójść tak łatwo. Komornicy namiętnie korzystający z luk w prawie podczas dzikiej reprivatyzacji byli nie tylko szumowinami, ale także wybitnymi specjalistami w swoim fachu. Na ogół znali prawo lepiej niż większość prokuratorów czy adwokatów i wiedzieli, co robić, gdy sytuacja stawała się dla nich niebezpieczna.

Brudny postanowił nie czekać na kolejne doniesienia od Julki. Wiedział, że jeśli ona się uprze, to znajdzie w sieci wszystko, ale po pierwsze, to

zwykle zajmowało dużo czasu, a po drugie, on preferował tradycyjne metody zdobywania informacji. Gdy wsiadał do samochodu, aby jechać pod kolejny adres komornika, zadzwonił telefon. To był Dariusz.

– Słucham – rzucił bez przywitania.

– Wiem, że jest pan w Warszawie, komisarzu Brudny – oznajmił ze spokojem mężczyzna po drugiej stronie. – Głęboko wierzę, że przyjechał pan do stolicy w sprawach związanych z naszą umową o współpracy.

– Mam pewien trop.

– Zatem będzie miał pan okazję podzielić się ze mną wiedzą na temat najnowszych odkryć.

– Nie działał w ten sposób. Już mówiłem, że gdy...

– Proszę przyjechać na plac Bankowy, dokładnie pod Urząd Miasta Stołecznego Warszawy.

Brudny nienawidził, gdy mu przerywano, ale stłumił w sobie chęć wyrażenia swojego zdania w tej kwestii. W takich momentach od razu nachodziła go refleksja, że wejście w ten układ od początku było skazane na porażkę. Dariusz zagrał na jego emocjach, a on sam dał się podejść jak dzieciak.

– Tak nie będziemy rozmawiać – fuknął w końcu.

– Proszę tego źle nie odebrać, ale sytuacja jest bardzo poważna i potrzebuję pana na miejscu. I to jak najszybciej.

– Dowiem się przynajmniej, o co chodzi?

– O ostatnią ofiarę. Nasi technicy właśnie próbują poskładać do kupy to, co z niej zostało.

Brudny zmarszczył brwi i włączył silnik. Dopiero chwilę później pojął grozę tych słów. Kiedy mknął w kierunku placu Bankowego, złe przecucie go nie odstępowało. Sędzia albo był kompletnym szaleńcem, albo geniuszem zbrodni. Teraz już nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Na ulicach utworzyły się koszarne korki. To, co wydarzyło się na placu Bankowym, wymusiło na służbach zamknięcie dużej części miasta. Policyjne barykady znajdowały się na wszystkich głównych arteriach od Królewskiej aż po okolice Ogrodu Krasińskich i od alei Jana Pawła II po ulice Miodową i Moliera. Brudny mimo że wystawił na dach koguta, na miejsce dojechał dopiero po czterdziestu minutach. Przy okazji zarobił

kartonem mleka, które rozbiło się na bocznej szybie, ale uznał, że nie będzie drażnił grupki młodzieńców, z których kilku dodatkowo ściągnęło spodnie i wykrzykując obraźliwe hasła pod adresem policji, pomachało mu swoimi przyrodzeniami.

Wysiadł z samochodu i od razu zapalił papierosa. Mgła zdążyła się już przerzedzić, ale w jej miejscu pojawiła się mżawka, która teraz moczyła każdy odsłonięty kawałek ciała. Postawił kołnierz i ruszył za jednym z policjantów. Po drodze minął parę zabezpieczonych punktów, których pilnowali dodatkowi mundurowi. Większość już uprzątnięto, ale odrysowane kształty na jezdni jasno wskazywały, co trafiło do kolejnych worków. W końcu dotarł do miejsca, gdzie znajdowało się największe skupisko funkcjonariuszy, począwszy od policjantów przez techników kryminalistycznych na pracownikach CBS czy ABW skończywszy. Atmosfera była grobowa. Na mokrych od deszczu twarzach malowały się szok i niezrozumienie, ale z oczu krążących wokół ludzi chyba najbardziej wyzierała kompletna bezradność. Brudny chyba nigdy w życiu nie widział tylu techników zabezpieczających ślady, po których mógł poruszać się poszukiwany pojazd. Wszyscy pracowali w niemal kompletnej ciszy, nie licząc niosących się z oddali policyjnych syren i klaksonów.

W końcu Brudny namierzył Dariusza. Stał z kilkoma innymi mężczyznami, między innymi szefem Centralnego Biura Śledczego, Tomaszem Mastalerzem, i samym Kałużyńskim, nad którym jakiś potężny typ rozpostarł czarny parasol. Komisarz nie był w stanie ocenić, czy to dobrze czy źle. Wiedział jedynie, że nie może się zdradzić z informacjami, które posiadał w ostatnim czasie, a przynajmniej nie może tego zrobić jeszcze w tej chwili. Nikomu z tu obecnych nie ufał za grosz i miał fatalne przeczucie, choć nie umiał jednoznacznie określić, czego ono dotyczy. W takich sytuacjach intuicja rzadko go zawodziła i zwykle tego się trzymał.

Wyrzucił niedopałek i skierował się w stronę grupy mężczyzn. Na jego widok dwaj agenci wystąpili naprzód, ale na znak pryncypała równie szybko się rozstąpili.

– Dzień dobry, komisarzu Brudny – przywitał się Kałużyński. Tym razem nie wyciągnął dłoni na przywitanie. Dariusz też nie zaryzykował.

– Czy to Makowska? – Komisarz od razu przeszedł do sedna. Powiódł spojrzeniem w kierunku paru techników nachylających się nad czarnym workiem.

– W kawałkach – mruknął Dariusz. – Do tej pory znaleźliśmy tylko dłonie i głowę – dodał, gdy Brudny zapalał kolejnego papierosa. – Sukinsyn był na tyle bezczelny, że rozrzucił je na odcinku kilkuset metrów wzdłuż placu Bankowego. Głowę niemal na wprost urzędu miasta.

– Macie pomysł dlaczego akurat tutaj?

– Analizujemy to. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to fakt, że ratusz był umocniony równie mocno jak sędziowie czy komornicy. To naprawdę to urzędnicy stawiali stemple. Tym piastującym najwyższe stanowiska niczego nie udowodnili, ale wszyscy wiemy, jak jest...

– Akurat ta okolica jest chyba dobrze monitorowana, mam rację? – rzucił zaczepnie Brudny.

– Moi ludzie już przeglądają nagrania, ale po pierwsze gęsta mgła niemal zupełnie ograniczyła widoczność, a po drugie obraz z kamer jak na dzisiejsze standardy jest słaby, bo to stary sprzęt. To znacznie utrudnia im pracę i namierzenie poszukiwanego z pewnością zajmie sporo czasu. A tego akurat nie mamy.

– Chcę ją zobaczyć.

Kałużyński skinął na Mastalerza, który wskazał furgonetkę, gdzie znajdował się czarny worek. Brudny przydeptał niedopałek i skierował się do pojazdu. Naciągnął jednorazowe rękawiczki i otworzył zamek. Przyjrzał się trzem fragmentom ciała Haliny Makowskiej. Każda znajdowała się w oddzielnym worku, z których dwa zdążyły zaparować.

– Więcej nie znaleźliśmy i chyba się na to nie zanosz – mruknął Mastalerz, ale Brudny go zlekceważył. Przez głowę przemknęła mu myśl, że to cholernie dziwna sytuacja. Jeszcze kilka lat temu marzyło mu się, aby załapać się do CBS, a dziś stał nad odrąbaną głową prominentnej warszawskiej sędziny z samym szefem tej jednostki i nie robiło to na nim żadnego wrażenia, mało tego, chciał jak najszybciej się ulotnić, bo wiedział, że prędzej czy później padną niewygodne pytania. Chwycił worek z głową.

– Zrobił to już po śmierci denatki? – zapytał.

– Tak twierdzi lekarz. Sędzia przynajmniej nie oszukuje.

– Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości...

W tonie Brudnego wybrzmiała nuta drwiny. Kątem oka dostrzegł, że Mastalerz zrozumiał aluzję i uśmiechnął się pod nosem. W tym gronie szef CBS jawił się jako światelko w tunelu. Komisarz osobiście go nie znał, ale środowisko miało o nim dobre zdanie, a facet ponoć należał do nielicznych,

którzy mogli uchodzić za kompetentnych. Kiedyś świetny glina, dziś co prawda bardziej biurokrata, ale podobno dbał o swoich ludzi. Komisarz miał mu jednak za złe zamiecenie pod dywan sprawy „dark party”. I nawet jeśli Mastalerz wyrobił sobie już na ten temat zdanie, nie był odporny na polityczne naciski.

Brudny rozsunął zamek błyskawiczny i przyjrzał się głowie Haliny Makowskiej. Nie było w niej już nic ludzkiego i bardziej przypominała wyrób jakiegoś zatrudnionego na planie filmowym mistrza makabry. Szeroko otwarte oczy, lekko rozchylone usta, włosy mokre, w nieładzie. Zastanawiało go, co Sędzia chciał im przekazać. Co chciał przekazać jemu? I dlaczego posunął się do tak niebezpiecznego kroku? Przecież gdyby podczas jego rajdu po stolicy zatrzymał go policyjny patrol, cały misterny plan mógłby runąć w gruzy. I co było do niego niepodobne, w pewnym sensie się ujawnił. Do tej pory można było podejrzewać, że jego nora znajduje się praktycznie w każdym zakątku kraju, ale teraz wyglądało na to, że operuje w okolicach Warszawy. Decydując się na taki krok, Sędzia bardzo ryzykował i należało się zastanowić, co sprawiło, że się na to zdecydował. Znów przemknęła mu przez głowę myśl, że Sędzia albo jest kompletnym szaleńcem, albo geniuszem zbrodni. Przeczucie skłaniało go ku drugiej możliwości, co akurat nie było najlepszą nowiną.

Brudny zamienił jeszcze kilka słów z Mastalerzem, po czym wrócił do Kałużyńskiego. Tym razem nie było obok niego Dariusza. Postanowił, że to jest dobry moment, aby wykorzystać tę sytuację i uświadomić Kałużyńskiego, w jakiej sytuacji się znalazł.

– Co pan ustalił? – zapytał minister, gdy Brudny podszedł wystarczająco blisko. Widać było, że ta sytuacja jest dla niego wyjątkowo kłopotliwa, a on sam za wszelką cenę próbuje zachować pozory człowieka, który panuje nad sytuacją.

– Mam być szczerzy? – Brudny wyciągnął papierosa i skinął na gościa z parasolem. Kałużyński zrozumiał aluzję i odprawił go niczym upierdliwego przedszkolaka.

– Niczego więcej od pana nie oczekuję – odparł, gdy już zostali sami.

Brudny zaciągnął się i omiół spojrzeniem krzątających się po ulicy ludzi.

– Kto dobiera panu współpracowników? – zapytał, gdy znów skupił wzrok na rozmówcy.

– Skąd to pytanie? – Minister obruszył się, ale nie było w tym tej stanowczości, którą starał się emanować przy swoich ludziach.

– Niech pan odpowie. To żaden wstyd.

– Pan znowu się zapomina, komisarzy.

– Albo chce pan złapać tego świra, albo dalej będziemy udawać, że wszystko jest w porządku. Zatem kto dobiera panu ludzi?

– Nawet gdybym chciał panu odpowiedzieć na to pytanie, to nie mogę tego zrobić. Pan to chyba rozumie, prawda?

– To może inaczej... – Brudny zaciągnął się i wypuścił dym nosem. – Nie jest żadną wiedzą tajemną, że ten rząd składa się z ludzi niekompetentnych. Wiem o tym ja, wie o tym pan i każdy w miarę ogarnięty obywatel tego kraju. Gdybym miał to ująć dosadniej, to powiedziałbym, że większość ministrów, wiceministrów i tych wszystkich pomniejszych chujków, którzy dorobili się intratnych posadek, to zwykli łajdacy, którzy karierę polityczną budują na lojalności względem Kumidora. Niestety ta uległość i dyletantstwo mają też swoje złe strony, bo właśnie pojawił się ktoś, kto powiedział „sprawdzam”. I tym kimś jest nasz Sędzia.

– Pan igra z ogniem, komisarzy.

– To pan igra z ogniem, panie ministrze. Widzi pan, co tu się dzieje? – Brudny gestem wskazał drepczących w kałużach techników. – Widzi pan, co dzieje się w mieście? W całym kraju?

– Do czego pan dąży?

– Skoro pan nie zaprotestował, to zakładam, że Kumidor dorzucił swoje trzy grosze przy mianowaniu pana zastępców, szefów służb i innych ludzi, z którymi na co dzień musi pan współpracować. Niech wspomnę takiego Czabańskiego. Przecież to nie był pana wybór, mam rację?

Kałużyński nie odpowiedział, co Brudny uznał za potwierdzenie. Kontynuował:

– Obaj wiemy też, że Kumidor może i ma posłuch wśród części elektoratu wierzącego w latające parówki i stosowaną na Polakach tajną broń elektromagnetyczną, ale ogólnie to stary, mający problemy psychiczne człowiek, który stracił już kontakt z rzeczywistością. Za wszelką cenę dąży do utrzymania władzy, bo wie, że jeśli ją straci, to prawdopodobnie w końcu zostanie rozliczony, w związku z czym w resortach, zwłaszcza siłowych, musi mieć lojalnych ludzi. Dobiera najbardziej zdemoralizowane jednostki, które są w stanie dopuścić się najpodlejszych czynów, aby

zadowolić swojego patrona. Jakie jest więc prawdopodobieństwo, że jednemu z tych ludzi w końcu odbije?

Kałużyński najwyraźniej trochę wyluzował, bo więcej nie próbował sztucznie piorunować go wzrokiem, a tym bardziej rozdzierać szat i protestować. Prawda była taka, że najchętniej sam wysłałby dziada na zasłużoną emeryturę, ale Kumidor pomimo wszystkich swoich wad właśnie dzięki tego typu praktykom wciąż trzymał za mordę całą partię. Miał szpicli wszędzie, a ten imbecyl Czabański był tego najlepszym przykładem.

– Przechodząc do meritum – ciągnął Brudny. – Nie wiem, kim są pana współpracownicy, ale nie trzeba być policyjnym psychologiem, aby stwierdzić, że morderca z pana kpi. Powiem więcej. Porozrzucił Makowską pod waszym nosem, bo doskonale zdaje sobie sprawę, że zatrudnia pan bandę amatorów, którzy albo naprawdę są totalnymi miernotami, albo traktują pana co najmniej niepoważnie, żeby nie rzec, że robią z pana idiotę.

– Co pan sugeruje, komisarzu? – Kałużyński zrobił krok w kierunku Brudnego.

– Żeby najpierw prześwietlił pan dokładnie swoich współpracowników.

– Uważa pan, że Sędzią może być któryś z moich ludzi?

– Biorąc pod uwagę okoliczności, to moim zdaniem najbardziej prawdopodobna hipoteza. Kumidor mógł podrzucić panu każdego, a jestem prawie pewny, że wskazywani przez niego kandydaci nie są dokładnie weryfikowani, mam rację?

– Pan uważa, że Kumidor mógłby...

– Nie... – Brudny szczerze się roześmiał, ale zaraz spoważniał. – Kumidor raczej nie ma z tym nic wspólnego, ale biorąc pod uwagę fakt, że jego najbliższe otoczenie to głównie łajdacy, zwyrodnialcy i ludzie pozbawieni jakiegokolwiek empatii, szansa, że wśród nich znajdzie się jeden, który nagle uzna, że chce zbawić świat, jest większa niż ta, że mordercą jest ktoś spoza tego popierdolonego układu. I dla jasności, panie ministrze, pan także znajduje się w kręgu podejrzanych.

Kałużyński otworzył szeroko oczy. Jego usta drgnęły, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko się zapowietrzył. Przez dłuższą chwilę analizował słowa Brudnego. Obiektywnie rzecz ujmując, musiał przyznać mu w stu procentach rację. Od kilkudziesięciu godzin czuł się tak, jakby stał na czele armii bezużytecznych biurokratów, którzy powtarzali w kółko to samo, ale nie robili kompletnie nic, aby popchnąć śledztwo do przodu. Ciągłe słyszał jedynie wymówki i żadnych konkretów, a godzinę temu Sędzia dodatkowo

z niego zadrwił w sposób, który nie mógł pozostać bez odpowiedzi. Ktoś musiał ponieść konsekwencje tych wszystkich zaniedbań, bo przecież niemożliwe było, aby jeden człowiek pogrywał sobie z całym aparatem państwowym. To musiał być ktoś z wewnątrz i postanowił, że jeszcze dziś zleci Dariuszowi sprawdzenie każdego człowieka.

– Czy ma pan jakiś trop? – zapytał, poprawiając kołnierz płaszcza.

– Być może, ale mam dość oglądania się za plecy. Nie przywykłem do tego, aby jacyś durnie ciągle siedzieli mi na ogonie. Jeśli pan oczekuje ode mnie, abym kontynuował to śledztwo, to chcę działać na własnych zasadach.

Kałużyński powiódł wzrokiem po okolicy. Brudny widział, że facet toczy wewnętrzną walkę, bo powoli zaczynał tonąć w całym tym szambie i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Trwanie w obecnym impasie nie wróżyło mu nic dobrego i jeśli chciał nadać sprawie szybszy bieg, musiał w końcu komuś zaufać. Komu, jeśli nie człowiekowi spoza układu? Jeśli nie najlepszemu gliniarzowi w tym kraju? I nawet jeśli Igor Brudny nim gardził, to w przeciwieństwie do ludzi, którymi minister się otaczał, komisarz miał honor i moralność. I nie miał oporów, aby wygarnąć mu prawdę prosto w oczy.

– Niech pan robi swoje, komisarzu – oznajmił po dłuższej chwili zastanowienia. – Doceniam pańską szczerłość i odwagę. To dwie cechy, których próżno dziś szukać w polityce.

– Brzmi jak zgniły układ...

– Brzmi lepiej niż cokolwiek innego przez ostatnie siedem lat mojej przygody w ławach sejmowych. Przekażę Dariuszowi, aby odwołał swoich ludzi. W razie jakichkolwiek problemów proszę dzwonić bezpośrednio pod ten numer. – Kałużyński wręczył mu swoją wizytówkę z napisaną nań ręcznie dodatkową zbitką cyfr. – To bezpieczna linia. Ma do niej dostęp tylko kilka osób w państwie. A teraz niech pan zrobi to, co panu wychodzi najlepiej. Niech pan znajdzie i powstrzyma Sędziego.

Brudny skinął i zgasił niedopałek pod butem, po czym odwrócił się na pięcie i poprawiwszy kołnierz płaszcza, ruszył w kierunku dumających nad czymś techników. Po kilku metrach zatrzymał się w pół kroku. Obrócił się i spojrzał na zamyślnego Kałużyńskiego.

– Lubi pan powieści Aleksandra Dumasa? – zapytał ministra, który zaskoczony pytaniem zmarszczył brwi.

– Aleksandra Dumasa? – upewnił się.

- Tak, Aleksandra Dumasa...
- Owszem, czytam, ale...
- Jaki jest pana ulubiony tytuł?

Na twarzy Kałużyńskiego malowała się lekka konsternacja.

- *Trzej muszkietierowie* – odparł po chwili wahania. – Ale dlaczego...
- Nieważne.

Brudny odwrócił się i przyspieszył kroku. Swoje już wiedział. Przeszło mu przez myśl, że wszedł w konszachty z diabłem, ale nie był w stanie zapanować nad swoją naturą. Poczul przypływ świeżej adrenaliny. Złapał trop i musiał doprowadzić sprawę do końca.

ROZDZIAŁ 24

Otworzył oczy.

Szarpnął się. Mrok rozdarł złowieszczy brzęk łańcucha. Wtedy poczuł ból. Rozlał się niemal po całym ciele. Swoje źródło miał w nadgarstkach, następnie sunął przez napięte ścięgna wzdłuż ramion i torsu, aby finalnie eksplodować w czaszce. Wydarł się, aby choć na chwilę go zagłuszyć, ale krzyk niemal natychmiast pochłonęły mury.

– Halo... – jęknął. – Halo, czy jest tu kto?

Odpowiedziała mu cisza. W jego głowie przetaczała się nawałnica fatalistycznych myśli. Były niczym błyskawice i pioruny, które trzaskały raz za razem, nieskładnie, chaotycznie, niosąc śmierć i zniszczenie. Ostatnio śnił tylko o tym. O śmierci i zniszczeniu. Cierpieniu i pożodze. Końcu znanego mu świata. Końcu wszystkiego.

Poczuł, że w kącikach oczu zbierają mu się łzy. Myśli powoli zaczynały nabierać kształtów, a do jego świadomości dotarła okrutna prawda. Nie było sensu się łudzić. Nie w tych okolicznościach. Nie, gdy przypomniał sobie moment porwania. Niechętnie wrócił do wspomnienia zapachu jajecznicy na boczku. Dochodziła szósta rano. Chciał dobrze zjeść, bo dzień zapowiadał się trudny i pełen niespodzianek. Na dworze wciąż było ciemno. Ogród spowiła gęsta mgła. Tylko od czasu do czasu pod drzwiami miauczał kot, który zapewne nie chciał załatwić się do nieposprzątej kuwety. Od dwóch dni nie przychodziła Weronika, która ogarniała mu rezydencję, a on nie miał zamiaru zajmować się kocimi odchodami, dlatego zwierzak miauczał jak opętany. Na szczęście w końcu zamilkł, co on przyjął z ulgą i dalej mieszał jajka. Wzdrygnął się, gdy jego ramiona musnął delikatny powiew zimnego wiatru. Wtedy poczuł ukłucie niepokoju, a gdy się odwrócił i dostrzegł niebezpieczeństwo, było już za późno. Poczuł na twarzy coś mokrego i zimnego, a potem osunął się w mrok.

Sędzia.

To musiał być on. A może jednak nie? Szarpnął się, a ciemność znów wypełnił brzęk łańcuchów. Panicznie uchwycił się tego skrawka nadziei. Nie był przywiązany do słupa jak Kryszak i Makowska. On wisiał. Na nadgarstkach miał kajdanki albo jakieś stalowe obejmy, które pod jego ciężarem wrzynały się w ciało. Sędzia działał inaczej. Miał inny modus operandi. Przywiązywał ofiary do słupa, pręgierza czy kolumny, jak zwał tak zwał, ale swoich ofiar nie wieszał. A on wisiał. Wisiał. Nie był przywiązany do słupa, tylko wisiał!

Rozpląkał się, gdy przytłoczył go ogrom popełnionych grzechów. Przez ostatnie lata żył jak król. Tak jak wszyscy. Pełne rozpasanie. Był wicepremierem, przewodniczył Ministerstwu Edukacji i Nauki. Mógł robić, co chciał, więc robił, co chciał. Po latach nieudanych podbojów miłosnych, drwin i szyderstw rzuconych pod jego adresem przez niezaspokojone partnerki, małżeństwie z przypadkową i wyjątkowo zimną kobietą, z którą nie wiedzieć czemu spłodził aż czwórkę dzieci, w końcu mógł dać upust swoim wyuzdanym żądzom. Po przejęciu władzy w kraju w swojej małej ojczyźnie stał się Bogiem. Podkarpacie go kochało i oferowało wszystko, czego zapragnął. Latał tam odrzutowcami, wojskowymi śmigłowcami, rozbijał się najdroższymi limuzynami, a ludzie go wielbili, wiwatowali na jego cześć i rzucali mu pod nogi kwiaty.

– Edward! Edward! Edward!

Echa ich okrzyków niosły się echem długo po tym, jak opuszczał kolejny przaśny festyn czy polityczny wiec na cześć jakiegoś sołtysa czy burmistrza. Potem strzelały korki szampanów, zaczynała lać się wódka, stoły zasypywała kokaina, a z szuflad wyskakiwały nieprzebrane ilości niebieskich tabletek.

– No to do „Nieba”, panowie! – krzyczał rozochocony.

– Do „Nieba”, szefie! – powtarzali jego klakierzy.

Zadrżał na myśl, że Sędzia może o tym wiedzieć. Zwymiotował, gdy zdał sobie sprawę, że wie na pewno. Bo jak mógł nie wiedzieć, skoro wiedzieli wszyscy, począwszy od właścicieli burdelu, przez lokalnych mieszkańców, na służbach skończywszy. Nagrywali go od miesięcy, ale taśmy na szczęście zostały przechwycone i nie trafiły do sieci. Trafiły jednak do prezesa, który zmusił go do ich obejrzenia w swojej obecności. To było upokarzające, a on nie mógł na siebie patrzeć. Rozpląkał się, błagał o wybaczenie i obiecywał poprawę.

– Otrzymasz ostatnią szansę – oznajmił Kumidor karcącym tonem. – Ale musisz z tym skończyć, Edwardzie. To nie służy ani tobie, ani partii – dodał, po czym poklepał go po plecach i obiecał, że zachowa dla siebie wszystko, co widzieli. W zamian nie oczekiwał wiele. Był wyrozumiałym szefem.

Szczęk zamka sprawił, że po kręgosłupie spłynął mu lodowaty dreszcz, a chwilę później jego nagim ciałem zaczęły targać kolejne torsje. Znów zwymiotował. Ciepłe rzygowiny spłynęły po nagim brzuchu i udach. Zamknął oczy i zaczął się modlić. Wtedy poczuł na karku gorący oddech, a ciemność przemówiła.

– Miło pana premiera gościć w moich skromnych progach.

Głos zza pleców był niczym syk węża. Edward Kaczmarek nie wytrzymał i mocz pociekł mu po nodze.

– Nie wierzyłeś, że trafi na ciebie, prawda? – wysyczał mężczyzna kryjący się w roku. Odczekał kilka uderzeń serca. – Milczysz? Hmm... – mruknął przeciągle. – W „Niebie” lubiłeś krzyczeć. Obiecuję ci, drogi premierze, że tu też będziesz miał ku temu okazję...

Znów zapadła głucha cisza. Kaczmarek zacisnął powieki. Chwilę później do jego uszu dobiegł odgłos powoli stawianych kroków i przeciągły odgłos wysuwanego z pochwy ostrza. Przestał panować nad odruchami organizmu. Zaczął się trząść, a pomieszczenie ponownie wypełnił brzęk wprawionych w ruch łańcuchów.

– Jak będziesz się szamotał, to kajdanki werzną ci się głęboko w ciało – ostrzegł mężczyzna w mroku. – Obejmy najpierw zedrą skórę, a potem ścięgna i mięśnie. Aż do kości. Uwierz mi na słowo, że to bardzo boli – dodał oschle, po czym w ciszy zaczął zapalać kolejne świece. Zajęło mu to kilka minut. Nie spieszył się. Obaj mieli jeszcze dużo czasu.

Gdy mężczyzna skończył przygotowania, zbliżył się do nieruchomo wiszącej ofiary. W pewnym momencie pomyślał, że Kaczmarek mógł stracić przytomność, ale tylko uśmiechnął się pod nosem, gdy dostrzegł, że wicepremier udaje. Co sobie ubzdurał? Pomyślał, że w skrajnych sytuacjach ludzie wpadają na absurdalne pomysły.

– Otwórz oczy – polecił, gdy stanął naprzeciw ofiary. Z rozbawieniem stwierdził, że Kaczmarek wciąż brnie w symulowanie. – Pan premier przestanie odstawiać tu komedię i otworzy powieki. No, chyba że chce się z nimi pożegnać już teraz... – dodał zjadliwie.

– Mmm... mmm...

– Pan premier ma ostatnią szansę... Raz, dwa, trzy i...

Kaczmarek był uparty jak osioł. Mężczyzna westchnął, bo nie miał zamiaru powtarzać po raz czwarty. Chwycił wicepremiera za szczękę i szybkim, precyzyjnym ruchem naciął prawą górną powiekę, a następnie chwycił ją palcami i mocno szarpnął. Ciałem ofiary targnęły spazmy, ale Kaczmarek najwyraźniej musiał być w kompletnym szoku, bo nawet nie jęknął. Odslonięta gałka oczna natychmiast spłynęła krwią. Poruszała się teraz bez ładu i składu, w górę, w dół i na boki, jakby jej właściciel nie mógł pogodzić się z zaistniałą sytuacją.

– Za pięć sekund wytnę ci drugą – ostrzegł mężczyzna w katowskim kapturze.

Dopiero wtedy adrenalina puściła i Kaczmarek zaczął się drzeć. Sędzia sięgnął po kawał szmaty i wcisnął mu w gardło, dławiąc histeryczne krzyki. Odczekał, aż ofiara trochę się uspokoi, po czym przetaił skrwawione oko czystą chusteczką.

– Błagam... – wystękał niewyraźnie wicepremier. – Błagam pana... błagam...

– Błagam, błagam, błagam, błagam, błagam! – Sędzia z każdym kolejnym słowem podnosił głos. – Wszyscy tylko błagają i błagają. Ale wiesz co? – Wyciągnął spod pazuchy fotografię młodej dziewczyny. – Ona też, kurwa, błagała! – ryknął. – Ona też błagała, gdy ją gwałciłeś! Ona też błagała, gdy ją opluwałeś, biłeś i kopałeś, bo nie chciała spełnić twoich popierdolonych zachcianek! Ona też błagała, gdy wsadzałeś jej w odbyty swojego brudnego kutasa!

Sędzia splunął Kaczmarkowi w twarz. Korciło go, aby sprawić mu ból już teraz, wgryźć się w gardło, tłuc go do nieprzytomności i wreszcie obdrzeć ze skóry jak cebulę. O ile wcześniej był w stanie panować nad emocjami, o tyle teraz balansował na granicy. Odszedł kilka kroków, aby nie zrobić czegoś, czego mógłby później żałować.

– Zabiłeś ją – powiedział, chwytając opartą o stół drewnianą belkę. Miała półtora metra długości i grubość przedramienia rosnącego mężczyzny. Ostatnie dwadzieścia centymetrów stanowił stożkowaty, ręcznie ostrzony szpic przypominający te używane w średniowiecznych palisadach. – Zgwałciłeś ją, zmaltretowałeś i odebrałeś jej resztki godności, jak wielu innym. One wszystkie były tylko zagubionymi młodymi dziewczynami. Ta miała piętnaście lat...

– Boże... – jęknął Kaczmarek.

– Boga tu nie uświadczysz. Ale jestem ja i osądzę cię w jego imieniu. –
Mężczyzna w kapturze przesunął ostrze myśliwskiego noża po zaostrzonym
drewnianym stożku. Na posadzkę spadło kilka cienkich wiórów. Zza jego
pleców poniósł się szloch ofiary. – Za dwie godziny wchodzimy na żywo,
więc przestań się mazać. Na prawdziwy ból jeszcze przyjdzie czas.

Po tych słowach chwycił pędzel i zamoczył go w misce z oleistą ciecżą.
Z pietyzmem nasmarował nią zaostrzony pał. Mruknął z zadowolenia, gdy
jego wzrok spoczął na drugim naczyniu wypełnionym solą.

ROZDZIAŁ 25

Brudny dopił kupioną na stacji benzynowej kawę i wyrzucił kartonowy kubek do śmietnika. Uniósł głowę. Wieżowiec przy Złotej czterdzieści cztery piął się w górę, a ostatnie piętra niknęły w mglistej poświacie warszawskich neonów. Wokół kręciło się mnóstwo przechodniów, którzy zdawali się pospiesznie przemykać wzdłuż murów okolicznych budynków. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Pomyślał, że to dobry czas na odwiedzinę, i wszedł do środka.

Glejt od Kałużyńskiego otwierał wszystkie drzwi, więc strażnik przepuścił go bez zbędnych pytań. Komisarz wszedł do windy i pojechał na czterdzieste czwarte piętro. Tam swoje apartamenty mieli najzamożniejsi obywatele stolicy, którzy ten adres traktowali jak okno wystawowe dla potencjalnych kontrahentów, a także jako wyznacznik własnego statusu społecznego. Ostatnie piętra zajmowali głównie biznesmeni albo celebryci, czasem krętarze, którzy dorobili się na niejasnych interesach, a niekiedy nawet zwykli przestępcy. Ten, do którego Brudny właśnie się wybierał, był kimś pomiędzy i kto wie, czy nie należał do najgorszego elementu, ponieważ do niego komisarz zaliczał bandytów w białych kołnierzykach.

Poszukał odpowiedniego numeru i przystawił ucho do drzwi. W środku grała głośna muzyka, od czasu do czasu przerywana radosnymi pokrzykiwaniami. Wszystko wskazywało, że facet zrobił sobie imprezę, i Brudnego zastanowiło, czy właśnie oblewał śmierć Makowskiej, a jeśli tak, to co zyskał na jej odejściu. Zapukał, a gdy nie doczekał się odzewu, najpierw zadzwonił, a następnie kilkakrotnie uderzył w drzwi pięścią. Spodziewał się, że zaraz będzie musiał się nagimnastykować, aby przekonać gospodarza do ich otwarcia, ale o dziwo zamek ustąpił i w drzwiach stanęła rozneglizowana blondynka. Uniosła brwi i zmierzyła go od stóp po czubek głowy.

– Mmm... – mruknęła i otworzyła je nieco szerzej. Posłała komisarzowi powłóczyście spojrzenie, a on lekko się uśmiechnął. – To ty? – upewniła się.

– To ja – odparł, domyślając się, o co może chodzić.

– Koksik przyjechał! – wrzasnęła w kierunku wnętrza apartamentu w nadziei, że uda jej się przekrzyczeć dudniącą muzykę, po czym z powrotem przeniosła wzrok na Brudnego. Miała na sobie jedynie czerwone szpilki, koronkowe majtki i coś na wzór obcisłego topu, który na jej dużych i jędrnych piersiach bardziej przypominał stanik niż koszulkę. – Odnoszę wrażenie, że już gdzieś cię widziałam... – mruknęła i przesunęła palcem po prawie nagim dekolcie. – Niezłe z ciebie ciacho. Skąd te blizny? Na jakiejś wojnie byłeś?

Brudny nie odpowiedział, a dziewczyna, która na oko nie przekroczyła dwudziestego roku życia, raz jeszcze wychyliła się za róg i wrzasnęła, że przyszło zamówienie. Gdy z wnętrza apartamentu dobiegł krzyk, że dostawca ma wejść, Brudny uśmiechnął się pod nosem. Lepiej być nie mogło, bo facet nie miał już szans grozić mu paragrafami za wtargnięcie. Przekroczył próg, posyłając jej buziaka. Uśmiechnęła się i znów wydała z siebie cichy pomruk.

Po drodze Brudny natknął się na kolejne dwie dziewczyny. Jedna miała na sobie przebranie imitujące szkolny uniform, a druga tylko białe podkolanówki. Obrzuciły go zalotnymi spojrzzeniami, ale zlekceważył je, jakby w ogóle nie istniały. W lustrze wiszącym na jednej ze ścian dostrzegł siedzącego na skórzanej sofie faceta, przed którym klęczała czwarta z kobiet. On nagi, ona w kraciastej spódniczce, na ekranie wielkiego telewizora ostre porno. Mężczyzna trzymał oburącz jej głowę i gwałtownie dociskał jej twarz do podbrzusza, samemu wykonując dodatkowo szybkie ruchy frykcyjne. Gdy Brudny wynurzył się zza rogu, mężczyzna odchylił się, wydając z siebie dziki jęk rozkoszy. Trwało to na tyle długo, że komisarz mógłby spokojnie wyciągnąć i zapalić papierosa, ale chwilowo zrezygnował z tego pomysłu. Stał naprzeciwko i dał gospodarzowi jeszcze kilka sekund. Nie mógł uwierzyć, jaki ma dziś fart. Chwycił pilota i wyłączył dudniącą muzykę. Wtedy mężczyzna otworzył powieki, a oczy niemal wyszły mu z orbit.

– Co jest, kurwa!?! – zaklął i odepchnął od siebie kobietę. – Ty nie jesteś Miszka. Kurwa! Nie znam cię, człowieku! – Podniósł się z kanapy i panicznie zaczął wodzić wzrokiem za czymś, czym mógłby się okryć. W końcu namierzył majtki, które włożył na tyłek, omal się przy tym nie przewracając.

– Marek Srebrzyński? – zapytał Brudny.

– A co ci do tego! Narobiłeś sobie kłopotów, człowieku. Wypierdalaj, bo...

Brudny czekał na ten moment. Nie uważał się za celebrytę, ale zdążył już nauczyć, że wśród części obywateli jego twarz jest rozpoznawalna. Obecne tu dziewczyny też dziwnie na niego patrzyły, ale wątpił, aby te cizie interesowały się czymś więcej niż pokazywaniem dupy na Instagramie albo kolejnym odcinkiem patologicznego programu typu Królowe życia czy Warsaw Shore. Srebrzyński to co innego. Facet był wykształcony, miał łeb na karku i aby móc prowadzić swoje interesy, musiał wiedzieć, co w trawie piszczy.

– Ty jesteś...

– Komisarz Igor Brudny. Tak się składa, że mamy do pogadania.

Srebrzyński zacisnął zęby, a jego wzrok odruchowo powędrował na przezroczystą ławę, na której stało kilka butelek alkoholu i wały się resztki białego proszku. Dziewczyna, która przed chwilą robiła mu laskę, zaczęła zbierać bieliznę, jakby doskonale wiedziała, że impreza właśnie dobiegła końca. Miała bardzo młodą twarz i jeśli była pełnoletnia, to zapewne dopiero co skończyła osiemnastkę. Wtedy rozległ się dzwonek do drzwi.

– Chyba mamy gościa. – Brudny wymownie uniósł brwi. – Dziewczyny, otwórzcie Miszce – dodał, zerkając na zdeorientowane kobiety.

– Nie otwierajcie! – zaprotestował Srebrzyński.

– Otwórzcie, a potem wypad z imprezy.

– Nie...

– Zamknij japę i wciągaj spodnie!

Mężczyzna ruszył przed siebie, aby zatrzymać jedną z idących w stronę drzwi kobiet, ale Brudny z powrotem usadził go na kanapie.

– Mogę cię zamknąć za posiadanie, handel i jak bym się uparł, to jeszcze za seksualne wykorzystanie nieletnich. Ile te dziewczyny mają lat? – wycedził przez zęby.

– Wystarczająco, więc możesz cmoknąć mnie w pompkę.

Brudny tylko krzywo się uśmiechnął i wycofał z powrotem do korytarza. Gdy skąpo ubrana blondynka otworzyła drzwi, chwilę odczekał, a następnie wyskoczył zza rogu i chwyciwszy zaskoczonego Miskę za poły płaszcza, wciągnął go do środka apartamentu. Nie namyślając się ani chwili, wymierzył mu silnego kopniaka kolanem w brzuch, a że Miska był drobny, to zgiął się wpół już po pierwszym ciosie.

– Dziewczyny, wypad! – rzucił w kierunku kobiet, które pospiesznie zaczęły zbierać swoje rzeczy. Chwilę później obładowane ciuchami i półnagie wybiegły na korytarz. Brudny zamknął drzwi i popchnął w kierunku salonu kaszłającego i kompletnie zdezorientowanego diler. – Ile masz tam tego koksu, co? – zapytał i wymierzył mu dodatkowego kopniaka w tyłek. – Siadaj i wyciągaj towar na stół! – rozkazał.

Srebrzyński i Miszka spojrzeli po sobie, nie wiedząc, jak zareagować. Pierwszy zdołał już włożyć spodnie i wygniecioną koszulę, której część teraz niechlujnie wystawała zza paska. Diler przynajmniej był ubrany, ale tak czerwony, jakby do twarzy napłynęła mu krew z całego ciała. Brudny dał im jeszcze chwilę na przyswojenie informacji, w jak kiepskiej sytuacji się znaleźli. Pal lichu Miszkę, bo to był jakiś leszcz, który pewnie jeszcze nie raz trafi za kratki. Srebrzyński to zupełnie inna bajka. Jemu taki numer nie przystawał i mógł poważnie wpłynąć na prowadzone biznesy.

– Wykładaj towar na stół! – powtórzył Brudny, wyciągając zza paska walthera. W oczach Miszki pojawił się strach i niemal natychmiast opróżnił kieszenie. Na przeszklonej ławie znalazło się kilkadziesiąt poporcjowanych torebek z białym proszkiem, trochę mniej tych z suszem z konopi i kilkanaście różnokolorowych tabletek. – To wszystko? – zapytał Brudny, szturchając lufą wyłożone dragi.

– Nic więcej nie mam – rzucił. – Ale chyba możemy się jakoś dogadać...

– Owszem, możemy. – Brudny nie był na służbie, więc tak naprawdę nie mógł nic zrobić poza wezwaniem wsparcia, ale to akurat nie wchodziło w grę. Postanowił, że tym razem puści to płazem, ale dane gówniarza sobie zapisze i przekaże byłym współpracownikom ze stołecznej komendy, którzy – jeśli chłopak nie zajmie się czymś innym – prędzej czy później go przyszpilą. – Dobra, panowie – zaczął, podsuwając sobie jedno z krzesel. Usiadł na nim okrakiem, układając przedramiona na oparciu. – Sytuacja wygląda tak. Chuj mnie obchodzi, co tu robiliście, i was nie widziałem, ale kolega Srebrzyński odpowie mi na kilka pytań. Czy was to urządza?

Diler zrobił wielkie oczy i zaczął przytakiwać, jakby nie wierzył we własne szczęście. Za taką ilość mógłby dostać kilka lat, nawet nie będąc wcześniej karany. Z większą rezerwą podszedł do propozycji gospodarz.

– Kto cię przysłał? – wycedził przez zęby, siląc się na groźną minę.

– Po pierwsze to nie ty tu zadajesz pytania, a po drugie wpierdoliłeś się w grubą aferę, więc przestań się napinać i słuchaj uważnie, co mam ci do

powiedzenia.

– Chuja mi możesz zrobić.

– Może tak, a może nie, ale jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć, to ci powiem. Pracuję dla Kałużyńskiego. Teraz oceń sam, ile mogę, a ile nie mogę...

„Pracuję dla Kałużyńskiego” ledwie przeszło mu przez gardło. W zasadzie nie kłamał, ale wydźwięk tych słów był dla niego samego obrzydliwy. W obecnej sytuacji wyartykułowanie nazwiska szefa MSWiA i koordynatora służb specjalnych zdecydowanie działało jednak na jego korzyść. Ludzie pokroju Srebrzyńskiego panicznie bali się zainteresowania ze strony takich osób w państwie jak Kałużyński czy Broziak. Faktem było, że wszyscy biorący czynny udział w dzikiej reprivatyzacji (w tym działający nieetycznie i po prostu nieuczciwi komornicy, jak właśnie Srebrzyński) od dłuższego czasu znajdowali się na celowniku służb, przez co lęk przed karą stawał się jeszcze większy, zwłaszcza że obecna władza średnio przejmowała się prawnymi aspektami swoich działań i każdego mogła zniszczyć w mgnieniu oka. Brudny doskonale o tym wiedział i cały plan oparł właśnie na tym założeniu. Wejść, postraszyć, wyciągnąć potrzebne informacje i opuścić apartament. Tak się złożyło, że sprawę ułatwiła mu dodatkowo wizyta dilera, co tylko powinno przyspieszyć cały proces.

– Czego chcesz? – zapytał po dłuższej chwili Srebrzyński.

– Pogadać o pewnej rodzinie, którą wyrzuciłeś na bruk.

Srebrzyński prychnął i poprawił lekko zaparowane okulary. Wyglądał niepozornie, prawie jak uczeń, który przesadził z alkoholem. Tacy zwykle bywali największymi skurwysynami.

– Której? – zapytał, szczerząc zęby w szyderczym uśmiechu.

– Nowaków.

– Jaja sobie robisz? Wiesz, ilu było takich Nowaków?

– Dwa tysiące czterysty. Dorota, Michał i Jagoda. Matka, syn i córka. I jeszcze ten, który napsuł ci najwięcej krwi...

Brudny wyszedł z założenia, że musiał być ktoś jeszcze. Partner, mąż, ojciec, brat – ktoś, kto był im bliski, a kto ostatecznie pochował ostatnią ofiarę z całej trójki, Dorotę Nowak. Jeśli mu na nich zależało, z dużą dozą prawdopodobieństwa mógł próbować im pomóc w walce o mieszkanie, a to prowadziło do wniosku, że prawie na pewno zetknął się ze Srebrzyńskim.

– Ale że co? – Komornik podniósł głowę, jakby dopiero co wybudził się z letargu.

– Gówno! – warknął Brudny. – Skup się, bo nie będę powtarzał. Dorota, Michał i Jagoda Nowak. Mężczyzna, który im pomagał.

– Ty chyba nie myślisz, człowieku, że ja pamiętam jakichś Nowaków z dwa tysiące czternastego. To było całą pierdoloną wieczność temu.

Gość zaczynał grać Brudnemu na nerwach. Albo nie rozumiał powagi sytuacji, albo był tak naprany, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co się wokół niego dzieje. Komisarz mimo wszystko stawiał na to drugie. Odstawił krzesło i podszedł do Srebrzyńskiego, po czym zniemacka uderzył go otwartą dłonią w twarz.

– Kurwa! – obruszył się komornik. – Pojechało cię, człowieku? To, kurwa, czynna napaść!

– Ostatni raz powtarzam. – Brudny zmienił ton i każde kolejne słowo wycedził przez zęby. – Dorota, Michał i Jagoda Nowakowie. Rok dwa tysiące czternasty. Kamienica przy Pięknej czterdzieści osiem.

Atmosfera zgęstniała i najwyraźniej gospodarz w końcu zrozumiał, że sytuacja zmierza w nie najlepszym dla niego kierunku. Odchrząknął i nerwowo rozejrzał się po ławie. Sięgnął po reszkę whisky i wychylił do dna. Skrył głowę w dłoniach i ścisnął skronie. Brudny czekał jeszcze kilkanaście sekund, w końcu chwycił go za kark i zepchnął z kanapy. Facet upadł na kolana.

– Ubieraj się i jedziemy do twojego biura – warknął. – Pokażesz mi papiery. A ty spierdalaj do mamy i nie grzesz więcej – rzucił w kierunku Miszki, który wystrzelił z kanapy jak z procy. Chwilę później już go nie było. – Ruszaj się, bo nie mam czasu na to twoje pierdolenie. Nie masz w głowie, to na pewno masz w papierach. Wstawaj!

– Czekaj, człowieku! – Srebrzyński uniósł dłoń w geście kapitulacji. – Chyba coś sobie przypominam.

Raz jeszcze nerwowo spojrzął na szklany blat. Zbliżył się na czworakach do stołu i kontrolnie zerknął na Brudnego. Brak reakcji z jego strony najwyraźniej uznał za pozwolenie, więc chwycił jeden z woreczków i rozsypał zawartość, po czym kilkoma wprawnymi ruchami uformował dwie grube kreski. Drżącą dłonią sięgnął po przyciętą słomkę i wciągnął obie porcje jak odkurzacz. Odchrząknął i wytarł nos z resztek kokainy, a potem poprawił wystającą ze spodni koszulę i z powrotem wdrapał się na

sofę. Odchrząknął i spojrzał na nieproszonego gościa bardziej przytomnym wzrokiem.

– Pamiętam ich – przemówił tonem, jakby nagle obudził się z letargu. Raz jeszcze pociągnął nosem i wtarł w dziąsła resztki białego proszku. – Pamiętam ich nawet całkiem dobrze... – powtórzył i poprawił kołnierz koszuli.

Komisarz nieraz był świadkiem podobnych reakcji, gdy jeszcze pracował pod przykrywką. Czasem sam musiał wciągnąć ścieżkę, aby się nie zdradzić, więc wiedział, że dobry towar potrafi dać naprawdę solidnego kopa. Niektórzy ludzie, niekoniecznie z półświatka, spożywali takie ilości kokainy, że bez solidnej porcji mieli problemy z przypomnieniem sobie drogi do kibla, ale krótko po wciągnięciu kolejnej porcji ich zwoje mózgowie nagle zaczynały pracować na najwyższych obrotach, a oni bez zająknięcia byli w stanie wyrecytować spadki i wzrosty większości spółek giełdowych sprzed kilku miesięcy. Srebrzyński zdawał się klasycznym przykładem nowobogackiego ćpuny, który wciąż myślał, że ćpunem nie jest, bo nie wali w kanał kompotu po kilkanaście złotych za działkę, tylko wciąga w nos kokainę za złotych kilkaset, ale chyba nie do końca zdawał sobie sprawę, że bez białego proszku nie jest już w stanie normalnie funkcjonować. To dlatego Brudny nie oponował. Dla niego facet mógł zaćpać się na śmierć, ale najpierw musiał wyciągnąć od niego prawdę na temat rodziny Nowaków, zwłaszcza zaś tajemniczego wielbiciela prozy Aleksandra Dumasa.

Wyciągnął paczkę papierosów i najpierw poczęstował Srebrzyńskiego, a później sam włożył jednego do ust. Przypalił oba, zaciągnął się i z powrotem usiadł okrakiem na krześle.

– „Zła nie da się naprawić, można je tylko pomścić”. Czy coś ci mówi ten cytat?

– Nie. Nie wiem, może...

– Skup się. Czytasz książki?

– Czytam. Kiedyś więcej. Poza tym co to za pojebane pytanie?

– To cytat z *Hrabiego Monte Christo*. Tę czytałeś?

– Czytałem.

– Podobała ci się?

– No chyba tak. Na studiach ją czytałem. Ale o co ci, kurwa, chodzi człowieku?

– Lubisz tę historię czy nie?

– No chyba lubię. Film też ujdzie. Ale co do sprawy Nowaków ma *Hrabia Monte Christo*?

Brudny przez dłuższą chwilę wpatrywał się w rozszerzone źrenice rozmówcy.

– Spokojnie. Wrócimy do tego. A teraz opowiadaj, co wiesz.

Gdy Srebrzyński zaczął mówić, na cmentarzu Powązkowskim pewien mężczyzna wyłonił się z mgły. O tej porze nekropolia tonęła już w mroku, a palące się znicze w zasięgu wzroku można było policzyć na palcach jednej ręki. Panowała niemal głucha cisza, przerywana jedynie przez gniazdujące na okolicznych drzewach gawrony.

Mężczyzna usiadł na ławeczce i spojrzał na groby bliskich. Nie miał wiele czasu, ale pozwolił sobie na chwilę zapomnienia. Zamknął oczy i kontemplował wszystko, co wydarzyło się w ostatnich dniach. To już nie miało długo potrwać. Został jeszcze tylko jeden. Potem może spłonąć cały kraj.

Spojrzał na pomnik, gdzie znajdował się napis i zdjęcie uśmiechniętej młodej brunetki. Miała rozwiane włosy i spojrzenie emanujące złapaną w kadr chwilą szczęścia. Zacisnął pięści na myśl, jak wiele stracił. Tyle lat. Tyle cholernych lat... Był głupcem, zagubionym szaleńcem, który przez te wszystkie stracone lata nie potrafił zrozumieć, co jest w życiu naprawdę ważne, co się w życiu naprawdę liczy. Za późno odkrył swój błąd. Nie mógł cofnąć czasu i tylko patrzył, jak to życie rozpada się niczym domek z kart.

Nachylił się nad grobem i dotknął palcami zdjęcia na pomniku. Trwał tak przez chwilę, a potem cofnął się i wyciągnął nowy znicz. Zapalił go i sięgnął po ten dogasający. Wtedy coś go tknęło. Jako perfekcjonista potrafił dostrzec rzeczy dla innych niedostrzegalne. Dlatego był tym, kim był. Dlatego robił to, co robił.

Wyciągnął podręczną latarkę i poświecił na płytę. Przyjrzał się dogasającemu płomieniowi i poczuł nagły przypływ niepokoju. Podniósł dogasającą świeczkę. Na marmurze były dwie okrągłe obwódki zamiast jednej. Prawie się pokrywały, różnica była minimalna, nie większa niż jeden milimetr. Ale była.

Obrócił się przez ramię. Wstrzymał oddech i rozejrzał się wokół. Okoliczne drzewa zdawały się opuszczać swoje konary niżżej niż zwykle.

Jakby czaiły się na potencjalnych przechodniów, aby w odpowiednim momencie pochwycić ich w swoje szponiaste gałęzie i rozedrzeć na strzępy. Z oddali poniosł się odgłos kroków i stukającej o asfalt laski. W pobliżu coś zaszeleściło. Ryjówka? Wróbel? W tle przebijały się szeptem odgłosy miejskiego zgiełku.

Odstawił znicz i podniósł się do pozycji pionowej. Omiótł wiązką światła podłoże wokół grobów. Ślady pozostawione w rozmięklej ziemi nie pozostawiały wątpliwości, że ktoś je odwiedził. Ten ktoś próbował ukryć swoją wizytę, ale nie znał się na tej robocie równie dobrze jak on. On był ekspertem w odnajdywaniu śladów. I tropieniu.

Żołnierskie buty rozmiar trzydzieści osiem i kozaki na szerokim obcasie. Niewysoki mężczyzna i kobieta albo dwie kobiety. Kim byli? I co tu robili akurat dzisiaj?

Kolejny szelest sprawił, że gwałtownie obrócił się w kierunku, z którego doszedł niepokojący odgłos. Kilka ptaków zerwało się do lotu, a z głębi nekropolii dobiegły dźwięki rozmowy. Wsłuchał się. Dwa głosy. Mężczyzna i kobieta. Starczy tembr. Nie niosły ze sobą zagrożenia.

Po raz ostatni przyjrzał się trzem grobom. Poświecił na kwiaty i podniósł bukiet zwiędniętych róż. Obrócił go w dłoni i wtedy poczuł, jak w żołądku rośnie mu gorąca gula. Z jednego z kolców zwisała kilkucentymetrowa czerwona nić.

Czerwona, pomyślał.

Zacisnął powieki i zaklął pod nosem. Chwilę później pospiesznym krokiem ruszył w kierunku bramy cmentarza.

ROZDZIAŁ 26

Zawadzka miała wrażenie, jakby ktoś nasypał jej pod powieki piasku. Przetarła oczy i wstała od komputera. Nastawiła czajnik i sięgnęła po torebkę z kawą. Z jednej strony odczuwała zmęczenie, ale z drugiej ekscytację, która zwykle pojawiała się, gdy wpadała na trop.

– Tak jak podejrzewałaś. Protektory z Lublina. Numer czterdzieści sześć, więc to raczej duży chłop. Bardzo popularne wśród mundurowych, ale ten ślad ma kilka charakterystycznych cech – przekazał jej godzinę temu Aleksander Dobrowolski, kolega traseolog z Zielonej Góry. Poprosiła go o pomoc, bo w Warszawie nikomu do końca nie ufała, a nawet jeśli by taką osobę znalazła, to wszyscy byli tak zavaleni robotą, że pewnie odprawiliby ją z kwitkiem. – Gdybym dostał but, bez problemu potwierdziłbym zgodność, ale domyślam się, że na razie na but nie mam co liczyć – dodał zaczepnie.

– Póki co... – odparła Zawadzka. – Dzięki, Olek. Pozdrów Ankę.

– Pozdrowię. Hej.

– A jak tobie idzie? – zagadnęła skupiona na swoim laptopie Klimczak. Dziennikarka przyjęła na siebie opracowanie listy mieszkańców kamienicy przy Pięknej, do których mogłyby się wybrać jutro rano.

– Z najbliższych sąsiadów już nikt tam nie mieszka – odparła reporterka. – Skurwiele wyczyścili całą kamienicę i obecnie znajdują się tam salon masażu, kosmetyczka, studio tatuażu i pokoje na wynajem. Ale udało mi się namierzyć dwie osoby, z którymi chyba warto porozmawiać. Zofia Zawilska i Maurycy Fajdek. Pierwsza to sąsiadka, z którą też kiedyś robiłam wywiad, bo i ją chcieli wywłaszczyć. Znały się z Dorotą. Spotkałam ją też na pogrzebie, ale nie chciała rozmawiać. Potem dowiedziałam się, że Srebrzyński dopiął swego i też wylądowała na bruku. No prawie, bo w przeciwieństwie do Doroty miała o tyle szczęście, że w kamienicy obok mieszkał jej brat, który ją przygarnął. On nadal tam mieszka, więc jeśli do tej pory nie znalazła sobie nic nowego...

– A ten drugi?

– Zdaje się, że był kimś w rodzaju przyjaciela rodziny. Może nawet coś go z Dorotą łączyło, bo na pogrzebie płakał jak bóbr. W każdym razie kiedyś natknęłam się na niego podczas jednej z wizyt w jej mieszkaniu. Akurat naprawiał jej kran i pamiętam, że rozmawiali ze sobą, jakby znali się od lat. Wysoki, napakowany i wytatuowany, ale w sumie przyjazny gość. Co ważne, nie zmienił adresu.

Dwa nazwiska to już było coś. W przypadku pozostałych trzeba było liczyć na Igora. Srebrzyński bez wątpienia znajdował się w posiadaniu pełnej dokumentacji na temat osób, które wyrzucił na bruk, i należało go tylko zmusić, aby ją udostępnił. Nie wątpiła w moc przekonywania partnera. Miał swoje sposoby. Ale nawet jeśli udałoby się taką listę zdobyć, to nie gwarantowało, że do tych osób od razu się dotrze. Ci ludzie tak naprawdę mogli być wszędzie, istniało spore prawdopodobieństwo, że wyprowadzili się z miasta, a nawet wyjechali z kraju, być może część do tej pory pomieszkiwała w przytułkach dla bezdomnych. Biorąc to wszystko pod uwagę, stare materiały prasowe Klimczak okazały się bardzo przydatne, bo nie dość, że od razu typowały poszczególne osoby, to jej wiedza na ich temat pozwalała przypuszczać, że dobrze znali Dorotę Nowak. To natomiast dawało nadzieję, że mogą znajdować się w posiadaniu informacji na temat nieznanego wielbiciela prozy Aleksandra Dumasa, który według wszelkich znaków na niebie i ziemi również był bardzo blisko związany z rodziną Nowaków.

Zawadzka zalała wrzątkiem dwie kawy i po kilkunastu sekundach dołała trochę mleka. Postawiła oba kubki na ławie, ale jej uwagę zwróciła marsowa mina Klimczak. Nerwowo stuknęła w klawisze i mruzczała pod nosem przekleństwa, jakby coś wyraźnie ją zirytowało.

- Dziadowski sprzęt! – syknęła i ręcznie zresetowała swój laptop.
- Twój czy firmowy? – zagadnęła Julka, przypalając papierosa.
- Mój. Stary jak świat, ale do tej pory się nie wieszał...

Dym z papierosa powoli ulatniał się ku pokrytemu pajęczynami sufitowi. Julka przymknęła powieki i przyglądała się dziennikarce, która chwyciwszy oburącz kubek z kawą, zamknęła oczy i głębiej usiadła w fotelu. Była bardzo atrakcyjna i cholernie seksowna, a na dodatek komisarz uczciwie musiała przyznać, że babka ma łeb na karku. Korciło ją, aby w końcu poruszyć temat Brudnego, ale gdyby to zrobiła, wyszłaby z tego niewypowiedzianego pojedynku przegrana. W końcu Klimczak uniosła powieki i wbiła spojrzenie w siedzącą na kanapie Julkę.

– Nie spałam z Igorem i tego nie planuję – oznajmiła, jakby czytała jej w myślach. Zawadzka nie zareagowała. Zaciągnęła się, nie spuszczając wzroku z młodej dziennikarki. – Mówię to, bo wolę oczyścić tę zjebaną atmosferę. A to, że mam większe cycki, nie oznacza, że masz mnie traktować jak potencjalne zagrożenie, okej?

Tym razem komisarz lekko uniosła brwi.

– Co mu zrobiłaś, że jest na ciebie taki cięty? – zapytała, strzepując nadmiar tytoniu do popielniczki.

– Nie powiedział ci?

Zabrzmiało dwuznacznie i Julka poczuła lekkie zażenowanie. Jeśli miałyby wskazać cechę, która ją w Igorze wkurwiała najbardziej, to właśnie ta jego skłonność do przemilczania wszystkiego, przez co zdarzało się, że stawiał ją w niezręcznej sytuacji.

– Igor nie należy do przytulasów. Jest raczej introwertykiem... – odparła wymijająco.

– Coś o tym wiem...

– Tak?

Klimczak odgarnęła opadające kosmyki włosów. Upiła kawy i wetchnęła.

– Kiedyś kazali mi zrobić materiał o życiu policjanta – zaczęła. – Niebezpieczeństwach na niego czyhających i takie tam. I nie o jakimś krawężniku, tylko o glinie z prawdziwego zdarzenia, takim, co to biega z pukawką po mieście i łapie bandytów. Wskazali Igora, bo był charakterystyczny, wyróżniał się skutecznością, a do tego właśnie zrobiło się o nim głośno, bo podczas akcji zarobił kulkę, zasłaniając ciałem swoją partnerkę. To byłaś ty, prawda?

Zawadzka skinęła i znów się zaciągnęła. Dziennikarka uśmiechnęła się pod nosem.

– Szefostwo wiedziało, że Igor nie znosi mediów, więc wpadli na szatański pomysł, aby wysłać mnie. – Klimczak wymownie skinęła na swój biust. – Byłam cholernie ambitna, więc przyjąłam zlecenie. Dałam się poderwać w jednej z knajp, spędziliśmy z Igorem kilka sympatycznych godzin, ale po kilku drinkach sytuacja wymknęła się spod kontroli i wylądowaliśmy u mnie. Przysięgam, że wtedy miałam już w dupie ten artykuł. Nie napisałabym niczego, czego by nie chciał, w ogóle olałam temat zlecenia, ale zanim zdążyliśmy dotrzeć do drugiej bazy, Igor połapał się, kim jestem. Dałam ciała jak totalna amatorka, bo na biurku zostawiłam

starą nagrywarke z nalepką redakcji, dla której pracowałam. Reszty możesz się domyślić...

– Brzmi jak Igor...

– Brzmi jak danie dupy po całości. – Klimczak roześmiała się. – A w sumie to niedanie... – Prychnęła i machnęła ręką. Przez chwilę wpatrywała się w kubek z kawą, po czym podniosła wzrok na Julkę. – Do niczego między nami nie doszło – dodała stanowczo i z powrotem odpaliła laptop.

– Luz – mruknęła komisarz. – I będzie lepiej, jeśli tak zostanie...

Dziennikarka zignorowała ostatnie słowa Zawadzkiej, choć z pewnością je usłyszała. Skupiła się na ekranie, ale jej twarz szybko przybrała pochmurny wyraz. Zmarszczyła czoło, po czym gwałtownie odsunęła głowę. Szeroko otworzyła oczy i kilka razy mocniej stuknęła w klawisze.

– Co jest, do jasnej cholery?! – zaklęła.

Zawadzka poczuła przyływ niepokoju. Zgasiła papierosa i przesunęła się na kanapie w kierunku dziennikarki. Gdy spojrzała na ekran jej laptopa, poczuła serię przeszywających ją dreszczy. Kolejne pliki i foldery znikwały jeden po drugim, choć dziennikarka nawet nie trzymała dłoni na myszce. Od razu zrozumiała, co się dzieje, i instynktownie chwyciła laptop w nadziei, że jeszcze nie jest za późno i zdoła zatrzymać działania hakera, niestety, przyciski klawiatury w ogóle nie reagowały na jej działania. Chwilę później było po wszystkim. Zaklęła szpetnie, wtedy kątem oka dostrzegła, że na ekranie jej laptopa również dzieje się coś dziwnego. Nagle na wyświetlaczu jedno po drugim zaczęły wyskakiwać ostrzegawcze okienka zainstalowanych programów antywirusowych i tych do wykrywania oprogramowania szpiegowskiego. Rzuciła się w kierunku swojego sprzętu, ale już było po sprawie. Tajemniczy gość zdołał obejść wszystkie zabezpieczenia i przejął kontrolę nad laptopem. Przez kilkadziesiąt kolejnych sekund histerycznie próbowała zatrzymać przeciwnika, nic to jednak nie dało. W akcie desperacji chciała wyciągnąć baterię, ale wtedy na wyświetlaczu pojawiły się przemykające ciągi liczb, a potem komputer samoistnie się wyłączył.

Gdy komisarz Julia Zawadzka i reporterka Patrycja Klimczak próbowały zrozumieć, co się właściwie wydarzyło, pewien mężczyzna właśnie opuszczał swój dom. Nie był zadowolony, że musi zmienić plany, ale nie miał innego wyjścia. Gra toczyła się o zbyt dużą stawkę i jeśli nie docenił tych ludzi, to teraz musiał naprawić swój błąd.

ROZDZIAŁ 27

Przebiecie się przez Śródmieście było nie lada wyczynem. Postanowił schować koguta i przejechać incognito, bo w centrum znów rozpętało się piekło. W pewnym momencie wydawało się, że na ulice wyległa cała stolica. Ludzie trzymali biało-czerwone flagi, transparenty z hasłami wolnościowymi, te nawołujące do buntu i pozbycia się całej klasy politycznej, a nawet oficjalnie wspierające działania Sędziego. Grupa kilkunastu osób przeszła samych siebie, tworząc na chybcika wielką kukłę średniowiecznego kata, z którą maszerowała wzdłuż Alei Jerozolimskich, każdy z wielkoformatowym zdjęciem jednego z prominentnych polityków i napisem „He’s coming for you”. Szybko dołączyli do niej kolejni mieszkańcy i dosłownie w ciągu kilkunastu minut pochód liczył już dobrych kilkaset twarzy. Te na fotografiach przedstawiały natomiast wszystkich tych, którzy w ostatnim czasie nagrabili sobie najbardziej, począwszy od niezrzeszonego, ale głosującego wspólnie z opcją rządzącą Marcina Łajzara, podejrzanego o obiecywanie śmiertelnie chorym dzieciom i ich rodzicom niesprawdzonych terapii, za które brał od nich nawet po kilkaset tysięcy złotych, przez Artura Sosnowskiego, który wywalił w błoto ponad sto milionów złotych na niedoszące do skutku wybory kopertowe i po wszystkim śmiał się ludziom w twarz, twierdząc, że to nie jego wina, byłego popularnego wokalistę rockowego, który stał się symbolem politycznego skurwienia i od którego nazwiska zaczęto nazywać reklamujące się przy drogach prostytutki, a skończywszy na premierze Mariuszu Nosalskim i prezesie partii rządzącej, samym Bolesławie Kumidorze, odpowiadającym za wszystkie łajdactwa, których dopuszczali się ich podwładni.

Ich pochód nie trwał zbyt długo, bo w pewnym momencie drogę zastąpił im szpaler uzbrojonych po zęby policjantów, a z Marszałkowskiej wyskoczył wóz opancerzony z armatką wodną. Doszło do prawdziwej bitwy, w ruch poszły nie tylko woda i pałki, ale także gumowa amunicja. Kilkunastu ludzi padło na asfalt, czołgało się, trzymając za brzuch albo

twarz, a policja nie patyczkowała się nawet z kobietami, które wykorzystwały zamieszki, aby przypomnieć władzy, jak potraktowała je podczas niedawnego protestu przeciwko aborcji. Gdy patrzył na to, jak rzucają je o ziemię, jak je biją i szarpią, czuł, że ogarnia go potworny wstyd, a świadomość, że współpracuje z Kałużyńskim, który zapewne taki wydał rozkaz, sprawiała, że zbierało mu się na wymioty. Pomyślał, że gdyby jego życie potoczyło się trochę inaczej, to pewnie dziś Beryl też próbowałby go przymusić, aby stanął ramię w ramię z resztą funkcjonariuszy.

Z zamyślenia wybił go telefon od Julki. Wyciągnął starą nokię i odebrał.

– Cześć, Igor. Mamy problem – wypaliła.

– Co się dzieje?

– Ktoś włamał się do naszych komputerów. Skasował wszystko. Systemy przestały działać. Sprzęt jest bezużyteczny.

Czuł, że tak to się może skończyć. Jeśli Sędzia był w stanie oszukiwać najlepszych speców w państwie, to zabezpieczenia Julki, choćby nie wiadomo jak dobre, zapewne stanowiły dla niego taki problem, jak kłódka na furtce podmiejskiej działki dla zaprawionego w rabowaniu banków kasiarza. Ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć czegoś, czego później mógłby żałować.

– Gdzie jesteście?

– W bezpiecznym miejscu.

Bezpieczne miejsce oznaczało w ich slangu jego mieszkanie, choć teraz nie do końca był już pewny, czy „bezpieczne” jest odpowiednim określeniem. Skoro Sędzia albo ktoś, kto ma ze sprawą coś wspólnego, włamał się do ich komputerów, zapewne zdążył się połapać, że wpadli na jego trop. Z pewnością wiedział, gdzie ich szukać, ale czy w tej chwili gdziekolwiek mogli czuć się bezpieczniej? Brudny nie znał się na tych wszystkich nowinkach technicznych. Śledzenie, triangulacje, systemy namierzające. Od namierzania potencjalnych bandytów byli inni, on po prostu jechał w wyznaczone miejsce i dopadał delikwenta, gdy już stanął z nim twarzą w twarz. Biorąc pod uwagę, że zaryzykował grę w najwyższej lidze, tego typu systemy mogły być dużo bardziej zaawansowane, i nawet jeśli wspólnie z Julką zaopatrzyli się w niby trudne do wyśledzenia telefony na kartę, w żadnym wypadku nie mógł z góry zakładać, że ich rozmowa nie jest podsłuchiwana.

– Mogę być na miejscu za jakąś godzinę – oznajmił. – Wytrzymacie?

– Damy sobie radę. Ale ten gość jest cholernie dobry, Igor. Nie byłam w stanie nic zrobić. Po prostu nic...

– Więc miej oczy dookoła głowy. Niedługo będę.

Brudny postanowił nie ryzykować przebijania się przez największy młyn i najpierw wycofał, a potem skręcił w Emilii Plater i słysząc, że na mostach Łazienkowskim i Poniatowskiego są olbrzymie korki, pojechał na południe, aby na Czerniakowie wbić się na dwójkę i dotrzeć na Saską Kępe przez most Siekierkowski. Zajęło mu to prawie godzinę, ale ostatecznie pod swoją kamienicę dotarł krótko przed północą. W drodze rozmyślał o tym, co powiedział Srebrzyński. W obecnej sytuacji jego słowa też dawały mu sporo do myślenia.

– Brunet, krótko ścięty, dobrze zbudowany. Przyszedł ubrany w dżinsy i czarną bluzę z kapturem – mówił komornik. – Wyglądał jak jakiś żołnierz albo ktoś taki. Był oszczędny w słowach, ale obiecał, że zapłacę za to, co zrobiłem, a gdy wezwałem ochronę, poskładał ich w mgnieniu oka.

– I co było dalej?

– Przestraszyłem się, ale on wyszedł i już nie wrócił. Kilka miesięcy później ktoś włamał się do systemów komputerowych i do archiwum. Wyczyścił wszystkie możliwe dokumenty dotyczące kamienicy przy Pięknjej. Miałem przez to trochę kłopotów, ale ostatecznie posmarowałem, gdzie trzeba, i dali mi spokój. Jak mi nie wierzysz, to możesz sobie pojechać sprawdzić. Nic nie znajdziesz.

Nawet jeśli Srebrzyński potrafił ściemniać, to w tym wypadku nie kłamał. Brudny od razu wyczułby, gdyby próbował coś ukryć. Facet był zwykłym krętaczem, który opierał swój biznes na oszukiwaniu ludzi i opłacaniu odpowiednich urzędników, ale doskonale zdawał sobie sprawę, kiedy zaczynało się robić poważnie. A obecność samego Igora Brudnego, o którym mówiono w telewizji, że zgodził się pomóc rządzącym przy śledztwie w sprawie Sędziego, brzmiała nie tylko poważnie, ale dla niego – człowieka, który kręcił wałki z poprzednią władzą – maksymalnie niebezpiecznie.

– Jeśli kłamiesz, to po ciebie wrócę – rzucił na odchodne Brudny, gdy już nakazał Srebrzyńskiemu wrzucić do kibla cały towar od Miszki. Facet był na tyle bezczelny, że próbował protestować, ale kilka szybkich ciosów otwartą dłonią załatwiło sprawę i komornik potulnie wrzucił wszystko do muszli, a potem ze łzami w oczach spuścił wodę. Chwilę później komisarz wyszedł z apartamentu i zjechał windą na parter.

Brudny zaparkował samochód na chodniku przy ulicy. Wysiadł i zapalił. Zerknął w okno na drugim piętrze. Nic nie wskazywało, aby dziewczyny miały jakieś kłopoty. Rozejrzał się po okolicy. W przeciwieństwie do Śródmieścia tu było prawie pusto. W większości okien paliło się światło, ale w tej części Warszawy mieszkańcy najwyraźniej postawili na piwo i popcorn. Może dlatego, że wszyscy zainteresowani opluciem władzy ruszyli do centrum, a może dlatego, że wciąż nieprzyjemnie siąpiło i z racji sporej odległości od Śródmieścia i konieczności pokonania jednego z obstawionych mostów woleli posiedzieć pod kocem, oglądając zamieszki w bezpiecznych czterech ścianach.

W pewnym momencie minęła go jakaś zakochana parka, a chwilę później starszy mężczyzna w kaszkiecie i z reklamówką w dłoni. Odprowadził ich wzrokiem, po czym wszedł w bramę z dziwnym poczuciem wyobcowania. A może niepokoju? Jeszcze nigdy nie czuł się w tym miejscu tak dziwnie. Spędził tu przecież prawie dwadzieścia lat i znał każdy zakamarek, każdy krzak, napis na murach i wyłupany kawałek chodnika. Mimo to odnosił wrażenie, jakby znalazł się w zupełnie innym miejscu, nieco zdezorientowany i oderwany od rzeczywistości. Podobnie czuł się, wchodząc na teren sierocińca, gdy nie mógł opędzić się od myśli, że za każdym rogiem czai się jakieś nieokreślone zagrożenie.

Przyspieszył kroku. Ufał instynktowi, a ten – choć nie dawał mu do końca czytelnych sygnałów – chyba próbował go przed czymś ostrzec. Nie, to nie była żadna syrena alarmowa, raczej delikatny podszept, żeby od czasu do czasu obejrzał się przez ramię. Pomyślał, że przecież tym razem nie jest tu sam, co jeszcze tylko dołało oliwy do ognia. Wyszedł z bramy i od razu popatrzył na pion swojej klatki schodowej, w której właśnie zgasło światło. Przyspieszył i wyciągnął z kieszeni klucze. Otworzył drzwi i zintegrowany z zamontowanym w klatce oświetleniem czujnik ruchu sprawił, że światło znów rozbłysło. Przeskakując po dwa schodki, wdrapał się na pierwsze piętro, ale nagły krzyk sprawił, że zamarł w bezruchu. Dochodził z drugiego, gdzie znajdowało się jego mieszkanie. Co gorsza, znał ten głos.

Sięgnął za pasek i wyciągnął walthera. Nie mógł czekać ani chwili dłużej.

Zawadzka była na siebie wściekła, ale będąc na muszce człowieka w kominiarce, nie mogła nic zrobić. Postawny mężczyzna miał na sobie dzinsy i puchową kurtkę z kapturem, na nogach znajome protektory. Pistolet był wyposażony w wysokiej jakości tłumik. Nie miała wątpliwości. To musiał być on. To musiał być Sędzia!

Jakim cudem zdobył klucze do mieszkania Brudnego? Dopadł go? Zabił? Poczwała, że nogi ma jak z waty.

– Co wiecie? – warknął, wciąż w nią celując.

Julka nie odpowiedziała. Próbowwała analizować, ale była cała rozedrgana. Klimczak siedziała w fotelu, jakby chciała się w niego wtopić. Była równie zaskoczona jak przerażona.

– Mówcie, co wiecie, albo zabiję was obie tu i teraz! – powtórzył tonem, który zwiastował, że słowa może wprowadzić w czyn.

– Poczekaj – rzuciła Zawadzka. – Poczekaj. Wszystko ci powiemy.

– To gadaj!

Mężczyzna, wciąż trzymając Julkę na muszce, podszedł do fotela, w którym siedziała dziennikarka. Wolną dłonią chwycił ją za włosy i uniósł, jakby ważyła nie więcej niż szmaciana lalka. Jęknęła, ale poddała się brutalnej sile. W oczach miała łzy. Wtedy przytknął jej broń do brzucha.

– Masz trzy sekundy albo strzelę jej w bebechy – ostrzegł i docisnął lufę z taką siłą, że aż coś chrupnęło, a ona wygięła się w łuk.

– Poczekaj, cholera... – Julka wyciągnęła dłonie przed siebie. Nie mogła pozwolić sobie na błąd. Nie mogła skłamać. – Nie wiem, od czego zacząć. Jeśli to ty włamałeś się do komputerów, to wiesz, że trafiliśmy na trop. Dorota Nowak, jej syn... kurwa... jak on się nazywał? Nowak, Nowak...

– Co jeszcze?

– Cmentarz. Byliśmy na cmentarzu.

– Igor Brudny. Gdzie jest?

– On... – Poczwała ulgę. – On jest...

Zaskrzypiały drzwi. Mężczyzna gwałtownie odwrócił się w kierunku przedpokoju. Zaklął w myślach. Szybko przeanalizował zagrożenie i z powrotem przeniósł wzrok na Julkę, następnie znów na przedpokój. Julka, przedpokój, Julka, przedpokój. Zacisnął zęby i zerknął za okno, po czym przysunął usta do ucha spanikowanej dziennikarki.

– Wyjdiesz z tego... – szepnął, po czym przesunął lufę i nacisnął spust.

Julka instynktownie rzuciła się za kanapę, a mężczyzna oddał jeszcze kilka strzałów w kierunku przedpokoju. Jedna z kul przebiła drzwi sypialni,

kolejne dwie wyłupały dziury w ścianie, któraś musiała trafić w okno, butelkę albo jakiś kryształ, bo rozległ się charakterystyczny brzęk tłuczonego szkła. Agresor poczuł na dłoni ciepłą krew, wtedy puścił dziennikarkę, która bezwładnie upadła na podłogę. Ostatnie dwa strzały oddał w najbliższe okno, po czym wzięwszy krótki rozbieg, rzucił się w jego kierunku i ostatecznie rozbił je w drobny mak. Wtedy mieszkanie rozdarł huk wystrzałów.

– Nic ci nie jest? – zapytał Brudny, chowając broń za pasek. Zawadzka obejrzała się pobieżnie.

– Chyba nie, ale Patrycja...

Brudny od razu doskoczył do rannej dziennikarki. Leżała na podłodze, trzymając się za podbrzusze. Mocno krwawiła i otwierała usta jak ryba, nie mogąc wydać z siebie żadnego dźwięku.

– Zajmij się nią i dzwoń po karetkę! – rzucił w kierunku Julki, gdy ta chwilę później znalazła się obok nich. Podbiegł do rozbitego okna. Na framudze i murze ciągnął się rozbryzg krwi, a z dworu niosły sygnały alarmów samochodowych.

Wystawił głowę, ale wtedy dwie kolejne kule utkwily w ścianie tuż przy framudze, zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy, a jeden z odprysków zranił go w policzek. Instynktownie wycofał się, klnąc szpetnie. Przez chwilę myślał, że został trafiony, ale gdy zorientował się, że to niegroźna rana, znów spróbował wyrzeć na zewnątrz. Nie mógł pozwolić uciec napastnikowi. Zaryzykował i zachowując ostrożność, ponownie wyrzwał na dwór. Mężczyzna znajdował się już po drugiej stronie ulicy i powoli zaczynał znikać we mgle. Wycelował, ale jak na złość w pobliżu przechodziła grupa młodych ludzi, więc nie odważył się pociągnąć za spust. Wszedł na parapet i spojrzał na dół. Prawie sześć metrów, może pięć, biorąc pod uwagę, że na chodniku stały zaparkowane samochody. To na dachu jednego z nich wylądował mężczyzna w kominiarce. Skoro on mógł to zrobić, to...

– Stój! – Usłyszał zza pleców, ale było już za późno. Pożałował decyzji w momencie, gdy jego stopy oderwały się od parapetu. Poczł nagły bezwład, a potem gruchnął o dach samochodu jak worek ziemniaków. Poczł chrupnięcie i rozlewający się ból. Próbował zamortyzować

uderzenie o blachę, stoczył się na ulicę i omal nie wpadł pod nadjeżdżający samochód.

Pisk opon, klakson, wyjące alarmy zaparkowanych pojazdów. Podniósł się, rozejrzał, zignorował potężnego faceta wysiadającego ze swojego SUV-a, który omal nie roztarł go po asfalcie. Podparłszy się o maskę, wyminął go, ale gdy tylko przebiegł na drugą stronę ulicy i zobaczył, że uciekinier zniknął mu z oczu, zdał sobie sprawę, że przy kontuzji, której się nabawił, szanse na jego dogonienie są marne, jeśli nie zerowe.

Oparł się o mur jednej z kamienic i wyciągnął telefon na kartę. Wybrał numer do Kałużyńskiego. Minister odebrał już po drugim sygnale.

– Prawie go dorwałem – wydyszał do słuchawki.

– Kogo?

– Sędziego? – odparł pytającym tonem. – Facet uciekł, ale może mieć samochód, więc ustawcie blokady na mostach i wszystkich wyjazdówkach na wschód od Wisły. I przyślijcie ludzi do mojego mieszkania. Technicy będą mieli roboty do rana.

– Chwila.

Brudny usłyszał kilka trzasków i wydawane komendy. Wykorzystał ten czas, aby zapalić i trochę ochłonać. Przykucnął na chodniku, zaciągnął się i dotknął rany na policzku. Bardzo nie bolała, ale pod opuszką poczuł poszarpaną skórę, a na szyi spływającą krew. Odchrząknął i poszukał w kieszeni płaszcza chusteczek. W końcu wyszarpał kilka i przyłożył do krwawiącego policzka. Tymczasem podszedł do niego facet z SUV-a. Jego mina wskazywała, że zamiast udzielić pomocy, zamierzał mu dodatkowo spuścić łomot.

– Wszystko w porządku? – zapytał, gdy zbliżył się do Brudnego. Zaciągał ze wschodnim akcentem.

– Tak – mruknął komisarz. – Poczekaj pan chwilę, zaraz przyjadą służby. Na pewno będą chciały pana przesłuchać – dodał, ponownie się zaciągając.

– Co? – Facet rozejrzał się nerwowo po okolicy. – Jakie służby, panie? Jakie...

– W roli świadka – uspokoił go, ale mężczyzna najwyraźniej nie dał się przekonać, bo zaczął się cofać, a słysząc zbliżający się sygnał karetki, pobiegł z powrotem do swojego samochodu. Brudny postanowił go nie zatrzymywać, bo po prostu nie miał na to ani ochoty, ani siły. Uznał, że jeśli będą go potrzebować, to go znajdą. Chwilę później facet z piskiem opon odjechał.

Brudny odczekał jeszcze moment, a gdy zobaczył przebijające się przez mgłę wirujące światła nadjeżdżającej karetki, z trudem wstał i wyszedł na ulicę. Patrycja Klimczak potrzebowała natychmiastowej pomocy. Dla niej liczyła się każda sekunda.

ROZDZIAŁ 28

– Jeśli tego nie zszyjemy, to zostanie panu brzydka blizna...

Brudny spojrzał na ratowniczkę, która zajęła się nim po odjechaniu karetki z Klimczak. Wyglądała na przemęczoną, ale mimo to twarz jej jaśniała skrywanym uśmiechem.

– Wyglądam, jakbym przejmował się blizną po takim zadrapaniu? – burknął, lekko unosząc kąciki ust.

– Hmm... – Ratowniczka sięgnęła do apteczki. – Nakleję panu plastry ściągające, ale to nie to samo. Proszę ich nie zdejmować przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny, no chyba że zdecyduje się pan na przyjazd do szpitala.

– Skoro pani taka uparta, to może pani szyć tutaj.

– Przykro mi, ale po pierwsze to zadanie dla lekarza, a po drugie nawet jakbym chciała, to sprzęt został w karetce.

– W szufladzie mam igłę i jakieś nici.

– Pan żartuje...

Brudny uśmiechnął się krzywo, a ratowniczka z niedowierzaniem pokiwała głową. Ostatni raz przemyła ranę, a następnie zakleiła ją kilkoma plasterami i dodatkowo nałożyła kawałek gazy, który również solidnie umocowała.

– Co z tym biodrem? – zapytała.

– Trochę boli, ale przejdzie.

– Nie widać, żeby doszło do złamania, ale na pana miejscu i tak wybrałabym się na prześwietlenie. Wspominał pan, że jest po kilku poważnych operacjach, więc...

– Może jakaś śrubka się wykręciła. – Brudny puścił do niej oko, ale ona tylko uniosła brew. Miała rude włosy, kolczyk w nosie i bardzo zadbane zęby. – Jeśli nie ma złamania, to przeżyję – dodał, nie siląc się więcej na liche żarty.

– Wiem, kim pan jest, ale to nie oznacza, że musi pan udawać Rambo. Rany postrzałowe też pan sobie wypala prochem z nabojów?

– Jeszcze nie miałem okazji, ale zapamiętam poradę i skorzystam następnym razem.

Zamienili jeszcze kilka zdań, a ratowniczka upewniła się, że Brudny może chodzić. Lekko kulał na prawą nogę, ale dawał radę, więc odpuściła i wróciła do Julki, która najlepiej orientowała się w sytuacji postrzelonej dziennikarki. Komisarz dotknął opatrunku i spojrzął na zegarek. Od przyjazdu karetki minęło jakieś dwadzieścia minut, a ludzi Kałużyńskiego wciąż nie było. Owszem, zjawiono się kilka policyjnych patroli, które zajęły się zabezpieczeniem jego mieszkania i wyległymi na ulicę sąsiadami, ale to byli amatorzy, którzy nadawali się co najwyżej do rozciągnięcia taśmy policyjnej. Zdążył jeszcze zapalić i nastawić kawę, którą wspólnie z Julką napoczęli w kuchni, gdy w mieszkaniu w końcu pojawił się ktoś, z kim mógł porozmawiać.

– Nic panu nie jest? – zapytał Tomasz Mastalerz. Szef CBS miał na sobie puchową kurtkę z wydrukowanymi napisami swojej jednostki.

– Nic poważnego. Długo wam zeszło...

– W mieście jest piekło. Ludziom już kompletnie odjechało. Zachowują się, jakby chcieli się nawzajem pozarzynać. Lewacy prawaków, prawacy lewaków. Kurwa, nie myślałem, że dożyję takich czasów...

– To musiało się tak skończyć...

– Co konkretnie? – Mastalerz pogładził wąsy.

– Szczucie, zresztą... – Brudny machnął ręką. To nie był czas na tego typu dyskusje. – Chata jest wasza. Skupcie się na śladach krwi na framudze okiennej. Chyba go postrzeliłem. On sam oddał kilka strzałów, więc powinniście znaleźć kule w ścianie przy wejściu do sypialni i w samej sypialni.

Mastalerz wydał kilka poleceń człowiekowi, który stał za nim, a ten zaraz ruszył w głąb domu przekazać je pozostałym podwładnym, w tym grupie techników, których Brudny naliczył przynajmniej sześciu, co w podobnych sytuacjach raczej było rzadkością. Uwagę komisarza przykuła dłoń owinięta bandażem. Jeszcze dziś przed południem Mastalerz nie miał żadnego opatrunku. Ten dodatkowo wyglądał na wykonany bardzo pobieżnie, jakby założył go pospiesznie i do tego przed chwilą.

– Co się panu stało w rękę? – rzucił Brudny, gdy Mastalerz z powrotem odwrócił się w jego kierunku.

– Oparzyłem się wrzątkiem – odparł, z niesmakiem patrząc na dłoń. – Boli jak sam skurwysyn, ale nawet nie miałem czasu, aby ktoś mi to

porządnie obejrzał. Taka praca, no nie?

– Taka praca... – powtórzył Brudny, upijając kolejny łyk kawy. Przyjrzał się mężczyźnie. Postawny, prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, dobrze zbudowany, na nogach... protektory, na oko większe niż jego o numerze czterdzieści cztery. Pomyślał, że to byłoby zbyt proste, zwłaszcza że obok siedziała Julka, a ona słyszała głos napastnika i prawie na pewno poznałaby, gdyby przed nią stanął. „Prawie” robiło jednak sporą różnicę, a Sędzia już zdążył udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że jest człowiekiem wielu talentów. Czy byłby w stanie tak doskonale zmienić tembr głosu?

– Powie mi pan, co się tu wydarzyło? – Mastalerz przerwał tę chwilę zadumy.

– A gdzie Kałużyński?

– To raczej pytanie nie do mnie, ale zakładam, że w związku z tym, co dzieje się w mieście, pan minister ma mnóstwo pracy.

– A Dariusz?

– Jaki Dariusz?

Brudny poczuł się zbity z tropu, ale szybko się zmitygował. Dariusz bez wątpienia był jedynie pseudonimem, którego ten facet używał w kontakcie z nim.

– Prawa ręka Kałużyńskiego. Pan „chuj wie kto”...

– Aaa... – Mastalerz pokiwał głową. – Tym bardziej nie mam pojęcia, ale pan minister przekazał mi, że wysłał tu swojego człowieka. A teraz powie mi pan, co się wydarzyło? Każda informacja może być na wagę złota.

Komisarz streścił ostatnie wydarzenia, ale nie wspomniał nic na temat tropu, na który wpadli. Na pytanie, czy wie, dlaczego intruz wszedł do jego mieszkania i postrzelił dziennikarkę, bezradnie rozłożył ręce. Tak samo zareagowała Julka, gdy zapytał o to, jak niezauważenie udało mu się sforsować drzwi. Gdy Mastalerz skończył, przez chwilę kontemplował słowa obojga policjantów. Wiedział, że nie mówią mu całej prawdy, ale rozumiał też, że choć stoi na czele Centralnego Biura Śledczego, wobec niepisanej umowy, jaką Brudny zawarł z Kałużyńskim, nie ma za wiele do gadania. Poruszył nerwowo wąsami, gdy zdał sobie z tego sprawę, i poczuł wstyd, że pracuje w tak dziadowsko urządzonej kraj. Popatrzył na leżącego na stole walthera, ale szybko przeniósł wzrok na kubek ze swoją kawą. Choć w normalnej sytuacji z automatu powinien go zarekwirować, wolał nie ryzykować, aby jeszcze bardziej się nie ośmieszyć.

– Mają państwo gdzie spać? – zapytał.

Brudny wymienił się spojrzeniem z partnerką. W całym tym galimatiasie nawet o tym nie pomyślał, a dzisiejszy dzień naprawdę dał mu w kość i teraz marzył jedynie o poduszce i kocu. Julka zacisnęła usta w linię. Swoje mieszkanie sprzedała prawie rok temu i nagle okazało się, że oboje, przynajmniej na tę jedną noc, zostali bezdomni.

– Znajdziemy jakiś hotel – mruknął w końcu komisarz, ale wtedy zadzwonił jego smartfon. Westchnął, widząc na wyświetlaczu słowo „Dariusz”. Odebrał.

– Dzień dobry, komisarzu – przywitał się mężczyzna. – Minister Kałużyński zaprasza do swojego biura. Sprawa jest poważna.

– Mam dziś dość...

– Każdy ma dość, komisarzu. Przed kamienicą czeka na pana limuzyna z kierowcą. Po wszystkim odwiezie pana we wskazane miejsce.

Brudny podparł dłonią czoło. Westchnął. Ostatnimi osobami, które teraz chciał oglądać, byli Kałużyński i Dariusz. Spojrzał na Julkę, która skinęła głową.

– Niedługo będę – rzekł i się rozłączył. – Chcesz jechać ze mną? – zwrócił się do partnerki.

– Jedź sam. Nie chcę mieć z tymi gnojami nic wspólnego. Poszukam jakiegoś hotelu i spróbuję odgruzować mojego lapa. Może jeszcze da się coś z tego uratować.

– Służymy pomocą – włączył się do rozmowy Mastalerz. – Dysponuję najlepszymi ekspertami od zabezpieczeń. Jeśli...

– To może skupcie się na namierzeniu Sędziego, bo do tej pory drwi nie tylko z pana ekspertów, ale z całego obozu władzy – rzuciła Julka. – A jak będę potrzebowała pomocy, to się do pana zgłoszę. Pan może sobie zabrać sprzęt pani Klimczak.

Mastalerz nerwowo pogładził wąsy. Teoretycznie mógłby postawić na swoim, bo procedury były jasne, ale w tym kraju miały one drugorzędne, jeśli nie trzeciorzędne znaczenie. Nawet nie potrafił określić na jakich zasadach działała ta dwójka. On wciąż na L4, ona teoretycznie na służbie, ale oddelegowana do pracy dla rządu, oboje pod bezpośrednim zwierzchnictwem Kałużyńskiego, który posługiwał się tym swoim mrocznym przydupasem bez nazwiska. Gliną był od trzydziestu czterech lat i nawet za komuny nie spotkał się z takim chaosem i samowolką władzy. Czasem odnosił wrażenie, że za każdym z ministrów stoi jakiś agent, który

rządzi z tylnego siedzenia. Ale czy cały ten kraj nie był administrowany właśnie w taki sposób? Co tak naprawdę mieli do powiedzenia premier czy prezydent? Którykolwiek z ministrów czy przewodnicząca Trybunału Konstytucyjnego? On sam? Wszyscy oni mieli do powiedzenia jedno wielkie nic i jeśli chcieli zachować stanowiska, musieli wykonywać rozkazy zagnieżdżonego w swojej fortecy małego despoty. Ta refleksja sprawiła, że odechciało mu się wszystkiego. Pomyślał, że może pozwolić sobie na mały włoski strajk i jeśli nie otrzymał jasnego sygnału od Kumidora, żeby zabrać tego cholernego laptopa, to znaczy, że nie musi tego robić. Wchodzenie w nowe konflikty było ostatnią rzeczą, której teraz potrzebował, poza tym dla niego to też był wyjątkowo trudny dzień i miał ochotę położyć się do łóżka.

– Wiecie państwo, jak się ze mną skontaktować – rzucił, dopiwszy kawę.
– Gdyby jednak coś wam się przypomniało, to jestem do dyspozycji.

– Jasne – mruknął Brudny. – I jeszcze jedno...

– Słucham.

– Czyta pan Aleksandra Dumasa?

– Kogo?

– Aleksandra Dumasa.

Mastalerz zmarszczył czoło, jakby się zastanawiał nad odpowiedzią. Wyglądał na dość mocno zaskoczonego, a nawet zbitego z pantafelku.

– Mam taką pracę, że niestety brakuje czasu na czytanie. Choć kiedyś wyglądało to inaczej... – Szef CBS odstawił kubek z kawą na kuchenny blat. – Proszę wybaczyć, ale muszę wracać do pracy – dodał i pośpiesznie wyszedł z pomieszczenia.

Przez dłuższą chwilę Brudny i Zawadzka siedzieli w milczeniu. W końcu Julka wstała od stołu i wyrzuciła ogryzek jabłka do śmietnika. Sięgnęła po przewieszoną na krześle kaburę i założyła ją na ramiona. Wsadziła do niej glocka i nałożyła kurtkę.

– Idziesz? – zagadnęła partnera. Brudny podniósł wzrok, westchnął i z cichym jękiem podniósł się z krzesła. Chwycił swojego walthera i wcisnął za pasek od spodni.

– Jesteś tego pewna? – zapytał.

– Czego?

– On wciąż jest na wolności. Jeśli znalazł cię tutaj, pewnie może znaleźć cię w każdym innym miejscu.

– To słodkie, ale nie jestem dzieckiem, Igor. Poradzę sobie. Załatw, co musisz, i przyjeżdżaj. Wyślę ci adres hotelu, gdy tylko ogarnę temat.

– No dobra.

Brudny miał wątpliwości. Człowiek, który wdarł się do jego mieszkania był niezwykle przebiegły i bardzo dobrze przygotowany. Skąd miał klucze? To było jedno z pytań, na które do tej pory nie znalazł odpowiedzi. Komisarz włożył płaszcz i ostatni raz omiół wzrokiem kuchnię. Wtedy poczuł na zuchwie palce partnerki. Zmusiła go, aby się odwrócił, i pocałowała go w usta.

– I dzięki za uratowanie mi tyłka po raz kolejny – szepnęła, a on posłał jej zmęczony uśmiech.

– Do usług, pani komisarz – odparł.

Chwilę później Zawadzka chwyciła partnera za rękę i pociągnęła w kierunku wyjścia. Wychodząc z kamienicy Brudny był przepełniony ambiwalentnymi uczuciami. Z jednej strony deptali Sędziemu po piętach, z drugiej nie mógł ufać nikomu. W limuzynie zastanawiał się, ile może powiedzieć Kałużyńskiemu i czy jeśli to zrobi, aby na pewno nie popełni śmiertelnego błędu.

ROZDZIAŁ 29

– Musi pan raz jeszcze porozmawiać z Pieronowiczem – oznajmił Kałużyński. – Według naszych ekspertów to właśnie on tym wszystkim kieruje.

– Na jakiej podstawie ci eksperci tak twierdzą? – zapytał Brudny, z wyczuwalną drwiną podkreślając słowo „eksperci”.

– Zdradziły go słowa. Słowa, które pan z niego wyciągnął. A dokładnie dwa cytaty – wyjaśnił stojący obok Dariusz. Obaj, jak nigdy, wyglądali na podekscytowanych, a ten drugi po raz pierwszy musiał użyć chusteczki, aby wytrzeć pot ze skroni. Gdy schował ją do kieszeni marynarki, kontynuował: – Pierwszy to parafraza słynnego cytatu z *Folwarku zwierzęcego* George’a Orwella: „Wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre są równiejsze od innych”. Jesteśmy niemal pewni, że tym samym próbował nawiązywać do partii rządzącej. Drugi pochodzi z powieści *Hrabia Monte Christo* Aleksandra Dumasa, który brzmi: „Zła nie da się naprawić, można je tylko pomścić”. W naszej ocenie dotyczy bezpośrednio eliminowania kolejnych ludzi u władzy, którzy w jego mniemaniu w jakiś sposób odpowiadają za to, co go spotkało.

Brudny słuchał uważnie. Wcześniej zdał im relację z całego zajścia. Nie musiał lawirować, bo tak naprawdę sam niewiele widział. Facet w puchowej kurtce i kominiarce, wysoki, wysportowany i bezwzględny, nawet nie słyszał jego głosu. Ale hipoteza, którą przed chwilą przedstawił mu Dariusz, nie tylko wywarła na nim wrażenie, ale w pewnym sensie wywracała do góry nogami jego własną, wszak musiał przyznać, że choć z początku słowa Pieruna nie wzbudziły w nim podobnych konotacji, to gdy Julka wspomniała o napisie na płycie nagrobnej, zapaliła mu się czerwona lampka. Dlaczego Pierun je wypowiedział?

„W pojęciu tych skurwieli wszyscy są równi, ale oni równiejsi. I wiesz co, Krzychu? Takiego zła nie da się naprawić, można je tylko pomścić. A teraz spierdalaj. Nic więcej ci nie powiem”.

Najpierw Orwell, potem Dumas, a na końcu „spierdalaj” i cisza. Do tego te wszystkie powieści. Większość to najsłynniejsze dzieła traktujące o karze, zemście, przemianie, o despotycznej władzy państwa nad jednostką. Trudno było nie dostrzec tych wszystkich zbieżności. Od tamtego razu Pierun rzeczywiście nie odezwał się ani słowem i choć Dariusz podobno nad nim jeszcze trochę – cokolwiek to miało znaczyć – popracował, to żołnierz milczał jak grób i nic nie wskazywało, że w najbliższym czasie uda się coś z niego wyciągnąć. Tylko co z tego, jeśli facet był przetrzymywany w zamknięciu, w związku z czym nie mógł być Sędzią? Dlatego Kałużyński wyraził się, że on „tym wszystkim kieruje”, a nie że jest bezpośrednim wykonawcą? To rzeczywiście mogło mieć sens. Pierun miał motyw i możliwości, aby coś takiego zorganizować. Były komandos, który w czasie służby bez wątpienia miał kontakt z ludźmi o ponadprzeciętnych umiejętnościach, także hakerskich, w tym z jednostkami wychowanymi w warunkach skrajnie trudnych, często w czasie wojennej zawieruchy, pozbawionych empatii i nauczonych bezwzględnego posłuszeństwa, być może nawet wyszkolonych na zabójców. To oczywiście były tylko domysły, ale Brudny nie znał przeszłości Pieruna i być może śmierć ciężarnej żony nie była jedyną przykrą historią, która go spotkała. Siedem lat to szmat czasu, który mógł wykorzystać na ułożenie sobie życia na nowo, nawiązanie nowej relacji, założenie rodziny. Postawienie hipotezy, że Pierun mógł być tajemniczym mężczyzną, który siedem lat temu nakazał wykonać napis na grobie Doroty Nowak, zdawała się bardzo kusząca i czysto teoretycznie łatwa do sprawdzenia. Wystarczyło jedynie poprosić kamieniarza albo komornika o identyfikację. Brudny miał z tym tylko jeden, ale za to fundamentalny problem. Nie ufał ani Kałużyńskiemu, ani Dariuszowi, a jeśli miały zasugerować takie rozwiązanie, musiałyby wyjawić wszystko, co do tej pory ustalił. Komisarz uznał, że na taki krok jest jeszcze za wcześnie.

– Czego konkretnie ode mnie oczekujecie? – zapytał.

– Spróbuje pan wyciągnąć od niego coś więcej na temat Cyklopa – powiedział Dariusz. – Do tej pory nie udało się ustalić jego nowego nazwiska, ale mamy imię – Mirosław. Nasi najlepsi ludzie pracują nad ustaleniem tożsamości, ale to może potrwać, bo po pierwsze mógł je ponownie zmienić, a po drugie ludzie, którzy mogą mieć uzasadnione pretensje do władzy, jest... – Dariusz ledwo zauważalnie się zawahał – ...

całkiem sporo. Na szczęście dzięki panu udało się zawęzić obszar poszukiwań do Warszawy i okolic.

Brudny dostrzegł, że Kałużyński nie wytrzymał i nerwowo podrapał się za uchem. Władza jako taka zawsze miała ogromny problem z przyznawaniem się do winy, ta obecna zaś nie robiła tego nigdy, mało tego, często w najbardziej ohydny sposób tłumaczyła kolejne afery, dodatkowo grożąc świadkom, zastraszając ich, tych najbardziej upartych niszcząc dosłownie i w przenośni, czasem razem z całymi rodzinami. Wbrew powszechnemu podejściu do tego typu spraw, za każdą z nich kryły się jednak ofiary. One miały imiona i nazwiska. Były obywatelami tego kraju. Dokładnie tak było w przypadku Kryszaka czy Makowskiej, nie wspominając o sierocińcu hieronimek oraz niezliczonej liczbie innych popełnianych przez ludzi u władzy przestępstw – gwałtów, przekrętów, machlojek i wszystkich innych obrzydliwych rzeczy, które później w telewizji przedstawiano jako „afery jakaś tam”. W ustach Dariusza takie przyznanie się do winy brzmiało dość irracjonalnie, ale Brudny po raz pierwszy pomyślał, że może w końcu dotarło do tych zakutych łbów, że ich podłe czyny nie zawsze zostaną bez odpowiedzi, a immunitety chronią tylko do momentu, gdy nie znajdzie się ktoś, kto nie ma już nic do stracenia.

– Zakładacie, że mężczyzna, który wtargnął do mojego domu, to Sędzia?

– To jedna z najbardziej prawdopodobnych hipotez. Jakie jest pana zdanie, komisarzu?

– To całkiem możliwe.

– Czy domyśla się pan, dlaczego zdecydował się na taki krok?

Do tej pory Brudny przemilczał wszystko, co usłyszał od Julki. Uznali, że nie mogą ufać władzy, a byli już naprawdę blisko, stąd zapewne atak hakerski i włamanie do mieszkania. Słowa napastnika nie pozostawiały złudzeń co do jego motywacji, ale na razie Kałużyński jeszcze nie musiał o tym wiedzieć. Miał nagrania z monitoringu, materiał do badań balistycznych, krew z DNA intruza i pewnie setki mikrośladów z kurtki, butów i pyłków, a gdyby dopisało im szczęście, to może nawet udałoby się im wyciągnąć coś wartościowego od świadków. Za tę akcję powinni całować ich po stopach, więc...

– Nie – odparł, po chwili namysłu.

– Tak po prostu „nie”? – Kałużyński lekko zmrużył oczy.

– Nie mam, kurwa, pojęcia. Czy to brzmi lepiej?

Atmosfera zgęstniała, a dwaj SOP-owcy, którzy do tej pory stali metr za Kałużyńskim, zrobili krok w kierunku swojego szefa. Kałużyński zatrzymał ich ruchem dłoni i skinął na Dariusza. Przez moment Brudny pomyślał, że przesadził, ale mężczyzna jedynie przytaknął.

– W tych okolicach Saskiej Kępy akurat nie ma zamontowanego monitoringu, ale sprawdzamy kamery z bankomatów i nagrania ze sklepów czy zakładów pracy – kontynuował poprzedni wątek. – Jeśli jednak do tej pory, pomimo skierowania w tamten rejon tylu ludzi, mężczyzna wciąż pozostaje nieuchwytny, zakładamy, że albo się ukrył, albo ma swoją norę w najbliższej okolicy.

– Mógł wam też zwać...

– Niczego nie wykluczamy. W każdym razie naszym zdaniem istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że tajemniczy Cyklop oraz Pieronowicz ze sobą współpracują. Z pana pomocą być może uda się ustalić coś więcej.

– Pierun już nic więcej mi nie powie.

– Proszę spróbować, komisarzu. Sytuacja robi się dramatyczna, także w innych miastach, i jeśli nie uda nam się dopaść tego szaleńca, w najbliższych godzinach czeka nas intensyfikacja obywatelskiego nieposłuszeństwa, być może erupcja nienawiści. Nie możemy pozwolić, aby zapanowała anarchia i jeśli nie będzie innego wyjścia, to na ulicach poleje się krew.

– Myślałem, że już się poląła.

– To źle pan myślał, komisarzu.

Brudny wbił wzrok w Kałużyńskiego, który tym razem zachował kamienną twarz. Nie dało się tego odebrać inaczej jak próbę zrzcucenia z siebie odpowiedzialności, a przynajmniej jej części, za potencjalnie kosztowne decyzje na jego barki. Obaj mężczyźni przez dłuższą chwilę mierzyli się spojrzeniami, po czym komisarz przeniósł wzrok na Dariusza.

– Gdzie ten Pieronowicz? – zapytał.

– Tędy, proszę – odparł Dariusz i puścił Brudnego przodem.

Pomieszczenie, w którym się znajdowali, mieściło się w tajnym bunkrze pod budynkiem siedziby Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Przypominało klasyczny pokój przesłuchań, oszczędnie wyposażony, pozbawiony okien, z czterema kamerkami zamontowanymi w rogach pod

sufitem. Na środku stał stół, a na nim dość staroświecki mikrofon z przyciskiem, i dwa krzesła. Na jednym z nich siedział Pierun. Miał na sobie dzinsy i koszulkę z kieszonką. Bose stopy i dłonie były skute i połączone łańcuchem, jak u najbardziej niebezpiecznych skazańców.

Gdy Brudny postawił mu przed nosem papierowy kubek z kawą, a następnie usiadł naprzeciwko, żołnierz uniósł wzrok i głupio się uśmiechnął, po czym z powrotem spuścił głowę.

– Mówią, że to ty za tym stoisz. – Brudny postanowił pominąć konwenanse. Stary znajomy nie zareagował w żaden sposób. – Chcą, żebym wyciągnął od ciebie coś więcej na temat Cyklopa. Myślą, że z nim współpracujesz i że to on jest Sędzią...

Nic. Zero reakcji. Brudny nie miał pomysłu, jak go podejść. Dochodziła trzecia nad ranem i sam był tym wszystkim zmęczony. Z trudem zbierał myśli. Zdziwił się trochę, gdy tak go przycisnęli. Musieli zdawać sobie sprawę, że nie jest w najlepszej formie. Zresztą oni też wyglądali na wykończonych. Blade twarze, podkrążone oczy, obwisłe policzki, nawet Dariusz stracił rezon i nie był już tak zimny i stanowczy jak wcześniej. W windzie nie odezwał się ani słowem. Wyglądał, jakby nie spał co najmniej od kilkudziesięciu godzin, i Brudny miał wrażenie, że facet doznał szczękościsku, że walczy sam ze sobą, aby nie wybuchnąć i nie pieprznąć tego wszystkiego w cholerę. Sam wcale nie czuł się lepiej, kulał, bo biodro bolało jak cholera. Marzył tylko o tym, aby położyć się spać.

– Posłuchaj, Pierun – mruknął. – Mam w dupie, czy mi teraz coś powiesz, czy nie. Chcieli, żebym zadał ci te pytania, to je zadaję, ale nie mam żadnego ciśnienia. Jak dalej będziesz milczał, to spróbuję ci je zadać jeszcze kilka razy, a jeśli to nic nie da, to sobie po prostu pójdę. Powiem ci tylko, że sprawa jest poważna, a dziś ktoś włamał się do mojego mieszkania, aby zabić moją partnerkę. Udało mi się temu zapobiec, ale facet postrzelił niewinną kobietę, młodą dziennikarkę o imieniu Patrycja. I teraz ta Patrycja walczy o życie w szpitalu.

Pieronowicz wciąż milczał, ale Brudny zauważył, że coś w nim drgnęło. Tak jakby ostatnia informacja wywołała trudną do ukrycia reakcję. Odczekał jeszcze chwilę i kontynuował:

– Intruz pozostawił w mieszkaniu masę śladów, więc prędzej czy później go złapią. Raczej prędzej niż później, bo go postrzeliłem i jego krew już trafiła do laboratorium. I jeśli facet miał wcześniej jakieś zatargi z prawem i jest w bazie KSIP-u, to po badaniach DNA jego tożsamość przestanie być

tajemnicą. Jesteś żołnierzem i wiesz, co się wtedy stanie. Zacznie się polowanie, ale tym razem będzie go ścigał cały pierdolony system wymiaru sprawiedliwości tego kraju. Nie uda mu się zbiec. Nie będzie miał żadnych szans, a nawet jeśli jakimś cudem wydostanie się za granicę, znajdzie się na celowniku wszystkich służb na świecie.

Brudny upił kawy i zapalił. Czuł, że powieki powoli i jemu zaczynają opadać. Pieronowicz wciąż milczał, co gorsza komisarz odniósł wrażenie, że zrobił krok w tył. Jedyna reakcja, choć ledwo dostrzegalna i wyraźnie maskowana, pojawiła się tylko w momencie, gdy wspomniał o tym, że napastnik postrzelił Patrycję Klimczak. Tak nie reagowali psychopaci. Oni nie dbali o zdrowie czy życie drugiego człowieka, zwłaszcza kompletnie obcej osoby. Wręcz przeciwnie, najczęściej pękali, gdy śledczy wykladał karty na stół i zaczynało do nich docierać, że już się nie wywiną. Tymczasem Pierun w ogóle nie dbał o przyszłość. Nie ruszały go jakiegokolwiek groźby. Dlaczego zatem wykazał się tą skrzętnie ukrywaną nutą empatii? Brudny postanowił pójść tym tropem. Więcej pomysłów nie miał.

– Znam cię, Pierun – powiedział. – Znam cię, od kiedy pamiętam, i możesz wierzyć bądź nie, ale nie mam do ciebie żalu o to, co działo się w sierocińcu. Żyliśmy w świecie, w którym każdego dnia trzeba było walczyć o przetrwanie, i nawet jeśli wtedy biłeś i kopąłeś równie mocno jak Kwiczol czy Łycha, to w przeciwieństwie do nich nigdy nie wyzbyłeś się człowieczeństwa. To dlatego zostałeś żołnierzem, a nie bandytą, mam rację?

Przez kilka sekund nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, ale w pewnym momencie żołnierz przełknął ślinę i powoli uniósł głowę. Wbił spojrzenie w Brudnego, a przez jego twarz przemknął nie do końca czytelny grymas.

– Za jedno życie tysięcy żywotów uratowanych od życia i rozkładu – szepnął Pierun.

Brudny zmarszczył brwi. Gdzieś już to słyszał, ale był tak zmęczony, że myślał dwa razy wolniej. Nie był w stanie sobie teraz przypomnieć. Potrzebował snu. Westchnął i podparł dłonią głowę, przetarł czoło i spojrzał w oczy więźnia.

– Nie mam czasu na te kalambury, Pierun – bąknął. – Jeśli nie masz nic więcej do powiedzenia, to spadam. I mam nadzieję, że po tym wszystkim ci nie odbiło i nie masz z tym nic wspólnego.

Gdy z powrotem podniósł wzrok na Pieronowicza, poczuł nieprzyjemny dreszcz. Mężczyzna szczyrzył zęby w obłąkańczym uśmiechu, który skojarzył mu się z filmowym Jokerem.

– Uważasz mnie za szaleńca? – Pieronowicz nachylił się nad stołem, skracając dzielący ich dystans. Jego twarz stężała, rysy się wyostrzyły i jeszcze bardziej wyszczerzył zęby. Zarechotał. – To ja jestem szaleństwem! Ja jestem demonem! – wykrzyczał. – Rozszarpali mnie i teraz prorokuję, że rozszarpie ciało tego, kto mnie rozszarpał!

Pomieszczenie wypełnił jego furiacki, niemal opętańczy rechot. Tym razem Brudny nie miał już wątpliwości, z czym łączyć ostatnie słowa żołnierza, mimo to przyglądał się temu spektaklowi, nie mogąc zrozumieć, co nagle facetowi odbiło. To nie był Pierun. To nie był gość, którego znał. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że całe to przedstawienie zostało wcześniej wyreżyserowane, a teraz Pierun odgrywa swoją rolę. A może naprawdę oszalał? W co grał, jeśli był w pełni rozumu?

Wtem żołnierz umilkł. Z powrotem wbił spojrzenie w rozmówcę.

– A teraz wypierdalaj, Krzychu! – warknął i kłapnął zębami, po czym zupełnie zgasł.

Brudny przez chwilę wpatrywał się, jak miarowo oddycha, po czym zgasił niedopałek w kubku z resztką kawy i wstał z krzesła. Zerknął wymownie z jedną z kamer i ruszył do drzwi. Chwilę później te się otworzyły i komisarz znalazł się po drugiej stronie.

– Dobra robota – oznajmił Dariusz, ale Brudny nie zareagował. Minął agenta, nawet nań nie spoglądając. – Co pan zamierza, komisarzu?

– Posłucham się Pieruna. Wypierdałam spać.

– Spokojnej nocy.

Gdy Brudny kładł się do łóżka jednego z tysięcy obskurnych pokoi na doby, w biurze Kałużyńskiego trwała burza mózgów. Eksperci nie mieli wątpliwości, że tym razem trafili na właściwy trop. Wyłożyli swoje racje, a Kałużyński uważnie ich wysłuchał. Minister przez dłuższą chwilę kontemplował słowa swoich ludzi. W końcu spojrzał na Dariusza.

– Zajmiesz się tym osobiście – rozkazał, a jego człowiek skinął głową. – Podwoisz ochronę. Prezesowi nie może spaść włos z głowy, w innym wypadku już po nas.

ROZDZIAŁ 30

Obudziło go pukanie do drzwi. Poderwał się z łóżka, trzymając w dłoni swojego sig sauera. Zwykle szybko odzyskiwał jasność umysłu, ale tym razem czuł, jakby ktoś we śnie wsadził mu głowę w imadło.

– Co się dzieje?! – krzyknął, zerkając na zegarek. Dochodziła siódma rano, więc spał tylko nieco ponad godzinę. Przed oczami pojawiły się mroczki.

– Sędzia, szefie.

– Co „Sędzia, szefie”?

– Sędzia znów nadaje.

– Róbcie swoje. Potrzebuję dwóch minut.

Włożył spodnie, buty i koszulę. Błyskawicznie przemył twarz i wyszczotkował zęby. Z gościnnego pokoju wyszedł, poprawiając na chybcika zawiązany krawat.

– Gdzie prezes?

– Bezpieczny. Je śniadanie w salonie.

– Czy wie o transmisji?

– Jeszcze nie, ale...

– Zostaw to mnie.

Dariusz odchrząknął i poszedł do salonu. Zapukał w przymknięte drzwi, po czym nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka. Bolesław Kumidor siedział w fotelu i oglądał w telewizji relację z zamieszek. Pochylony do przodu, zgarbiony, z resztkami siwych włosów nad uszami, w kraciastej piżamie wyglądał jak starszy samotny pan, dla którego ekran telewizora zdaje się jedynym oknem na świat.

– Panie prezesie – zwrócił się do niego przyciszonym głosem, ale Kumidor nie zareagował. Chwycił z talerza kanapkę z sałatą, żółtym serem i pomidorem i powoli włożył do ust. – Panie prezesie – powtórzył Dariusz, gdy podszedł bliżej. Kumidor obrócił się w jego stronę.

– Czy obywatele naprawdę nie rozumieją, że ten człowiek chce zniszczyć nasz kraj? Że chce zniszczyć ich? – Sięgnął po kubek z herbatą.

Jego dłoń drżała.

– Ten człowiek znów włączył transmisję. Chciałem, żeby pan o tym wiedział.

– Kto tym razem? – Przystawił naczynie do ust i upił łyk, po czym ledwo odstawił kubek na blat. Jego ton nie wyrażał żadnych emocji, jakby Kumidor pogodził się z zaistniałą sytuacją albo w ogóle nie pojmował, co się wokół niego dzieje.

– Wicepremier Kaczmarek.

Kumidor zamknął oczy i ciężko westchnął. Czyli wiedział, pomyślał Dariusz. O temperamentie Kaczmarka krążyły legendy i choć temat podkarpackiego burdelu jak wiele innych został zatuszowany, główny świadek zlikwidowany, a taśmy z jego wyczynami skrzętnie ukryte, to przynajmniej kilka osób w państwie doskonale zdawało sobie sprawę, na co było stać jurnego ministra edukacji i nauki. Kumidor bez wątpienia był jedną z nich.

– Chcę to zobaczyć – oznajmił prezes i podparłszy się o ramię fotela, wstał. – Gdzie to oglądacie?

– Sugeruję, aby pan prezes jednak skupił się na odpoczynku. Ja się tym zajmę i...

– Czym się zajmiesz, smarkaczu?! – przerwał mu Kumidor i aż poczerwieniał ze złości. Podgardle trzęsło mu się, jakby miał delirium. – Kto będzie kolejny? Nosalski? Misiak? Ja? Dlatego Kałużyński cię tu przysłał?

– Jesteśmy już blisko, aby go namierzyć i...

– Przestać mleć ozorem i prowadź mnie do tego komputera! No już!

– Jak pan prezes sobie życzy.

Dariusz ukłonił się nieznacznie i ruszył w kierunku drzwi. Otworzył je i przepuścił Kumidora, który najwyraźniej nic sobie nie robił z faktu, że ma na sobie tylko piżamę i grube czerwone skarpety. Czasem zastanawiał się nad tym, jakim cudem ten człowiek jest w stanie niepodzielnie rządzić prawie czterdziestomilionowym krajem. Co w sobie ma, że dużo bardziej obcy i otrzaskani na europejskich salonach liderzy opozycyjnych partii, ba, nawet światowi przywódcy, nie potrafią go poskromić, a on z tego swojego zapierdzianego fotelika rozstawia ich po kątach jak dzieci w przedszkolu. Zawsze go to fascynowało i – zaraz po czarnych dziurach – pozostawało jedną z najbardziej nieodgadnionych tajemnic wszechświata.

Usiedli w pokoju, który szef ochrony przeznaczył na swoje centrum dowodzenia. Nieduży, z widokiem na zaniedbany ogród i sąsiednie klockowate wille, na ścianach obraz marszałka Piłsudskiego i rycina Czarnej Madonny, w rogu staromodna kanapa nakryta zmechaconym kocem, kilka kwiatów doniczkowych, stół, krzesła, zielone meble wypełnione ręcznie zdobionymi zastawami i masą niepasujących do niczego kryształów. W środku unosił się zapach kotów, których w domu grasowało co najmniej siedem, a czasem więcej, gdy Kumidor wpuszczał kilka zaprzyjaźnionych z dworu. Wyglądało to co najmniej komicznie, gdy kręciły się pomiędzy nogami agentów ochrony, którzy choć z pewnością woleliby im poukręcać łby, w obecności gospodarza musieli je głaskać i się do nich mizdrzyć. Jeden, dostrzegłszy kroczącego Kumidora, poderwał się z miejsca, a prezes ostentacyjnie zajął je i założył na nos okulary.

– Dlaczego Edek wisi? – zapytał, jakby akurat to miało w tej chwili największe znaczenie. – Kryszak i Makowska byli przywiązani do kolumny, czyż nie? Czy to może coś znaczyć? Badacie to? I co on ma z okiem, że jest takie czerwone?

– Analizujemy każde, nawet najdrobniejsze posunięcie czy gest zarówno oprawcy, jak i ofiary.

– Och...

Na ekranie pojawił się ruch. Sędzia odegrał swoją rolę i chwilę popastwił się nad cierpliwością widzów, których liczba mimo wczesnej godziny już szybowała w górę. Gdy osiągnęła równe sto milionów, w prawym dolnym rogu wystartował czat i kilka okienek z linkami i różnymi plikami do ściągnięcia. Wtedy mężczyzna w katowskim kapturze postanowił przejść do konkretów.

– Edward Kaczmarek jest pozbawionym empatii gwałcicielem i mordercą – zaczął odczytywać akt oskarżenia. – W sumie podczas kilkudziesięciu orgii, które w większości odbywały się w lokalu „Niebo”, zgwałcił analnie przynajmniej osiemdziesiąt młodych dziewcząt, z których siedem w wyniku przeżytej traumy popełniło samobójstwo.

Na dowód jego racji na ekranie pojawiło się kilka okienek z nagraniami. Sędzia mówił dalej, podkreślając bestialstwo Kaczmarka, którego największym fetyszem były zabawy analne, w związku z czym zanim dochodziło do samego gwałtu, najpierw upychał w odbytach nastolatki wszystko, co znalazł pod ręką, od wibratorów po butelki najdroższego szampana. Efekt takich pomysłów nietrudno było przewidzieć. Krzyk,

płacz, czasem obfite krwawienia, zawsze zaś rechot pijanego w sztok ministra, który gdy uznał, że dana dziewczyna już się nie nadaje, wołał o kolejną albo od razu trzy. Bił i kopał te, przy których nie był w stanie osiągnąć wzwołu, inne gwałcił, przyduszając paskiem od spodni, wszystkie zaś upadłał, wyzywając, opluwając i oddając na nie mocz, jeśli akurat poczuł parcie na pęcherz. Niektóre katował do tego stopnia, że ochroniarze wynosili je jak trupy, jeden za ręce, drugi za nogi, w milczeniu, bez emocji, posłusznie niczym zaprogramowane roboty. Wtedy Kaczmarek dalej pił i ćpał, czasem bredząc coś o suwerennej i solidarnej Polsce, a nawet dzwonił do nastoletnich córek, gdy wcześniej uprzedził ochroniarzy, że czuje taką potrzebę.

Czat jak zwykle grzał się do czerwoności, a pomysłowość użytkowników zdawała się nie mieć granic. Gdy na ekranie pojawiały się fotografie uśmiechniętych nastolatek, które po takiej traumie zdecydowały się popełnić samobójstwo, czat eksplodował falą nienawiści. Tym razem trudno było znaleźć choćby jednego użytkownika, który próbowałby bronić wicepremiera. Kumidor zdawał się patrzeć na to wszystko bez emocji. Czasem drgnęła mu powieka albo zatrzęsło się podgardle, ale wydawał się mniej przejęty niż przy porannym oglądaniu zamieszek. Wzdrygnął się kilkukrotnie, dopiero gdy Sędzia zaczął okładać Kaczmarka kijem bejsbolowym, a potem poprawił drugim, który wcześniej owinął drutem kolczastym. Po kilku minutach takiej krwawej łaźni na łańcuchach wisiał już tylko strzęp człowieka, mimo to Sędzia wiedział, kiedy odpuścić. Na chwilę zniknął z kadru, po czym pojawił się z zaostrzonym, około półtorametrowym palem, który z namaszczeniem wkręcił w mosiężny przedmiot przypominający stojak choinkowy. Podkręcił go na odpowiednią wysokość i wsunął pod nieprzytomną ofiarę, następnie podniósł się, przyjrzał jej i wyciągnął z gardła knebel. Zbliżył się do kamery.

– Edward Kaczmarek został ukarany za swoje grzechy, ale każdy zasługuje na drugą szansę – oznajmił. – Pozwolę mu żyć, jeśli prezes partii rządzącej, Bolesław Kumidor, ukorzy się przed narodem. Gdy wyciągnie i upubliczni teczki wszystkich łajdaków i zdrajców, zarówno ze swojej partii, jak i partii opozycyjnych, następnie przyzna się do wszystkich swoich grzechów, przekona mnie, że bardzo żałuje popełnionych czynów, a na koniec na kolanach przeprosi wszystkich obywateli za wyrządzone zło i zrzeknie się władzy. Samorozwiązanie Sejmu oraz termin nowych wyborów mają zostać przegłosowane do godziny dwudziestej drugiej.

W przeciwnym razie Edward Kaczmarek zrozumie bardzo dogłębnie, co czuły jego ofiary, gdy to on był u władzy. A ja... – Mężczyzna w katowskim kapturze nachylił się do kamery. W jego tęczęwkach rozblęły odbite płomienie świec. – A ja będę kontynuował swoją pracę, dopóki nie uznam, że wystarczy.

Po tych słowach raptownie zniknął z kadru i gdy wszyscy myśleli, że transmisja zaraz zostanie przerwana, w akompaniamencie brzęku łańcuchów skrwawione ciało wicepremiera lekko osunęło się w dół. Kolejny dźwięk skojarzył się Dariuszowi z rozrywanym prześcieradłem. Z głośników dobiegł nieludzki ryk, a po palu popłynęła krew. Nawet Kumidor odwrócił głowę. Wtedy obraz zniknął.

Nastala grobowa cisza, tylko gdzieś z okolic kanapy dało się słyszeć ciche kocie pomrukiwanie. Dariusz przełknął ślinę. Kątem oka dostrzegł, że wszystkie spojrzenia agentów SOP-u są skierowane na Kumidora, który siedział zgarbiony i wpatrywał się w czarny ekran.

– Panie prezesie? – powiedział Dariusz.

Kumidor jeszcze przez krótką chwilę gapił się na monitor, po czym powoli obrócił w stronę szefa swojej ochrony.

– Co... „panie prezesie”? – przedrzeźnił go z irytacją w głosie. Splótł palce i zaczął je intensywnie pocierać. Zamknął oczy i przez chwilę milczał. W końcu uniósł powieki, a jego twarz oblał czerwony rumieniec. – Pan prezes mówi, żebyście... – zaczął spokojnie, ale nie wytrzymał – ... żebyście wszyscy wzięli się, kurwa, do roboty i w końcu złapali tego zdrajcę! – wykrzyczał, trzęsąc się jak galareta. – Złapcie go! Złapcie go, do jasnej cholery! Czy ja mam do czynienia z samymi debilami? Czy otaczają mnie tylko idioci? Skąd on to wszystko wie?!

– Przepraszam, panie prezesie, ale robimy, co w naszej mocy i...

– To róbcie więcej! Skąd on to wszystko wie? No powiedz! Powiedz mi, skąd on ma dostęp do tych wszystkich teczek? Ty mu dałeś? A może ty! – Kumidor wskazał miśkowatego agenta po swojej lewej ręce.

– Nie mamy dostępu do...

– Wszyscy mają! – ryknął Kumidor, uderzając pięścią w klawiaturę. – Teraz już dostęp do tajnych teczek mają wszyscy! Jakim, kurwa, cudem? Jakim cudem? Boże święty...

Kumidor ukrył twarz w drżących dłoniach. Dariusz dostrzegł, że mężczyzna płacze. Przypominał teraz zrozpaczonego starca, który nagle zdał sobie sprawę, że wszystko stracił, że wszystko, do czego dążył,

rozsypało się jak domek z kart, a całe jego życie jest głównie warte. Nawet zrobiło mu się go trochę żal. Pomyślał, że właśnie tak kończą tyrani. Na starość nikt nie chce im podać nawet herbaty.

Poczuł w kieszeni wibrację smartfona. Odebrał.

– Czy Kumidor jest bezpieczny? – zapytał Kałużyński.

– Tak, ale... – Wyszedł z pokoju. – Na razie w kiepskim stanie. Może nawet w szoku – dodał półgłosem.

– Oglądał transmisję?

– Uparł się, choć mu to odradzałem. W tej chwili w mojej ocenie nie jest zdolny do podejmowania decyzji.

– Pilnuj go. Wybadaj, jakie ma plany, i nie pozwól, aby zrobił coś głupiego. Wydam rozkaz, aby wzmocnić kordony, i porozumiem się z prezydentem i premierem. Musimy ustalić, co robić.

– Jasne.

– Dariusz...

– Tak?

– Nie spierdól tego.

Połączenie zostało przerwane. Agent pociągnął nosem i schował smartfon do kieszeni marynarki. Pomyślał o Brudnym. Wiedział, że coś przed nimi ukrywa. Niby zwykły glina, ale nikt tak jak on z gówna nie potrafił ukrećić bata, aby potem wysmagać nim niczego niespodziewającego się oponenta. Imponował mu, a nawet trochę go przerażał. Miał wrażenie, że są ulepieni z tej samej gliny, że gdyby tylko poznali się wcześniej, naprawdę mogliby stworzyć zabójczy team. Niepokonany.

Szkoda, pomyślał. Odchrząknął i odwrócił się, aby wydać rozkazy swoim ludziom. Willa Kumidora musiała stać się twierdzą nie do zdobycia.

ROZDZIAŁ 31

Poranek był słoneczny, przejrzysty i rześki. Zimny wiatr rozwiął chmury i mgłę, mżawka ustąpiła i można by przyjąć, że ten dzień jest zapowiedzią czegoś nowego, gdyby nie wszystko, co ich otaczało.

– Wojsko? – Brudny skupił wzrok na dwóch wozach opancerzonych, które zatarasowały wjazd na ulicę Piękną.

– Jesteśmy blisko ambasady USA – zauważyła Julka. – Internet kipi już od teorii spiskowych, a wielu oskarża właśnie Amerykanów. Pieprzą coś o zamachu stanu, obaleniu rządu i tych wszystkich Targowicach. Podczas wczorajszych zamieszek dostali rykoszetem, więc pewnie wolą uniknąć powtórki z rozrywki.

– Ciekawe, czy się orientują...?

– Tego pewnie nigdy się nie dowiemy.

Na ulicach i chodnikach zalegały hałdy śmieci. Potężne korki utrudniały poruszanie się po mieście, ale Brudny zabezpieczył się na tę okoliczność i przed wyjściem z siedziby ABW zwrócił się do Kałużyńskiego z prośbą o przetransportowanie swojego patrola, który okazał się idealnym rozwiązaniem na nieuprzątnięte po zamieszkach ulice. Minister zgodził się bez problemu i krótko po wschodzie słońca jego maszyna już stała przed bramą kamienicy, w której wynajęli pokój. Sprawdził ją pod kątem podsłuchów, ale o dziwo nie wykrył nic nadzwyczajnego, więc albo specje Kałużyńskiego używali sprzętu, który wymykał się możliwościom profesjonalnego detektora, albo facet obdarzył go zaufaniem. Bardziej skłaniał się ku opcji numer jeden, ale choć znał każdy zakamarek patrola i przeczesał każdy centymetr, w tym podwozie, a nawet w kilku miejscach zajrzał pod tapicerkę, nie natknął się na żaden mikrofon czy nadajnik. Nie był pewny, co o tym myśleć, i ostatecznie uznał, że lepiej minimalizować ryzyko, więc umówili się, żeby o najbardziej delikatnych kwestiach nie rozmawiać w samochodzie.

Te sprawy omówili wcześniej. Stream z Kaczmarkiem tylko utwierdził ich w przekonaniu, że idą dobrym tropem. Fakt, że zdjęcie Jagody Nowak

nie znalazło się na liście samobójczyń, które w mniemaniu Sędziego targnęły się na życie po spotkaniu z wicepremierem i jego świtą, utwierdził ich w przekonaniu, że coś łączy dziewczynę ze sprawą. Wcześniej Zawadzka do spółki z Klimczak – zanim jeszcze ktoś włamał się do ich komputerów, a następnie do mieszkania Brudnego – bardzo dokładnie odtworzyły możliwy scenariusz jej śmierci. Tu nie mogło być przypadku. Jagoda Nowak rzuciła się pod pociąg w okolicach niewielkiej miejscowości o nazwie Radymno w województwie podkarpackim, dokładnie czternastego lipca dwa tysiące czternastego roku, czyli dzień po słynnej wizycie Kaczmarka w odległej o zaledwie dziesięć kilometrów wsi Stubno. To właśnie tam znajdowała się „Niebiańska przystań” – ogromny ośrodek wypoczynkowy dla krezusów, a w nim osławiony burdel „Niebo”, w którym tak radośnie bawili się politycy, zresztą nie tylko partii rządzącej, bo Julka pamiętała, że nazwa tego przybytku przewijała się kilkakrotnie przy okazji śledztwa w związku z „dark party”. W każdym razie sprawdziły, że to właśnie dzień przed śmiercią Jagody Nowak w „Niebiańskiej przystani” zainstalował się Kaczmarek (wtedy będący jeszcze w opozycji, ale jako jeden z lokalnych kacyków mający ogromne poparcie miejscowej społeczności), prawdopodobnie w ramach odpoczynku po kolejnym wyborczym wiecu w pobliskim Przemyślu. Afera wybuchła dopiero trzy lata później, bo okazało się, że w obiegu pojawiły się taśmy, na których minister edukacji i nauki uprawia brutalny seks z młodocianymi prostytutkami. Oczywiście obóz rządzący, aby zamieść sprawę pod dywan, zaprzął do walki o dobre imię wicepremiera całą machinę propagandową z telewizją rządową na czele, służby zajęły się zastraszaniem potencjalnych świadków, co gorsza części z nich zaczęły przydarzać się dziwne wypadki samochodowe, inni popełnili samobójstwa, taśmy zaś zniknęły... aż w końcu upublicznił je Sędzia.

– Ja tu zaczynam dostrzegać modus operandi – stwierdziła Zawadzka. Chwilę wcześniej skończyli oglądać poranną transmisję Sędziego. Nie wzbudziła w niej wielkich emocji. W jej ocenie Kaczmarek zasługiwał na wszystko, co go spotkało, a krzyki sąsiadów zza ściany potwierdzały, że nie jest w swoich odczuciach odosobniona. – Dorotę, a w zasadzie Dorotę, Jagodę i Michała, w rozumieniu Sędziego można by uznać za ofiary działalności Makowskiej, ale gość nie umieścił ich na liście. Samej Jagody również, choć wszystkie przesłanki sugerują, że była ofiarą Kaczmarka.

– Na to wciąż nie mamy dowodów – zauważył Brudny. – I raczej ich nie znajdziemy...

– Bo komuś zależało, aby je ukryć. To jest właśnie drugi aspekt tej sprawy, bo zarówno Dorota, jak i Jagoda w zasadzie zniknęły z systemu, począwszy od artykułów, które na ich temat pisała Patrycja, przez Krajowy System Informacji Policji, skończywszy na Systemie Rejestrów Państwowych, w tym PESEL, Stanu Cywilnego czy Dowodów Osobistych. Ktoś zadbał, aby o nich zapomniano, i wszystko wskazuje, że obecnie jedynym dowodem na ich istnienie są napisy na płytach nagrobnych.

– A Michał Nowak? On wymyka się temu rozumowaniu...

– Owszem. I tego do końca nie rozumiem.

– No i Pierun. – Brudny zaparkował na chodniku przy poszukiwanej kamienicy. Wychylił się i spojrzął przed przednią szybę w górę. – Ma motyw, a do tego gada cytatami z książek o polityce i zemście. Jak z początku nie wierzyłem, że może mieć z tym coś wspólnego, tak teraz mam coraz więcej wątpliwości.

– Przypomnij, do czego nawiązywał... – Zawadzka poprawiła przewieszoną na ramionach kaburę.

– „Za jedno życie, tysiąc żywotów uratowanych od życia i rozkładu”.

– *Zbrodnia i kara* Dostojewskiego, tak?

– Tak twierdzi Kałużyński, ale sprawdziłem to. Słowo w słowo.

– Można by to wiązać z tym, że chce ratować świat. Morduje jednostki w imię ratowania mas. Ma sens. A to drugie?

– *Moby Dick*. O tym szaleństwie. Coś, że „to ja jestem szaleństwem, to ja jestem demonem i jak mnie rozszarpali, to ja rozszarpie ich”. Jakoś tak to szło, w każdym razie wychyciłem to już podczas rozmowy z Pierunem, bo to jedna z moich ulubionych powieści.

– To też może się bronić – skonstatowała Julka. – Rozszarpali go, w sensie jego duszę, skazując w szpitalu ciężarną żonę na śmierć, więc oszalał z nienawiści i zamienił się w demona zemsty. A teraz idzie jak w dym, bez żadnych obaw, bo nie ma nic do stracenia. Naciera na białego wieloryba, czytaj... – Julka uniosła brwi.

– Kumidora?

– Skoro Kałużyński odesłał Dariusza, aby osobiście go pilnował, to zapewne tak to odczytali. Jako alegorię bezpośredniego ataku na najgrubszą rybę.

– No nie wiem. Naciągane to trochę, ale dobra... – Brudny sięgnął po broń. Przeładował i wcisnął za pasek. Wyrzwał przez okno. – Czas odwiedzić pana Maurycego Fajdka. Jeśli typ był z Dorotą w jakiejś relacji, to musi coś wiedzieć. Zbieraj się.

Wątpliwości zostawili w wynajętym pokoju i krótko później siedzieli już w patrolu. Droga na Piękną zajęła im prawie godzinę, bo miasto zostało niemal odcięte od reszty świata, a na co drugim skrzyżowaniu stały patrole wyrywkowo kontrolujące podejrzane pojazdy. Stan wyjątkowy stał się faktem. Zakazano zgromadzeń, wprowadzono godzinę policyjną, a wszystkie grupy powyżej pięciu osób były natychmiast namierzane i pacyfikowane. O dziwo, mieszkańcy zdawali się zaakceptować ten stan rzeczy, ale po pierwsze była wczesna godzina, a po drugie większość ludzi siedziała w domu w oczekiwaniu na kolejną transmisję Sędziego. Podczas jednej z rozmów Brudny zapytał Kałużyńskiego o możliwość wyłączenia internetu, ale minister spraw wewnętrznych stanowczo ją wykluczył.

– Wtedy nic by nie zatrzymało gniewu obywateli – wyjaśnił, odchrząkując. – Motłoch zmiótłby nas i wszystkich, którzy stanęliby mu na drodze. A strzelać do tłumu przecież nie możemy, prawda?

Ta myśl przyczepiła się do niego jak rzep do psiego ogona. Sam nie wiedział, czy to dobrze, czy źle, ale nagle okazało się, że ludzie nie są w stanie normalnie funkcjonować bez dostępu do sieci. Seniorzy, owszem, ale już ludzie z jego pokolenia potrzebowali internetu jak ryba wody. Jak mieliby prowadzić swoje firmy, negocjować umowy, dopinać biznesy, skoro przynajmniej połowa spotkań odbywała się online. A portale społecznościowe? Pamiętał, gdy kilka miesięcy wcześniej Facebook miał kilkugodzinną awarię, w telewizji mówiono o miliardowych stratach. Młodzi? Dla nich te wszystkie Facebooki, Instagramy i Tik Toki były jak tlen, a odcięcie ich od świata cyfrowego byłoby niczym odłączenie od respiratora. Brudny pomyślał, że Sędzia istotnie jest geniuszem. Przeanalizował wszystkie aspekty, przygotował się do misji perfekcyjnie pod każdym względem. Rozumiał te wszystkie zależności lepiej niż ktokolwiek i wiedział, że osłabiony rząd nigdy nie zdecyduje się na taki ruch. Ale czy naprawdę wierzył, że Kumidor ukorzy się przed narodem, przeprosi i dobrowolnie odda władzę? Komisarz nie miał pojęcia, jak wyglądają obecne sondaże, ale wątpił, aby aktualne poparcie dla partii rządzącej przekraczało próg wyborczy. Po co więc Sędzia to robił? Po co dalej w to brnął i dlaczego tak ryzykował? Czy rzeczywiście chciał obnażyć

te wszystkie zakulisowe podłości? Czy robił to dla wyższych celów, czy tylko z prywatnej zemsty? No i jaki udział miał w tym Pierun? Bo jakiś miał na pewno. A może nie? Może tylko bawił się z nimi wszystkimi, bo postanowił wykorzystać okazję, aby choć w ten sposób zemścić się za krzywdę, jaką mu wyrządzono?

Kim był Sędzia?

Brudny przepchnął patrelem wywrócony śmietnik i zaparkował w pobliżu spalonego wozu. Cała okolica, w tym ściana pobliskiej kamienicy, była osmalona, a z wraku wciąż wydobywały się smużki dymu. Wsiadł i zapalił. Rozejrzał się wokół. W zasięgu wzroku znajdowało się kilkoro przechodniów, którzy zdawali się zachowywać całkiem normalnie. Jakiś facet w garniturze i apasce właśnie wyszedł z Żabki, dwie młode dziewczyny chichotały, wpatrując się pod ścianą w smartfony, w tle niesły się pokrzykiwania i klaksony tracących cierpliwość kierowców. Dołączyła do niego Julka i przez dłuższą chwilę w milczeniu przypatrywali się trudnej do poznania stolicy. Akurat wyrzucał niedopałek, gdy zaczepiła go jakaś kobieta w ciemnozielonym płaszczu.

– Pan Igor Brudny? – zagaiła, marszcząc przesadnie wyprofilowane brwi. Brudny spojrzał na nią lekko zaskoczony. Kobieta spochmurniała. – Chuj i zdrajca z pana, panie Brudny.

– Słucham?

– Widziałam w telewizji. Redaktorzy mówili, że pan układa się z Kumidorem. Tylko chuj i zdrajca może się tak zeszmacić.

Komisarz nie był mistrzem szermierki słownej, ale zwykle wiedział, jak wybrnąć z tego typu sytuacji. Tym razem go jednak zatkało.

– Odczep się pan od Sędziego i daj mu zrobić porządek w tym kraju. I zobaczysz pan, że jeszcze będą mu stawiać pomniki – dodała, po czym dumnie zadzierając głowę, dziarsko ruszyła dalej.

Brudny posłał Julce wymowne spojrzenie, ale nic nie powiedział. Wyrzucił niedopałek do studzienki i skierował się do bramy.

– Olej to – rzuciła, dołączając do partnera. – Głupie babsko nie ma...

– Daj spokój, Julka – przerwał jej. – Od razu bierzemy typa na ostro?

– To zależy. Numer trzydzieści sześć.

Brudny wcisnął guzik domofonu i odczekali kilka sygnałów. Gdy już myśleli, że będą musieli wrócić później, z głośnika dobiegł trzask.

– Słucham? – Głos mężczyzny brzmiał staro, a do tego facet charczał, jakby miał zaawansowanego raka krtani.

– Czy pan Maurycy Fajdek?

Zapadła cisza, ale osoba po drugiej stronie nie odłożyła słuchawki. Dyszała.

– Czy zastaliśmy pana Maurycego Fajdka? – powtórzyła Julka.

– A kto pyta? – Ton stał się jeszcze bardziej szorstki, niemal grobowy.

– Policja.

– Bzdura.

– Komisarz Julia Zawadzka. Chciałabym porozmawiać...

– Wynoście się, ludzkie gnidy!

Trzask i głośnik zamilkł. Igor i Julka spojrzeli po sobie, po czym ona ponownie wystukała numer trzydzieści sześć. Tym razem nie czekali tak długo.

– Zostawcie mnie i żonę w spokoju, rozumiecie? – wychrypiął mężczyzna i zaczął kasłać. Julka nabrała wątpliwości.

– Przepraszam, ale szukamy pana Maurycego Fajdka. Czy on wciąż tu mieszka?

– Mój syn od trzech lat nie żyje.

– Jak... zginął?

– Zamordowali go ci cholerni narodowcy! Pieprzeni neofaszyści! A wy nie zrobiliście nic! Nic a nic! Wynoście się i nigdy nie wracajcie!

Połączenie znów zostało zerwane. Nie mieli już czego tu szukać. W tonie mężczyzny dało się wyczuć nieskrywaną ojcowską rozpacz. Pewnych rzeczy nie dało się udawać, poza tym chwilowo nie mieli tego jak sprawdzić. Przerażeniem napawał natomiast fakt, że tego typu informacja nie pojawiła się w KSIP-ie. Samo podejrzenie, że prokuratura do spółki z policją tuszowała morderstwa popełnione przez tak wspieranych przez Broziaka członków grup neonazistowskich, kryjących się pod sztandarami narodowców, sprawiało, że chciało jej się wymiotować. Czy obecna władza całkowicie zatraciła jakiegokolwiek ludzkie odruchy? Czy w zamian za te kilkadziesiąt czy kilkaset tysięcy głosów najbardziej skrajnego odłamu swoich wyborców była w stanie posuwać się do tak haniebnych zaniedbań? To było bardziej niż odrażające i gdyby jednak Sędzia...

Przez głowę Julki przemknęła parszywa wizja. Zaklęła pod nosem. Była policjantką. Nie mogła rozumować w ten sposób. Złowiła spojrzenie partnera i zrozumiała, że nie jest w tym osamotniona, co wcale nie poprawiło jej humoru.

– Do Zawilskiej? – zapytała.

– Do Zawilskiej – odparł.

Do samochodu wracali w milczeniu. Oboje nie mogli opędzić się od ponurych myśli i obojgu z tego samego powodu było cholernie wstyd. W aucie czekała ich niemiła niespodzianka. Gdy tylko Brudny uruchomił silnik, a z głośników dobiegł głos reporterki lokalnego radia, spojrzął na partnerkę. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwali się w specyficzny, lekko zachrypnięty głos znanej i lubianej Agaty Milik.

– Kurwa mać – jęknął Brudny, jakby to miało cokolwiek pomóc. Prawie na pewno przez niego właśnie zginęła kolejna osoba. I choć reporterka wspomniała tylko o „potwornej zbrodni w wieżowcu przy Złotej”, trudno mu było zakładać, że to przypadek. Julka bez słowa wykręciła numer do koleżanki z kryminalnej, która mogła się orientować w sytuacji. Potwierdziła, że ofiara została zidentyfikowana jako Marek Srebrzyński.

– Jesteśmy coraz bliżej i on to wie – mruknęła Zawadzka, gdy się rozłączyła. – Chcesz tam jechać?

– Wypadaloby. Która godzina?

– Minęła jedenasta. – Julka zerknęła za szybę. – To niedaleko, więc się przejdę. Ogarnę Zawilską, a ty sprawdź, co się stało na Złotej. Może być?

Brudny przytaknął i mruknął coś pod nosem. Julka uniosła brew.

– Chciałeś powiedzieć, że mnie kochasz? – zagadnęła.

– Coś w ten deseń – mruknął. – Uważaj na siebie, okej?

– Też cię kocham. Na razie.

Odprowadził ją wzrokiem. Nie obróciła się już, tylko pewnym krokiem pomaszerowała do znajdującego się trzy kamienice dalej mieszkania Zawilskiej. W końcu wrzucił wsteczny i wycofał. Na Złotą też nie było daleko, ale wolał mieć patrola pod ręką. Towarzyszyło mu silne przecucie, że dobry druh może mu się przydać.

ROZDZIAŁ 32

– Jak sondaż? – zapytał Nosalski.

– Osiemdziesiąt osiem procent chce, aby prezes spełnił żądania Sędziego
– odparł wiceminister Czabański.

Sondaż był pierwszym, czego zażądał Kumidor, gdy tylko ochłonął po obejrzeniu transmisji Sędziego. Nosalski spodziewał się właśnie takiego obrotu spraw, bo prezes całą swoją politykę opierał właśnie na sondażach. Każda podjęta decyzja najpierw musiała być zweryfikowana oczekiwaniami ludu. Nieważne, czego dotyczyła, czy była zła czy dobra z punktu widzenia przeciętnego obywatela. Jeśli Kumidor uznał, że pozwoli mu umocnić władzę, a Polacy przełkną kolejną żabę, atakował błyskawicznie. Tym razem musiał się bronić. A wyniki nie napawały optymizmem.

– Uważam, że polski rząd w żadnym wypadku nie powinien negocjować z terrorystami – zauważył prezydent, uderzając pięścią w stół. Zwykle tak robił, aby podkreślić swoje wypowiedzi, bo w towarzystwie nie miał żadnego poważania.

– Jasne – mruknął premier, a reszta zebranych przewróciła oczami.

Spotkanie w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego przebiegało w nerwowej atmosferze. Co prawda chaos na ulicach większości miast udało się chwilowo opanować, ale wszyscy obecni – głównie ministrowie resortów siłowych, szefowie służb, premier i prezydent – zdawali sobie sprawę, że to cisza przed burzą. Ostatnie żądanie Sędziego nie pozostawiało wątpliwości, że kolejna noc zamieni się w piekło, a na ulice miast wylegną nie setki tysięcy, lecz miliony. Wizja rozwścieczonego tłumu wdzierającego się do kolejnych budynków rządowych, w tym Sejmu czy Pałacu Prezydenckiego bez wątpienia przemknęła przez głowy większości zebranych. Premier widział to na ich twarzach, na których malowały się głównie niepewność i strach. I bezradność, która najbardziej rzucała się w oczy. Brak Kumidora, który w związku z obawą o własne życie postanowił zostać w domu, tylko intensyfikował poczucie zagubienia.

Nosalski sam czuł się w pewien sposób porzucony, choć nigdy by się tego po sobie nie spodziewał, bo od dłuższego czasu robił wszystko, aby wybić się na jako taką samodzielność. Ale reszta? Spojrzał z pogardą na twarze klakierów prezesa. Większość to byli tylko użyteczni idioci, niezdolni do podejmowania samodzielnych decyzji, zwykłe kmioty, które w normalnym życiu zdechłyby z głodu już po miesiącu, bo żaden normalny pracodawca nie zatrudniłby takich sierot, a jeśli już, to wyrzuciłby ich na zbity pysk po pierwszym dniu pracy. Łajzy, nikczemnicy, złodzieje i kurwiarze. Siedzieli tu tylko dlatego, że byli wierni swemu panu, wszyscy albo prawie wszyscy dlatego, że Kumidor miał na nich zabójcze haki. Machloje, seksualne wybryki, używanie przemocy, kontakty z półświatkiem. Każdy z nich miał coś za uszami i musiał chodzić na smyczy prezesa, jeśli nie chciał zostać skompromitowany, a następnie trafić za kratki. Teraz wszyscy oni byli totalnie przerażeni, bo nagle okazało się, że ich lojalność stała się gównem warta. Czy któryś łudził się, że jest inaczej? Nosalski w to wątpił. Miał nieodparte wrażenie, że znajdują się na tonącym Titaniku, z tą różnicą, że tam kapitan pozostał na statku do samego końca, a prezes, który przez ostatnie lata stał za sterem prowadzonego przez nich okrętu, w chwili największej próby umknął jak szczur, aby skryć się za kordonami policji w swojej twierdzy na Sadybie.

Premier przeniósł wzrok na ministra spraw wewnętrznych i administracji. Kałużyński był jednocześnie koordynatorem służb specjalnych i to w jego gestii leżało zabezpieczenie najważniejszych osób w państwie. Co z tego, jeśli nie ufał mu za grosz.

– Olgierd? – zagaił i instynktownie przytknął dłoń do policzka, gdy mięśnie przy oku zaczęły swój nerwowy taniec.

Kałużyński oparł łokcie o blat stołu i lekko wychylił się zza postawnego Czabańskiego. Na tle pozostałych wyglądał na bardziej rozgarniętego, co nie znaczyło, że nie pocił się jak wszyscy.

– Poczyniliśmy wszelkie przygotowania, aby bronić najważniejszych obiektów w stolicy – zaczął pewnym tonem. – W porozumieniu z ministrem Smolikiem ustaliliśmy, że użyjemy wojska. Liczymy na akceptację tego pomysłu. Chcielibyśmy, aby na ulicach wszystkich miast powyżej stu tysięcy pojawili się żołnierze wraz z osprzętem, w tym wozami opancerzonymi. Samą Warszawę zamienimy w twierdzę, w związku z czym będziemy gotowi do błyskawicznego rozprawienia się z każdym większym zgromadzeniem. Oczekuję też, że moi ludzie otrzymają pozwolenie i, tu

mam na myśli tylko policję, na masowe użycie broni gładkolufowej, w razie gdyby doszło do prób forsowania naszych zabezpieczeń. Wojska użylibyśmy w ostateczności, w razie szturm lub próby siłowego przejęcia władzy.

– Czy jesteś pewien, że twoi ludzie... – Nosalski przeniósł wzrok na ministra obrony. – I ciebie też to się tyczy Jarek... Czy jesteście pewni, że morale jest wystarczająco wysokie? Że nie dojdzie do buntu? Wiem, że kilku generałów wczoraj podało się do dymisji, a moi ludzie donoszą, że w służbach specjalnych też panuje duże niezadowolenie...

– Moi chłopcy przysięgali bronić ukochanej ojczyzny przed każdym wrogiem, także wewnętrznym i wszelkiej maści zdrajcami narodu – oznajmił Smolik, zadzierając brodę. Zawsze się tak zachowywał, gdy po raz kolejny robił z siebie idiotę i Nosalski nie mógł wyjść ze zdumienia, że Kumidor postanowił dać takiemu kretynowi ten ważny resort. – A generałami bym się nie przejmował – kontynuował stanowczym tonem Smolik. – Większość tych, którzy odeszli, to ludzie namaszczeni przez poprzednią władzę, bez pojęcia o tym, co ważne dla kraju, nienoszący w sercu Polski. W ich miejsce awansowałem naszych ludzi.

Nosalski bał się myśleć, kto mógł stanąć na czele poszczególnych dywizji. W tym całym rozgardiaszu nie miał okazji przyjrzeć się kandydaturom, które oczywiście najpierw musiały być klepnięte przez prezydenta, ale znając bogoojczyźniane zacięcie Smolika, w ciemno mógł zakładać, że przynajmniej kilku zostało wybranych spośród dziekanów albo biskupów polowych. Czysta groteska, pomyślał i skupił wzrok na Kałużyńskim.

– Jak morale w policji? – zapytał, unosząc brew.

– Wysokie, a nawet jakby było niskie, to co? Mamy jakiś wybór? – Kałużyński podniósł się z krzesła. Był wyraźnie poirytowany i zaczynał tracić cierpliwość. – Może przestańmy w końcu pierdolić o głupotach i skupmy się na działaniu – dodał.

– I kto to mówi? – Bonifacy Białek, minister kultury, prychnął. Po Smoliku miał najbardziej radykalne poglądy i swojego czasu regularnie klękał i całował Kryszaka po rękach. Kałużyński gardził nim jak wszystkimi religijnymi fundamentalistami, ale w rządzie miał większych wrogów, w związku z czym ten atak mocno go zaskoczył.

– Przez ciebie już po nas, Olgierd – włączył się do rozmowy minister aktywów państwowych, gruby jak bela Artur Sosnowski. Był jednym

z tych, którzy na utracie władzy mogli ucierpieć najbardziej, bo nie dość, że poupychał setki swoich ludzi w niemal każdej spółce skarbu państwa (każdy z nich pobierał ogromne wypłaty, z których „Sosenka” nielegalnie czerpał soczyste prowizje), to liczba przekrętów, do jakich zdołali się dokopać dziennikarze, była zatrważająca. A to wszystko i tak było tylko wierzchołkiem góry lodowej. – Przez twoją nieudolność wszystko pójdzie się jebać. Wszystko, co z takim mozołem tworzyliśmy, przestanie istnieć. O tak. – Sosnowski strzelił palcami. – I tym razem Rokosz nam nie odpuści.

O dziwo premier nie zareagował i Kałużyński pomyślał, że chętnie by ich wszystkich zobaczył w celi. Też wiedział o tych wszystkich przekrętach, no prawie wszystkich, bo całością haków dysponował jedynie Kumidor. Ale gdyby się uparł, na każdego z tu obecnych znalazłby wystarczająco dużo, aby te opasłe mordy przez długie lata oglądały świat zza krat. Teraz czuł na sobie ich spojrzenia. Obwiniali go o... nieudolność? Poczul, jak w gardle rośnie mu gula. Zacisnął zęby, aby nie powiedzieć czegoś, czego potem mógłby żałować.

– Musimy postanowić, co robimy – powiedział, ignorując przytyki partyjnych kolegów.

– Pan prezes nie może... – zaczął Sosnowski, ale Kałużyński nie wytrzymał.

– Pan prezes nie ma tu już nic do gadania! – wyrwał się, wprawiając w osłupienie siedzących przy stole. Nagle poczul, że to nie ma sensu. Kit, że wszystko jest w porządku, można było wciskać w rządowej telewizji, ale nie tutaj. Przetarł czoło. To był ten moment. Musiał w końcu wytłumaczyć tym sierotom, że żarty się skończyły. – Kumidor jest starym, niedołącznym i kompletnie oderwanym od rzeczywistości ramolem, który ledwo potrafi dojść bez pomocy do kibla. Zrozumcie to wreszcie. Wbijcie to sobie do tych waszych pustych łbów! – Kałużyński wymownie popukał się knykciami w głowę. Nieoczekiwanie poczul wielką ulgę, jakby ktoś ściągnął mu z barków ogromny ciężar. Omiótł wzrokiem poblądłe ministerialne oblicza. Nie mógł już się wycofać. Musiał w to brnąć. – Wy naprawdę myślicie, że Kumidor znów wpadnie na swój kolejny genialny pomysł i uratuje wam dupy? – zapytał podniesionym tonem, ale nie miał zamiaru czekać na odpowiedź. – Naprawdę wydaje wam się, że wyczaruje jakiś trybunał, który załatwi sprawę za was? Nie! Nie, kurwa! Nikt wam nie pomoże i albo w końcu się ogarniecie, albo wszyscy co do jednego

zostaniecie wywiezieni na taczkach. Ktoś z was w ogóle widział, co się dzieje na ulicach? – Wskazał palcem na okno. – Też, kurwa, nie! A wiecie dlaczego? Bo wszyscy boicie się wychylić. Każdy z was sra ze strachu w gacie. Każdy doskonale wie, że już dawno powinien siedzieć w więzieniu i czas bezkarności właśnie dobiegł końca. Immunitet może i jeszcze chroni was przed systemem sprawiedliwości, ale nic ani nikt nie uchroni was przed milionem wkurwionych obywateli.

Kałużyński złapał za oparcie krzesła. Nagle poczuł wielką ochotę, aby je unieść i roztrzaskać na stole, ale tylko zacisnął palce na drewnie. Przez chwilę mierzył wzrokiem partyjnych kompanów, którzy wyglądali teraz jak zastygłe figury woskowe. Nikt nie miał odwagi, aby przerwać tę niezręczną ciszę. Nawet premier siedział, jakby ktoś przyspawał go do krzesła.

– Kumidor stracił kontrolę nad sytuacją i nie jest w stanie podejmować logicznych decyzji. Uważam, że musimy podjąć radykalne kroki i zmusić go do spełnienia żądań Sędziego.

Na dłuższą chwilę zapadła kompletna cisza. Mężczyźni powoli przyswajali brutalną prawdę.

– Nie ma mowy – odezwał się Nosalski.

– Hańba! – ryknął Smolik.

– To zdrada! – dodał Sosnowski. – Hańba i zdrada! Hańba i zdrada!

– Polski rząd nie negocjuje z...

Głos prezydenta ugrzązł w serii histerycznych krzyków rozemocjonowanych mężczyzn. Kałużyński patrzył na nich i nie wierzył. Przypominali mu grupę obłąkanych szaleńców, którzy bardziej nadawaliby się do psychiatryka. Wystarczyłoby przebrać ich w pidżamy i voilà. Czy on naprawdę przez tyle lat współpracował z takimi debilami? Czy naprawdę przez tak długi czas nie dostrzegali, jakie to żenujące? Wtedy coś w nim pękło. Musiał zakończyć ten groteskowy teatr. Koniec kłamstw. Koniec tego szaleństwa.

Wóz albo przewóz, pomyślał i grzmotnął pięścią w stół z taką siłą, że omal nie połamał sobie kości śródrečza.

– Dość!!! – ryknął i ku jego zdziwieniu wszyscy zamilkli. Mieli czerwone twarze i spocone skronie. Spojrzał na Nosalskiego, który nerwowo pocierał policzek pod okiem. – Nie mamy innego wyjścia. Kumidor musi się ukorzyć, bo Sędzia i tak prędzej czy później wyjawia wszystko, co wie. Musimy zareagować i go wyprzedzić. Musimy to przerwać. W innym razie ten psychopata najpierw nabije na pal Kaczmarka,

a później wyśle na ulice miliony rozwścieczonych obywateli. I tym razem nie wyjdą, aby krzyczeć i demonstrować. Oni przyjdą po nas. Przyjdą, aby nas dorwać i ukarać. Wtedy żadni ochroniarze SOP-u, kordony policji czy nawet uzbrojeni po zęby żołnierze nie uchronią was przed linczem.

– Na Białorusi nikt się z demonstrantami nie cackał – rzucił Smolik. – Skoro tam sobie poradzili, to i my sobie poradzimy. Nasi dzielni chłopcy są gotowi do...

– Jacy „dzielni chłopcy”? Czy ty się słyszysz, człowieku? – Kałużyński wychylił się, aby spojrzeć w oczy ministra obrony. – My nie jesteśmy pierdoloną Białorusią, a nawet jeśli tak to sobie wyobrażacie, to tam w całym kraju na ulice wyszło ćwierć miliona ludzi. U nas w samej Warszawie wyjdzie przynajmniej cztery razy tyle. A takiego tłumu nic nie powtrzyma. Nawet twój, kurwa, „dzielni chłopcy”... – podkreślił dwa ostatnie słowa z wyraźną drwiną w głosie. Zebrani milczeli, ich powieki drżały, a Kałużyński nagle poczuł nieprzyjemny zapach potu. – Wyjdźcie w końcu z piaskownicy, jeśli chcecie żyć – dodał już spokojniej i z powrotem usiadł na krześle. – Banda kretynów – mruknął już do siebie.

Przez kilkadziesiąt następnych sekund dało się słyszeć najcichszy szmer. Mężczyźni odchrząkiwali, poprawiali i luzowali krawaty, stukali podeszwami o posadzkę, kręcili się jakby mieli w dupie owsiki, ale żaden nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Pierdoleni tchórze, pomyślał Kałużyński. Gardził nimi. Byli obrzydliwi. Nawet teraz każdy czekał, aż ktoś inny zabierze głos. Kolejne sekundy dłużyły się niemiłosiernie, jakby ktoś wsypał piach w mechanizm zegara. W końcu premier, który nagle spuchł, jakby krawat zamienił się w stryczek, podniósł się z krzesła. Skrzywił się, gdy mięsień pod okiem zadrgał mocniej niż zwykle.

– Wnioskuje o pilne zwołanie posiedzenia Sejmu na godzinę dwudziestą. Kto jest za?

Nikt nie uniół ręki, dopóki nie zrobił tego Kałużyński. Chwilę później w górze widniał już las dłoni.

ROZDZIAŁ 33

W klatce unosił się zapach przygotowywanych obiadów. W jednym z mieszkań na pierwszym piętrze bez wątpienia ktoś robił gołąbki, na drugim dominowała ryba, a na trzecim Julka postawiłaby na gulasz wołowy, choć w tym wypadku nie dałaby sobie uciąć ręki. Przed wyjściem zjedli z Brudnym solidne śniadanie, ale i tak poczuła, że pod językiem zbiera jej się ślina. Rzadko jadła dobrze, ale to stwierdzenie odnosiło się do większości policjantów, którzy do michy wkładali wszystko, co akurat wpadło im w ręce. Stając przed drzwiami numer trzydzieści dziewięć, pomyślała, że musi trochę zwolnić i po wszystkim namówi Igora na wyjście do restauracji, gdzie zamówi sobie porządnie wysmażony stek z dodatkami. Zapukała. Z wnętrza dobiegły jakieś głosy, usłyszała kroki i po chwili drzwi się uchylily. W szparze najpierw błysnął łańcuszek, a następnie pojawiła się okrągła twarz kobiety w średnim wieku.

– Dzień dobry pani. – Zawadzka uśmiechnęła się. Była dobra w powitalnych gadkach i potrafiła wzbudzać w ludziach zaufanie, a blizna na policzku wbrew pozorom wcale nie działała na rozmówców odstręczająco. Wyciągnęła blachę. – Nazywam się Julia Zawadzka i jestem komisarzem policji. Czy mogłabym zająć pani chwilę?

– Z policji? – upewniła się kobieta. Zawadzka z pełną premedytacją pominęła słowa „stołecznej” i „kryminalnej”. Po pierwsze działała poza procedurami, a po drugie wołała zaczynać rozmowy łagodnie.

– Tak, ale proszę się nie obawiać – uspokajała. – Mam tylko kilka pytań na temat sprawy sprzed kilku lat. Pani Zofia Zawilska, jak mniemam...

– Taaak, ale... jakiej sprawy? – Kobieta wciąż trzymała dłoń na końcówce zapornicy. W jej oczach dało się dostrzec wyraźną nieufność.

– Wpuści mnie pani? Wszystko zaraz wyjaśnię.

Zawilska raz jeszcze poprosiła o pokazanie odznaki, po czym wytarła dłonie w przewieszony na biodrach fartuch w misie i otworzyła drzwi. Zamknęła w sypialni przesadnie grubego jamnika i wskazała drogę do salonu. W telewizji leciał kanał informacyjny zarządzany przez partyjnego

nominata Jerzego Ruskiego. Julka usiadła na kanapie, a gospodyni poszła do kuchni zrobić kawę. Rozejrzała się. W środku panował lekki zaduch, czuć było jedzeniem i psem. Na fotelu wylegiwał się biało-rudy dachowiec, a dwa mniejsze tarnosiły jakąś kulkę. Cały pokój wypełniony był niezliczoną liczbą bibelotów, których sporą część stanowiły najróżniejsze dewocjalia: obrazki, medaliki, figurki, krzyżyki. Tych ostatnich komisarz naliczyła na ścianie cztery. Oprócz tego na stole dwa magazyny katolickie i jeden z tych, które powszechnie uznawano za ultraprawicowe. Na jego okładce znajdowała się grafika, na której stała grupa kilkunastu polityków opozycji, w tym jej lider z narzuconym na głowę katowskim kapturem. Czerwony tytuł brzmiał: „Chcą obalić rząd”, a poniżej w leadzie można było przeczytać: „Nikt już nie ma wątpliwości, że opozycja mocno kibicuje szaleńcowi, który na żywo morduje niewinnych ludzi. Lider Lech Rokosz umywa ręce i nie chce współpracować z demokratycznie wybranym rządem. W kuluarach mówi się, że potajemnie negocjuje z Niemcami i Rosją, aby w odpowiednim momencie wysłać na ulice miliony ludzi, a następnie poprosić wrogów o zbrojną pomoc. Czy Lech Rokosz stanie się katem polskiej demokracji?”.

Prychnęła, nie potrafiła uwierzyć, że ktoś mógł wydrukować takie brednie. Sięgnęła po gazetę, aby zajrzeć do środka, ale zmieniła zdanie. Katowanie się takimi idiotyzmami nie miało sensu, zwłaszcza że w telewizji wcale nie było lepiej. Właśnie odtwarzano jakieś archiwalne zdjęcia, na których Rokosz ścisnął dłoń prezydenta Rosji, a następnie kanclerz Niemiec. Na obu został uchwycony z nieco szelmowskim uśmiechem, a młody reporter próbował przekonywać, że Sędzia to jeden z agentów obcego wywiadu, który, według pewnej hipotezy, krótko po nieoficjalnej wizycie Rokosza na ogólnoswiatowej konferencji dotyczącej polityki klimatycznej został wysłany przez wrogie mocarstwa, aby pogruchotać nogi powstającej z kolan Polski. Wszystko za pomocą najnowocześniejszej technologii, która jest obecnie rozpracowywana przez polskich ekspertów do walki z cyberprzestępczością, niestety, osamotnione polskie służby nie są w stanie namierzyć sygnału, gdyż ten został specjalnie zhakowany, a teraz jest dodatkowo regularnie zagłuszany przez siły ze Wschodu. Oczywiście o Halinie Makowskiej, której śmierć w żaden sposób nie pasowała do narracji, nikt się nawet nie zająknął, a chwilę później do głosu doszli jacyś prawnicy publicyści, którzy za wszelką cenę próbowali udowodnić tę kuriozalną teorię, podając dowody tak absurdalne, że równie

dobrze mogliby ogłosić, że za wszystko odpowiedzialni są kosmici, bo pani Basia z Koziej Wólki była świadkiem lądowania UFO z logo partii opozycyjnej.

Julka słuchała tego z szeroko otwartymi oczami. W ogóle rzadko oglądała telewizję, uznając, że nie ma już prawdziwego dziennikarstwa i tak naprawdę wszystkie media kłamią. Niektóre mniej, inne więcej, ale wszystkie mówią to, czego akurat oczekuje od nich podmiot właścicielski. Rządowej nie oglądała w ogóle, bo już kilkakrotnie się przekonała, że poziomem tępej propagandy szoruje po dnie, ale nigdy by nie przypuszczała, że można wbijać ludziom do głowy aż takie bzdury. To nawet nie były bzdury. To były wyjątkowo niebezpieczne treści, które dobry prawnik mógłby przedstawić jako nawołujące do nienawiści, o ośmieszeniu państwa na zewnątrz już nie wspominając. I żeby to było tylko ośmieszenie. Przecież prawdziwy wróg, widząc taki poziom agresji, dodatkowo groteskowej, musiał zdawać sobie sprawę, że tym krajem rządzi banda skończonych idiotów, z którymi nie ma sensu wchodzić w dyskusję, tylko w odpowiednim momencie przyjść po swoje. Poczula wstyd gorszy niż kiedykolwiek, co z jednej strony ją zdziwiło, z drugiej zszokowało, bo przecież w jaki sposób mogła wpłynąć na to, co dzieje się na górze? Skrzywiła się na tę myśl, gdyż zdała sobie sprawę, że nie tylko miała, ale ma cały czas, tak jak każdy obywatel tego kraju, a ci na górze są tylko lustrzanym odbiciem społeczeństwa.

– Mamy taką władzę, na jaką zasługujemy, zgodzi się pani? – Z zamyślenia wybił ją zmęczony głos Zawilskiej, która zagadnęła ją, jakby czytała w jej myślach. Gospodyni postawiła tackę z kawą i ciastem. Zdążyła ściągnąć fartuch, który odsłonił dresowe spodnie. Oprócz tego miała na sobie sweter i niemodne klipsy ze sztucznymi szmaragdami. – Myśli pani, że pan prezes ugnie się przez tym szaleńcem?

– Dziękuję. I... nie wiem. Naprawdę. To... – Julka ugryzła się w język. Sympatie polityczne Zawilskiej zdawały się dość czytelne i jeśli chciała coś od niej wyciągnąć, to musiała uważać na słowa.

– Od razu zaznaczę, że ja w te zarzuty nie wierzę. Pan prezes to patriota, ale... – Gospodyni zawiesiła głos i usiadła w fotelu naprzeciwko. Wygięła usta w podkowę i pokręciła głową. – Ja już nie wiem, co tu się wyprawia i kto ma rację. W telewizji mówią o zdradzie, oskarżają Rokosza i te jakieś... no... wywiady szpiegowskie wrogich mocarstw. Ale ostatnio syn

pokazał mi na telefonie te obrzydliwe filmy. Boże przenajświętszy. Czy to możliwe, żeby nasi władarze dopuszczali się takich okropieństw?

– Każda władza deprawuje... – uchyliła się od odpowiedzi Julka.

– Oj tak, chyba ma pani rację. Ale ja to chyba jednak w to nie wierzę, bo teraz to komputerowo podobno można zrobić wszystko. W telewizji mówią, że... no wie pani... że można tak niby uciąć komuś głowę z jednego filmu i wstawić na drugi film, ale tak żeby nie było tego widać.

– Pani Zofio... – Julka upiła łyk kawy i sięgnęła po widelczyk. – Pani wybaczy, ale przyszedłam tu w zupełnie innej sprawie i szczerze mówiąc, nie mam zbyt wiele czasu.

– Ach tak. Na mieście gorąco. Ja wiem. Szanuję policję i wcale nie myślę, że działa agresywnie, jak to mówią w tych telewizjach opozycyjnych. Uważam, że tych wszystkich chuliganów trzeba postawić do pionu. Naszą Warszawę niszczą. Nasze miasto, które już tyle wycierpiało. Wie pani, że moja babcia walczyła w powstaniu? Mamę urodziła tydzień przed jego wybuchem, a i tak chwyciła za broń. To był...

– Pani Zofio... – ucięła jej Julka. Kobieta była wyjątkowo gadatliwa i należało jedynie przekierować strumień jej myśli na odpowiednie tory. – Przyszedłam, bo chciałam zapytać o panią Dorotę Nowak. Kiedyś byłyście sąsiadkami w kamienicy przy ulicy Pięknej, mam rację?

– Tak, byliśmy. – Gospodyni zmarszczyła brwi. Wyglądała na nieco starszą, niż była w rzeczywistości, a jej wiek najbardziej zdradzały wyraźnie widoczne kurze łapki. Duże ciemne oczy błysnęły podejrzliwością. – Dlaczego pani o nią pyta? Dorota nie żyje od wielu lat.

– Chciałabym ustalić, czy w tamtym okresie mieszkała z jakimś mężczyzną. Wiem, że były panie dość blisko i może zwierzała się pani z pewnych spraw... – Julka nabiła kawałek ciasta i włożyła do ust. Mruknęła z zadowoleniem, jakby była to najpyszniejsza rzecz, jaką zjadła od lat, i w sumie nie było w tym wiele z przesady.

– To teraz policja już nawet zmarłym zagląda pod kołdrę? – zapytała gospodyni, przyjmując surowszy wyraz twarzy.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Po prostu próbujemy ustalić pewne fakty, które być może łączą się z prowadzonym przez nas obecnie śledztwem. Czy kojarzy pani partnera, z którym mieszkała pani Dorota?

Zawilska mruknęła i lekko zmrużyła oczy. Była bardzo podejrzliwa, ale najwyraźniej uznała, że minęło wystarczająco dużo czasu, a prawda i tak nikomu już nie zaszkodzi.

– Dorota miała wielu adoratorów, ale nigdy nie wyszła za mąż – powiedziała, powoli mieszając kawę. – Nie pochwalałam tego, ale moim zdaniem każdy może żyć, jak mu się podoba. I pod kołdrę jej nie zaglądałam.

– Pamięta pani ich nazwiska? Albo przynajmniej imiona?

– Był jakiś Irek i ten sąsiad z tatuażami. Taki wielki chłop. Nazywał się Maurycy Fajdek. Zapamiętałam, bo nie dość, że ma takie samo nazwisko, to nawet posturą przypomina trochę tego naszego młociarza, Pawła Fajdka. Może to nawet ktoś z rodziny, bo naprawdę podobny był. Buzia taka okrągła i... – Nagle posmutniała, machnęła ręką. – On też już nie żyje. Podobno wszedł w jakieś złe towarzystwo i pobili go na śmierć. Ponoć lewackie bojówki. Lewackie faszystowskie. I narkotyki też jakieś były. Tak coś słyszałam, ale ile w tym prawdy, to nie wiem, bo to tylko plotki od Marylki.

– Kim jest Marylka?

– Sąsiadka. Plotkara. Codziennie chodzi do kościoła i tam słyszy różne rzeczy, ale lubi też dużo gadać i nie zawsze prawdę. W każdym razie te bojówki to...

– Skupmy się na Dorocie, dobrze? – przerwała jej Zawadzka. „Lewackie faszystowskie bojówki” brzmiały w jej ustach komicznie i Julka zastanawiała się, czy kobieta w ogóle wie, o czym mówi. Ojciec Fajdka miał w tej kwestii zgoła inne zdanie i wspominał o narodowcach i neofaszystach. Jak widać społeczeństwo potrafiło znaleźć wspólny mianownik dla wszystkiego. – Ten Irek. Pamięta pani, jak wyglądał?

Kobieta zrobiła nietęgą minę. Wzięła z talerzyka kawałek ciasta i ugryzła. Przez chwilę przeżuwała kęs.

– Taki jakiś mały był. I chuderlawy. Taki z niego był facet jak z koziej dupy trąba. Nie wiem, co w nim widziała, ale chyba nic, bo pojawił się tylko kilka razy, a ona później mówiła, że nie chce o nim rozmawiać, bo nie ma o czym.

– A mąż pani Doroty? To z nim...

– Już mówiłam, że Dorota nigdy nie wyszła za mąż.

– Tak, przepraszam. Chodzi mi o dzieci. Wie pani, kto był ojcem Michała i Jagody?

Kobieta znów podejrzliwie zmrużyła oczy. Mogła to odebrać nie najlepiej. Dzieci Doroty Nowak też już nie żyły. Na szczęście po chwili znów spoglądała normalnie.

– To jakiś żołnierz był. Komandos, co to na misje jeździ – rzekła i odkroiła kolejny kawałek ciasta. – Dorota nie lubiła o nim mówić, bo zawsze miała wtedy łzy w oczach. Tak mnie się zdaje, że go kochała, a on ją wykorzystał, zrobił dwójkę dzieci i porzucił. Nigdy go nie widziałam, bo wprowadziła się do domu po babci już z dwójką bobasków. Jakież one były piękne. Czasem podrzucała mi je na godzinkę lub dwie, gdy musiała coś załatwić. Miałam trójkę w podobnym wieku. Od razu się polubiły i...

– A pamięta pani, jak się nazywał ten żołnierz?

– O cholipka... Niech pomyślę... jakoś na M chyba... Michał, Marek...

– Kobieta zaczęła mrużyć pod nosem, w końcu przytknęła palce do skroni.

– A może Edek? Hmm...

– Proszę się skupić. To może być bardzo ważne – przycisnęła Zawadzka.

Kobieta jeszcze przez kilkadziesiąt sekund próbowała przypomnieć sobie imię mężczyzny, ale ostatecznie poddała się, twierdząc, że nie ma stuprocentowej pewności, a grzechem jest kłamać i ona tego nie chce. Wtem podniosła palec. Wyglądała, jakby nagle w jej głowie zapaliła się lampka, a ona sama doznała oświecenia.

– Ale za to pamiętam adres!

– Adres? – Julka poczuła, że serce jej zabiło mocniej.

– Przeniosła się do niego, gdy przyszła policja i wspólnie z tym gówniarzem komornikiem, a tfu niech spłonie w piekle, dokonali eksmisji. Nie chciała, ale nie miała innego wyjścia. Miała tam zamieszkać tylko do czasu, aż coś sobie znajdzie i...

– Jaki to adres?

– Kąpielowa sześćdziesiąt dziewięć. To na Sadybie. Pamiętam, bo to przy jeziorku Czerniakowskim, a do tego, no wie pani, ten numer taki... – Kobieta zarumieniła się, ale za chwilę spoważniała. – Gnojek urządził się tam jak królewicz. Przecież tam same wille. Ech... – Wymownie machnęła dłonią. – Niby komandos, a nie potrafił o rodzinę zadbać. Ci dzisiejsi mężczyźni to...

Kąpielowa sześćdziesiąt dziewięć. Zawadzka poczuła nagły przypływ sił witalnych. Jej serce przyspieszyło. Gospodyni mówiła dalej, ale Julka już jej nie słuchała. Wyobraziła sobie mapę tamtej części miasta. Swojego czasu jeździła tam na patrolu i знаła teren dość dobrze. Poczowała uderzenie gorąca, gdy uzmysłowiła sobie jedną rzecz. Dla pewności sięgnęła po smartfon i lekceważąc gospodynię, wbiła adres w wyszukiwarkę Google Maps. Wtedy poczuła, jak nagle po jej ciele rozlewa się fala ciepła.

Owszem, to mógł być tylko zbieg okoliczności, ale...

Podniosła się i podziękowała gospodyni za gościnę, po czym szybko wyszła na korytarz. Zbiegła po schodach i opuściła kamienicę. Zapaliła, powtarzając sobie w duchu, że nie powinna się emocjonować. Przecież to może być przypadek. Raz jeszcze spojrzała w ekran.

Dom przy Kąpielowej sześćdziesiąt dziewięć mieścił się niedaleko Powsińskiej. Powsińskiej sto dwadzieścia jeden, gdzie swoją willę miał nie kto inny jak Bolesław Kumidor.

ROZDZIAŁ 34

– Zróbcie coś z tymi dronami, do kurwy nędzy! – wrzasnął Andrzej Wąsek, nadkomisarz stołecznej policji.

– Ale co, szefie?

– Nie wiem, kurwa, zestrzelcie je albo... – Ugryzł się w język, a po chwili wycofał się z ostatnich słów. Spojrzał w górę z zaciśniętymi zębami. Kilkanaście metrów nad jego głową wisiały trzy niewielkie drony, które z upierdliwym bzyčeniem zdawały się nabijać z rzucającego mięsem nadkomisarza. – Znajdźcie tych, którzy nimi sterują. I to migiem! – rzucił w kierunku aspiranta Jakuba Durki i z powrotem ruszył w kierunku wejścia do budynku.

Wokół policyjnych taśm ogradzających teren przy wieżowcu na Złotej kotłowały się tłumy gapiów. W sumie nie było czego oglądać, ale sam fakt, że pod tym adresem doszło do jakiejś zbrodni, najwyraźniej wystarczył, aby rozgrzać głowy mieszkańców stolicy. A może myśleli, że ma to jakiś związek z Sędzią? Brudny stał w tłumie, wsłuchując się w rozmowy gapiów, których spora część snuła właśnie tego typu hipotezy. Miał wrażenie, że ich podniecenie rośnie z każdą minutą, i zastanawiał się, czego tak naprawdę oczekują. Że technicy zaraz wyniosą nabitego na pal Kaczmarka? Że będą z nim paradować po ulicach, aby zadowolić żądny krwi lud? Był niemal pewny, że gdyby tak się stało, przez okolicę przetoczyłby się dziki ryk zachwyty.

Wyciągnął kolejnego papierosa i jeszcze przez kilka minut w milczeniu przyglądał się pracy śledczych. Chciał wybadać, kto nadzoruje akcję i z kim przyjdzie mu rozmawiać. Informacja, że do sprawy został przydzielony Wąsek, nie brzmiała najlepiej. Nie miał z nim najlepszych relacji. Facet lubił się napinać i robić wokół siebie dużo szumu, ale zwykle szedł po linii najmniejszego oporu. Jak ognia unikał grubszych afer, skupiając się na prostych sprawach, które mógł rozwiązać szybko i bezboleśnie, aby podbić skuteczność, ale nawet wtedy wysługiwał się młodszymi, aby ostatecznie samemu spać śmietankę i odebrać pochwały. Ambitny koniunkturalista,

który potrafił dogadać się z każdym i z każdym, łajdakiem czy nie, chętnie siadał do kielicha, jeśli wyczuł, że mu to pomoże. Zasadniczo Brudny nie mógł mu zarzucić niczego poważnego, nie mieli też większych zadrażeń, ale najzwyczajniej w świecie nie było między nimi chemii i gdy jeszcze pracował w stołecznej, zwykle schodzili sobie z drogi.

Kiedy wypalił, naciągnął na uszy czarną czapkę, poprawił ciemne okulary i przeszedł pod policyjną taśmą. Natychmiast doskoczył do niego jeden z młodych posterunkowych, ale Brudny błysnął mu blachą i szepnął coś do ucha. Chłopak w okamgnieniu pobiegł do przełożonego, ale zanim zdążył go znaleźć i zdać mu relację, komisarz znalazł się w środku wieżowca. Wąsek stał w holu i wydawał podwładnym polecenia, chwilowo ignorując posterunkowego, który próbował przyciągnąć jego uwagę. Brudny odczekał chwilę, aby młody mógł wypełnić swój obowiązek. Spodziewał się, że Wąsek nie będzie zadowolony, i się nie pomylił. Usłyszawszy relację podwładnego, nadkomisarz błyskawicznie odwrócił się w jego kierunku. Zaklął szpetnie, gdy Brudny ruszył w jego stronę.

– Jeszcze ciebie tu brakowało? – syknął. – Nie masz tu nic do roboty, Brudny. Nie jesteś już w stołecznej. Spierdalaj.

– Zabrali już trupa? – zapytał komisarz, zupełnie ignorując napastliwe słowa nadkomisarza.

– Nie rozumiesz po polsku?

– Rozumiem.

– To spierdalaj.

Brudny niezrażony atakiem sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął wygnieciony kawałek papieru. Rozłożył go i wręczył Wąskowi.

– Co to, kurwa, jest? – zapytał policjant, niemal wyszarpując go z dłoni Brudnego.

– Przeczytaj.

Nadkomisarz omiótł spojrzeniem dokument, a przez jego twarz przemknęła seria nerwowych grymasów. Świadomość, że sam minister MSWiA Olgierd Kałużyński wyraźnie rozkazał, aby każdy policjant w kraju wspierał Igora Brudnego w jego pracy bez względu na okoliczności, podziałała na niego co najmniej deprymująco. Nie było sensu podawać w wątpliwość ważności dokumentu, zwłaszcza wobec doniesień mediów, że komisarz został włączony w śledztwo przeciwko Sędziemu. Oddał mu papier.

– Czego chcesz? – warknął.

– Wszystkie raporty i protokoły z przesłuchań. Możesz je wysłać na skrzynkę pocztową Julki. Co do reszty, to po prostu się nie wpierdalaj.

– Co ty masz z tym wspólnego?

– Wiesz, kim jest ofiara...

– No i?

– Srebrzyński, komornik, reprivatyzacja, Makowska. Do tej pory sądziłem, że potrafisz dodać dwa do dwóch.

– Spierdalaj.

– Powtarzasz się. Macie już nagrania z kamer monitoringu?

– A co?

– Gówno. Jak masz, to dawaj.

– Kurwa! Nie pozwolę sobie...

– To sobie nie pozwalaj. I się nie napinaj, tylko rób, co do ciebie należy.

– Brudny zerknął w stronę windy. – Poinformuj ludzi na górze, żeby nie sprawiali problemów, a jak wrócę, to chcę mieć dostęp do wideo. Poza tym musimy pogadać...

To powiedziawszy, Brudny skierował się do windy, zostawiając czerwonego jak burak nadkomisarza Wąska za plecami. Po wyjściu natknął się na pierwszego technika. Ubrany w biały kombinezon zbierał na kłęczkach jakieś mikroślady z dywanu. W drzwiach trafił patomorfologa. Z Borysem Krukiem znali się dość dobrze. Wspólnie zrobili przynajmniej kilkanaście sekcji, a kiedyś nawet wyskoczyli na piwo. Facet nie dość, że był profesjonalistą, to wydawał się naprawdę w porządku.

– Brudny? – Lekarz otworzył oczy ze zdumienia. – Co ty tu robisz?

– Cześć – rzucił komisarz. – Wybacz, ale nie mam czasu na wyjaśnienia.

Co ustaliłeś?

– Masz prerogatywy?

– Mam wszystko.

– Wąsek pewnie nie był zachwycony...

– Nie był.

Kruk spojrzął na zegarek, jęknął wymownie, ale skinął, aby komisarz ruszył za nim. Minęli dwóch funkcjonariuszy, którzy najwyraźniej zostali poinformowani, by nie stwarzać problemów. Obrzucili go jedynie pogardliwymi spojrzeniami, jakby był trędowatym, ale zupełnie ich zlekceważył. Na miejsce dotarli w ostatniej chwili. Patomorfolog wstrzymał techników, którzy już mieli zamiar pakować ciało do czarnego worka. Wspólnie z Brudnym zbliżyli się do trupa. Srebrzyński leżał na

kanapie twarzą do dołu, w kałuży częściowo zakrzepłej krwi. Miał włosy polepione w strąki, a prawa ręka zwisała sztywno, opierając się wierzchem dłoni o terakotową posadzkę. Najbliższe otoczenie wyglądało, jakby ktoś niedawno patroszył tu jakieś zwierzę. Czerwone rozbryzgi były niemal wszędzie. Na skórzanej sofie, na ścianie, splamiły też szklany blat, gdzie dodatkowo poniewierało się kilka słomek i woreczków strunowych z białym proszkiem oraz do połowy opróżniona flaszka jacka danielsa. Częściowo zdeptana, prawdopodobnie przez walczącego o życie Srebrzyńskiego, szkarłatna plama na podłodze miała prawie dwa metry średnicy. Lekarz ostrożnie podszedł do zwłok i chwycił trupa za włosy. Ciało zdążyło już porządnie stężeć i dało się słyszeć nieprzyjemny chrzęst, gdy Kruk lekko szarpnął i odchylił głowę ofiary.

– Profesjonalna robota. Jedno długie i głębokie cięcie od ucha do ucha – oznajmił, wskazując palcem mniej więcej centymetrowej szerokości ranę w szyi denata. – Zabójca zaatakował z zaskoczenia, od tyłu, nie dając ofierze żadnych szans. Ta zrobiła jeszcze kilka kroków, ale szybko zadławiła się krwią. Zabójca przeciął tętnicę, więc ta tryskała jak z fontanny. Śmierć nastąpiła w ciągu kilku minut.

– Jakież ślady walki?

– Na pierwszy rzut oka nic. Paznokcie czyste. Co do reszty, to gadaj z Bogną.

Bogna Czaja przysłuchiwała się ich rozmowie zza niewielkiej palmy, gdzie w ciszy przeglądała w aparacie wykonane zdjęcia. Była szefową techników kryminalistycznych i trochę przypominała Brudnemu Ankę Borucką. Też filigranowa, też brunetka, choć trochę bardziej krągła na twarzy i w pasie. W przeciwieństwie do szefowej kryminalistyków z Zielonej Góry w jednej chwili potrafiła zmienić się we wredną sukę, ale że Brudny też nie należał do przyjemniaczków, to jakoś się dogadywali.

– Mamy kilka mikrośladów i sporo paluchów, ale to zajmie kilka dni – oświadczyła, nie podnosząc wzroku znad wyświetlacza swojej lustrzanki. – Ogólnie szaku nie ma, ale złapiemy go.

– Nie wątpię.

– A ty co? Wróciłeś do stołecznej na białym koniu? – Podniosła wzrok znad aparatu.

– Chciałabyś. – Puścił do niej oko.

– Nie pochlebiaj sobie, Brudny. Taki z ciebie celebryta jak ze mnie baletnica. Ale doceniam robotę. I cieszę się, że doszedłeś do siebie.

– Dzięki za troskę.

– I nawet nam tu trochę ciebie brakuje. Nic tak nie psuło rano humoru, jak widok twojej ponurej gęby.

– Też cię kocham.

– Ale... – Czaja wychyliła się zza palmy, choć ostatecznie tylko machnęła ręką. – W sumie nieważne. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Brudny ucieszył się, że nie zadała tego pytania. Ostatnio odnosił wrażenie, że każdy patrzy na niego, jakby dał się przyłapać na braniu w łapę. Coraz bardziej go to dręczyło, zwłaszcza że po części sam zaczął postrzegać swoją decyzję w tym świetle. Oferta Dariusza może i nie miała charakteru czysto korupcyjnego, ale ocierała się o przekupstwo. Coś za coś. Dam ci to, jeśli ty dasz mi co innego.

– Możecie natknąć się na moje paluchy – zmienił temat Brudny.

– Ooo... – Czaja w końcu odłożyła aparat do torby. Wyszła zza palmy i spojrzała na komisarza. – Gdybym cię nie znała, to mogłabym się zdziwić, ale cię znam, więc spuszczam zasłonę milczenia.

– Odwiedziłem tego gnojka wczoraj wieczorem. Zrobił sobie imprezkę z dziewczuchami.

– Wąsek o tym wie? – włączył się do rozmowy Kruk.

– Dowie się w swoim czasie. Na razie mam inne priorytety.

– No tak... – Czaja rzuciła mu szelmowskie spojrzenie. – Igor Brudny na tropie, mam rację?

– Powiedzmy. – Komisarz upił łyk herbaty z butelki. – Muszę iść. Prześlijcie, proszę, wyniki na skrzynkę Julki, okej?

– Czy ja usłyszałam czarodziejskie słowo? – Czaja zarechotała.

– Co?

– Igor Brudny „prosi”? – mocno zaakcentowała ostatni wyraz. – Złagodniałeś na tej wiosce.

– Ech...

Brudny okręcił się na pięcie i wyszedł z apartamentu. Na dole złapał Wąska. Nadkomisarz przewrócił oczami na jego widok, ale tym razem już nie wojował. Przekazał mu pendrive z nagraniami z monitoringu.

– Z ostatniej doby – rzucił. – Coś jeszcze?

– Tak.

Komisarz poinformował go o swojej wczorajszej wizycie w apartamencie Srebrzyńskiego. Nie zagłębiał się w szczegóły, nie zdradził nawet powodu swojej obecności, zasłaniając się tajemnicą śledztwa, ale nie

zostawił też nadkomisarza z pustymi rękoma. Wąsek zareagował znacząco zwłaszcza na wspomnienie o Miszce. Pewnie już gdzieś mu się przewinał, bo większość tego typu płotek miała wcześniej jakieś zatargi z prawem. Brudny zrobił to z pełną premedytacją, aby najzwyczajniej w świecie facet miał co robić i przez najbliższe dni nie zawracał mu głowy, przynajmniej do czasu, aż sam załatwi swoje sprawy. A że wszystkie poszlaki wskazywały, że śmierć Srebrzyńskiego nie była przypadkowa i łączyła się z prowadzonym przez niego śledztwem, z dużą dozą prawdopodobieństwa można było założyć, że jeśli rozwikła swoje, to tym samym wyręczy Wąska.

Wyszedł bez pożegnania. Na zewnątrz tłum już nie był tak gęsty. Znudzeni mieszkańcy albo szykowali się do świeżej transmisji Sędziego, albo ostrzyli pazury na kolejną noc, która wobec wystosowanych przez niego żądań zapowiadała się wyjątkowo gorąco. Albo jedno i drugie, pomyślał i wyciągnął telefon na kartę. Zadzwoił do Julki. Odebrała już po drugim sygnale.

– Cześć – przywitała się. W tle dało się słyszeć charakterystyczne odgłosy szpitalnej aparatury.

– Cześć. Gdzie jesteś? – Poczuł nagłe ukłucie niepokoju.

– Na OIOM-ie.

– Ale...

– Nie, spokojnie. Przyjechałam zobaczyć, co z Patrycją. Podobno jej stan się ustabilizował. Co prawda straciła dużo krwi, ale na szczęście kula nie uszkodziła żadnego z ważnych narządów wewnętrznych. Jest już po operacji, w śpiączce farmakologicznej. Lekarze są dobrej myśli.

– To dobrze... – Odchrząknął. – A jak Zawilska? Rozmawiałaś z nią?

– Tak. I chyba coś mam, ale nie chciałam robić afery i wolałam to sobie najpierw poukładać w głowie. W każdym razie to nie przez telefon...

– Przyjechać po ciebie?

– Tak będzie najlepiej.

Zawadzka podała mu nazwę szpitala i się rozłączyła. Brudny po raz ostatni zerknął na krążących przy taśmie gapiów, po czym poprawił okulary przeciwsłoneczne i ruszył w stronę ludzi. W pewnym momencie ktoś chwycił go za ramię. Uścisk był nadspodziewanie silny.

– Igor Brudny? – Padło pytanie ze strony tęgiego mężczyzny na oko po pięćdziesiątce. Nie odpowiedział. Wyszarpał rękę, ale ktoś zagroził mu drogę. – To jest, kurwa, Igor Brudny! Ej, to Igor Brudny!

Nagle kilkanaście par oczu zwróciło się w jego stronę. Poczuł się osaczony. Burknął coś pod nosem, że to pomyłka, ale było już za późno.

– Patrzcie, ludzie! To ten glina Igor Brudny! – krzyknął ktoś inny.

– Ej, czekaj! – Mniej więcej trzydziestoletni facet pobiegł za nim i szybko zrównał się z nim krokiem. – Powiedz, dlaczego się skurwiłeś? – wycedził.

– Jebany pies – syknął jakiś młody człowiek, raczej nastolatek. – Wypierdalaj stąd, słyszysz, szmato. Wypierdalaj!

– Zdrajca! – wrzasnęła jakaś kobieta, a w jego stronę poleciała plastikowa butelka.

– Dlaczego zwąchałeś się z tymi kurwami? Ile ci dali?

– Odpierdol się od Sędziego! Słyszysz? Ej, kurwo!

– Wypad z miasta!

Brudny ignorował kolejne przytyki. Przyspieszył kroku, zdając sobie sprawę, że jakakolwiek interakcja mogłaby jedynie pogorszyć sytuację. Taka agresywna reakcja zupełnie go zaskoczyła. Owszem, spodziewał się, że nie wszystkim musi się podobać decyzja o pomocy stronie rządowej, ale nigdy by nie pomyślał, że ludzie na ulicach zaczną wylewać na niego taki gnój. Po kilkudziesięciu metrach obrócił się za siebie. Kilku najbardziej krewkich obywateli wciąż coś wykrzykiwało, ale najwyraźniej niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Skręcił za róg i czym prędzej pospieszył do samochodu. Gdy wsiadł do środka, poczuł ulgę, a chwilę później przypląw potężnej dawki ambiwalentnych emocji. Zamknął oczy. Odetchnął głęboko. Wiedział, co to nienawiść. Wychował się w jej objęciach. Kiedyś karmił się nią każdego dnia i rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny, jak potrafi być potężna i destrukcyjna.

Dziś ta nienawiść wylewała się z ludzi. Ze zwykłych przechodniów, którym nic nie zrobił, którzy nawet go nie znali, coś tam może słyszeli w telewizji, ale przecież nigdy nie zamienili z nim ani słowa. Jeszcze kilka tygodni temu praktycznie go wielbili. W telewizji był stawiany za wzór niezłomnego gliniarza i prawego człowieka. A teraz? Ci sami ludzie byli gotowi wydrapać mu oczy tylko dlatego, że postanowił pomóc władzy w złapaniu szaleńca mordującego innych. Fakt – ofiary zasługiwały na karę, niektóre były prawdziwymi potworami, ale prawo było prawem i nawet jeśli ułomnym, to nie żyliśmy już w średniowieczu i pewne kwestie rozwiązywało się w bardziej humanitarny sposób.

Dlaczego ci ludzie zareagowali tak agresywnie? Kto za to odpowiadał? Zacisnął zęby, gdy zdał sobie sprawę, że odpowiedź nasuwa się sama.

Tak – to była ich wina. To oni podzielili społeczeństwo. To oni zasiali nienawiść w sercach zwykłych szarych ludzi. Pierdoleni politycy. Banda zakłamanych, obrzydliwych i pozbawionych jakiegokolwiek empatii psychopatów. Dla nich nie liczyło się nic poza dorwaniem się do koryta. I to bez względu na to, jaką opcję reprezentowali. W tym kraju wszyscy dążyli wyłącznie do zaspokojenia własnych potrzeb, dochrapania się kolejnych stołków, nachapania się kosztem obywateli. Ci bardziej ogarnięci kradli w białych rękawiczkach, aroganci i chamy wyciągali łapska po kasę bez oporów, ale wszyscy co do jednego, gdy tylko zostali złapani za rękę, bez cienia zażenowania krzyczeli do kamer, że to nie ich ręka.

Zacisnął pięści i pomyślał, że zasłużyli sobie na to, co zgotował im Sędzia. Dostali za swoje. Ten kraj potrzebował oczyszczenia. Chwilę później przyszło opamiętanie, ale gdy tylko wsadził kluczyki do stacyjki, znów poczuł narastający gniew. Po co mu to było? Julka miała rację. Na własne życzenie wskoczył do szamba i zanurkował na samo dno. Przez głowę przemknęła mu wizja nabijanego na pal Kaczmarka. Facet darł się wniebogłose, krew spływała po drewnie, a miliony przed ekranami komputerów wrzeszczały w ekstazie. Wpisy na czacie nie pozostawiały wątpliwości, że to ludzi nakręca, że obywatele kibicują Sędziemu i pragną sprawiedliwości, jakkolwiek okrutna by ona była. Tacy byli. Tacy się stali. Tak ich zaprogramowano przez lata szczucia, dzielenia i napuszczania jednych na drugich. Kiedy zaczną zabijać się na ulicach?

Grzmotnął dłońmi w kierownicę. Wróciły demony przeszłości. Przed oczami przemknęły mu wszystkie okropieństwa sprzed lat. Zacisnął palce na okleinie z taką siłą, że zatrzeszczały wszystkie ścięgna.

Nie pasował do tej roli, ale musiał to przerwać. I pal lichu młodego Czabańskiego. To była wymówka. Teraz już to wiedział. To była wymówka, którą wykorzystał, aby się usprawiedliwić przed samym sobą. Tak naprawdę od początku pragnął wkroczyć w ten parszywy świat. Brudny, plugawy i zły do szpiku kości. Dlatego wybrał sobie takie nazwisko. Od urodzenia był naznaczony. Od momentu gdy matka kurwa wydalila go ze swojego łona, gdy oddała go okrutnej Gwidonie, a on przez kolejne lata dorastał w piekle sierocińca prowadzonego przez siostry zakonne. Przemoc, gwałty, pedofilia – to był jego świat, to było jego życie,

tam wykuwał się jego charakter. I właśnie takie było jego przeznaczenie. Taplanie się w bagnie ludzkich podłości. Walka z nimi. Za wszelką cenę.

Pieprzony Sędzia. Miał go na wyciągnięcie ręki. Był o tym przekonany. Dlatego właśnie musiał go dorwać. Musiał zakończyć ten spektakl nienawiści. A potem wyjedzie. Jak najdalej od ludzi. Pobędzie sam. Tak jak kiedyś. Ta myśl dała mu odrobinę ukojenia. Chwilę później Igor Brudny włączył się do ruchu.

ROZDZIAŁ 35

Na stacji benzynowej było prawie pusto. Brudny z Zawadzką jedli kanapki naprędce podgrzane przez czerwono włosą sprzedawczynię, która teraz nie niepokojona przez żadnego klienta stała z nosem w smartfonie i namiętnie stuknęła w ekran. Jej policzki miały prawie taki sam kolor jak włosy i komisarz zastanawiał się, czy to efekt miłosnych pogaduszek z chłopakiem, czy podekscytowania w oczekiwaniu na kolejną transmisję Sędziego.

Ugryzł kolejny kęs i skupił wzrok na partnerce, która równie namiętnie nurkowała w rezerwowym tablecie. Dojadł swoją kanapkę, popił kawą i wyszedł do toalety. Gdy wrócił, Julka właśnie kończyła zapisywać coś na kartce papieru.

– I co? – zagadnął, siadając z powrotem na obite czerwona skórą siedzisko.

– Mnie to ewidentnie cuchnie. I to na kilometr – odparła, podnosząc głowę znad tableta.

Pół godziny wcześniej Brudny odebrał ją ze szpitala MSWiA przy Wołoskiej, gdzie na OIOM-ie leżała Patrycja Klimczak. To tam Julka zrobiła pierwszy rekonesans w sieci. Po kilkuminutowej wizycie u pacjentki resztę czasu spędziła w kawiarni, oczekując na telefon partnera. Wykorzystała ten moment, aby sprawdzić adres podany przez Zofię Zawilską. Z początku wydawał się nie budzić podejrzeń, ale gdy tylko zagłębiła się w detale, okazało się, że pewne rzeczy sugerują, aby przyjrzeć się tematowi bliżej. Teraz dokonała ostatecznej korekty swojej wiedzy.

– Obecnie mieszka tam niejaka Maria Durkosz – kontynuowała. – Lat siedemdziesiąt osiem, samotna, schorowana, według tego, co udało mi się ustalić na podstawie rejestrów szpitalnych, jest prawie głucha i ślepa. Nie ma żadnej bliskiej rodziny, a przeprowadziła się pod ten adres ponad trzy lata temu, kupiwszy dom od zmarłego rok później Włodzimierza Szabelskiego. Niby wszystko okej, gdyby nie fakt, że nazwisko tego faceta trzy razy pojawiło się w KSIP-ie. Raz za włóczęgostwo i dwa za

zniszczenie mienia, dwa to przypadki w styczniu, rok przed sprzedaniem mieszkania. W protokole z przesłuchań Szabelski przyznawał, że jest bezdomny. To jest jeszcze do sprawdzenia, ale jeśli facet robił w sklepach aferę tylko po to, aby dać się zamknąć, bo mu było zimno, a do przytułków nie przyjmowano ludzi pod wpływem alkoholu, to sprawa zaczyna się robić dziwna.

– W tym czasie był niby właścicielem tego domu przy Kąpielowej, czy tak?

– Dokładnie. Mało tego, tylko on był tam zameldowany. Żadnej żony, siostry, brata, dziecka czy kochanki. Tylko Włodzimierz Szabelski.

– Ktoś zrobił z niego słupa.

– Na to by wyglądało. Ciekawie się zrobiło, gdy zaczęłam grzebać w poprzednich latach. To znaczy w sumie nieciekawie, bo wcześniej nie ma nic. Tak jakby ten adres nie istniał. Jakby został wymazany.

– Mogłaś coś pominąć?

– Mówię tylko o tym, co jest w systemie. W ratuszu mogą mieć jakieś zarchiwizowane papiery, ale dogrzebanie się do nich to byłaby droga przez mękę. Zwłaszcza w obecnej sytuacji.

– Nie mamy na to czasu – skonstatował Brudny. Wyjrzał przez okno. Pod dystrybutor podjechało porsche cayenne, z którego wyszedł jakiś dryblas. – Nie ma się nad czym zastanawiać. Ta chata jest trefna i trzeba ją obejrzeć – dodał, z powrotem skupiając uwagę na Julce.

– Chcesz użyć swojego uroku osobistego? – zapytała, puszczając do niego oko. Brudny spojrzał na nią, jakby się wygłupiła. – Nawet nie wiesz, jakie masz branie u takich starszych pań – dodała przekornie.

– Przestań drwić – odparł. – Mogę tam pójść. Ty w tym czasie przejrzyj nagrania z monitoringu i pilnuj tego, co dzieje się w sieci.

To rzekłszy, podniósł się z siedziska i włożył płaszcz. Pół godziny później znajdowali się już na Sadybie. Ominęli szerokim łukiem okolice Powsińskiej, na której (i paru prostopadłych do niej) ustawiono łącznie kilkadziesiąt radiowozów blokujących dostęp do willi Kumidora. Prosto z Czerniakowskiej skręcili w Gołkowską, a następnie wbili się w osiedle domków jednorodzinnych i resztę drogi przebyli wzdłuż Jeziorka Czerniakowskiego. Komisarz zaparkował w odległości kilkudziesięciu metrów od Kąpielowej, wjechałszy pomiędzy drzewa, aby nie rzucać się w oczy. O tej porze roku nie kręciło się tu zbyt wielu spacerowiczów, a niewielka plaża była zupełnie pusta. Gdy opuścił szybę, aby zapalić,

poczuł podmuch zimnego powietrza. Skupił wzrok na parce morsów, których wcześniej nie dostrzegł. Stali po szyję w wodzie w rękami za głową i się całowali. Brudny obserwował ich, paląc, a Julka rozłożyła laptop, aby sprawdzić, czy ma dobry zasięg. Wspólnie przeczytali kilka najświeższych informacji. Biorąc pod uwagę okoliczności, w mieście wciąż było spokojnie. Zdecydowanie goręcej w sferze politycznej, gdzie w kolejnych artykułach posłowie wrogich partii wzajemnie zrzucali na siebie odpowiedzialność za zaistniałą sytuację. Poziom tej debaty nie był już nawet żenujący. To było absolutne dno, co gorsza, pojawiły się plotki na temat spodziewanego starcia się dwóch grup wyborców utożsamiających się ze skrajnie radykalnymi poglądami zarówno z prawej, jak i z lewej strony. Podobno zwoływali się na różnego typu portalach społecznościowych, nie szczędząc przy tym szczegółów o rodzajach broni, w jaką powinni się zaopatrzyć chętni do bitki. Najczęściej przewijały się pałki, kastety, noże, jednak trafiały się też tasaki i koktajle Mołotowa. Duży protest szykowano również pod domem Kumidora, ale akurat tutaj siły policyjne wydawały się wystarczające do powstrzymania potencjalnego natarcia, szczególnie że raczej niemożliwe było dotarcie wielotysięcznego tłumu aż na Sadybę, gdyż policja i wojsko otrzymały rozkazy, aby natychmiast reagować, kiedy dostrzegą, że takie zgromadzenie zaczyna rosnąć w siłę. W tej chwili znajdowali się chyba w najbardziej bezpiecznym miejscu w mieście i to trochę nie dawało mu spokoju. Nie od dziś było wiadomo, że Sędzia jest perfekcyjnym planistą i Brudny miał nieodparte wrażenie, że – czy tego chce czy nie – jak cała reszta tańczy w rytm granej przez niego muzyki. Ale prawie go dopadł. Zmusił do błędu. A to oznaczało, że był już blisko, i kończąc papierosa, zastanawiał się jak blisko. Może tylko te kilkadziesiąt metrów? Czy to możliwe, aby ten facet ukrywał się w tym klockowatym budynku przy Kąpielowej? Kim zatem była zamieszkująca go emerytka?

Pstryknął niedopałek na piasek i wyciągnął z kieszeni tabletki przeciwbólne. Łyknął od razu dwie, bo w biodrze znów zaczęło go rwać mocniej. Sprawdził swojego walthera, po czym z powrotem wsunął broń za pasek i otworzył drzwi.

– W godzinę się uwiniesz z tymi nagraniami? – zapytał, zaglądając przez otwarte okno.

– Powinam – odparła Zawadzka. – I nie zgrywaj bohatera. Gdyby coś...

- Ona ma prawie osiemdziesiąt lat...
- To po co wyciągałeś broń?
- Taki nawyk.

To nie był ani nawyk, ani rutyna. Naprawdę miał złe przeczucie, ale nie chciał niepokoić partnerki, tym bardziej ryzykować jej zdrowia czy życia. Wolał nawet nie myśleć, co mogłoby się wydarzyć, gdyby pojawił się w swoim mieszkaniu kilka minut później. Czy też leżałaby teraz na OIOM-ie podłączona do tych wszystkich rurek? Czy może jej zimne ciało spoczywałoby w kostnicy? Wzdrygnął się na samą myśl, że mogłaby przez niego zginąć. Nie miał wątpliwości, że wtedy popełnił błąd. Dariusz go podszedł, omamił i wykorzystał tę jedyną słabość. Mógł odmówić, ale zaślepiiony własną arogancją i jakąś trudną do zdefiniowania fanatyczną potrzebą dopełnienia sprawiedliwości, podjął złą decyzję. Teraz to widział. I nie mógł sobie wybaczyć, że pozwolił Julce brać w tym udział.

Na ulicy odwrócił się, a ona posłała mu buziaka. W odpowiedzi tylko lekko uniósł kąciuki ust. Postawił kołnierz płaszcza i lekko kuśtykając, ruszył do domu przypominającego przerośnięty szary klocek. Już sama konstrukcja świadczyła, że musiał zostać postawiony dobrych trzydzieści lat temu, więc fakt, że historia nieruchomości przed dwa tysiące szesnastym była wielką białą plamą, wystarczył, aby uznać, że adres jest co najmniej podejrzany. Stanął przed furtką i nacisnął klamkę. Drzwiczki ustąpiły. Rozejrzał się po okolicy. Zdążyło się ściemnić, a na ulicach zapłonęły latarnie. Kilka psów ujadało gdzieś w oddali, a nad dachami domów błyskały policyjne koguty. Poza tym osiedle zdawało się wyjątkowo spokojne i ciche. Wciągnął głęboko zimne powietrze i wszedł na podwórko. Było zachwaszczone i różniło się od tych na sąsiednich posesjach. Przy piwnicznych oknach leżały kupki gruzu i częściowo obłupane pustaki, a ponadto stare grabie, miotła, dwa wiadra, sflaczała piłka, połamana kocia kuweta i częściowo zwinięty, wyraźnie nadgniły już dywan. Najwyraźniej gospodyni niespecjalnie przejmowała się efektem wizualnym, co biorąc pod uwagę jej wiek i problemy ze wzrokiem, mogło tłumaczyć panujący na zewnątrz bałagan. Brudny wspiał się po schodach na częściowo zabudowany ganek. Drzwi wyglądały na porządne, antywłamaniowe i nie pasowały do reszty. Może przynajmniej kobieta była ostrożna. Zapukał. Odczekał i zapukał jeszcze raz. Po chwili usłyszał z wnętrza jakieś odgłosy.

- Słucham? – Głos kobiety przypominał skrzek ptaka.

– Dobry wieczór, pani Durkosz – przywitał się podniesionym głosem. – Jestem komisarzem policji. Czy może pani otworzyć?

– A w jakiej sprawie?

Brudny wymyślił na poczekaniu bajeczkę o tym, co szybko można sprawdzić w telewizji. Jako że w rządowej regularnie pojawiały się obrazki z okolic Powsińskiej, łatwo było przekonać gospodynię, że najbliższa okolica domu Kumidora jest sprawdzana, aby okoliczni mieszkańcy mogli czuć się równie bezpiecznie jak prezes. Nie przedstawił się w obawie, że może kojarzyć nazwisko, mimo to otworzyła drzwi i zaprowadziła go do salonu.

W domu panował zaduch i cuchnęło kocimi odchodami. Nie był to smród nie do wytrzymania, ale pani Durkosz najwyraźniej nie zmieniała kuwety podopiecznym tak często, jak powinna. Zwierząt było całe mnóstwo i w samym salonie Brudny naliczył przynajmniej sześć sztuk. Poza tym panował spory bałagan i wydawało się, że od dłuższego czasu nikt tu nie sprzątał. W telewizji o dziwo wcale nie leciał program telewizji rządowej, tylko tej, która na każdym kroku wbijała władzy szpile.

– Lubi pani zwierzęta – zagadnął Brudny, gdy dwa z kocurów zaczęły się do niego łąsić. Pogłaskał je, jednego nawet wziął na rękę, ale chwilę później z powrotem postawił na podłogę. Powtórzył głośniejszym głosem, dostrzegłszy, że na uszach ma aparat słuchowy.

– I tak, i nie – odparła skręklawie. – Koty lubię, ale psów już nie. A poza tym koty łapią myszy i szczury. Od lat nie mogę sobie poradzić z tymi wredotami. Mnożą się w tej piwnicy jak głupie. Napije się pan herbaty?

– A ma pani kawę? – Kiwnęła potwierdzająco głową. – Zatem czarną poproszę.

Kobieta przytaknęła i poszła do kuchni. Pomimo szacownego wieku i okularów tak grubych, że ich szkła wyglądały na kuloodporne, poruszała się z wyjątkową lekkością. Usłyszał, że nastawia wodę i zaczyna krzątać się w kuchni, w związku z czym wykorzystał ten czas, aby się trochę rozejrzeć. Wystrój przypominał ten z czasów słusznie minionych. Stare i krzywe meblościanki były wypełnione najróżniejszymi wazami, ręcznie malowanymi zastawami i kryształami. Na jednej z półek leżał stos rachunków za gaz czy wodę, na komodzie stary telefon stacjonarny, notes i kubek z długopisami. Na ścianach wisały kopie obrazów znanych malarzy, głównie motywy kwiatowe i krajobrazy wiejskiej sielanki,

niestety, nie znał się na sztuce, aby móc przyporządkować dzieła do poszczególnych twórców. Jego uwagę zwróciła natomiast półka z książkami. Podszedł bliżej i omiótł wzrokiem tytuły kolejnych powieści, wśród których królowała klasyka, w tym chyba cała kolekcja kryminałów Agathy Christie. Książki pokrywała kilkumilimetrowa warstwa kurzu, jakby nikt nie sięgał po nie od lat. Podświadomie szukał jednak wzrokiem jednego tytułu i ku swojemu zaskoczeniu znalazł go. *Hrabia Monte Christo* Aleksandra Dumasa stał w samym rogu. Dwa grube tomy w twardej oprawie prezentowały się nad wyraz dumnie i w przeciwieństwie do większości innych dzieł nie przykrywała ich tak gruba warstwa kurzu. Już chciał sięgnąć po jeden z tomów, gdy do pokoju weszła gospodyni. Na tacce niosła dwie kawy i wafelki na wagę.

– Taka, jaką pan lubi. Czarna jak diabeł – powiedziała i usiadła w fotelu. – To miło, że policja tak dba o mieszkańców. A teraz ciężkie czasy, oj, ciężkie. Nie myślałam, że dożyję takich.

– Czy czuje się pani bezpieczna? – zapytał.

– Tak, panie komisarzu. To spokojna okolica. Od zawsze dużo policji, bo pana prezesa pilnują, a to przecież niedaleko. Spacerkiem może trzy minuty. Nie więcej, no chyba że z zakupami, to będzie z pięć.

Kobieta mówiła całkiem wyraźnie i mimo swoich ograniczeń zdawała się mieć pełną kontrolę nad tym, co dzieje się wokół niej. Czasem lekko przechylała głowę, aby spojrzeć na niego pod innym kątem, najwyraźniej wtedy widziała wyraźniej. Wówczas kilka kosmyków jej długich siwych włosów opadało na jeden z policzków i musiała je odgarniać. Miała szlachetne rysy i kiedyś musiała być piękną kobietą, ale dziś zmarszczki i plamy wątrobowe zrobiły swoje. O dawnym blasku mogły przypominać złote pierścionki ze szlachetnymi kamieniami i bransoletki, które najwyraźniej założyła specjalnie na tę okazję w kuchni, bo Brudny nie zauważył ich za pierwszym razem.

– Długo pani tu mieszka? – zapytał, upijając kawy.

– Będzie ze trzy lata. Wcześniej mieszkałam na Nowym Świecie, ale tam już się nie dało żyć. Chciałam więcej spokoju, a że Bóg zesłał mi taką szansę, to się zdecydowałam.

– I kupiła pani to mieszkanie, czy tak?

– Tak. Od takiego miłego i przystojnego pana. Och, gdybym była młodsza, tobym mu spróbowała serce skraść.

– Co za niesamowita historia...

Brudny pozostawił jej pole do popisu. Wyciąganie informacji od starszych osób zwykle było banalnie proste, zwłaszcza od tych samotnych, które miesiącami nie miały do kogo otworzyć ust. One mogłyby zrelacjonować ze szczegółami całe swoje życie, oby tylko ktoś chciał ich wysłuchać.

Durkosz opowiedziała historię tak nieprawdopodobną, że trudno byłoby ją traktować poważnie, gdyby nie fakt, że biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, idealnie wpisywała się w jego założenia. No bo kto o zdrowych zmysłach oferuje starszej kobiecie dom na Sadybie za połowę rynkowej wartości? Do tego stosunkowo młody, wysportowany i przystojny mężczyzna, który robi to, bo obiecał pomóc matce swojego zmarłego przyjaciela z wojska.

– Nazywał się Jakub Kochanowski. Na początku myślałam, że to jakiś oszust, ale znał mojego Janka bardzo dobrze. Podobno umarł mu na rękach podczas jednej z tych tajnych misji w Afganistanie. A mówiłam mu... Mówiłam mu, żeby dał sobie spokój w wojaczką, bo to się źle skończy. Ale nie słuchał. I trafiła go kula. O tu. – Kobieta wskazała na miejsce pod uchem. – Dostał prosto w tętnicę. Podobno długo nie cierpiał. Przynajmniej tak powiedział mi pan Jakub.

– Przykro mi. – Brudny nieco zbyt teatralnie spuścił głowę. – A ma pani może zdjęcie pana Jakuba?

– Hmm... – Durkosz przechyliła głowę. Zrobiła przy tym dziwną minę, jakby się sztucznie uśmiechała. – Ależ mi pan komisarz teraz ćwieka zabił... – Zastanawiała się jeszcze przez chwilę. – No nie mam. Nie mam ani jednego zdjęcia Jakuba. A taki z niego przystojniak. I taki miły człowiek.

– Wie pani czym się zajmuje?

– Ech... – Machnęła dłonią. – Nawet nie wiedziałam, co robi mój syn, to tym bardziej nie wiem, co robi pan Jakub. Pewnie dalej jeździ na te swoje tajne misje. Od dawna go nie widziałam, choć czasem mi się śni i czuję jego zapach. Tak jakby mnie odwiedzał. Tak jak to robi mój syn. Jego obecność też czuję.

Kobieta wciąż głupkowato się uśmiechała i Brudny zastanawiał się, czy aby na pewno trzeźwo ocenił jej możliwości percepcji. Mimo to jej słowa nie pozostawiły go obojętnym. Jakub Kochanowski czasem jej się śni i czuje jego zapach. Co to mogło oznaczać? Zerknął na wciśnięte na półkę dwutomowe wydanie *Hrabiego Monte Christo*. Dlaczego jeden z nich nie

był pokryty równie grubą warstwą kurzu jak pozostałe książki? W jego głowie powoli zaczynała kiełkować zuchwała, choć trochę karkołomna teoria.

– Ma pani piękną kolekcję książek – zmienił temat. – Lubi pani Agatę Christie?

– Ubóstwiam. Wspaniała pisarka. Jedyna w swoim rodzaju. Kiedyś czytałam namiętnie po kilka książek w tygodniu, ale dziś... – Zmarkotniała.

– Oczy już nie te, co kiedyś. Chyba zbyt wiele nagrzeszyłam, że Bóg na starość zabrał mi jedyną przyjemność z życia. Pewnie jest pan zajęty i zaraz musi pan wracać do pracy, ale gdyby przeczytał mi pan choć kilka linijek...

– tym razem jej uśmiech zdradzał wewnętrzny smutek – ...byłabym bardzo wdzięczna.

– Chętnie. – Brudny wstał i podszedł do regału z książkami. Sięgnął po tytuł, który nie dawał mu spokoju. – Może dla odmiany coś Aleksandra Dumasa? Zna pani *Hrabiego Monte Christo*?

– Mam w swoim zbiorze Dumasa?

– Owszem. Czytała pani?

– Tak. – Zawahała się. – Znam tę historię, ale czytałam ją dawno temu, chyba jeszcze za komuny. Nawet nie wiedziałam, że mam ją w swojej biblioteczkce.

Brudny zdmuchnął resztki kurzu i otworzył pierwszą stronę. Spojrzał na stopkę. Data wydania – rok 2014. Poczul nagły przypływ ekscytacji. Usiadł i przewertował kartki. Wybrał losowy akapit, a wtedy spomiędzy nich wysunęła się kolorowa zakładka. Przyjrzał się bliżej i w miejscu, z którego wypadła, dostrzegł ledwo widoczną nieregularność. Otworzył książkę dokładnie tam i omiół spojrzeniem tekst. Szybko natknął się na to, czego podświadomie tak bardzo szukał. Serce zabiło jeszcze szybciej. Nie miał już wątpliwości, że człowiek, który podkreślił ten cytat, jest poszukiwanym mordercą. Spojrzał na starowinę, która z lekko przechyloną na bok głową uśmiechała się do niego. Wyraz jej twarzy znów nieco zbił go z tropu. Przez głowę przemknęła mu myśl, że kobieta przypomina ptaka z ukreconą głową. Przełknął ślinę i zaczął czytać. Po kilkudziesięciu sekundach odłożył książkę na blat stołu. Próbował zachować spokój, choć w środku gotował się z ekscytacji. To nie mógł być tylko zbieg okoliczności. Sędzia regularnie bywał w tym domu.

– Dziękuję panu, komisarzu – przerwała mu jego rozmyślenia pani Durkosz. – Wybrał pan piękny fragment.

– Co pani o nim sądzi?
– A dokładnie co ma pan na myśli?
– Że zła najczęściej nie da się naprawić i można je tylko pomścić. To dość odważna teza...

– Nie mnie oceniać wielkich pisarzy, komisarzy – odparła filozoficznie.
– Ja jestem tylko schorowaną starszą panią, której bliżej do piachu aniżeli... ech... – Znów machnęła ręką z wyraźną rezygnacją. – Jeszcze raz chciałabym panu podziękować, komisarzy. A teraz proszę wybaczyć, ale chciałabym się położyć. Jestem zmęczona, a muszę jeszcze poutykać w piwnicy trutkę na szczury. Ostatnio tak się rozplenily, że nie mogę sobie z nimi poradzić. Słyszę, jak drapią, choć bez aparatu jestem głucha jak pień.

Brudny pomyślał, że to idealna szansa, aby rozejrzeć się po domu. Skoro morderca tu bywał, musiał mieć w tym jakiś cel.

– Pomogę pani – zaoferował się.
– Oj, nie chciałabym...
– Nie ma dyskusji, pani Durkosz. Jestem policjantem, a obowiązkiem policjanta jest pomagać obywatelom – dodał, sztucznie się uśmiechając.
– W takim razie...

Gdy Igor Brudny schodził do piwnicy, w domu Bolesława Kumidora trwały ostatnie przygotowania do pospiesznie zwołanego orędzia. Gospodarz właśnie wkładał marynarkę, a jedna z zatrudnionych w telewizji rządowej wizażystek dokonywała ostatnich poprawek, mających na celu doprowadzenie zmęczonej twarzy prezesa do jako takiego wyglądu. Ani on, ani ona, zwłaszcza zaś zszokowany decyzją szefa partii premier Nosalski nie mieli pojęcia, że właśnie nieświadomie dobrnęli do finału perfekcyjnie przygotowanego planu.

Sędzia obserwował ich i dyskretnie uśmiechał się pod nosem.

ROZDZIAŁ 36

Gdy tylko Kumidor zaczął przemawiać do narodu, Dariusz poczuł ukłucie niepokoju. Powierzone mu zadanie wydawało się banalnie proste. Naszpikowana alarmami i najróżniejszymi elektronicznymi zabezpieczeniami, pilnowana w promieniu dwustu metrów przez blisko setkę policjantów i dwunastu najlepszych ochroniarzy SOP-u willa prezesa wydawała się twierdzą nie do zdobycia. Co zatem mogło pójść nie tak?

Wzdrygnął się na tę myśl i rozejrzał po pomieszczeniu. Kierowany instynktem podszedł do okna i uchylił zasłonę. Dwóch ochroniarzy stało na swoich pozycjach, pilnując domu przed nie wiadomo czym, wszak przez kordony policji, które stały na ulicach, nie miała prawa prześlizgnąć się nawet mysz. Zerknął w rozświetlone okna sąsiadów po drugiej stronie ulicy i pomyślał, że tego wieczoru mianowany przez Kumidora prezes telewizji rządowej będzie miał swój moment chwały. Ilu obywateli mogło oglądać transmisję orędzia? Nie miał pojęcia, ale widownia musiała być rekordowa.

– Na mieście też spokojnie – zdał mu relację Kałużyński zaledwie kilka chwil przed rozpoczęciem transmisji. Wcześniej minister próbował przemówić Kumidorowi do rozsądku, ale prezes pozostał nieugięty i nawet nie chciał z nim rozmawiać. – Gdy skończy, nie odstępuj go na krok. Jeśli przetrwamy noc, to jutro... – Nie dokończył. Minister nie ufał nikomu i Dariusz nie miał o to pretensji. To była pierwsza zasada w polityce – nie ufać nikomu. On też się jej trzymał i choć przygotował sobie plan awaryjny, na wypadek gdyby sprawy przybrały nieprzyjemny obrót, przyjął rozkaz i zamierzał uczciwie go wypełnić. A później? Później może zdarzyć się wszystko. Zastanawiał się, ilu polityków właśnie pakuje walizki, aby w razie niemożliwego do okiełznania gniewu obywateli dyskretnie czmychnąć z ukradzioną kasą za granicę. Szykowali się na najgorsze, bo wiedzieli, co oznacza odcięcie internetu, a właśnie to przed chwilą powiedział Kumidor. Można by rzec ironia losu, że taką decyzję podejmuje człowiek, który nawet nie wie, jak skorzystać z wyszukiwarki Google. Czy ten facet zdawał sobie sprawę, do jakiej furii doprowadzi obywateli? Czy

w ogóle miał jeszcze jakieś przebliski racjonalnego myślenia? Dariusz szczerze w to wątpił. Nie mógł jednoznacznie stwierdzić, co kryje się w głowie Kumidora, ale bez wątpienia prezes od dłuższego czasu żył w świecie równoległym, który rządowa telewizja swoją tępą propagandą próbowała – z całkiem niezłym skutkiem – implementować obywatelom za pomocą młotka i łopaty. Niczym obłąkany pacjent szpitala psychiatrycznego funkcjonował w swojej wyimaginowanej bańce, licząc, że skrzętnie poukrywane teczki z niegodziwościami podwładnych pozwolą mu trzymać w ryzach partię i cały kraj.

Dariusz odszedł od okna i z powrotem skupił uwagę na Kumidorze. Prezes wyglądał na potwornie zestresowanego i choć robił wszystko, aby kolejne wypowiedane słowa brzmiały twardo i stanowczo, całość wyglądała co najwyżej groteskowo. Nieruchome dłonie na biurku, Biblia przy prawym przedramieniu, w tle przewieszona flaga Polski i dwie po bokach z orłem w koronie. Jakiś amator ustawił mu mikrofon na wysokości nosa, przez co głos Kumidora brzmiał jeszcze mniej poważnie. Pod względem technicznym, merytorycznym, piarowskim i politycznym to była absolutna porażka, ale ile już takich porażek prezes potrafił przekuć w swoje zwycięstwo? Dariusz był, kim był, i robił, co robić musiał, ale doprawdy nie mógł zrozumieć mentalności ludzi zamieszkujących ten kraj.

Kumidor przemawiał z coraz większym zadęciem, co biorąc pod uwagę treść, nie brzmiało już nawet groteskowo, ale zdawało się kompletną aberracją rzeczywistości. „Wielka Polska”, „historyczna szansa”, „ataki zewnętrzne”, „rosyjska prowokacja”, „wojna hybrydowa”, „układ mający na celu zniszczenie powstającej z kolan Polski”, „unijny dyktat”, „niemieckie naciski”, a nawet „wina Rokosza” – to wszystko brzmiało jak bełkot zrozpaczonego szaleńca, który zupełnie stracił kontakt z otaczającą go rzeczywistością. Dariusz przyglądał się prezesowi z politowaniem i w pewnym sensie było mu go nawet żal, bo w tej chwili już nikt nie miał wątpliwości, że ten spektakl nigdy nie powinien się wydarzyć. Nawet dwaj najbardziej zaufani ludzie prezesa, którzy nieprzerwanie trwali przy nim od pierwszych lat po zmianie ustroju i którym Kumidor w swej łasce pozwolił towarzyszyć w tym historycznym wystąpieniu, nie byli w stanie ukryć rozczarowania.

– ...dlatego nie pozwolimy się szantażować i udowodnimy, że państwo polskie jest silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Tak mi, tak nam, dopomóż Bóg.

Koniec. Kurtyna opadła. Kumidor wstał z krzesła i w szarmancki sposób podziękował realizatorce sprawującej pieczę nad przeprowadzeniem transmisji. W pomieszczeniu rozległy się brawa, a prezes uniósł dłonie i nie kryjąc lekkiego zmieszania, zaczął wszystkich uspokajać. Dariusz przyglądał się tej cudacznej scenie, nie mogąc opędzić się od wrażenia, że ci ludzie, podobnie jak prezes, żyją w zaproponowanej przez niego równoległej rzeczywistości, że naprawdę wierzą w niegasnący geniusz swojego lidera, a jego orędzie co najmniej dorównuje temu Churchilla, który w Izbie Gmin przed ponad osiemdziesięciu laty słynnym wezwaniem do walki na lądzie, w powietrzu i wodzie rozpoczął operację mającą na celu pokonanie hitlerowskich Niemiec. Pomyślał, że tak to jest, gdy ludzie sami uwierzą we własną propagandę.

Zerknął na smartwatch i wykonał potrzebne operacje. Rozejrzył się po pokoju. Naliczył dwanaście osób, w tym Kumidora, jego najbliższych klakierów w osobach: szefa Gabinetu Politycznego Prezesa Rady Ministrów Rafała Malarza i wicemarszałka Romana Piesińskiego oraz prezesa zarządu telewizji rządowej Jerzego Ruskiego, ze świtą odpowiedzialną za przygotowanie transmisji z orędzia, ogólnie zaś za szerzenie w swojej stacji tępej propagandy. Pomyślał, że od lat pracuje dla bandy największych nieudaczników, co nie poprawiło mu humoru, a jedynie wzmoгло wewnętrzny gniew. Opanował się. Musiał zachowywać się jak profesjonalista. On był profesjonalistą. I musiał robić, co do niego należy.

Odetchnął i ruszył w kierunku Kumidora, aby nieszczerze pogratulować mu występu. Gdy tylko zrobił pierwszy krok, na zewnątrz rozległ się potężny huk, a mury willi zatrzęsły się w posadach. Zanim ucichło echo eksplozji, a ostatnie okruszki szkła z rozbitych okien opadły na podłogę, salon wypełniły paniczne pokrzykiwania obecnych.

Dariusz poczuł gwałtowny przyływ adrenaliny. Nagle wszystko zwolniło, a perspektywa zawężiła się do jednego jedyne go działania, które zostało mu powierzone. Błyskawicznie doskoczył do zupełnie zdezorientowanego Kumidora. Chwycił go za ramię i osłonił własnym ciałem, wykrzykując rozkazy w kierunku trzech agentów SOP-u, którzy znaleźli się w polu jego widzenia. Wybiegli na zewnątrz, aby jak najszybciej odciągnąć prezesa od okien i ścian wewnętrznych. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, ruszyli do wnętrza budynku, gdzie kryło

się jedyne bezpieczne miejsce. Kiedy schodzili po schodach, w milionach polskich domów już wrzało.

Brudny usłyszał jedynie delikatny pogłos czegoś, co równie dobrze mogłoby być trzaskiem zderzających się samochodów albo wybuchem średniej wielkości petardy. Wcisnął przełącznik i piwnica rozbłysła żółtawym światłem z wiszącej na kablu żarówki. Odłożył na jedną z półek trutkę na szczury i rozejrzał się po przestronnym pomieszczeniu. W środku panował okropny zaduch i cuchnęło mieszanką zgnilizny oraz zwierzęcych odchodów, a chłód zdawał się wyjątkowo przenikliwy, nawet jak na piwnicę. Po niemal całym pomieszczeniu wałała się niezliczona liczba najróżniejszej maści przedmiotów – od starych pudeł po butach po sprzęty do pielęgnacji ogrodu. Wszystko zdawało się albo zgniłe, albo przeżarte rdzą, a na ścianach plecił się grzyb, którego czarne macki w niektórych miejscach sięgały aż do podłogi.

Komisarz zrobił kilka kroków i przyjrzał się półce z przetworami. W słoikach znajdowały się przeciery pomidorowe, ogórki kiszone, korniszony, grzyby, papryczki, w innych dżemy z gruszek, wiśni czy moreli, wszystkie zaś opatrzone były własnoręcznie przyklejonymi etykietami z przesadnie dużymi napisami, co sugerowało, że mogły być dziełem pani Durkosz. Co innego łopaty, kilofy, taczki czy kosiarka spalinowa, które poza słoikami na półce jako jedyne wydawały się poukładane w jakimś sensownym porządku. Nietrudno było się domyślić, że nie należały do gospodyni, a raczej poprzedniego właściciela nieruchomości. A może obecnego?

„Czasem mi się śni i czuję jego zapach. Tak jakby mnie odwiedzał. Tak jak to robi mój syn. Jego obecność też czuję”.

Słowa gospodyni wybrzmiewały teraz w jego głowie coraz silniej. Brudny zerwał wierzchem dłoni sporej wielkości pajęczynę i zbliżył się do mniej uczęszczanej części piwnicy. Schylił się po masywny młot, ale gdy tylko go uniósł, przegniły trzonek pękł i kilkukilogramowy obuch runął na betonową podłogę. Zaklął pod nosem i przez chwilę nasłuchiwał, po czym chwycił krawędź starego, wygniecionego brezentu, który przykrywał kolejną górę kłopotów. Pod spodem znajdowały się połamane krzesła ogrodowe, jakieś blaty, zardzewiała piła do drewna i całkiem sporo

rozpadających się drewnianych wsporników. Wzdrygnął się na myśl, która zaświtała mu w głowie. A może to był zimny podmuch na odsłoniętym karku? Poczuł jeszcze większą ekscytację. Popchnął stare drzwi do drugiego pomieszczenia. Zaskrzypiały złośliwie. Odnalazł włącznik, ale tym razem światło nie rozbłysło. Wyciągnął latarkę i poświecił po ścianach. W kotłowni znajdował się stary, nieużywany piec i wiadro po brzegi wypełnione czarną wodą. Dostrzegł ruch, a gdy skierował w tę stronę wiązkę światła, ujrzał uniesioną szczurzą mordkę. Zwierzę nie bało się go i dokładnie widział, jak porusza nozdrzami. Skierował się do kolejnego pomieszczenia, gdzie natknął się na kilka następnych gryzoni. Wydawały się większe od przeciętnych okazów tego gatunku i na widok Brudnego nie chowały się, zamiast tego cicho popiskiwały i wpatrywały się w niego, jakby widziały w nim kolejny posiłek. Komisarz przytknął ramię do nosa, bo w tym miejscu smród zgnilizny zdawał się jeszcze silniejszy. Omiótł wiązką światła z latarki całe pomieszczenie, które tonęło w starych pajęczynach. Zwisały z sufitu dosłownie wszędzie, czepiając się ręcznie składanych regałów, raszlowych worków czy znajdującej się w rogu wysokiej prawie na metr stercie węgla. Wtedy znów poczuł zimny podmuch na karku. Wytarł policzek wierzchem dłoni i gnany instynktem raz jeszcze skierował wiązkę latarki w miejsce, gdzie dostrzegł gryzonia. Tym razem błysnęło nie kilka, a kilkadziesiąt par oczu. Poczuł na odsłoniętym karku lodowate tchnienie, tak jakby właśnie przemówiła do niego sama Kostucha. Zaklął i wycofał się. Zamknął drzwi, po czym sięgnął po paczkę papierosów i zaczął klikać w przycisk zapalniczki. Ogień niemal natychmiast gasł, jakby jakaś niewidzialna złośliwa istota stała tuż obok i za każdym razem zdmuchiwała płomień niczym urodzinową świeczkę. W końcu zdążył się zaciągnąć. Wydmuchnął gęstą chmurę dymu, która po chwili poszybowała w kierunku pieca. Brudny zastygł w bezruchu. Powoli zaciągnął się raz jeszcze i wypuścił biały obłok. Obserwował, jak sunie ku górze, aby chwilę później ponownie zostać raptownie zassanym. Jego serce zabiło mocniej i nie czekając ani chwili dłużej, zeskoczył dwa stopnie i przegoniwszy butem dwa szczury, zajrzał za masywny piec. Poczuł powiew zgnilizny, a zaraz potem przyplływ adrenaliny. W podłodze zionęła czarna dziura, którą tylko częściowo przykrywała kratownica. Akurat taka, aby mógł się w nią zmieścić postawny mężczyzna. Dokładnie taki jak on.

Kiedy Brudny schodził po prowizorycznej drabince, minister MSWiA Olgierd Kałużyński zastanawiał się, w jaki to sposób Mikołaj Pieronowicz Gołowkin wyparował. Koordynator służb specjalnych nie był w stanie tego pojąć i choć bardzo pragnął się dowiedzieć, jak to możliwe, aby skuty kajdanami więzień tak po prostu zniknął z celi, musiał skupić uwagę na innych problemach, które nagle runęły na niego niczym lawina piroklastyczna. Eksplozja na terenie willi Kumidora? Uruchomione odliczanie do transmisji Sędziego? A może informacja o potężnej demonstracji obywateli rozjuszonych pełnym pychy wystąpieniem prezesa? Pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli zacznie pakować manatki. Tu i teraz. Chwilę później Olgierd Kałużyński w akcie rozpaczy roztrzaskał krzesło o ścianę.

ROZDZIAŁ 37

Mężczyzna nasunął na głowę kaptur i zbliżył się do wicepremiera. Złapał go za żuchwę i przekreślił głowę, aby Kaczmarek mógł mu spojrzeć w oczy.

– Twój pryncypał cię olał, mój drogi, ale chyba nie podejrzewałeś, że będzie inaczej? – zagadnął z drwiną w głosie. Zbliżył się na odległość, z której ofiara mogła poczuć jego ciepły oddech. Jej pozbawione powieki oko wpatrywało się gdzieś w sufit, ale drgnęło i przez sekundę mężczyźni na siebie spoglądali. Sędzia się skrzywił. – No nie... naprawdę tak myślałeś? Naprawdę wierzyłeś, że Kumidor wyda wszystkie teczki i przyzna się do swoich grzechów, aby cię ratować? Szkoda, że nie mamy czasu, abyś mógł zobaczyć jego występ. Ty wiesz, że nie wspomniał o tobie ani słowem?

Mięśnie twarzy wicepremiera poruszyły się, jakby chciał coś powiedzieć, ale z ust wylała mu się tylko krwawa plwocina, która zawisła, a następnie zastygła na brodzie niczym sopel lodu. Sędzia przyjrzał się jego skatowanemu korpusowi. Chyba jednak trochę przesadził, bo w niektórych miejscach mięso zdążyło odejść od kości, a jedno ze złamanych żeber dosłownie wyskoczyło na zewnątrz. W tym przypadku nie mógł się jednak opanować. Tak długo czekał, aby w końcu dopaść tego skurwiela i wymierzyć mu zasłużoną karę, że przez ostatnie noce nie był w stanie zmrużyć oka, przez co w tej chwili miał zaburzony proces myślowy. A nie mógł sobie pozwolić na błąd. O nie, co to, to nie. Nie w momencie, gdy właśnie dał mata. Uznał, że nie będzie dłużej tego ciągnął. Miał godzinę, może dwie, zanim jakiś kretyń ostatecznie zdecyduje się wykonać polecenie Kumidora i odłączy cały kraj od sieci. Do tego czasu ludzie musieli obejrzeć wielki finał. A później? Wyszczерzył zęby w szyderyczym uśmiechu. Później niech się dzieje wola nieba.

– Nie będziemy tego przeciągać – mruknął i poluzował uchwyt, po czym sięgnął po wiadro z wodą i chlusnął jego zawartością w twarz ofiary. Kaczmarek wciągnął powietrze i wydał z siebie głęboki jęk. – I żeby było

jasne. Masz jeszcze szansę. Jeśli ludzie uznają, że powinienem cię oszczędzić, to masz moje słowo, że to zrobię. Jeśli nie, to cóż...

Sędzia odszedł w stronę swojego centrum dowodzenia i na jednym z komputerów ustawił odpowiedni program. Spojrzał na zegarek. Wyrobił się idealnie. Właśnie dochodziła dwudziesta pierwsza, więc według najbardziej pesymistycznych założeń miał przynajmniej godzinę, aby dokończyć swoje dzieło. Zdaży. Na spokojnie i bez pośpiechu. Tak żeby wszyscy byli zadowoleni. Poprawił kamerę i wrócił do Kaczmarka. Począł, aż wejdzie na żywo. Liczba subskrybentów niemal natychmiast osiągnęła milion i rosła w tempie wykładniczym.

– Bolesław Kumidor postanowił nie przejmować się losem ministra edukacji i nauki i w swojej ułańskiej szarzy podjął próbę rzucenia mi rękawicy – oznajmił Sędzia. – Jako że jestem człowiekiem czynu, podejmuję ją z nieskrywaną radością. Ale... – mężczyzna w katowskim kapturze zbliżył się do kamery – ponieważ jestem także waszym głosem, obiecałem wicepremierowi, że to wy podejmiecie decyzję o jego przyszłości. W prawym dolnym rogu właśnie uruchomił się czat, na którym możecie wydać wyrok. Osądźcie tego człowieka sprawiedliwie. Czas start.

Sędzia zniknął z kadru i przysiadł do komputera. Programator działał bez zarzutu. W trzech okienkach leciały filmy, na których Kaczmarek gwałcił i katował kolejne młode kobiety, a w prawym dolnym rogu pieklił się czat. Na jednym z laptopów powiększył ostatnie okienko i czcionkę, aby wicepremier miał świadomość, co go czeka. Choć kolejne komentarze przesuwały się błyskawicznie, trudno było znaleźć choć jeden, który można by było uznać za neutralny, o litościwych nie wspominając.

Pola_i_Jaga: Nabij go na pal!!!!!!!

KRUS: Skurwiel jebany! Niech mu rozerwie dupę na strzępy!

pikapika44: Wielbiciel anala? HAHAAHAHAHAHHA

Malinka_sss: na sucho i posolić poproszę

_kjsb98uu: zgwałć go tym kijem z drutem kolczastym

Pola_i_Jaga do Malinka_sss: Piona!

rysiek50: Tak powinno się traktować wszystkich zbrojczyńców i gwałcicieli. Lubią bez pytania wsadzać w tyłek, to im też powinno się w tyłek wsadzić. Brawo, Sędzia!

kjsd9876s: nadziei skurwiela i niech cierpi jak najdłużej szmaciarz pierdolony

gilgamesz: Kto od miecza wojuje ten od miecza ginie buhahahaha

mokra_wloszka: *pana tekst ministerku „zamknij ryj, gówniario, nie wiesz jeszcze, że dupa mieści więcej?” no to teraz masz gnoju jebany, ciekawa jestem ile twoja dupa zmieści???*

Jaga do mokra_wloszka: *Jest sprawiedliwość na tym świecie!*

Diabeł666: *Kochamy Cię, Sędzio! Kto następny???*

kachnaO: *niech cierpi zboczuch pierdolony a ja bym mu jeszcze kutasa odciela*

Pan_Kowalski do Diabeł666: *Podpinam się pod pytanie...*

paszmira090: *nabij, nabij, nabij, nabij, nabij*

Sędzia jeszcze przez chwilę wpatrywał się w komentarze, po czym cmoknął, odetchnął i podniósł się siedzenia. Podszedł do Kaczmarka i spojrzał mu w oczy. Wicepremier szczerze płakał. Łzy płynęły nieprzerwanym strumieniem i mieszały się z krwią na policzkach, szyi i klatce piersiowej. Nagle z jego ciała wydobyło się kilka znaczących dźwięków i po skrwawionym pału pociekł mocz i kał.

– Naprawdę jesteś obrzydliwy – syknął mu do ucha Sędzia i zniknął z kadru.

Podszedł do kołowrotu i odciągnął kabłąk, zupełnie luzując łańcuchy. Ciało wicepremiera opadło pod własnym ciężarem o kolejne dwadzieścia centymetrów, wydając przy tym paskudny, chlupocząco-chrzęszczący odgłos. Chwilę później piwnicę rozdarł przeraźliwy ryk.

Sędzia przypatrywał się z boku jego agonii w nadziei, że dokonana zemsta ukoi tak długo tłumiony ból. Niestety, poczuł jedynie jeszcze większy gniew. Poczuł też na nadgarstku coś jeszcze. I tego nie spodziewał się ani trochę.

Brudny włożył latarkę do ust i wyciągnął broń. Przeładował i z powrotem wcisnął za pasek. Gdy wsunął się w otwór, zawahał się i sięgnął po telefon. Stara nokia, którą zabrał ze sobą w obawie, aby nie zostać podsłuchiwanym w rozmowie z Marią Durkosz, tu gubiła zasięg. Przeanalizował sytuację i uznał, że najlepiej będzie, jeśli Julka pozostanie w samochodzie. Nie chciał jej narażać, a doskonale wiedział, że jeśli poinformowałaby ją o swoich planach, prawie na pewno ruszyłaby jego śladami. Nie miał czasu na tego typu deliberacje, tym bardziej na kłótnie, zresztą był przekonany, że

jeśli długo nie będzie wracał, to zaniepokojona jego obecnością partnerka pewnie sprawdzi, co się dzieje, i jeżeli uzna, że jest zbyt niebezpiecznie, to wezwie wsparcie.

Z tą myślą zaczął schodzić na dół. Nie spodziewał się, że to możliwe, ale w pewnym momencie usłyszał przenikliwy pisk, gdy nadepnął na jednego z gryzoni. Szczur najwyraźniej próbował wspinać się po drabinie, która owszem, nie była ustawiona w pionie, ale i tak wydawała się przeszkodą trudną, jeśli nie niemożliwą do pokonania dla tak niewielkiego zwierzęcia. Gdy w końcu stanął na utwardzonym gruncie, poczuł dokuczliwy chłód i równie przenikliwy smród zgnilizny. Obrócił się i niechcący zahaczył głową o zwisającą żarówkę, która zaczęła się chybotać. Zaklął pod nosem i chwycił ją w garść. Przestała się kołysać. Drugą ręką wyjął latarkę z ust i poświecił w głąb wysokiego prawie na dwa i szerokiego na blisko metr tunelu. Bez wątpienia został wykopany własnoręcznie, mimo to wyglądał na robotę profesjonalisty. Co kilka kroków poustawiano drewniane wsporniki, brzegi na wysokość kolana zostały wzmocnione cegłami, a nad głową ciągnęły się nawet dwa kable, które najwyraźniej zasilają przekop energią elektryczną. Poszukał jakiegoś włącznika, ale żadnego nie namierzył, więc postanowił ruszyć w głąb tunelu. Wyciągnął pistolet i chwycił go oburącz, kierując snop dociskanej do niego latarki w taki sposób, aby wiązka światła była wycelowana mniej więcej w to samo miejsce, gdzie lufa walthera. Starał się poruszać bezszelestnie, ale w niektórych miejscach stała woda, która chlupała mu pod butami, na dodatek płoszył pałętające się pod nogami szczury, które piszczały, gdy nadepnął im na ogon albo po prostu przepchnął je stopą. Po kilkudziesięciu krokach tunel lekko odbijał w lewo, a następnie czekała go gimnastyka, bo w pewnym momencie drogę zagrodziły mu dwie poprzecznie ciągnące się rury, między którymi musiał się przecisnąć, co wbrew pozorom wcale nie było takie proste. Gdzieś zwisły korzenie, jedno grubsze, inne wystarczyło lekko przesunąć dłonią. Co kilkanaście kroków przystawał i nasłuchiwał, ale poza odgłosami wałęsających się szczurów, nie usłyszał nic, co mogłoby go dodatkowo zaniepokoić. Wyjątkiem był smród, który zaczynał być nie do zniesienia. Trupi odór, bo właśnie tak cuchnęły truchła zwierząt. Albo ludzi.

Ta myśl sprawiła, że na karku poczuł nieprzyjemne mrowienie. Nie miał już żadnych wątpiwości, że trafił w odpowiednie miejsce. Wtedy dostrzegł w ścianie jakąś wnękę. Przytknął rękę do nosa, gdy stężenie obrzydliwej

woni omal nie ścięło go z nóg. Odbił w wąską odnogę tunelu, ale po ujściu zaledwie kilku kroków natknął się na kawał ustawionej w pionie blachy falistej. Ktoś zadał sobie sporo trudu, aby ją ustabilizować, bo była przybita gwoździami do drewnianych wsporników, a na dole dodatkowo dopchnięta cegłami. Pomyślał, że smród musi dochodzić właśnie z za niej i cokolwiek go wytwarza, nie będzie to przyjemny widok. Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien zajrzeć do środka, i postanowił spróbować. Odłożył broń na ziemię i z powrotem wcisnął latarkę między zęby. Zaklął, gdy szarpnął za blachę, a ta wydała charakterystyczny dźwięczny odgłos, który poniósł się echem po tunelu. Zdołał wyrwać dwa gwoździe, ale wciąż siedziała mocno. Postanowił nie robić jeszcze większego hałasu. Odgiął ją i zajrzał przez szparę.

To, co zobaczył, sprawiło, że po karku przebiegł mu lodowaty dreszcz. W wielkim upačkanym od wewnątrz, choć wystarczająco przezroczystym zbiorniku z grubego szkła kotłowały się setki, jeśli nie tysiące szczurów. Prawie w każdym z gęsto rozsianych centymetrowej średnicy otworów wciśnięty był albo ryjek albo łapka zamkniętego weń gryzonia, przez co szklany kontener przypominał jeden wielki i pulsujący gniewem organizm, który za wszelką cenę próbuje wyrwać się z pułapki. Skrzywił się na ten widok i poczuł suchość w gardle. Przeniósł wzrok na skrzynie i pudła poustawiane przy przeciwległej ścianie. Były częściowo przykryte grubą szarą plandeką, podobne jak stojący po drugiej stronie regał z narzędziami, wiadrami i pomniejszych przezroczystymi zbiornikami. Co to, kurwa, miało być?

Nie zdążył sobie odpowiedzieć na to pytanie. Gdy zorientował się, że za jego plecami ktoś stoi, poczuł silne uderzenie w tył głowy i osunął się w jeszcze gęstszy mrok.

Jęknął, gdy zaczerpnął haust powietrza nasączonego silną wonią amoniaku. Otworzył oczy i od razu pojął grozę sytuacji. Nie mógł się poruszyć, bo był przywiązany do krzesła, a na kostkach i nadgarstkach ciasno spinały go trytytki. Przed nim stał postawny mężczyzna w katowskim kapturze.

– Nie doceniłem cię, Brudny – rzekł, a komisarz zacisnął szczęki z taką siłą, że omal nie połamał sobie zębów. Znał ten głos. – Miałeś być tylko

wybiegiem dla Kałużyńskiego, a tu proszę, jak zwykle pieprzony Igor Brudny musi próbować ratować świat.

– Pierdol się, skurwysynu! – warknął.

Sędzia chwycił za górną część kaptura i ściągnął nakrycie głowy. Rozciągnął mięśnie szyi i wbił spojrzenie w komisarza.

– Daj spokój z tymi obelgami. Myślałem, że temat małostkowości mamy już za sobą. I... – Dariusz przykucnął, aby ich twarze znalazły się w jednej linii – ...coś ci zdradzę, Igor. Nic do ciebie nie mam. Naprawdę nic a nic. Powiem więcej, imponujesz mi, a nawet cię lubię. I gdybyś nie przylazł tu z własnej woli, to jutro dalej byś żył, pojutrze mógłbyś zanieść papiery Berylowi, a ten nie miałby już żadnych oporów, aby wznowić śledztwo przeciwko młodemu Czabańskiemu. Znów byłbyś bohaterem, a tak... – Agent cmoknął i pokręcił głową. – A tak zginiesz tu razem z tymi bandytami. Szkoda, naprawdę szkoda...

Tym razem Brudny nie odpowiedział. Wpatrywał się w ciemne oczy Dariusza. Nie było w nich nienawiści ani nawet złości. Wciąż nie rozumiał, jakim cudem dał się zwieść? Miał gościa na wyciągnięcie ręki, wymienił z nim setki spojrzeń, mimo to facet zabawił się z nim jak z dzieciakiem. Jego wzrok powędrował na dwie postaci znajdujące się kilka metrów dalej. Zachował kamienną twarz, choć widok nadzianego na pal Kaczmarka nie należał do najprzyjemniejszych. Wicepremier przypominał zakrwawiony strzęp wypatroszonej tuszy. Obok w pozycji klęczącej znajdował się Kumidor. Nagi nie wyglądał jak w telewizji, przez co wydawał się jeszcze bardziej groteskowy. Z rękami przykutymi za kolumną mamrotał coś pod nosem i Brudny był prawie pewny, że się modli.

– Jak ci się to udało? – zapytał, nie siląc się na nerwowe ruchy. Naprawdę chciał wiedzieć, a poza tym w tego typu sytuacjach zawsze należało grać na czas. Nie wątpił, że Dariusz doskonale zdaje sobie z tego sprawę i tylko od niego zależy, czy pozwoli sobie na dłuższe pogaduchy.

– Jestem profesjonalistą. – Uśmiechnął się samymi ustami. – W przeciwieństwie do tych wszystkich idiotów, którzy rządzą tym krajem. – Skinął głową na dwójkę za plecami. – Czasem poważnie zastanawiałem się, czy gdybym założył ten kapturek, dajmy na to w Sejmie, i powiedział, że ja to ja, to ci idioci by się połapali. Ale tak to jest, gdy z kraju robi się cyrk, a poważnych ludzi wymienia na ledwo przeszkolone, ale posłuszne mały. I tak na każdym szczeblu począwszy, od prostych wojaków czy policjantów, przez ochronę, służby specjalne, generałów, skończywszy na

politykach najwyższego szczebla. Wyruchanie ich wszystkich naprawdę nie stanowiło większego wyzwania.

Brudny musiał przyznać mu rację. Sam od dłuższego czasu twierdził, że ryba psuje się od głowy, a jakość kolejnych błyskawicznie awansowanych oficerów, z komendantami na czele, spadała na łeb na szyję. Na stanowiskach pojawili się ludzie niewykształceni, niekompetentni i niemający zielonego pojęcia o zadaniach, do których zostali powołani, za to ślepo posłuszni władzy. Podobnie musiało być w wojsku i służbach specjalnych. Wystarczyło przeanalizować czystki, do jakich doszło po zmianie wierchuszki, i spojrzeć na poziom kierujących poszczególnymi resortami polityków, aby stracić wszelkie złudzenia, że gdzie indziej może wyglądać to choć trochę lepiej. Partyjni nominaci zawłaszczyli sobie niemal cały kraj i – Dariusz lepiej tego ująć już nie mógł – z poważnego państwa Europy zrobili cyrk. Przez głowę komisarza przemknęła myśl, że każda głupia władza prędzej czy później kończy marnie.

– Po co więc mnie w to wciągałeś? – zapytał, gdy znów wbił wzrok w ciemne oczy Sędziego.

– Cóż... – Dariusz westchnął. – Akurat na tle bandy tych niedorozwojów Broziak, Nosalski i Kałużyński to faceci z łbami na karku. Jednego pozbyłem się więc błyskawicznie, stawiając go w sytuacji bez wyjścia i ostatecznie totalnie kompromitując, a dwóm następnym musiałem rzucić jakieś ochłapy. A ty... medialny glina, niemal bohater narodowy, który dodatkowo wychował się w sierocińcu, gdzie dochodziło do molestowania dzieci przez księży, wydałeś się kandydatem idealnym, ponieważ Kryszaka pierwszego wzięłem na cel. Media podchwyciły temat błyskawicznie, Kałużyński zresztą też. Uwierz, że on naprawdę był przekonany, że pomożesz mu rozwiązać tę sprawę. Dzięki tobie wszyscy gonili własny ogon, a ja mogłem dalej robić swoje.

– A Pieronowicz?

– Pieronowicz... – Dariusz syknął z bólu, gdy się z powrotem wyprostował. Na chwilę zogniskował uwagę na prawym ramieniu. Kula nie mogła zrobić mu dużej krzywdy, pewnie go tylko drasnęła i Brudny pomyślał, że to dlatego tak się pocił w windzie. – Pieronowicz był brakującym ogniwem – ciągnął. – Siedem lat planowałem to wszystko, ale choć wykopałem ten tunel, przygotowałem wszystko w bunkrze Kumidora, a na co dzień załatwiałem dla nich te wszystkie skurwysyństwa, łącznie z pozbywaniem się niewygodnych świadków, nie mogłem zacząć, nie

mając w odwodzie kogoś, kto dodatkowo skupiłby uwagę Kałużyńskiego, gdyby coś poszło nie tak. Wypada mi uczciwie przyznać, że on nie był taki głupi i musiałem się porządnie nagimnastykować, aby odciągnąć od siebie podejrzenia. Nawet trochę oszukałem, nie wszystkie relacje puszczając na żywo, ale nietrudno było przewidzieć odzew ze strony użytkowników, więc dwukrotnie zagrałem w ciemno. Pieronowicza natomiast znałem doskonale, bo był jednym z moich najlepszych adeptów. Gdy wpadłem na to, co stało się w szpitalu, spotkałem się z nim i zaproponowałem współpracę. Ty wiesz, że to on wymyślił, aby cię wykorzystać? – Dariusz pokręcił głową z niedowierzaniem. – Na początku nie byłem przekonany, ale mnie namówił. Znał cię dobrze, wiedział, jaki jesteś i że odpowiednio zachęcony podejmiesz się zadania. Muszę przyznać, że po naszym spotkaniu na Pradze też odniosłem takie wrażenie. Tym bardziej mi ciebie szkoda, bo jesteś uczciwym człowiekiem. I trochę żałuję, że jednak cię nie doceniłem, bo naprawdę nie zasługujesz na śmierć w towarzystwie tych śmieci.

To też miało sens. Bez dwóch zdań Pierun miał silny motyw. Zdruzgotany po tym, co wydarzyło się w szpitalu, miał pełne prawo obwiniać za śmierć żony władzę, zwłaszcza Kryszaka, Broziaka i Kumidora, którzy do przepchnięcia ustawy antyaborcyjnej przyczynili się najbardziej. Brudny niechętnie musiał przyznać przed samym sobą, że jego też nachodziły czasem względem rządzących ekstremistyczne myśli, nietrudno więc było mu sobie wyobrazić, co musiał czuć zrozpaczony mąż i niedoszły ojciec. A jeśli Pieronowicz z Dariuszem dodatkowo się znali i sobie ufali...?

Brudny przeniósł wzrok na coś, co mógłby nazwać panelem sterowania Sędziego. W całym pomieszczeniu ucho drażnił nieustanny szum potężnych serwerów, a na długim stole stały monitory komputerów. Na większości z nich wyświetlały się nagrania zaaferowanych mężczyzn, którzy zdawali się biegać jak bezgłowe kurczaki. Wśród nich dostrzegł Kałużyńskiego. Dariuszowi również to nie umknęło. Uśmiechnął się pod nosem, jakby nie tylko nie bał się wizyty swojego szefa, ale na nią czekał.

– Kim ty w ogóle jesteś? – zapytał Brudny.

Mężczyzna się roześmiał.

– Już ci kiedyś mówiłem, że gdybym ci powiedział, to musiałbym cię zabić.

– W obecnej sytuacji to już chyba nie robi większej różnicy...

– Cóż... nie da się ukryć, więc... – Dariusz zrobił minę, jakby poważnie się nad czymś zastanawiał. – Od początku uczono mnie skromności, więc przyjmijmy, że jestem po prostu odpowiednim człowiekiem na odpowiednim miejscu. Powiedzmy, że o takich jak ja czasem kręcą filmy. A teraz wybacź, ale najwyższy czas jeszcze trochę skomplikować życie tym mądralom na górze. W końcu nie chcemy, aby ktoś nam przeszkodził, prawda?

Spojrzał na zegarek, po czym skierował się do swojego centrum dowodzenia.

– Jesteśmy pod nimi, mam rację? – zagadnął Brudny.

– Owszem – odparł Dariusz, wklepując jakieś dyspozycje na głównym laptopie. – To bunkier zbudowany specjalnie na życzenie Kumidora. Absolutnie samowystarczalny. Jest tu wszystko, od kibla po najnowocześniejsze rozwiązania z zakresu kontroli cybernetycznej. Ten mały chujek wywalił na to prawie sto milionów dolarów, bo ubzdurał sobie, że będzie mógł stąd rządzić całym krajem. A jako że od początku pilotowałem ten projekt, mogłem wprowadzić kilka drobnych zmian, ale o tym później...

– Naprawdę myślisz, że ci się uda? – Na jednej z kamer Brudny dostrzegł kilku kontrterrorystów, którzy próbowali wyważyć ciężkie stalowe drzwi.

– Owszem. Tak właśnie myślę. Bunkier jest absolutnie dźwiękoszczelny, ale sugerowałbym zatkać uszy, bo... no tak, zapomniałem, że masz związa...

Nie zdążył dokończyć, gdy na górze rozległ się przytłumiony grzmot, a całe pomieszczenie wpadło w gwałtowne wibracje. Z blatu spadło kilka narzędzi, na większości ekranów pojawiły się drgania, ale jasne jarzeniówki nie przygasły nawet na chwilę.

– I po sprawie – oznajmił Dariusz z nutą kpiny w głosie. – Zanim załapią, co tu się w ogóle wydarzyło, minie dobrych kilka godzin, więc czas najwyższy zająć się naszym niedoszłym zbawcą narodu.

Dariusz wstał z obrotowego krzesła i podszedł do blatu. Z walizki wyciągnął niewielki skalpel. Obrócił go w palcach, a chirurgiczna stal błysnęła w świetle jarzeniówek. Spojrzał na leżący obok katowski kaptur, ale po chwili zawahania nie nałożył go na głowę. Tym razem chciał, aby ofiara widziała jego twarz. I zapamiętała ją, gdy będzie umierać.

Gdy potężny huk wstrząsnął osiedlem, Julka akurat paliła papierosa oparta o nadkole patrola. Jeszcze nie zaczęła się denerwować, bo w oknie domu, do którego wszedł Brudny, kilka razy mignęła jej właścicielka, która najwyraźniej krzątała się w kuchni. Czterdzieści minut zleciało jej błyskawicznie, zwłaszcza że prawie połowę czasu zajęło jej obejrzenie orędzia Kumidora. Nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać, więc resztę czasu spędziła, sprawdzając nagrania z monitoringu i, owszem, trafiła na podejrzanego, ale nie zdołała ustalić zbyt wiele, bo mężczyzna przez cały czas umiejętnie skrywał twarz pod kapturem. Lekko zdegustowana marnym materiałem dowodowym, postanowiła wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza. Wtedy gruchnęło.

Aż podskoczyła, a papieros wypadł jej z dłoni. Seria eksplozji była potężna, a nad dachami okolicznych domów najpierw pojawiła się wielka kula ognia, a sekundę później niemal wszystkie szyby w okolicznych domach rozleciały się w drobny mak. Osiedle rozbrzmiało dziesiątkami alarmów samochodowych, zgasły latarnie i światła w oknach.

– Ja pierdolę – rzuciła równie zaskoczona, jak zdezorientowana. Przez chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w łunę na zachodzie. Bezwiednie przytknęła dłoń do ust, nie będąc pewna, jak powinna zareagować, ale chwilę później pospiesznie wdrapała się na dach patrola. Z tego miejsca dało się dostrzec języki płomieni i buchające gęste obłoki dymu. – Myśl, Julka. Myśl, do jasnej cholery – powtarzała pod nosem, ale nie była przygotowana na taki rozwój sytuacji.

Wybuch gazu? Zamach? Kurwa! Przecież wiedziała, że to właśnie tam znajduje się willa Kumidora. A jeśli zaledwie kilkanaście minut wcześniej prezes skończył orędzie, to w środku zapewne wciąż znajdowało się przynajmniej kilkanaście osób. Chryste...

Zeskoczyła na maskę, a następnie na ziemię. Odgłosy eksplozji wciąż niosły się ponurym echem po najdalszych zakątkach miasta. Pomyślała, aby pobiec do Brudnego, ale przecież na pewno usłyszał wybuch. Musiał wiedzieć, co się stało. A może potrzebuje pomocy? Może pomocy potrzebuje Maria Durkosz? Zmitygowała się. Nie był dzieckiem. Na pewno wie, co robić w takiej sytuacji. Była kompletnie skołowana. Jej umysł bombardowały tysiące chaotycznych obrazów, w tym te najbardziej przerażające. Płomienie, dym, rozszarpane ciała, krew, krzyki, krew, płacz, krew, krew, krew...

Jakby na zawołanie z oddali dobiegł przeraźliwy krzyk. Ktoś darł się, jakby go obdzierali ze skóry. Jedna z ofiar eksplozji? Oczami wyobraźni ujrzała płonąca postać, człowieka pochodnię. Machał rękoma, stawiając kroki coraz wolniej, aby w końcu paść na kolana, na twarz i zamilknąć na zawsze. Wtedy rozległy się kolejne wrzaski, a chwilę później dołączyły psy. Szczekały, wyły, w oddali rozległy się syreny policyjne. To wyrwało ją z letargu. Otworzyła drzwi i sięgnęła po leżącą we wnęce starą nokię. Dlaczego Brudny jeszcze nie dał znaku życia? Ta myśl nagle zestresowała ją jeszcze bardziej. Wybrała numer do partnera i przytknęła telefon do ucha. Podniosła wzrok na fasadę budynku Marii Durkosz. Gdy usłyszała, że numer Brudnego jest poza zasięgiem, wahała się tylko krótką chwilę, po czym sięgnęła do schowka po kaburę. Wyjęła glocka i czym prędzej pobiegła w stronę domu.

Brudny powiódł wzrokiem za Dariuszem, który w milczeniu zbliżył się do Kumidora. Przyklęknął przed nim. Prezes mamrotał coś niezrozumiale pod nosem i wydawał się w głębokim szoku.

– Nie ujdzie ci to na sucho – rzucił, ale jakoś tak bez przekonania. Dariusz tylko się uśmiechnął.

– Może tak, a może nie. Swoje już zrobiłem. Cała reszta to tylko bonus.

– Kumidor nic ci nie zrobił. Zostaw go. Nie jesteś potworem. – Brudny nie miał pomysłu, jak wybrnąć z tej sytuacji.

Był unieruchomiony i bezbronny, a nawet jeśli jakimś cudem nagle udałooby mu się zerwać więzy, to w walce wręcz raczej nie miałby większych szans. Próba podejścia Dariusza od strony psychologicznej też właściwie nie wchodziła w grę, bo facet na takim etapie: agent, szpieg, najemnik czy kimkolwiek był, bez wątpienia przeszedł odpowiednie szkolenia i na takich sztuczkach zjadł zęby. Nie mógł jednak biernie przyglądać się, jak zarzyna Kumidora, który w jego oczach był już tylko przerażonym, struchlałym starcem, najwyraźniej nie do końca zdającym sobie sprawę z tego, co się wokół niego dzieje.

– Dotarliście na cmentarz, a nawet do tego śmiecia Srebrzyńskiego, więc pewnie już wiesz... – syknął Dariusz, ponownie unosząc skalpel na wysokość oczu prezesa. Przeniósł wzrok na komisarza. – A jeśli wiesz, to dlaczego twierdzisz, że jest niewinny?

– To nie on zabił twoich bliskich.

– Nie on? – Twarz Dariusza wykrzywiła się w gniewnym grymasie. Z powrotem skupił uwagę na Kumidorze. Przytknął mu skalpel do brody i zmusił go, aby uniósł głowę i spojrzał mu w oczy. – Powiedz, starcze. Wiedziałaś o tym, że Kryszak to pedofil?

Kumidor przestał mamrotać. Brudny znajdował się kilka metrów od obu mężczyzn, ale był w stanie dostrzec, że prezes wcale nie stracił kontaktu z rzeczywistością. Był w pełni świadomy, a w jego spojrzeniu tliło się coś, czego by się nie spodziewał. Niewątpliwie musiał być przerażony, ale to gniew, a nie strach przebijał się w jego drgających tęczęwkach.

– Nic nie rozumiesz, chłopcze – wysapał. – I nigdy tego nie zrozumiesz...

– Zła odpowiedź – ocenił Dariusz i przeciągnął skalpelem po jego piersi. Kumidor jęknął, z rany wypłynęła krew. – Wiedziałaś, że to pedofil, który od lat bezkarnie gwałci małych chłopców? Wiedziałaś, że przyczynił się do śmierci wielu dzieciaków z Konga? Wiedziałaś, że po pijaku wsiadł za kierownicę i na pasach potracił mojego syna, który później przez prawie dziesięć minut umierał na ulicy, bo ten chuj odjechał, nie udzieliwszy mu pomocy?

Tym razem Kumidor nie odpowiedział. Zamknął oczy, zacisnął zęby, zaczął syczeć i się trząść, jakby spodziewał się najgorszego. Dariusz najwyraźniej miał inne plany, a kolejne płytkie cięcie pojawiło się na udzie.

– Zostaw go – warknął Brudny, ale i tym razem nie zabrzmiał zbyt wiarygodnie. – To tylko stary i schorowany człowiek. Zakończ to. Jego śmierć nie przywróci ci rodziny.

– A ten tutaj... – Dariusz zignorował komisarza i wskazał ostrzem skalpela na truchło Kaczmarka. – Wiedziałaś, co robił tym nastolatkom w „Niebie”? – Odczekał kilka sekund. – Miej w sobie choć odrobinę godności i przyznaj się, że wiedziałaś, bo pan komisarz najwyraźniej ma jeszcze wątpliwości, czy aby na pewno zasłużyłeś na karę.

– Odpuść, człowieku! – Brudny już nie miał pomysłów. Po prostu mówił. – Wiem, co się przydarzyło Michałowi. Wiem, że przez Makowską zabrali dom Dorocie, i wiem, że Jagoda popełniła samobójstwo, bo została skrzywdzona przez Kaczmarka. Ale nie ma takiej siły, która pozwoliłaby przywrócić ich do życia. Dokonałeś już zemsty. Zabiłeś całą trójkę. Wszyscy umierali w męczarniach. I co? Czujesz się lepiej? Twój gniew

odszedł w zapomnienie? Naprawdę myślisz, że jak zamordujesz tego starca, to przestaniesz śnić koszmary?

– Nie wiesz, co Kaczmarek zrobił mojej córce!!! – ryknął Dariusz, a jego twarz zmieniła się nie do poznania. W dwóch susach doskoczył do Brudnego i przystawił mu skalpel do oka. Kipiał niewyobrażalnym gniewem i Brudny pomyślał, że to koniec, ale oprawca zdołał się opanować. – Powiem ci, Brudny, bo jedno z tych nagrań trafiło w moje ręce. – Przesunął płaską stroną ostrza po jego policzku. Komisarz zacisnął usta w linię, ale wytrzymał spojrzenie oprawcy. – Najpierw ją związał, aby nie mogła się ruszać. Następnie wsadził do ust knebel, aby nie mogła krzyczeć. Gwałcił i torturował ją ponad cztery godziny, ale tylko z początku miał siłę, bo gdy już mu nie stawał, zaczął ją bić. Bił i kopał tak mocno, że wybił jej zęby i połamał żebra. Ponieważ ledwo przytomna nie była w stanie spełnić jego poleceń, wziął pas. Ale nie taki normalny, tylko nabijany ćwiekami. I zaczął ją łać do momentu, aż na plecach i pośladkach popękała skóra. A gdy już przyszły te jego kurwy z ochrony, aby ją zabrać, wziął jeszcze pustą butelkę wódki i wcisnął jej w odbył aż po samo denko...

Brudny głośno przełknął ślinę. Nie miał żadnych argumentów. Dariusz chwycił go za podbródek.

– Tamten stary schorowany człowiek, w którego obronie stajesz, dostał to nagranie i zamiast postawić Kaczmarka w stan oskarżenia, poklepał go po ramieniu i powiedział, że to nie służy partii i lepiej, żeby już tego nie robił. A teraz wyobraź sobie... – Dariusz nachylił się jeszcze bliżej. – Wyobraź sobie, że na miejscu mojej Jagody znalazłaby się twoja mała bratanica. – Brudny zamknął oczy. – Lenka, tak? Tak ma na imię, prawda?

To był cios poniżej pasa. Brudny nie był w stanie wyobrazić sobie, co zrobiłby człowiekowi, który skrzywdziłby Lenkę. Uwielbiał ją i choć w ostatnim czasie nie miał zbyt wielu okazji, aby odwiedzać brata, była jedyną osobą, którą obdarzył uczuciem bezwarunkowym, ale tak potężnym, że czasem jego samego to przerażało. Tak jakby te wszystkie lata samotności i zgryzoty, braku miłości, odrzucania jej na rzecz trudnego do zdefiniowania pragnienia odizolowania się od ludzi i tego, co ludzkie, skrywania kłębiących się w nim emocji, w końcu eksplodowały niczym wulkan, a cała energia skierowała się na córkę Filipa. Doskonale pamiętał to dogłębne uczucie, gdy dowiedział się, że Lenka została porwana przez psychopatę mordującego policjantów. Wewnętrzny ból był niemal nie do

zniesienia, poczucie winy obezwładniająca, a chęć zemsty i – dosłownie – rozszarpania człowieka na strzępy zupełnie przysłoniła mu zdolność logicznego myślenia. Wątpił, aby pogodził się z losem, gdyby poniósł porażkę. Sama myśl, że Lence mógłby spaść włos z głowy, była nie do zniesienia, a świadomość, że mogłaby zostać potraktowana jak Jagoda, w ogóle nie mieściła mu się w głowie.

Jakim prawem śmiał oceniać Dariusza? Czy na jego miejscu zachowałby się inaczej? Czy miałby w sobie więcej siły, aby wybaczyć taką krzywdę? Wątpił w to.

– Ma na imię Lenka – odparł i choć bronił się, aby nie zostawiać pola do interpretacji, Dariusz przyjął te słowa zgodnie z wydźwiękiem, jaki ze sobą niosły.

– Możesz o mnie myśleć, co chcesz, ale nigdy nie zabiłem niewinnej osoby ani dziecka – powiedział Dariusz. – Owszem, pracowałem dla tych skurwysynów, eliminowałem świadków ich przekrętów, nadużyć i tych wszystkich odrażających ekscesów, ale wszyscy, którzy zginęli z mojej ręki, w ten czy inny sposób z nimi współpracowali albo byli w jakiś sposób umoczeni. I możesz mi wierzyć lub nie, ale twojej kobiety ani bratanicy nigdy bym nie tknął.

– Wierzę ci... – Brudny postanowił przyjąć nową taktykę. Ryzykowną, ale tonący brzytwy się chwyta. Dariusz się przed nim otworzył. Usprawiedliwiał się. Niewątpliwie czuł wyrzuty sumienia i pragnął oczyścić swoje dobre imię, choćby przed nim i nawet jeśli wobec planów pogrzebania go w tym miejscu nie miało to żadnego znaczenia, najwyraźniej potrzebował swoistego przebaczenia i zrozumienia. Musiał wykorzystać te chwilę słabości przeciwnika. – Tylko... co dalej? – W tych dwóch słowach postawił tysiące znaków zapytania.

Powieki Dariusza opadły nieznacznie, jakby dopadło go zmęczenie. Fizycznie musiał być wykończony, psychicznie – nawet jeśli jego umysł był ostry jak brzytwa – zapewne wyglądało to jeszcze gorzej.

– Nie jest potworem, Brudny – powiedział. – Ja walczę z potworami.

– Nie pokonasz wszystkich...

– Ale dam im do myślenia...

W głosie Dariusza ponownie wybrzmiały groźne nuty. Odwrócił się w stronę Kumidora, który zdawał się szlochać. Czyżby wyznanie Dariusza sprawiło, że poczuł wyrzuty sumienia? Czy uświadomiło mu, na jakie zło przyzwalał w imię politycznego interesu partii?

- Czy jest jakaś możliwość, abym odwiódł cię od tego, co chcesz zrobić?
- Brudny nie miał już innego pomysłu. Dariusz wytrącił mu z rąk wszystkie argumenty.

Sędzia spojrział z góry na komisarza i z katowskiego uniformu wyciągnął kawał szmaty, którą następnie bez słowa wyjaśnienia wcisnął mu w usta. Brudny nie stawiał oporu, który z góry był skazany na porażkę. Pozwolił, aby mężczyzna owinął i zawiązał drugi kawałek materiału na wysokości karku, żeby zabezpieczyć knebel. Spodziewał się tego. Ostatni akt nie mógł rozegrać się bez publiczności.

– Będziesz moim jedynym wyrzutem sumienia – powiedział Dariusz, gdy zawiązał supeł, po czym skierował się do swojego centrum dowodzenia. Przez kilka minut w milczeniu wklepywał jakieś instrukcje w klawiaturę, od czasu do czasu popijając kawę. W końcu wstał, przeciągnął się i podszedł do stołu z narzędziami. Podniósł leżący na blacie katowski kaptur i niemalże z namaszczeniem założył go na głowę. Chwilę później Sędzia wrócił do pracy.

ROZDZIAŁ 38

Zawadzka zwolniła przy schodach. Ze środka nie dobiegały żadne odgłosy, choć trudno było to jednoznacznie ocenić w kakofonii krzyków sąsiadów, wyjących alarmów samochodowych i ujadających psów. Weszła na górę, ostrożniej stawiając kroki. Przytknęła ucho do drzwi i nacisnęła klamkę. Drzwi nie ustąpiły, więc zapukała, a nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, wdusiła przycisk dzwonka. Nie działał. Uderzyła w drzwi pięścią, ale wciąż nikt nie reagował. Poczła ukłucie niepokoju, silniejszego, niż się spodziewała. Szarpnęła za klamkę, ale drzwi ani drgnęły. Ponowiła pukanie, w końcu zaczęła walić pięściami, wykrzykując, że jest z policji. Zero reakcji.

Nerwowo zacisnęła zęby. Przez chwilę wahała się, czy powinna, ale ostatecznie wyciągnęła glocka, wykrzyczała ostrzeżenie i wycelowała w drzwi na wysokości zamków. Pociągnęła za spust cztery razy. Posypały się drzazgi, a huk wystrzałów poniósł się echem i utonął w ogólnym jazgocie. Szarpnęła za klamkę i choć nie bez problemów, drzwi z trzaskiem w końcu ustąpiły. Weszła do środka i od razu wyciągnęła podręczną latarkę. Przytknęła ją do lufy pistoletu i powoli zaczęła penetrować kolejne pokoje. We wnętrzu unosił się kurz, którego drobinki tańczyły w świetle latarki niczym malutkie płatki śniegu. Zdawał się wyjątkowo gęsty, przypominał pył węglowy na przodku w kopalni i Julka dwukrotnie kichnęła w rękaw. Zaklęła pod nosem. W gardle czuła suchość i szczypały ją oczy, jakby ktoś rozpylił w powietrzu gryzącą substancję. Pomruwała, ale nie pomogło. Niepokój niepostrzeżenie zmienił się w lęk. Wtedy natknęła się na Marię Durkosz.

Kobieta leżała na ziemi bez przytomności. Od razu do niej doskoczyła i sprawdziła tętno. Durkosz żyła, ale Julka nie potrafiła ocenić powodu omdlenia, więc wyciągnęła telefon i wybrała sto dwanaście. Gdy tylko zgłosiła się dyspozytorka, przedstawiła się, podała stopień i jednostkę, a następnie adres, pod którym się znajdowała, ale od razu otrzymała ostrzeżenie, że z powodu „jakiegoś koszmarne go wydarzenia na

Powsińskiej” przyjazd karetki może potrwać dłużej niż zwykle. Zgłoszenie zostało przyjęte, ale myśl o wezwaniu posiłków odłożyła na później. Nie miała powodu, aby prosić o wsparcie, a nawet gdyby miała, w obecnej sytuacji pewnie i tak nikt by do niej nie przyjechał. Ułożyła kobietę w pozycji bocznej bezpiecznej i już chciała odejść, gdy Maria Durkosz drgnęła, a po chwili jej dłoń zacisnęła się na przedramieniu Julki.

– Kto to? Kto zgasił światło? – wyjąkała skrzekliwym głosem. Julka dopiero teraz dostrzegła leżący nieopodal aparat słuchowy.

– Jestem z policji – odparła, ale kobieta zdawała się nic nie słyszeć i w kółko powtarzała te same pytania. Komisarz sięgnęła po aparat i spróbowała włożyć go do ucha kobiety, ale nie miała zielonego pojęcia, jak się to robi. Na szczęście gospodyni przejęła inicjatywę i chwilę później urządzenie znalazło się na swoim miejscu. – Jestem z policji. Nazywam się Julia Zawadzka. Czy nic pani nie jest? – powtórzyła, tym razem niemal krzycząc. Pomogła jej się podnieść. – Czy może się pani poruszać?

Kobieta wyglądała na zdezorientowaną, ale w końcu spojrzała na Julkę przytomniej. Przytaknęła, przyznając, że ogólnie jest w nie najlepszej formie. Komisarz pomogła jej się podnieść, a następnie położyć na sofie, raz jeszcze wytłumaczyła, kim jest i co tu robi, w końcu zapytała o Brudnego.

– Ach tak. Był tu taki... jak on się nazywał? Przystojny i miał taki męski tembr głosu. Przeczytał mi...

– Gdzie on jest, pani Durkosz?

– Hmm...?

– Pani Durkosz... – Zawadzka naciskała. – Gdzie poszedł ten policjant? Mówił coś?

– Aaa! – jęknęła. – W piwnicy jest. Tak, tak. Pamiętam. Dobry policjant. Zaofiarował się, że pomoże wyłożyć trutkę na szczury. Nawet nie wie pani, jak te cholerne gryz...

– Proszę się stąd nie ruszać. Wkrótce ktoś tu przyjedzie i pani pomoże.

Po tych słowach Julka podniosła się i ruszyła w kierunku korytarza. Namierzyła drzwi do piwnicy i powoli zaczęła schodzić. W pewnym momencie chciała zawołać partnera po imieniu, ale zmitygowała się, gdy zdała sobie sprawę, że to byłoby irracjonalne. Igor przecież nie chowałby się przed nią, zwłaszcza że po pierwsze musiał słyszeć wybuch, po drugie huk wystrzałów, które oddała, wyważając drzwi, a po trzecie nigdy nie zostawiłby nieprzytomnej starszej kobiety, nie wezwawszy pomocy. Nagle

zdała sobie sprawę, że jej serce bije dwukrotnie szybciej. Oddychała płytko, szybko, ustami. Woń zgnilizny tylko pogłębiła lęk przed tym, co może na nią czyhać pod ziemią, a popiskiwanie i drapanie wszędobylskich szcurzych łapek wzmacniały efekt. Z każdym kolejnym schodkiem oblepiał ją coraz gęstszy mrok. Miała nieodparte wrażenie, że ciemność ją przyzywa, a ona już nigdy nie opuści tego miejsca. To było głupie i niedojrzałe, niegodne doświadczonej policjantki, ale jeszcze nigdy, nawet w katakumbach tego cholernego sierocińca nie czuła się tak osaczona. Wytarła wierzchem dłoni krople potu na czole. Kilka kosmyków przykleiło jej się do twarzy i nerwowo je odgarnęła. Świadomość, że Brudny nie daje żadnych oznak życia, niemal ją obezwładniała. Może jednak spróbuje go zawołać? Może poślizgnął się, uderzył w głowę i zemdłał, tak jak Maria Durkosz? Może słysząc jej głos, oprzytomnieje?

– Igor! – zawołała, ale z jej ust wydobył się tylko ledwo słyszalny szept.

Przełknęła ślinę, a po plecach spłynął jej lodowaty dreszcz. Nie ponowiła wołania. Nie chciała, aby ten ktoś, kto czai się w mroku, usłyszał jej przerażony głos. Była przekonana, że ktoś tam jest. Brudny nie wywracał się na skórkach bananów, nie uderzał przypadkiem głową o kanty stołów ani nie ukrywał się w ciemności, aby znienacka wyskoczyć z rozczapierzonymi palcami i głupkowatą miną. Musiało stać się coś złego. I ta woń, która stała się jeszcze intensywniejsza. Odór rozkładających się zwłok.

Omiotła wzrokiem pomieszczenie gospodarcze, następnie kotłownię i spiżarnię. Smród stał się nie do wytrzymania. W pewnym momencie przemogła się i rozgoniła przy workach ziemniaków pałętające się szczury. Nie znosiła ich, brzydziła się nimi, a te gryzonie nie dość, że wcale nie uciekały, to jeszcze łaziły za nią. Podbiegały niczym ratlerki i dopiero gdy odwracała się i płoszyła je ruchem buta czy ręki, raptownie się wycofywały. Niektóre stawały na dwóch łapkach i węszyły. Ich oczy świeciły w ciemności, a pyszczki poruszały się złośliwie, czasem je otwierały, ukazując długie zęby. Rozgrzebała worki w nadziei, że zdoła namierzyć źródło ohydny fetoru, ale nie znalazła nic godnego uwagi. Stare gazety, zaśniedziała bańka po winie, od lat nieruszone puszki i rozerwane opakowania z makaronem i ryżem, resztki nadgniłych warzyw i owoców, ale nawet jeśli Durkosz trzymałaby w spiżarni gnojówkę, smród nie miał prawa być tak silny i odstręczający. W ostatnim pomieszczeniu, w którym znajdowała się typowa graciarnia, namierzyła tylne drzwi, ale dostęp do

nich był całkowicie zatarasowany. Brudny nie byłby w stanie przedostać się do nich bez poprzestawiania tych wszystkich kłopotów. Gdzie w takim razie mógł się podziać? Przecież, kurwa, nie wyparował!

I ten ohydny smród, który w ostatnim pomieszczeniu jakby nieco zelżał. Być może zdążyła się przyzwyczać, ale wątpiła w to. Musiała się tu znajdować jakaś inna droga. Z tą myślą cofnęła się do spiżarni i raz jeszcze, opędzając się od nachalnych gryzoni, przejrzała całe pomieszczenie. Skupiła się na podłodze i wtedy dostrzegła coś, na co wcześniej nie zwróciła uwagi. W czarnym pyłe znajdującym się przy luźnej kupie węgla ujrzała odbity ślad męskiego buta, dokładnie takiego, jaki nosił Brudny. Serce zabiło jej mocniej. Skierowała wiązkę światła w to miejsce i ruszyła śladami, a te urwały się na dwóch schodkach, po których trzeba było zejść, aby dostać się do zamontowanego niżej niż reszta poziomu pieca. Zrobiła kilka kroków w tym w kierunku i smród nagle przybrał na sile. Omiotła piec światłem z latarki, puknęła palcami w masywne drzwiczki, w końcu zajrzała za niego.

W podłodze zionęła czarna dziura. Fragment gretingu był odsunięty na bok. Komisarz poświeciła do wnętrza. Drabinka była ostatecznym dowodem, że Brudny nie wyparował. Lęk przeobraził się w irytację, a ta w solidny wkurw. Dlaczego nie dał jej znać?

– Teraz naprawdę się doigrałeś, Igor – mruknęła do siebie. – Zejdę tam i nakopię ci do dupy, że mnie popamiętasz. Ostatni raz, ostatni, kurwa, raz...

Zawadzka się odgrażała, ale zaczęły mięknać jej nogi, a przerażenie z każdą kolejną sekundą rosło wykładniczo. Ona serio ma tam wejść? Musiała się jakoś zmobilizować, bo tak naprawdę nigdy nie wyzbyła się klaustrofobii. Już raz włąziła do dziury w ziemi, aby wyciągnąć Brudnego z opresji, i omal nie dostała zawału, zwłaszcza gdy zobaczyła, kto na nią czekał. Ale w takich momentach i tak przypominała jej się ta jebana szafa, w której zamykał ją ojciec, gdy była mała. Wtedy w jej głowie leży się piekielne koszmary, przez co do dziś unikała windy. I piwnic. A już szczególnie czarnych, ciasnych nor pełnych wygłodniałych szczurów. Kurwa!

Zdała sobie sprawę, że jej serce wali jak oszalałe. Wyciągnęła telefon, aby wezwać wsparcie, ale okazało się, że nie ma zasięgu. Postanowiła, że nie przyjmie takiego tłumaczenia ze strony Igora. Znała go i wiedziała, że będzie bagatelizował sprawę. On, kurwa, wszystko bagatelizował i zawsze

pchał się tam, gdzie innym, nawet uzbrojonym po zęby kontrterrorystom w kevlarach, noktowizorach i cholera wie czym jeszcze, nawet nie przeszłoby to przez myśl. Nakręcała się, próbując zmotywować, i chyba pomogło, bo w końcu włożyła jedną, a potem drugą nogę i krok po kroku osunęła się w głąb otworu. Gdy nareszcie stanęła na ziemi, wytarła pot z czoła. Serce jej waliło, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi, nogi znów się pod nią ugięły. Trupi odór drażnił drogi oddechowe, ale przynajmniej nad nim mogła jakoś zapanować. Przez lata pracy w pionie kryminalnym przywykła do woni, które u większości ludzi natychmiast wywołałyby efekt wymiotny. Co innego klaustrofobia. Jej nie potrafiła ignorować i choć tunel był na tyle wysoki i szeroki, aby mogła stosunkowo swobodnie się przemieszczać, to miała nieodparte wrażenie, że staje się coraz węższy, ściany zaraz ścisną ją jak gąbkę, a sufit zwali się na głowę i przysypie tonami czarnej, mokrej, przesiąkniętej obrzydliwym fetorem gleby. Broniła się przed takimi wizjami z całych sił, ale atakowały ją bezustannie, a zwisające korzenie tylko wzmogły nieprzyjemne doznania. Z trudem panowała nad drżeniem dłoni. Na każdym kroku przypominała jej o tym szalejąca wiązka światła w trzymanej przez nią latarce. Pot ciekł po czole i skroniach, dłonie miała mokre. Trupi odór drażnił śluzówki, obezwładniająca cisza przerywana tuptaniem i popiskiwaniem szczurów zaczynała ją przygniatać, a gdy zobaczyła, że drogę zagroziły jej dwie rury pomiędzy którymi – jeśli chciała przejść dalej – musiałaby się przecisnąć, w głowie pojawiła się myśl, aby zawrócić.

Zebrała się w sobie i gdy znów otworzyła oczy, była już po drugiej stronie. Odgarnęła zwisające z sufitu korzenie, kopnęła upierdliwego szczura i odrobinę pewniejsza siebie ruszyła dalej. Po kilkudziesięciu krokach natknęła się na odnogę tunelu. Z głębi dobiegał niepokojący szum i jeszcze silniejszy smród. Z duszą na ramieniu ruszyła odkryć jego źródło. Szum się nasilił, gdy dotarła go zagradzającej jej drogę blachy falistej. Omiotła ją wiązka światła z latarki, obejrzała mocowania, w końcu chwyciła za rant i odgięła. Zajrzała do środka i w jednej chwili zeszytniała. Jej oczom ukazało się morze szczurów, które kotłowały się w ogromnym przezroczystym zbiorniku niczym masa ogromnych robali. Latarka wypadła jej z dłoni. Schyliła się, aby ją podnieść. Z jej oczu popłynęły łzy, ale zacisnęła zęby. Wtedy z głębi tunelu poniósł się głuchy, metaliczny odgłos, który skojarzył jej się z zamykanym włazem. W pierwszej chwili pomyślała, że to Brudny, i już chciała krzyknąć, gdy

instynkt kazał jej zweryfikować plany. Wykorzystując sunące przekopem echo, raz jeszcze odgięła blachę, tym razem na tyle, aby wślizgnąć się do środka. Ta chwilę później wróciła na miejsce. Julka wciągnęła w nozdrza trupi odór i pomyślała, że bardzo nie chciałaby tu umrzeć.

ROZDZIAŁ 39

Dariusz otworzył włącz i po raz ostatni spojrzął na szarpiącego się Brudnego. Przez chwilę przyglądał się komisarzowi, zastanawiając, co powinien zrobić. Mogli nazywać go potworem, ale mylili się. Owszem, zdarzyło mu się w życiu czynić zło, popełnił wiele błędów, a potem ich ogromnie żałował, ale miał zasady, których nigdy nie łamał, dlatego w zasadzie nie miał wyrzutów sumienia i każdego poranka mógł spojrzeć w lustro bez ochoty splunięcia we własną twarz. Nie mógł sobie wybaczyć tylko jednego. Nie potrafił darować, że kiedyś porzucił rodzinę.

– Jesteś najlepszy w swoim pokoleniu – mówił mu nauczyciel. – Możesz odnieść spektakularny sukces i wieść życie, o którym marzy każdy facet. Wszyscy w głębi duszy pragną być jak James Bond, czyż nie?

– Jak James Bond? – Skrzywił się.

– Nie dosłownie, ale na tym świecie jest grupa ludzi, najlepszych z najlepszych, wybitnych przedstawicieli swojej generacji, którzy naprawdę mają na coś wpływ. Politycy to marionetki. Zwykle robią to, co mówią im tacy jak ja, a być może wkrótce ty. Chciałbyś mieć realny wpływ na to, w jakim kierunku będzie zmierzał ten świat?

Młody ojciec wahał się, ale zdążył odchorować decyzję. Od miesięcy powtarzał sobie, że jest wilkiem, a wilki nie mogą żyć pośród owiec. Miłość to tylko frazes. Przychodzi i odchodzi. Będzie miał na nich oko. Przytaknął.

– Mądra decyzja, synu. Wchodzimy w nową erę i polski wywiad potrzebuje świeżej krwi. Kukliński zapobiegł wojnie nuklearnej. Ty masz potencjał, aby robić równie wielkie rzeczy. Witaj na pokładzie.

Za tydzień mieli się z Dorotą pobrać, ale do ślubu nigdy nie doszło. Partnerka nie zrozumiała. Znienawidziła go. Nie przyjmowała do wiadomości, że robi to dla dobra rodziny. Dla jej i dzieci bezpieczeństwa. Michał miał trzy lata, Jagoda niecały roczek. Nie zapamiętali ojca. Dla nich nigdy nie istniał. Tak ustalili z Dorotą i tego się trzymali. I choć regularnie wysyłał pieniądze i w wolnych chwilach obserwował, jak dorastają, trzymał

się z daleka. Lata mijały, on pracował na rzecz kraju w Rosji, na Bliskim Wschodzie, w Ameryce Południowej. Stał się duchem. W Izraelu włączył się do prac nad najnowocześniejszym systemem do walki z terroryzmem i zorganizowaną przestępczością, współtworząc najpotężniejszą broń szpiegowską w historii. Pegasus był też po części jego dziełem. Znał system od podszewki. Wiedział o nim wszystko. Poświęcił się pracy bez reszty, nie dostrzegając, że niemal zupełnie oddalił się od rodziny. Wtedy, w lipcu dwa tysiące czternastego roku, diabeł się o niego upomniął.

Akurat przebywał w Syrii, inwigilując samozwańcze Państwo Islamskie. Za linią wroga kontakt ze światem był utrudniony. Nie mógł wiedzieć, że jego syn zginął pod kołami rolls royce'a kierowanego przez pijanego w sztok Tobiasza Kryszaka, a nastoletnia córka, trudna i niepokorna dziewczyna, nieświadomie wplątała się z koleżanką w znajomość z podejrzanym mężczyzną, który okazał się sutenerem. Jagoda kochała taniec, a Adam to wykorzystał i zaproponował pracę, po czym podstępem umieścił je w „Niebie”, gdzie już pierwszej nocy, zamiast tańczyć na scenie dla znanych i szanowanych, została sprowadzona do roli prostytutki mającej spełnić chore żądze lokalnego barona Edwarda Kaczmarka. Dowiedział się dopiero po dwóch tygodniach, już po pogrzebie Michała, który po wypadku wykrwawił się na śmierć, i Jagody, która nie będąc w stanie znieść upokorzenia i traumy, rzuciła się pod pociąg. Z Dorotą spotkał się raz, ale nie była w stanie mu wybaczyć.

– Właśnie dla pracy dla takich ludzi porzuciłeś rodzinę – mówiła, szlochając. – Nienawidzę cię! Nienawidzę cię, słyszysz? Wynoś się, skurwysynu!

Gdy tydzień później przyszedł do niej, aby wspólnie odwiedzić groby dzieci, wisiała na żyrandolu, a z jej ust wychodziły muchy.

O tamtego dnia minęło siedem lat i dziewięćdziesiąt osiem dni.

Puścił właz i wyciągnął nóż. Spojrzał najpierw na Kumidora, a następnie na Brudnego. Pierwszy cicho pojękiwał, z wielu drobnych cięć na całym ciele wypływały strużki krwi. Drugi śledził każdy jego ruch, próbując oswobodzić się z więzów. W końcu podjął decyzję. Podszedł do komisarza i zerknął na zegarek. Miał jeszcze osiemnaście minut i dwadzieścia dwie sekundy. Zdjął mu knebel.

– Co chcesz zrobić? – warknął Brudny. – Nie dość ci? Ile jeszcze...

– Cśśś... – Dariusz przyłożył palec do ust. – Mamy niewiele czasu, więc słuchaj uważnie. – Poklepał płaską częścią ostrza noża policzek komisarza.

– Już ci mówiłem, że będziesz moim jedynym wyrzutem sumienia. Trudno mi się z tym pogodzić, dlatego dam ci szansę, a ty sam ocenisz, czy warto ją wykorzystać. – Skinął na Kumidora. – Ten człowiek zasłużył na surową karę. I nawet nie mam już na myśli krzywd, które wyrządził mojej rodzinie. W tym wypadku byłoby to wybiórcze, a nawet małostkowe potraktowanie tematu. Ale wszystko, co dzieje się w tym kraju, to głównie jego zasługa. Nienawiść trawiąca społeczeństwo, upadek ludzkiej moralności, przyzwolenie na jawną ochronę pedofilów, gwałcicieli i wszelakich łajdaków, a nawet likwidowania niewygodnych świadków. Pycha, arogancja, zakłamanie, złodziejstwo, partactwo... – Westchnął. – Mógłbym tak wymieniać jeszcze długo. Ale... – Spojrzał na zegarek. – Ponieważ ty jesteś uczciwym człowiekiem, pragnę dać ci szansę.

– Pierdolisz... – wycedził Brudny, ale Dariusz zignorował ten drobny akt agresji.

– Za niecałe osiemnaście minut to miejsce przestanie istnieć – kontynuował. – Umieściłem tu ładunki zapalające, które gdy eksplodują, sprawią, że temperatura w bunkrze osiągnie ponad tysiąc stopni Celsjusza i wszystko, co tu widzisz, zamieni się w popiół. Zanim to jednak nastąpi, przygotowałem dla naszych widzów małą lekcję z historii... – Dariusz przeniósł wzrok na Kumidora i wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu. – Czy nasz niedoszły zbawca narodu pamięta z lekcji legendę o złym królu Popielu?

Brudny również skupił wzrok na prezesie, a następnie przeniósł je na wystającą ze ściany grubą rurę. Dodał dwa do dwóch i poczuł kolejny zastrzyk adrenaliny. Czy Dariusz naprawdę chciał to zakończyć w ten sposób? Czy naprawdę był aż tak popieprzony? Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale żołnierz wymownym gestem przytknął mu ostrze do warg.

– Zrobisz, co uważasz za stosowne. Twoja wola, Brudny – oznajmił ze spokojem, a następnie opuścił nóż i delikatnie naciął pętające go trytytki. – I na koniec. Jeśli podejmiesz jedyną słuszną decyzję, nie szukaj mnie. To bezcelowe.

Wstał i mężczyźni po raz ostatni wymienili spojrzenia. Było w nich coś, co Brudnego zawstydziło. Jakby jakaś niewypowiedziana zgoda, może nawet swoiste pojednanie. Nie umiał tego stuprocentowo stwierdzić. Był zdeorientowany. Nie potrafił jednoznacznie ocenić tego faceta. Dariusz wzbudzał w nim skrajne uczucia. Z jednej strony rozumiał jego motyw, a w wielu kwestiach światopoglądowych mogliby podać sobie rękę, ale

z drugiej ten człowiek wydawał się opętany. A może po prostu rozgoryczony? Zmęczony otaczającą go rzeczywistością, gdzie prawo i sprawiedliwość tak naprawdę są tylko mrzonką i pustym frazesem? Odprowadził go wzrokiem, tracąc cenne sekundy, i dopiero głuchy odgłos zamykającego się wjazdu przywrócił go do ponurej rzeczywistości. Szarpnął się raz i drugi, ale trytytki wciąż trzymały mocno. Spojrzał na jeden z ekranów. Przełknął ślinę. Zostało mu niecałe szesnaście minut życia.

Zawadzka z trudem panowała nad odruchami wymiotnymi. Trupi odór był tak silny, że czuła w płucach niemal fizyczny ból. Szum kotłujących się w zbiorniku szczurów, których część posilała się martwymi pobratymcami, zdecydowanie nie pomagał, a tym bardziej fakt, że przy jednej ze ścianek dostrzegła fragment ludzkiej pizczeli, dalej miednicy, a w rogu bielila się czaszka. Wszystkie obgryzione do cna. Gdy podniosła brezent i dostrzegła kupę ludzkich kości, jej przerażenie sięgnęło zenitu, ale świadomość, że ktoś, kto odpowiada za ten horror, prawdopodobnie właśnie tu idzie, sprawiła, że powstrzymała gwałtowne reakcje organizmu. Przełknęła ślinę i wsunęła się pod plandekę, a następnie zgasila latarkę. Jedną dłoń przytknęła do ust, palce drugiej zacisnęła na rękojeści glocka. Czekala.

Już po kilkunastu sekundach usłyszała, że ktoś dobiera się do blachy falistej, która zagradzała wejście. Nie przejmował się hałasem i wyciągnawszy gwoździe, w końcu ją wyrwał. Wszedł do środka, a ona omal nie spanikowała. Pistolet w jej dłoni drżał, jakby znajdowała się w delirium, więc chwyciła go drugą. Zaplotła palce na rękojeści jeszcze mocniej. Usłyszała pukanie, w końcu szcęk jakiegoś mechanizmu. Drzwiczki, kłapa, zapadka?

– No już. Zmykajcie, moje drogie – usłyszała męski głos. – No już. Ooo tak, właśnie tak...

W stojącym obok przezroczystym zbiorniku zagotowało się, jakby ktoś właśnie dorzucił pokarm. Usłyszała pogłos setek szczurzych łapek i przez moment pomyślała, że cała ta zaraza rzuci się na nią, ale źródło dźwięku dochodziło gdzieś z głębi ściany. Lekko uchyliła plandekę i przez szparę zobaczyła, że zbiornik pustoszeje. Stał nad nim postawny mężczyzna i trzymał w dłoni przezroczystą zapadkę. Odetchnęła głębiej i uniosła broń, aby wycelować w nieznanego, ale nagle zeszywniała. Zdała sobie

sprawę, że pod brezentem nie jest całkiem sama. Gryzoń wylazł spod jednej z fałd i zaczął węszyć jej przy uchu, a dwa kolejne wdrapały się na korpus i nogę. Czowała na sobie ich małe nóżki, a gdy ten buszujący na udzie nieuważnie stracił równowagę i wbił swoje pazurki w ciało, omal nie wrzasnęła. Wtedy mężczyzna spojrział w jej kierunku. W dłoni błysnął żołnierski nóż, ale gdy jeden z gryzoni zaszeleścił i wylazł spod brezentu, nieznajomy z powrotem schował go do przytwierdzonej do paska skórzanej pochwy. Spojrział na zegarek i obrócił się. Musiała wykorzystać ten moment.

– Policja! Nie ruszaj się! – krzyknęła, gdy zrobił pierwszy krok. Zastygł w miejscu. – Mam cię na muszce, więc nawet, kurwa, nie drgnij – ostrzegła, powoli wygrzebując się spod brezentu.

– Komisarz Zawadzka... – mruknął. – Mogłem się domyślić, że jednak nie zostawi pani Igora samego.

– Zamknij się i ręce za głowę! Tak żebym je widziała!

Mężczyzna najwyraźniej nie miał zamiaru wykonać polecenia, bo nie poruszył się nawet o centymetr. Julka podniosła się do pionu. Jej dłonie wciąż drżały i cieszyła się, że przeciwnik tego nie widzi.

– Mamy teraz dwie opcje, pani komisarz – rzekł mężczyzna nad wyraz opanowanym głosem.

– Zamknij się i wykonaj polecenie.

– Pierwsza jest taka, że przestaniesz się pani wygłupiać, a ja odejdę i już nigdy mnie pani nie zobaczy.

– Ręce na głowę! – powtórzyła, ale ją zignorował.

– Jeśli pójdzie pani po rozum do głowy i pozwoli mi odejść, to może jeszcze zdoła pani uratować swojego partnera, który jest obecnie unieruchomiony i zapewne walczy z tysiącem wygłodniałych szczurów. Od lat karmiłem je trupami, więc są przyzwyczajone do smaku ludzkiego mięsa, a co za tym idzie, na pewno nie pogardzą takim przysmakiem. Co gorsza...

– Zamknij, kurwa, ryj! Na kolana i ręce za głowę!

– Co gorsza zostało pani jedynie czternaście minut, bo na tyle ustawiłem zapalniki ładunków zapalających, które już wkrótce eksplodują i zamienią bunkier, w którym przebywa pani partner, w coś, przy czym piekło jawi się jak dziecinna igraszka. Pozostaje jeszcze druga opcja...

Zawadzka zawahała się. Nie wyglądało na to, żeby facet blefował. Skoro zadał sobie tyle trudu, aby wyhodować tu armię szczurów, a wcześniej

doprowadził do gigantycznej eksplozji w willi Kumidora, z pewnością mógł wprowadzić swoje groźby w czyn.

– Pójdiesz tam ze mną i wyłączysz te zapalniki – rozkazała, ale znów ją zignorował.

– Druga opcja jest taka, że pani jednak będzie chciała mnie powstrzymać, a ponieważ nie może pani strzelić mi w plecy, mogę spróbować...

– Strzelę ci w kolano – syknęła. – Pasuje?

– Mogę spróbować się bronić – kontynuował, jakby jej w ogóle nie usłyszał. – Zanim pani podejmie ostateczną decyzję, chcę panią ostrzec, że jestem doskonale wyszkolonym żołnierzem i moje szanse, nawet jeśli trzyma mnie pani na muszce, są stosunkowo wysokie. Z dużą dozą prawdopodobieństwa wyższe niż pani, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że barwa pani głosu sugeruje wyraźny brak zdecydowania, co – podobnie jak drżenie rąk i ogólne rozregulowanie organizmu spowodowane daleko posuniętą klaustrofobią – bezpośrednio wpływa na refleks i możliwości motoryczne. Nie chciałbym weryfikować tej hipotezy, bo nic do pani nie mam i nigdy nie miałem zamiaru uczynić pani krzywdy, podobnie jak pani Patrycji, którą z pełną premedytacją postrzeliłem tak, aby kula ominęła wszystkie kluczowe narządy wewnętrzne, a poszkodowana wyszła z tego jedynie z nieprzyjemnym wspomnieniem. Jest jeszcze trzecia opcja, która – żeby nie zajmować więcej czasu – polega na tym, że nikt z nas nie wyjdzie stąd żywy.

– Kim ty, kurwa, jesteś?

– Traci pani czas. Zostało trzynaście minut.

Pistolet ciążył Julce jak nigdy wcześniej. Poczowała, że w oczach zebrały się łzy i jedna z nich spłynęła po policzku. Opanowanie i ton tego mężczyzny wydawały się w tej sytuacji absurdalne, co gorsza, uwierzyła mu. Musiała podjąć decyzję. Tu i teraz.

– Nie odpuszczę ci – syknęła.

– Podjęła pani słuszną decyzję, pani komisarz – odparł i zrobił pierwszy krok. Potem drugi i trzeci. Nie słysząc protestów, przyspieszył i chwilę później zniknął w mroku.

– Kurwa mać! – zaklęła i wytarła łzę.

Nie mogła postąpić inaczej. Z tą myślą wybiegła ze szczurzej nory i ruszyła tunelem w kierunku bunkra. W drodze zdała sobie sprawę, że nawet nie ma pewności, czy Brudny na pewno tam jest.

Komisarz napinał się z całych sił, ale trytytki wciąż nie chciały puścić. Nie brakowało mu wiele. Znał możliwości tych opasek i wiedział, że gdy ich faktura zostaje naruszona, gwałtownie tracą na wytrzymałości. Plastik wpijał mu się w skórę, co gorsza, przez otwór w ścianie zaczęły wybiegać niezliczone hordy szczurów. Niesione instynktem i zapachem krwi od razu skierowały się do Kumidora, inne dotarwszy do pała, zaczęły się na niego wspinać, aby dostać się do truchła Kaczmarka. Widok tego pierwszego, bezradnie próbującego opędzić się od wygłodniałych gryzoni, był absolutnie surrealistyczny. Szczury niemal natychmiast oblażyły go jak szarańcza i nie czekając na specjalne zaproszenie, zabrały się do uczt. Kumidor miotał się jak opętany, darł się wniebogłosy, ale nie miał najmniejszych szans.

Brudny zebrał w sobie wszystkie siły i zawył jak zwierz, próbując przerwać zaciśnięte na nadgarstkach opaski. Te przebiły skórę, popłynęła krew, ale wtedy poczuł, że nacięcie zaczyna się rozłazić. Nie przestawał, zupełnie ignorując ból. W końcu tworzywo pękło, a Brudny poczuł niewypowiedzianą ulgę. Pomógł sobie rękami i zerwał knebel, a następnie opaskę na stopach. Wtedy zdębiał. Co miał zrobić? Instynktownie doskoczył do wyjącego z bólu Kumidora i zaczął strącać wgrzające się w jego ciało szczury. Inne kopał, deptał, ale były w jakimś amoku i w ogóle nie przejmowały się jego obecnością, mało tego, nie tylko wracały do ucztowania, ale zaczynały atakować i jego. W pewnym momencie podbiegł do stołu z narzędziami i chwycił największe, jakie znalazł – tasak. Do czego miał mu posłużyć? W przeciwieństwie do niego Kumidor był skrzepowany kajdankami. Dobrze i mocne cięcie powinno sprawić, że łączący je łańcuch pęknie, ale czy na pewno? Pomyślał, że najwyżej przyda się w ostateczności...

Gdy tylko się odwrócił, histerycznie szarpiący się Kumidor znów był pokryty gryzoniami niemal od stóp do głowy. Jeden wszedł nawet na sam jej czubek, inny właśnie wdrapywał się po szyi i policzku. To była totalna agonia. Koszmar koszmarów. Brudny czuł, że nie podoła. Nie tym razem. Przez głowę przemknęła mu paskudna myśl, że może jednak ten stary człowiek sobie na to zasłużył, a on już nie jest w stanie mu pomóc. Ale to byłaby tylko ohydna wymówka. Obrzydliwa. Byłby gorszy niż on i armia

jego pozbawionych empatii klakierów. Wściekły na siebie samego odrzucił tę myśl i doskoczył do Kumidora, strącając tyle gryzoni, ile był w stanie. Poczł ugryzienie w łydkę i machnięciem tasaka strącił jedno zwierzę, omal go nie przepoławiając. Dostrzegł łańcuch kajdanek i już miał się zamachnąć, gdy usłyszał huk wystrzałów. Szczury spłoszyły się i większość wycofała pod ścianę. Spanikowany spojrzł na Julkę, która z dymiącym pistoletem stała przy otwartym włazie. Na jej twarzy malowała się cała gama emocji, od radości po wściekłość. W irracjonalnym przebłysku świadomości pomyślał, że jeśli wyjdą z tego żywi, za ten numer będzie miał mocno przejebane.

– Masz przejebane, Brudny – rzuciła, jakby czytała mu w myślach, a potem oddała jeszcze kilka strzałów w wycofującą się gromadę szczurów.

– Dzięki – odparł i odrzucił tasak. Gdy podeszła, chwycił ją za kurtkę i przyciągnął do siebie.

– Nie teraz, Igor – szarpnęła się i przycelowała w łańcuch łączący kajdanki. Jeden strzał wystarczył, aby Kumidor bezładnie upadł na twarz. Brudny zaasekurował go w ostatniej chwili.

– Mamy tylko siedem minut – rzucił.

– Zdążymy – odparła i ustrzeliła jeszcze dwa szczury.

Brudny nie czekał ani chwili dłużej. Widząc, że Kumidor nie jest w stanie się podnieść, chwycił go za nadgarstki i przeciągnął po podłodze w kierunku włazu. Julka zeszła pierwsza i chwilę później odebrała prezesa, który, nie utrzymawszy równowagi na drabince, runął na ziemię. Brudny zsunął się w otwór. Zanim zamknął właz, spojrzł na ekran. Zostało im pięć minut i trzydzieści siedem sekund. Najdłuższe pięć minut i trzydzieści siedem sekund w jego życiu.

Gdy w końcu ziemia się zatrzęsła, a tunelem poniósł się głuchy grzmot, oni znajdowali się w spiżarni. Nie pamiętał, jak przeszli prawie dwieście metrów z ledwo żywym Kumidorem, ani jak precyzyjnie się z nim pomiędzy poprzecznymi rurami grodzącymi przekop, który ostatecznie pod naporem fali uderzeniowej zawałił się prawie na całej długości, ani jak wciągnęli go po drabince na górę. Zapamiętał natomiast uśmiechniętą twarz Marii Durkosz i mruczenie nad uchem, które wydało mu się najwspanialszym mručeniem na świecie. Gdy tracił przytomność obiecał sobie, że jeśli się obudzi, to pojedzie na urlop.

ROZDZIAŁ 40

Miesiąc później

Noc była jasna i cicha. Okoliczne kasztanowce delikatnie trzeszczały pod naporem wiatru. Postawił kołnierz płaszcza i spojrzał w niebo. Rozświetlały je księżyc w pełni i tysiące migoczących gwiazd. Wciągnął nosem zimne powietrze do płuc i poczuł, jak dreszcze mozolnie przemykają przez całe jego ciało. Zamknął oczy. Przez moment dał się porwać chwili. Delektował się chłodnym powietrzem muskającym jego policzki i zapachem mokrej gleby i kory. Z oddali poniosło się krakanie ptactwa, a zaraz potem kilka kruków przefrunęło mu nad głową. Powiódł za nimi wzrokiem. Przysiadły na gałęzi kasztanowca po drugiej stronie terenu, który niegdyś należał do zakonu sióstr hieronimek.

Brudny sięgnął do kieszeni płaszcza po paczkę papierosów i zapalił jednego. Zaciągnął się kilka razy, po czym wyjął wymięte zdjęcie. Pozwolił, aby oblała je poświata księżyca. Po raz ostatni przyjrzał się twarzom swoich towarzyszy niedoli. Każdemu poświęcił kilka sekund. Kwiczoł, Łycha, Krowa, Kukieł, Francuz, Kamilek, Dziad, Pierun... Przy ostatnim zatrzymał się na dłużej. Kąciki jego ust uniosły się bezwiednie. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

„Zgłodniałem, więc pomyślałem, że poszukam jakiejś stołówki. A że nikt o tej porze nie chciał mnie obsłużyć, to poszedłem do kuchni i machnąłem sobie schabowego”.

Te słowa przeszły już do historii. Mikołaj Pieronowicz Gołowkin wypowiedział je w kantynie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, gdzie nad ranem znaleźli go pracownicy biurowi. Z początku myśleli, że to włamywacz, ale gdy zorientowali się, że mają do czynienia z więźniem, omal nie dostali zawału. Na stole wciąż stał talerz z resztką schabowego, opróżniony kubek po kawie i kilka papierków po batonikach. Jak Pierun wydostał się z celi?

– Czary – twierdził, śmiejąc się w twarz śledczym, którzy nie mieli choćby cienia dowodu, że miał z tym wszystkim coś wspólnego.

Brudny nie chciał brać w tym udziału z kilku powodów, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, że to właśnie Dariusz zostawił Pierunowi klucze do kajdanek i celi, aby w kulminacyjnym momencie ten zniknął i wprowadził jeszcze więcej zamieszania w szeregach miotającego się jak dziecko we mgle Kałużyńskiego. Sam pomysł z cytatami był natomiast genialny, bo dzięki posłużeniu się nimi, finalnie zaś cytatem z *Moby Dicka*, udało im się przekonać pryncypała, aby ten oddelegował Dariusza do bezpośredniej ochrony Kumidora, takie zaś rozwiązanie nie dawało drugiej stronie żadnych podstaw do późniejszego oskarżenia Pieruna o współudział, w związku z czym został on tydzień później uwolniony.

Komisarz zaśmiał się pod nosem, wciąż nie będąc w stanie uwierzyć w pomysłowość obu mężczyzn. Zadrwili z systemu, obnażyli ułomność służb i w kilka dni zdewastowali cały kraj, przy okazji w białych rękawiczkach dokonując zemsty na tych, którzy zniszczyli im życie. Brudny przykucnął i włożył dłoń w mokrą ziemię, po czym zacisnął palce w pięść. Spomiędzy nich wysypało się kilka czarnych grudek. Przytknął do nosa rozmiękłą glebę i wciągnął w płuca jej intensywny zapach. Zamknął oczy, a przez jego ciało przemknął kolejny dreszcz.

Od akcji w bunkrze minął miesiąc, a on wciąż nie był w stanie pojąć, jak do tego wszystkiego doszło. Dariusz zniknął. Rozpłynął się niczym mgłą o poranku, zostawiając po sobie jedynie zgliszcza i tysiące pytań. Na wiele z nich trzeba było znaleźć odpowiedzi, ale to nie należało już do jego obowiązków. Wciąż natomiast słyszał w uszach echo jego ostatnich słów. „Nie szukajcie mnie. To bezcelowe”.

– Kimkolwiek był, w tym wypadku w pełni się z nim zgadzam – powiedziała Julka, gdy usiedli na ławeczce przed szpitalem. – Drugi raz pokazał nam, że to nie nasza liga. I drugi raz pozwolił nam nie przegrać. Uszanujmy to.

Julka miała rację. Kałużyński zginął pod gruzami willi Kumidora, a wszyscy, którzy mogli mieć jakiś kontakt z Dariuszem, pochowali głowy w piasek i milczeli jak zakłeci. Obawiali się, że Sędzia może wrócić? To było najprostsze wytłumaczenie. Był duchem, człowiekiem z innego świata. Świata szpiegów, ściśle tajnych programów, wybitnych umysłów i naprawdę wielkiej polityki. Pechem ludzi u władzy było to, że nieświadomie weszli mu w drogę, podeptali jego godność i zniszczyli

rodzinę. Ale w końcu trafiła kosa na kamień, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto jest silniejszy, odważniejszy, bardziej przebiegły i zdeterminowany. Dariusz łączył w sobie wszystkie te cechy i w pojedynkę rozprawił się z bandą amatorów, udowadniając jednocześnie, że polskie służby specjalne są w stanie agonialnym, a powoływanie na najwyższe stanowiska ludzi niekompetentnych i tylko z przydziału partyjnego na dłuższą metę musi doprowadzić do katastrofy. Brudnemu pozostały domysły, ale i one musiały poczekać. Już dzień później zjawił się w biurze komendanta swojej starej jednostki, Ryszarda Beryła. Były przełożony przywitał go ciepło, ale komisarz tylko rzucił mu na biurko gruby plik wydruków.

– Przekaż to prokuraturze – powiedział. – Tu jest wszystko na temat śmierci Karoliny Pisz. Dowody winy Jarosława Czabańskiego są niezbite.

– Ja...

– Daruj sobie – przerwał komendantowi i wyszedł z biura.

Pomimo chaosu, który w kolejnych dniach zapanował w całym kraju, już nazajutrz syn wiceministra MSWiA Bożydara Czabańskiego został zatrzymany i osadzony w areszcie, gdzie postawiono mu zarzut zabójstwa Karoliny Pisz. Jego ojciec nie miał już nic do gadania, bo dzień wcześniej na pilnie zwołanym posiedzeniu Sejmu głosami niemal wszystkich posłów doszło do jego samorozwiązania. Premier Nosalski podał się do dymisji, podobnie uczynili pozostali ministrowie. Nie mieli wyjścia i musieli zmierzyć się z konsekwencjami swoich czynów, bo posłuszeństwo wypowiedziały im służby mundurowe, ale przede wszystkim obywatele, którzy mieli już tego wszystkiego po prostu dość. Nie obyło się bez incydentów, ofiar, kolejnych demonstracji i zamieszek, a kilku najbardziej umoczonych polityków próbowało nawet uciec z kraju, ale żadnemu ta sztuka się nie udała.

Brudny wyłączył się z życia publicznego. Przez kolejne dni nie wychodził z domu, obserwując zachodzące zmiany na ekranie telewizora, gdzie brylowała Patrycja Klimczak, niemal rozrywana przez wszystkie stacje w Polsce i na świecie. Postrzał rzeczywiście okazał się niegroźny. Kula przeszła na wylot tuż nad miednicą, naruszając jedynie mięśnie skośne brzucha, więc zaledwie po tygodniu dziennikarka opuściła szpital i od razu zabrała się do pracy. Zadbła, aby informacja o tym, że ma wyłączność na Brudnego, dotarła do wszystkich kolegów po fachu, dzięki czemu inni dziennikarze nie zawracali mu głowy tak często, a on mógł wyciszyć telefon. Gdy już miał dość oglądania kanałów informacyjnych, namiętnie

czytał książki albo oglądał filmy z Brudnym Harrym. Z tyłu głowy wciąż jednak tliła się potrzeba zrozumienia tego wszystkiego, ale po kilku dniach pojął, że to niemożliwe. Gdy już pogodził się z tym, że nigdy nie uzyska odpowiedzi na nurtującego go pytania, do drzwi zapukał mężczyzna w czarnym garniturze. Otworzył, dopiero gdy facet z powrotem wszedł do rządowej limuzyny. W skrzynce znalazł list. Nie spodziewał się tego, co w nim przeczytał, i dzień później stawiał się przed salą numer dwadzieścia dwa szpitala MSWiA w Warszawie. Siedzący przy drzwiach oficer SOP-u nie robił problemów. Skinął, że droga wolna. Brudny nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Sala była niewielka, ale dobrze wyposażona. Oprócz łóżka znajdowała się cała masa sprzętu medycznego monitorującego stan pacjenta. Na kilku ekranach widoczne były wykresy i liczby, które zmieniały się od czasu do czasu, co kilka sekund rozlegało się charakterystyczne pikanie świadczące o tym, że pacjent żyje. Do białego w żyłę wenflonu podłączone były dwie kroplówki, a na jego twarzy umieszczono maskę z tlenem. Uwagę Brudnego zwróciła naklejka na jednym z zaawansowanych urządzeń. Czerwone serduszko z napisem „wielka orkiestra świątecznej pomocy” zdawało się ironicznie uśmiechać do pacjenta, który właśnie się obudził.

– Dzień dobry – przywitał się Brudny.

Bolesław Kumidor ściągnął maskę z tlenem i odchrząknął.

– Dzień dobry – odparł. – Dziękuję, że przyjął pan moje zaproszenie. Pofatygowałbym się do pana osobiście, gdyby nie... – Próbował się podnieść, ale komisarz powstrzymał go ruchem dłoni.

– Jak się pan czuje? – zapytał.

– Bywało lepiej, ale... – Prezes znów odchrząknął i zamrugał, jakby próbował złapać ostrość po przebudzeniu się z długiego snu. – Doktorzy twierdzą, że stan pacjenta jest stabilny. Panie pielęgniarki są bardzo miłe. Lekarze również. Chyba jeszcze trochę pociągnę, jak Bóg da...

Brudny usiadł na krześle. W jego głowie mnożyły się tysiące pytań, ale choć kilkakrotnie próbował wyobrazić sobie to spotkanie, teraz nie miał pojęcia, jak zacząć. Spojrzał na Kumidora, który dotąd jawił się jako największy strateg polskiej sceny politycznej od upadku komuny, ale nie dostrzegł w nim niczego nadludzkiego. Ot, starszy, schorowany człowiek, któremu bliżej do piachu aniżeli rządzenia krajem. Kilka ostatnich plastrów wciąż bieliło mu się na pomarszczonej twarzy, a szare, jakby niezdrowo mętne tęczęwki lekko drżały.

– Chciałbym panu podziękować za uratowanie mi życia – podjął w końcu Kumidor, ale jego słowa zabrzmiały dziwnie niejednoznacznie. – Gdyby nie pan... gdyby nie pana odwaga i... – przerwał, aby przełknąć ślinę. – Wie pan, że jest pan bohaterem?

– Taki ze mnie bohater jak z pana baletnica. Powinien pan podziękować komisarz Julii Zawadzkiej. Nie wiem, czy bez niej zdołałbym panu pomóc. Szczerze w to wątpię.

– Dlaczego pana partnerka panu nie towarzyszy? Wyraźnie mówiłem, że zależy mi na jej obecności i...

– Brzydzi się panem.

– Ach tak...

– Kazała mi przekazać, że cytuję: „nienawidzi pedofilów i sutenerów, a jeszcze bardziej ludzi, którzy przyzwalają na taki proceder”.

– Hmm...

Zapadła niezręczna cisza. Kumidor przeniósł wzrok na sufit i przytknął maskę tlenową do twarzy. Zacerpnął kilka haustów powietrza i z powrotem odłożył ją na poduszkę.

– Rozumiem – rzekł po dłuższej chwili. Jeszcze przez kilkanaście sekund coś sobie analizował, w końcu przełknął ślinę i odchrząknął. – A pan, komisarzu Brudny? Pan też się mną brzydzi i uważa mnie za pedofila i sutenera? – zapytał, spoglądając swemu wybawcy w oczy.

– Za pedofila raczej nie, za sutenera... – Brudny nerwowo cmoknął – ... za sutenera już prędzej.

Kumidor westchnął i zamknął powieki. Poszukał dłonią maski tlenowej, ale zrezygnował, jakby nagle opuściły go wszystkie siły. Zamiast tego przytknął dłoń do czoła i nerwowo zaczął je masować.

– Dlaczego więc pan i pani Julia mnie uratowaliście? – zapytał drżącym głosem.

– Tego wymaga ludzka przyzwoitość. Zresztą...

Brudny chciał jeszcze coś dodać, ale ugryzł się w język. Od lat posługiwał się prostymi komunikatami i zdążył się nauczyć, że potrafią wybrzmieć mocniej niż tysiąc słów. Kumidor przygryzł dolną wargę i przełknął ślinę.

– Czy pan uważa, że nie zasługiwałem na ratunek? – zapytał po dłuższej chwili wahania.

Brudny westchnął. Kumidor najwyraźniej chciał to ciągnąć. Akurat nie to miał na myśli. Pomógłby każdemu, kto znalazłby się w podobnej

sytuacji, bo nikt nie zasługiwał na taką śmierć. Ale nie ratowałby tego starca, gdyby sam miał przy tym zginąć. I to właśnie chciał mu zakomunikować. Że prawdopodobnie zostawiłby go szczerom na pożarcie.

– A uważa pan, że zasłużył? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Myślę, że tylko Bóg może to rozsądzić – odparł Kumidor i przytknął maskę z tlenem do twarzy. Znów zaczerpnął kilka haustów powietrza. – Tylko Bóg może...

– Bóg nie istnieje – przerwał mu Brudny.

– To pana zdanie, komisarzu. Ale nie dał mi pan dokończyć. Czy mogę?

Brudny skinął, choć przed oczami stanęły mu wszystkie obrazy z dzieciństwa. Wiecznie gniewne oblicze Gwidony, lubieżne spojrzenia księży pedofilów, wielodniowe pokuty w ciemnych i zimnych katakumbach klasztoru sióstr hieronimek, wszechobecna przemoc, gwałty, poniżenie, upodlenie, wszystko zaś pokrętnie tłumaczone wolą Boga. Gdzie wtedy był ten jego zasrany Bóg? Dlaczego na to pozwalał, ba, dlaczego czynił te wszystkie bezceństwa rękami swoich sług? Komisarz poczuł wzbierający gniew, ale opanował go i skinął, dając rozmówcy szansę na dokończenie myśli.

– Chciałem powiedzieć, że tylko Bóg może sądzić człowieka za jego czyny, ale Bóg czasem potrafi też wskazać nam drogę – kontynuował Kumidor. – I chyba właśnie pokazał mi, że... – zamknął oczy i zamilkł na chwilę. – Że chyba... zgrzeszyłem – dodał, wypuszczając powietrze.

Brudny uniósł brwi. Przychodząc tu, miał cichą nadzieję, że facet zrozumiał pewne kwestie, ale taka puenta była co najwyżej ucieczką od odpowiedzialności.

– I tyle? – spytał, nie kryjąc rozczarowania.

– Wie pan, czym jest władza? – Kumidor zignorował ostatnie pytanie.

– Czymś, co potrafi pomieszać w głowach takim ludziom jak pan.

– Władza jest czymś o wiele, wiele gorszym, komisarzu Brudny. Pomieszać w głowie może ładna dziewczyna albo wygrana w totolotka. Władza daje panowanie nad umysłami. Władza pozwala poczuć się kimś więcej niżli tylko człowiekiem. W końcu władza pozwala tworzyć nowe światy.

– Władza pozwala takim łajdakom jak pan i pana ludzie kraść, gwałcić i mordować bez obawy, że ktokolwiek kiedykolwiek zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Myśli pan, że taki Kaczmarek planował coś więcej niż upadlanie tych wszystkich młodych kobiet? Dlaczego pan mu na to

pozwolił? Dlaczego w imię politycznych korzyści pozwala pan pedofilom w sutannach gwałcić dzieci? Dlaczego pan ich, kurwa mać, chroni przed odpowiedzialnością? Dlaczego...

Brudny przerwał. Jego palce zacisnęły się w pięść. Potrafił zrozumieć wiele rzeczy, jeszcze więcej wybaczyć, ale nie był w stanie pojąć moralności takich ludzi jak Kumidor i tych, którzy na niego głosują. Przyzwalanie na gwałty nieletnich i chronienie tych, którzy się ich dopuszczają, niespecjalnie różniły się od samych aktów molestowania, co gorsza, w tym kraju większość obywateli nie tylko tolerowała ten obrzydliwy proceder, ale głosowała na ludzi, którzy dawali pedofilom pełną ochronę. Czy tego typu sugestie w ogóle dało się w jakikolwiek sposób zrozumieć? Czy stanowisko bezczelnego Kościoła, który postanowił nie przekazywać prokuraturze danych dotyczących przypadków molestowania, można było jakoś wytłumaczyć? Dlaczego nikt nie mówił wprost, że biskupi i chodzący na ich smyczy rządzący to zwykli sutenerzy, którzy pozwalają bezkarnie gwałcić dzieci?

– Polityka to bagno, komisarzu – odparł Kumidor. – Bagno, w którym bardzo łatwo utonąć, gdy człowiek kieruje się sumieniem. I właśnie dlatego pan tego nie rozumie.

– To nie jest odpowiedź... – Górna warga Brudnego uniosła się w gniewnym grymasie. Sam nie wiedział, czego się spodziewać, ale zaczynał żałować, że w ogóle tu przyszedł. – Dlaczego pozwala pan pedofilom w sutannach bezkarnie gwałcić dzieci? Oczekuję jasnej odpowiedzi.

– Polityka.

– Pierdolę tę pańską politykę – warknął. – Pierdolę was wszystkich!

Przez chwilę zawładnął nim taki gniew, że oczami wyobraźni widział, jak zaciska palce na gardle starca. Niemal zamarzył, aby zadusić go własnymi rękami tu i teraz. Tylko czy to by coś zmieniło? I tak już nie miał szans wrócić do władzy. Pozostało mu dogorywać w nadziei, że ten, kto przejmie po nim schedę, litościwie go nie rozliczy.

– Rozumiem...

– Gównu rozumiesz, starcze. Ale coś ci powiem... – Brudny nachylił się nad Kumidorem, który odruchowo cofnął się o kilka centymetrów. – Nigdy nie złapiecie Sędziego. Ani pan, ani nikt inny. Ten człowiek jest jak duch i do końca pańskiego żywota i żywota wszystkich tych łajdaków, których pan dopuścił do rządzenia, będzie czał się w mroku. Może za drzwiami

domu, może za oknem, może na ulicy albo za kierownicą taksówki. Będzie niczym cień i nigdy nie dowie się pan, kiedy zechce po pana przyjść, aby dokończyć swoje dzieło. Zarówno po pana, jak i po każdego, kto zechce pójść w pana ślady.

Pik, pik, pik, pik, pik. Kardiomonitor przyspieszył i w pewnym momencie Brudny przestraszył się, że powiedział o jedno słowo za dużo, a serce mężczyzny nie wytrzyma, ale gdy wstał z krzesła, a Kumidor przyłożył maskę z tlenem do twarzy, tętno zaczęło się uspokajać. Poczul niewysłowioną ulgę. To było niezwykle doznanie, niczym katharsis, które rozlało się po jego całym ciele, każdej komórce, tak jakby nagle zrzucił z barków ogromny noszony przez całe życie. Nabral nieodpartej ochoty, aby zapalić. Odruchowo sięgnął do kieszeni płaszcza, ale wtedy do pokoju wtargnęła pielęgniarka. Śnieżnobiały kitel opinał jej pulchne ciało tak ciasno, że każdy kolejny krok groził, że wystrzela przyszyte doń guziki. Obrzuciła Brudnego surowym spojrzeniem i pospiesznie zbliżyła się do pacjenta. Omiotła go wzrokiem, a następnie sprawdziła odczyty.

– Czy wszystko w porządku, panie prezesie? – zapytała, nachylając się nad Kumidorem. – Czy ten pan się panu naprzykrza?

Pacjent przez dłuższy czas wpatrywał się w sufit, oddychając głęboko. Brudny uznał, że nie ma sensu tu sterczeć, i ruszył w kierunku drzwi.

– Panie komisarzu...

Zastygł, gdy usłyszał za plecami chrapliwy głos. Odwrócił się powoli i wbił wzrok w mętne oczy Kumidora.

– Nie dał mi pan dokończyć myśli... – rzekł prezes. – Widzi pan tę teczkę?

Brudny spojrzał na stolik, na którym leżała niczym niewyróżniającą się aktówka.

– Chciałem, żeby pan pierwszy zapoznał się z treścią. Identyczne za godzinę trafią na ręce premiera i prezydenta, a wieczorem dotrą do wszystkich największych redakcji w kraju. I choć nie wiem, czy cała zawartość zostanie ujawniona opinii publicznej, to głęboko wierzę, że znajdzie pan tam wszystkie odpowiedzi.

Komisarz przez chwilę wahał się, czy powinien ją wziąć, ale w końcu chwycił teczkę i nacisnął klawisk.

– Raz jeszcze dziękuję, że uratował mi pan życie. – Brudny przystanął w progu. – I wie pan co, komisarzu? Bóg istnieje. Pan jest tego dowodem. W przeciwnym razie już dawno smażyłbym się w piekle.

Kumidor się mylił. Bóg nie istniał. To nie Bóg wyniósł go z bunkra i nie Bóg przetransportował go ponad dwustumetrowym przekopem, ratując przed niechybną, jakże okrutną śmiercią. Zrobili to Igor Brudny i Julia Zawadzka, ludzie z krwi i kości, którzy wcale nie musieli ryzykować własnego życia, aby uchronić człowieka, który choć nigdy bezpośrednio nikogo nie zabił, to przez swoją barbarzyńską politykę odpowiadał za setki, jeśli nie tysiące ludzkich tragedii. Gdy zamknęły się za nim drzwi, poczuł niewysłowioną ulgę.

Odłożył grupową fotografię wychowanków i wykopałszy dłonią niewielki dół, sięgnął po teczkę. Zapoznał się z jej zawartością w mieszkaniu na Saskiej Kępie, popijając Jamesona i paląc papierosa za papierosem. Testament Kumidora go zaskoczył. Mężczyzna nie tylko przyznał się do wszystkich swoich bezceństw, ale ukorzył się przed narodem i każdym z osobna, kto kiedykolwiek zaznał zła z powodu podejmowanych przez niego decyzji. Nie odżegnywał się od nich, nie usprawiedliwiał ani siebie, ani tym bardziej swoich ludzi, wyraźnie sugerując, że wszystko, co robił, było nacechowane szaleństwem, które opętało go do tego stopnia, że zupełnie stracił zdolność logicznego myślenia. Błagał ludzi o wybaczenie i przekonywał, że jest gotowy do poniesienia najsurowszej kary, na dowód przedstawiając pliki z wszystkimi teczkami, bez względu na przynależność partyjną, bo choć dysponował całą masą haków na nie mniej zdegenerowanych polityków opozycji, to nie oszczędził nikogo spośród nawet najbliższych współpracowników.

Brudny zastanawiał się, jakie będą tego konsekwencje, ale próba wyobrażenia sobie skali oskarżeń zdawała się niemożliwa. Przeszło mu nawet przez myśl, że to kolejny ruch wielkiego stratega, który zasypując opinię publiczną taką liczbą afer, skandali, ohyd, obrzydliwości i makabry, będzie chciał to wszystko rozwodnić i gdy wymiar sprawiedliwości zupełnie się zatka, spróbuje podjąć narrację o koniecznej abolicji. Brzmiało nieprawdopodobnie? Może i tak, ale w tym kraju żaden polityk od dekad nie trafił za kratki, choć zbrodnie, jakie popełnili, spokojnie można by liczyć w setki, a może i tysiące. Czy tak miało się to zakończyć i tym razem? To miała pokazać najbliższa przyszłość, ale na nią już nie miał żadnego wpływu.

Co innego Dariusz. I właśnie tu upatrywał nadziei, że decyzja Kumidora była nie tyle szczerą, ile podyktowaną strachem, wszak Sędzia mógł wrócić w każdej chwili, a skoro zdołał go dopaść w jego własnej, wydawałoby się

niemożliwej do zdobycia fortecy, schwytanie go gdziekolwiek indziej prawdopodobnie nie stanowiłoby dla niego większego problemu. Tak naprawdę od tej pory wszyscy najbardziej rozwydrzeni ludzie władzy musieli mieć na baczności i nie zazdrościć tym, którzy dopuścili się najgrubszych przekrętów. W ich oczach Dariusz musiał jawić się niczym mityczny miecz Damoklesa, każdego dnia przypominający im o czyhającym niebezpieczeństwie, a świadomość, co może ich czekać, jeśli znów za bardzo się rozbestwią, pozwalała mieć nadzieję, że dany delikwent dwa razy zastanowi się nad kolejną decyzją. Jego samego szczerze interesowało natomiast coś zupełnie innego. I tu – ku jego zdumieniu – Kumidor stanął na wysokości zadania.

– Czy on naprawdę postanowił rozliczyć pedofilów? – zapytała Zawadzka, gdy dzień później zagłębiła się w lekturę.

– Jako jeden z najpilniejszych postulatów dla nowej władzy sugeruje rozdział Kościoła od państwa i chce, aby każdy duchowny podejrzany o czyny pedofilskie był sądzony tak samo jak szeregowy obywatel. Koniec z ukrywaniem i zamiataniem pod dywan. Upublicznił wszystko. Tu są tysiące nazwisk. Każdy klecha w tym kraju, który ma na sumieniu dziecko, najprawdopodobniej został ujęty w tym zestawieniu.

– Aż nie chce się wierzyć...

Zawadzka wertowała gruby plik kartek, omiatając wzrokiem kolejne przykłady na potęgę umarzonych przez Broziaka śledztw. Tych było znacznie więcej, bo tak naprawdę każda władza po osiemdziesiątym dziewiątym robiła to samo. Tysiące spraw, dziesiątki tysięcy ofiar. Przed oczami miała prawdziwą lawinę oskarżeń wobec duchownych, którzy w Polsce stworzyli sobie państwo w państwie, gdzie – poza nielicznymi wyjątkami – takie przestępstwo jak gwałt na nieletnim nie tylko nie było karane, ale oprawcom pozwalano przemieszczać się do kolejnych parafii, gdzie mogli nadal czynić to niewyobrażalne zło.

Wyciągnął gruby plik papieru i ułożył go na dnie wykopanego dołu. Dłonie miał czarne od ziemi, zmarznięte. Przez chwilę przypatrywał się szeleszczącym kartkom, po czym wyciągnął z kieszeni setkę Jamesona i odkręciwszy nakrętkę, upił łyk, a resztę whisky wylał na dokumenty. Odetchnął. Zapalił. Zaciągnął się, omiatając wzrokiem teren, na którym jeszcze nie tak dawno wznosił się stary klasztor. Chwilę później przytknął grupową fotografię do płomienia z zapalniczki. Ogień najpierw zajął postać stojącej z brzegu Gwidony, następnie zaczął pożerać kolejnych

wychowanków, zdjęcie pod wpływem temperatury zaczęło się zwijać i skwierczeć. Gdy w końcu płomień dotknął drobnej postaci z fryzurą na pazia, Brudny wrzucił fotografię do dołu z papierami. Spryskane wysokoprocentowym alkoholem dokumenty niemal natychmiast zajęły się ogniem.

Brudny wpatrywał się w płomień, dopóki cała zawartość dołu nie zamieniła się w kupę popiołu. Wrzucił do środka niedopałek i z powrotem nakrył go ziemią. Uklepał ją, dał sobie chwilę i ruszył w drogę do samochodu. Gdy opuszczał teren sierocińca, za plecami poniosło się głośne krakanie. Odwrócił się i dostrzegł chmurę ptactwa, które wzbiło się do lotu. Ich cienie jeszcze przez dłuższą chwilę odznaczały się na ciemnym niebie, ale w końcu ich skrzek ucichł, a one zniknęły w mroku.

– Wszystko okej? – zagadnęła go Julka. Stała oparta o nadkole patrola i paliła papierosa.

– Tak. Jedźmy stąd – odparł i oboje wsiedli do samochodu.

– Zadzwoił do mnie jakiś glina – powiedziała, gdy ruszali z miejsca.

– No i?

– Pytał o ciebie. Twierdził, że się znacie.

– Czego chciał?

– Nie mam pojęcia. Przedstawił się jako nadkomisarz Marcin Zakrzewski.

– Zakrzewski... – Brudny wypuścił głośno powietrze. – Powiedzmy, że go kojarzę...

– Co to za typ?

– To nie ma w tej chwili żadnego znaczenia.

– Bo?

– Bo czegokolwiek chce, wybrał sobie kiepski czas.

– Hmm...

– Co hmm...?

– To ma jakieś drugie dno?

– Jak jesteś taka dobra w tych komputerach, to może poszukaj w sieci jakiegoś hotelu.

– Igor Brudny na wakacjach? – Julka zarechotała. – Może jednak się zastanów. Kto połapie bandytów, jak ty będziesz wylegiwać się pod palmami?

– Pod palmami? – Brudny rzucił jej szelmowskie spojrzenie.

– A co?

- Niech będzie pod palmami.
- A bandyci?
- Poczekają.
- Nie wierzę...
- To uwierz. Igor Brudny bierze urlop.

OD AUTORA

Pisząc *Bagno*, nie myślałem o tym, że jego przekaz może stać się tak bardzo aktualny. Polityka zawsze była, jest i będzie brudna, bezwzględna i pozbawiona empatii wobec jednostki. Oczywiście jej zły wpływ można minimalizować, ale o to trzeba dbać, gdyż brak kontroli nad władzą prowadzi do tragicznych skutków. Ostatecznym tego dowodem jest to, co wydarzyło się w Rosji. To właśnie tam powstała kasta ludzi, którzy uwierzyli, a następnie doprowadzili do sytuacji znalezienia się ponad prawem. Przez lata oszukiwali obywatele, w mediach siali propagandę i nienawiść wobec tych, którzy myślą inaczej, dzielili społeczeństwo na lepszych i gorszych, rozkradali kraj i mordowali przeciwników politycznych, aby w końcu wywołać bandycką wojnę i zaatakować Ukrainę. To długotrwały proces, który nie wziął się znikąd. Obywatele im na to po prostu pozwolili.

Bagno powstało w mojej głowie już jakiś czas temu. Każdy z Was odczyta treść na swój sposób. Dla mnie na pierwszym miejscu była historia, dlatego jakiegokolwiek podobieństwa do prawdziwych osób są przypadkowe. Komisarz Igor Brudny po raz kolejny zmierzył się z okropnościami tego świata. W swoim stylu, bez udawania, że jest lepszy niż w rzeczywistości. Pragnąłem zachować ten mroczny klimat z poprzednich części, ale zarazem ponownie Was zaskoczyć i stworzyć coś nowego. Czy mi się udało – sami ocenicie. Skoro jednak dotarliście do *Bagna*, to pewnie zdążyliście mnie już poznać i wiecie, że nie uciekam od trudnych tematów i gdzieś tam można doszukać się drugiego dna. Napiszę więc krótko. Zależało mi, aby – może w nieco przerysowany sposób – pokazać, że żadne społeczeństwo nie jest „wolne” od bycia przyzwoitym.

Tradycyjnie chciałbym podziękować wszystkim, którzy w jakiś sposób przyczynili się do powstania *Bagna*. Kłaniam się więc byłemu inspektorowi policji Romanowi Czarneckiemu, patomorfologowi Robertowi Krzywulskiemu oraz byłemu oficerowi wywiadu Leszkowi Adamskiemu. Ten ostatni sprawdził treść pod kątem działalności służb i bardzo, ale to

bardzo mi pomógł przy okazji kolejnego projektu, o którym usłyszycie już wkrótce. Dziękuję też moim pierwszym „recenzentom”: rodzicom oraz serdecznym przyjaciółom Krzysztofowi Figurze i Andrzejowi Flügelowi oraz Patrycji Klimkiewicz, kobiecie o nieprzebranych pokładach pozytywnej energii.

Oczywiście z całego serca dziękuję Wydawnictwu Czarna Owca, które jest chyba najlepszą możliwą przystanią dla pisarza. W szczególności dziękuję Bartkowi Nawrockiemu, Adamowi Dzikowi i Katarzynie Słupskiej, którzy roztoczyli nade mną niesamowitą opiekę, dzielnie znoszą wszystkie moje telefony i zawsze służą pomocą. Tradycyjnie wielkie dzięki dla Piotra Cieślińskiego za kolejną genialną okładkę. W końcu wielkie podziękowania dla dyrektora Wydawnictwa Marka Korczaka, jednego z najuczciwszych i najbardziej pomocnych ludzi, jakich poznałem w życiu.

Na koniec chciałbym podziękować Tobie, Drogi Czytelniku, że zdecydowałeś się sięgnąć po *Bagno* i dobrać do końca tej historii. Mam nadzieję, że powieść odkładasz usatysfakcjonowany i po lekturze udało się zasiać w twojej głowie choć trochę niepokojącego fermentu. Pewnie zapytacie, czy i kiedy Igor Brudny wróci oraz czy rzeczywiście w kolejnej powieści spotka się z pewnym znanym już w środowisku kolegą po fachu? Odpowiem tak – nie potwierdzam, nie zaprzeczam. Chwilowo Igor Brudny bierze urlop ;)

Dziękuję też wszystkim, których nie wymieniłem z imienia i nazwiska, a którzy przyczynili się do powstania *Bagna* w jego ostatecznej wersji.